

IMPERIUM U PROGU ZAGŁADY

NAJAZD CYMBRÓW I TEUTONÓW



Paweł Rochala



WIELKIE BITWY

- WIELCY

DOWÓDCY



SPIS TREŚCI

WSTĘP.....	9
OKOLICZNOŚCI WĘDRÓWKI CYMBRÓW I TEUTONÓW.....	11
Skąd się wzięli Cymbrowie i Teutoni.....	11
Powody wędrówki.....	14
Uchodźcy. Im dalej na południe, tym lepiej.....	19
Kwestia rolna.....	20
Kwestia władzy.....	22
WĘDRÓWKA PRZEZ GERMANIĘ I PÓŁNOCNĄ CELTYKĘ.....	25
Atrakcje życia w podróży.....	25
Wędrówka przez Germanię.....	27
Efekt kuli śnieżnej i zasady domina.....	30
Wędrówka przez północną Celtykę.....	31
IMPERIUM ROMANUM PRZED NAJAZDEM.....	38
Sytuacja wewnętrzna.....	38
Żarłoczny luksus i nadużycia wyborcze.....	38
Niewolnicy zjadający Rzymian.....	42
Wielkie powstanie niewolników na Sycylii wiatach 138-132 p.n.e.....	44
Próby reform i niesnaski społeczne.....	50
Italikowie, czyli Rzymianie bez praw rzymskich.....	52
Sytuacja zewnętrzna.....	53

Kilka uwag o sposobach prowadzenia wojen i mentalności rzymskich wódzów.....	53
Zdobytcze Rzymu w basenie Morza Śródziemnego i dziwna wojna hiszpańska.....	55
Budowanie połączenia lądowego między Italią a Hiszpanią.....	61
Podsumowanie.....	63

OD NOREI DO ARAUSIO - ZESTAWIENIE RZYMSKICH KLĘSK

W LATACH 113-105 p.n.e.....	66
-----------------------------	----

O nieopłacalności oszustwa-Noreja, 113 rok p.n.e.....	69
---	----

O sile złota. Pierwsza odsłona wojny jugurtyńskiej w latach 112-110 p.n.e.....	73
--	----

Drugie starcie Rzymian i Cymbrów - Prowincja Galia Zaalpejska, rok 109 p.n.e.....	76
---	----

Jak biją się Helweci - Prowincja Galia Zaalpejska, rok 107 p.n.e....	77
--	----

Arausio - Prowincja Galia Zaalpejska, 6 października 105 roku p.n.e.....	80
--	----

STRACH W RZYMIE.....	85
----------------------	----

Najeźdźcy blisko, a wojska daleko.....	86
--	----

Rozprawy sądowe, modły, wybory i zdrowy rozsądek.....	87
---	----

Gajusz Mariusz - mąż opatrnościowy.....	88
---	----

Surowe wychowanie.....	89
------------------------	----

Początki kariery wojskowej i politycznej.....	91
---	----

II odsłona wojny jugurtyńskiej.....	94
-------------------------------------	----

Pierwszy konsul Gajusza Mariusza. III odsłona wojny jugurtyńskiej - lata 107-105 p.n.e.....	97
---	----

Nierozumne decyzje najeźdźców.....	100
------------------------------------	-----

PRZYGOTOWANIA RZYMU DO WOJNY Z CYMBRAMI

ITEUTONAMI.....	103
-----------------	-----

Organizacja armii rzymskiej.....	106
----------------------------------	-----

Żołnierze.....	110
----------------	-----

Niższa kadra dowódcza.....	114
----------------------------	-----

Wyższa kadra dowódcza.....	116
----------------------------	-----

Oddziały sprzymierzeńców italskich.....	117
Inne wojska sojusznicze.....	118
Uzbrojenie armii rzymskiej.....	119
Broń obronna.....	119
Broń zaczepna.....	122
Odzież i wyposażenie dodatkowe armii rzymskiej.....	124
Zakładanie obozów.....	125
Przymusowi sprzymierzeńcy Rzymu.....	127
Inni sprzymierzeńcy.....	133

ORGANIZACJA, UZBROJENIE ORAZ ZAMIARY CYMBRÓW I TEUTONÓW..... 139

Cymbryjscy i teutonscy wojownicy w kontekście germańskim.....	140
Cymbryjscy i teutonscy wojownicy w kontekście celtyckim.....	146
Wodzowie i taktyka walki.....	149
Plany Cymbrów i Teutonów.....	152

STARCIE Z TEUTONAMI - AQUAE SEXTIAE

JESIENÍ 102 roku p.n.e.....	157
Oczekiwanie Mariusza.....	158
Pozycja obronna Rzymian nad Rodanem.....	165
Oblężenie obozu Rzymian.....	167
Marsz ku Alpom.....	169
Pierwsza bitwa pod Aquae Sextiae. Walka o wodę.....	171
Druga bitwa pod Aquae Sextiae. Walka o zwycięstwo.....	177
Stos ofiarny.....	184

STARCIE Z CYMBRAMI. POLA RAUDYJSKIE POD

VERCELLAE - początek lipca (sierpnia) 101 r. p.n.e.....	187
Zadania konsula Kwintusa Lutacjusza Katulusa.....	188
Brawurowy marsz Cymbrów przez Alpy.....	194
Obrona rzeki Natizo.....	196
Reakcja Rzymu na porażkę.....	199
Poczynania Cymbrów w Italii.....	201
Odprawa posłów cymbryjski eh.....	205

Siły Rzymian i Germanów pod Vercellae.....	206
Ustawienie wojsk na Polach Raudyjskich.....	210
Bitwa.....	214
Krajobraz po bitwie.....	221
PO WIELKIEJ WOJNIE.....	224
Dalsza kariera i upadek Gajusza Mariusza.....	225
O dyktatorskich rządach Lucjusza Korneliusza Sulli.....	231
Rzymskie korzyści z Germanów.....	233
BIBLIOGRAFIA.....	237
WYKAZ MAP.....	241

WSTĘP

Opisanie zmagani militarnych Cymbrów i Teutonów wydało mi się początkowo zamierzeniem tyleż intrygującym, co trudnym do realizacji, a to ze względu na problemy z weryfikacją dostępnych źródeł i materiałów historycznych, co zwykle grozi brakiem rzetelności badawczej. Bo jak o ludach, które, poza legendarnymi, praktycznie nie pozostawiły po sobie żadnych innych śladów, napisać książkę nieskładającą się z samych zagadek bez odpowiedzi? Wszelako po bliższym poznaniu zagadnienia, okazało się, że dostępną materię da się wykorzystać i przełożyć na język współczesnej komunikacji. Historia przecież ciągle się powtarza, zmiany ulegają tylko dekoracje. Napisanie książki o Cymbrach i Teutonach byłoby zadaniem o wiele trudniejszym i mniej wdzięcznym bez pomocy kilku osób. Ich wsparcie sprawiło, że pracowało mi się lepiej, skuteczniej i wydajniej, z prawdziwie młodzieńczym zapałem, za co niniejszym gorąco dziękuję pani dr Katarzynie Czarneckiej z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie za wiele dowcipnych uwag korygujących moje spojrzenie na starożytnych Germanów i na starożytnych w ogóle; panu Pawłowi Tomczykowi „Domellusowi”, prezesowi Stowarzyszenia „Pro antica” za długie godziny dyskusji o Prawdziwych Rzymianach. Jemu i panu Marcinowi Olszewskiemu z tego Stowarzyszenia winienem dodatkową wdzięczność za talię fotografii świetnych rekonstrukcji rzymskiego uzbrojenia z epoki,

-panu Cezaremu Wyszyńskiemu za udostępnienie do publikacji fotografii rekonstrukcji osprzętu, bez którego Rzymianie nie wygraliby tylu wojen. I nie chodzi tu o broń, ale o na pozór zwykłe narzędzia do kopania, rycia, cięcia i rąbania.

Dziękuję też wspaniałym „Cymbrom” - Piotrowi Żmijewskiemu i Michałowi Pasikowskiemu. To oni użyczyli swoich wizerunków, byśmy mogli sobie wyobrazić, jak to kiedyś było...

OKOLICZNOŚCI WĘDRÓWKI CYMBRÓW I TEUTONÓW

Skąd się wzięli Cymbrowie i Teutoni

Swego czasu sprawa pochodzenia plemion Cymbrów i Teutonów budziła wielkie emocje, które ucichły wraz ze śmiercią ówczesnych adwersarzy. Okazuje się jednak, że wątpliwości pozostały, a to ze względu na fakt, iż przekładów autorów starożytnych, opowiadających o Cymbrach i Teutonach, dokonano przed niemal półwiekiem. Wówczas pochodzenie tych ludów pozostawało, z różnych zresztą względów, kwestią otwartą. Bywało więc, że w przypisach i komentarzach tłumacze nazywali ich Celtami. I choć obecnie uważa się ich za Germanów, pogląd, iż byli to Celtowie lub plemiona celtogermańskie, wcale nie jest odosobniony, a przyczyniają się do tego właśnie wspomniane, nieco już przestarzałe, choć piękne językowo przekłady materiałów źródłowych².

¹ Cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, przekład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002, s. 474.

² Prawdę mówiąc, w polskiej nauce, mimo ponawianych co jakiś czas wysiłków, jest duży deficyt tłumaczeń autorów starożytnych, co choćby ze względu na liczbę ośrodków naukowych w naszym blisko 40-milionowym kraju jest sprawą nieco wstydliwą. Większości tłumaczeń dokonano w ciągu trzydziestu lat po zakończeniu II wojny światowej. Wielu autorów starożytnych nadal czeka na spolszczenie, podczas gdy w nauce angielskiej, francuskiej czy niemieckiej każdego z dziejopisów starożytności tłumaczono co najmniej kilkakrotnie, dzięki czemu można praktycznie przebieierać w przekładach i sięgać po wierne lub piękne, stare lub nowe, zależnie od potrzeb czy upodobań, a i samemu porównywać je z oryginałami wznawianymi dla potrzeb nauki, o czym u nas w ogóle nie ma mowy (adeptom nauki wystarczą przecież wydania niemieckie z XIX wieku, które każda biblioteka traktuje niczym białe kruki, utrudniając dostęp do nich z dużym poświęceniem...). Mało tego, tu i ówdzie na świecie zdarzają się wydania dwujęzyczne: przekład równoległy z tekstem łacińskim, co zakrawa na czystą fanaberię. Ale cóż poradzić - tradycja tłumaczeń dzieł starożytnych jest w Anglii starsza od dziejów polskiej państwowości. Przecież edukację poddanych miał na względzie uczony król angielski, Alfred Wielki, który już w IX wieku przełożył na miejscowy język dzieła Orozjusza, zażartego zwolennika chrześcijaństwa z czasów Św. Augustyna! Biorąc pod uwagę ten wcale nieodosobniony przypadek, jak również rozległość i solidność bazy źródłowej w krajach zachodnich,

W wyjaśnieniu zagadki pochodzenia tych plemion kluczową rolę, zresztą jak w całej wędrówce, zdaje się odgrywać plemię Cymbrów. Nawet pobieżne przestudiowanie źródeł pisanych pozwala na wniosek, że właśnie to plemię było siłą sprawczą przedsięwzięcia, które mocno wstrząsnęło *Imperium Romamim*. Teutoni i inne plemiona pozostają w cieniu Cymbrów. I choć starożytnym dzicjopisom obydwa plemiona wydawały się równie tajemnicze, to w przypadku Cymbrów potrafili z dużą dokładnością wskazać ich pierwotne siedziby. Natomiast Teutoni jawią się jako gotowe plemię marszowe, wypełzłe „skądś tam”... Ponieważ w następnych stuleciach po najeździe, zwłaszcza od czasów Oktawiana Augusta, operowano nazwami geograficznymi odnoszącymi się wprost do Cymbrów, a o Teutonach praktycznie nie wspomniano, nic dziwnego, że i dziś zdają się oni funkcjonować niejako na marginesie Cymbrów. Dlatego należy mieć na uwadze, że nawet wówczas, gdy starożytni w kontekście najazdu na Europę mówili jedynie o Cymbrach, to mieli na myśli również Teutonów. Oczywiście na marginesie. Obecnie w zasadzie nie kwestionuje się germańskości Cymbrów i Teutonów, lecz uznaje się za prawdopodobne, że na pewnych etapach wędrówki towarzyszyli im Celtowie.

Byłoby dobrze, gdyby celtyckiemu zamieszanu winni byli głównie starożytni historycy greckiego pochodzenia. Jest to bardzo charakterystyczne, że mocno oddaleni w miejscu i czasie od opisywanych wydarzeń greccy pisarze, Plutarch z Cheronei i Appian z Aleksandrii, identyfikują Cymbrów i Teutonów jako Celtów lub Celtogermanów. Mowa celtycka i germańska brzmiały w ich uszach jednakowo: jako „ryk dzikich zwierząt”. I Celt, i Germanin wyglądali w greckich oczach bardzo podobnie - wysocy, niebieskoocy, jasnowłosi, z tendencjami do obżarstwa, opilstwa i tycia. W tradycji greckiej Celtowie zapisali się bardzo boleśnie, natomiast Germanów jeszcze nie widywano - ich era miała dopiero nadejść. A ponieważ zamiłowanie wojowniczych Celtów (Galów, Galatów) do dalekich wędrówek i krzyżowania się z miejscową ludnością było dobrze znane w antycznym świecie greckim, nic dziwnego, że Grecy dopasowali sobie Cymbrów i Teutonów do znanego im od dzieciństwa pejzażu historycznego, w którym wybryki celtyckie zajmowały poczesne

można jedynie ubolewać nad marginalnością Polski w tym zakresie lub... pocieszać się poczuciem ekskluzywności przy zajmowaniu się tak tajemnymi naukami (choć to, doprawdy, marna pociecha!). Nam Mieszko I nie przetłumaczył Orozjusza, byśmy mogli przekonać się o przewadze wiary chrześcijańskiej nad kultami pogańskimi. Prawdę mówiąc, do dzisiejszych czasów (czerwiec 2006) nie dokonał tego w całości nikt, choć wielu mogłoby, gdyby im za włożony trud godziwie zapłacić.

miejsce. Niestety, choć Rzymianie: Gajusz Juliusz Cezar, Oktawian August, Wellejusz Paterkulus i Tacyt piszą o plemionach Cymbrów i Teutonów jako o Germanach, to kilku innych Rzymian nazywa ich Celtami, jak choćby Lucjusz Anneusz Florus³, Gajusz Salustiusz Krispus⁴ czy Marek Junianus Justynus. Ale to Cezar i August dążyli do dogłębnego i wiarygodnego wyjaśnienia kwestii pochodzenia Cymbrów, gdyż przyszło im się zmagać z Germanami, których odróżniali od Celtów. A o pomyłki w tej materii było łatwo. Nawet nad podziw bystry Gajusz Juliusz Cezar miał trudności z rozróżnieniem pogranicznych plemion germańskich i celtyckich.

Pamięć o Cymbrach i Teutonach była u Rzymian bardzo żywa, czemu nie można się dziwić. Biorąc pod uwagę kilka faktów z ich wędrówki, jakże bolesnych dla Rzymian, nie trzeba było dysponować jakąś szczególnie mądrością, by zrozumieć, że za sprawą tychże tajemniczych ludów północy Imperium znalazło się o krok od zagłady. Dlatego sami Rzymianie, jako naród praktyczny i dociekliwy, chcieli wiedzieć, skąd tak naprawdę owi Cymbrowie (i Teutoni) przybyli.

Odpowiedź na to pytanie uzyskano w czasach Oktawiana Augusta, gdy Imperium na poważnie, czyli militarnie, zainteresowało się Germanią. Ekspedycje morskie dotarły do ziem określanych jako cymbryjskie, a przez nas zwanych dziś potocznie Danią. August chwalił się w 76. roku życia⁶, że o pokój poprosili go Cymbrowie. Prawdę mówiąc, nie miał się czym szczycić, gdyż za jego czasów Cymbrowie byli niewielkim i mało znaczącym ludem, ale nie wszyscy w Rzymie o tym wiedzieli, a cesarz nie miał zamiaru tego wyjaśniać. Dla Augusta było ważne, że to Cymbrowie wśród innych, prawdziwie silnych, ludów poprosili go o pokój, czym się pochwalił w oficjalnym dokumencie państwowotwórczym, swoistym liście-sprawozdaniu do poddanych, wykuwanym na skałach i pomnikach oraz rytym w spiżu, jak najważniejsze rzymskie prawa.

³ Lucjusz Anneusz Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, rozdz. 38, przeł. I. Lewandowski, Wrocław 1973, s. 57-59.

⁴ Gajusz Salustiusz Krispus, *Wojna z Jugurtą*, rozdz. 114 [w:] *Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurtą*, przeł. K. Kumaniecki, Wrocław 1971, s. 110.

⁵ Marek Junianus Justynus, *Zarys dziejów rzymskich na podstawie Pompejusza Trogusa*, przeł. I. Lewandowski, Wrocław 1988. W ks. XXXII i XXXVII mówi się o Cymbrach jako o Cymmeriach, sprzymierzeńcach Mitrydatesa znad brzegów Morza Czarnego, w kontekście ich celtyckiego pochodzenia, choć mogło tu chodzić o germańskie plemię Bastardów osiadłe w okolicy delty Dunaju, nim Cymbrowie wyruszyli ze swych siedzib.

⁶ Czyli w ostatnim roku swojego życia, zmarł bowiem 19 sierpnia 14 roku n.e., w wieku 76 lat.

W społeczeństwie świadomym niegdyśszej mocy Cymbrów miało to swoją wymowę propagandową, zwłaszcza po dotkliwej klęsce trzech legionów z rąk Germanów w Lesie Teutoburskim w 9 roku n.e.

Pierwotne położenie silnych Cymbrów utrwalił dla nas kronikarz Tacyt:

W tym samym wygięciu Germanii mieszkają najbliżsi Oceanu Cymbrowie, lud teraz mały, lecz ogromnie wstawiony. A tej dawnej chwały wydatne pozostały ślady, mianowicie po obu brzegach przestronne obozowiska, których objętość dziś jeszcze pozwala zmierzyć ogrom i siłę tego ludu oraz ocenić wiarygodność tak wielkiego wychodźstwa¹.

Owo „wygięcie” to oczywiście Półwysep Jutlandzki, na którego obu brzegach widziano jeszcze w czasach Tacyty, czyli ok. roku 100 n.e., ślady starożytnych obozowisk. Należy też zaznaczyć, że istnieją koncepcje, jakoby Cymbrowie i Teutoni wyszli z terenów Szwecji, a wówczas Półwysep Cymbryjski byłby tylko jednym z etapów ich wędrówki.

Problem Teutonów pozostaje kwestią nieco innej natury, gdyż wiadomo o nich o wiele mniej niż o Cymbrach. Pobrzmiewają nam w nazwie Lasu Teutoburskiego, i to właściwie wszystko, jeśli pominąć fakt, iż *Teutsch* to tyle, co *Deutsch*. Ich wyjściowe siedziby lokuje się między ujściem Łaby a ujściem Odry lub, podobnie jak Cymbrów, na Półwyspie Jutlandzkim. W każdym razie traktuje się ich jako bezpośrednich sąsiadów Cymbrów, co ma w pełni tłumaczyć silną więź obu plemion, ich identyczne sposoby postępowania i wspólny los.

Po tej krótkiej identyfikacji siedzib obu plemion pozostaje nam odpowiedzieć na pytanie: dlaczego je porzucili?

Powody wędrówki

Nawet pobieżna analiza domniemanych powodów wędrówek ludów w dziejach ludzkości pozwala wyodrębnić dwie ich zasadnicze przyczyny: głód i przemoc ze strony sąsiadów; inne są tylko pochodnymi tych dwóch. Zapewne nie inaczej było z Cymbrami i Teutonami. Ponieważ wszyscy kronikarze starożytni zgodnie oceniają ich liczbę jako mrowie, a rzymskie wojska niejedną z nimi w starciu poniosły klęskę, można przyjąć, że to chyba nie przemoc, stosowana przez sąsiadów, była przyczyną wywędrowania Cymbrów i Teutonów z - jakkolwiek by to nie znać - ojczyzny. Należy więc wziąć pod uwagę głód.

¹ Tacyt, *Germania 14* [w:] *Dzieła*, przeł. S. Hammer, Warszawa 2004, s. 605.

Głód mógł mieć kilka przyczyn, ale zwykle pojawiał się w wyniku katastrofalnych zmian klimatycznych. Dziś, gdy wspiera nas wysoce rozwinięta gospodarka, z intensywnie rozwiniętymi kulturami rolniczymi, skutki anomalii pogodowych jesteśmy w stanie w dużej mierze łątwa i szybko niwelować. Dzieje się tak nie tylko w skali mikroregionalnej (w ramach jednego kraju), lecz również, choć z nieco większym trudem, w skali makroregionalnej, w ramach charytatywnej i odpłatnej pomocy międzynarodowej. I choć zjawiska głodu do tej pory nie zlikwidowano, to dziś można z nim walczyć skutecznie, jeśli tylko rządy państw bogatych wykażą - jak to mawiają nasi politycy - tzw. wolę polityczną, by pomóc, a rządy krajów biednych, by tej pomocy nie zmarnować (czyli nie rozkraść). Zresztą wszyscy byliśmy świadkami, jak szybko i w miarę skutecznie zareagował świat na katastrofę trzęsienia ziemi i fal tsunami w basenie Oceanu Indyjskiego i jak szerokie spektrum miała ta pomoc, od najprostszych form - żywności, lekarstw i pieniędzy - po wysoko kwalifikowanych specjalistów różnych dziedzin i wyposażenie szpitali. Choć nie brakuje sceptyków, którzy uważają, że tego rodzaju pomoc ma wymiar przede wszystkim propagandowy, to przecież przez wiele lat całe populacje ludności w Afryce, trwale dotkniętej klęską suszy, utrzymywano przy życiu tylko dzięki takiej pomocy. Głodu to nie likwidowało i nie likwiduje, gdyż jego przyczyny leżą nie w samej tylko suszy, ale pozwala uniknąć z jednej strony śmierci głodowej milionów ludzi, z drugiej zaś wstrząsów społecznych, wywołanych falami uchodźców w innych krajach.

W starożytności głód był codziennością. Czyhał tuż za rogiem, stale gotów do skoku i schwycenia za gardło. Nawet Rzymianie, ze swoją rozwiniętą kulturą agrarną, obawiali się głodu, a z czasem uzależnili swój byt od dostaw zboża z prowincji: Sycylii, Afryki i Egiptu. Bardzo prymitywna gospodarka germańska, oparta głównie na hodowli, a w mniejszym stopniu na rolnictwie, nie dysponowała prawie żadnymi nadwyżkami produkcyjnymi. Tacyt przedstawia nam to tak:

(...) Stosownie do liczby ludzi zdolnych do uprawy gruntu, wszyscy na przemian zajmują obszary rolne, które potem według godności pomiędzy siebie dzielą; rozległość pól ułatwia podział. Niwy corocznie zmieniają, a roli jest zawsze pod dostatkiem. Albowiem przy żyzności i rozległości gruntów nie zadają sobie trudu, aby zakładać sady, oddzielać łąki i nawadniać ogrody: tylko zboża wymaga się od ziemi. Stąd też nawet roku nie dzielą na tyleż, co my, części: zima, wiosna i lato mają u nich swój sens i nazwę, lecz jesieni zarówno nazwa, jak i dary nie są znane.*

⁸ Tacyt, *Germania* 26, op. cii, S. 610.

Wspomniana wyżej rozległość gruntów ornych to tylko pozory. Gospodarka germańska była ekstensywna, w związku z tym pola musiały być rozległe, by wydać jakiś opłacalny plon. Zakładano też sady i ogrody, ale gdzieś im było do jakości i wydajności rzymskich upraw!

Sposób życia Germanów, daleki od osiadłego, nie sprzyjał planowemu gromadzeniu zapasów pomagających przetrwać chude lata, polegali oni zatem raczej na zasobności, a zarazem słabości swoich sąsiadów, których w razie potrzeby można było złupić. Za to, gdy tylko osiadali w miejscu, choćby na krótko, zaczęli gromadzić zapasy:

(...) Wsi nie zakładają, jak to u nas w zwyczaju, z łącznych i przyległych do siebie budynków: każdy otacza własny dom wolnym placem (...); cło wszystkiego posługują się nieociosanym drzewem, nie troszcząc się o ozdobność albo powabność. Niektóre tylko miejsca wylepiają gliną tak czystą i lśniącą, że wygląda na malowidło i barwne rysunki. Mają też zwyczaj kopać podziemne lochy i przywalają je z wierzchu wielką ilością nawozu. Stanowią one schronisko na zimę i przechówek dla ziarna, ponieważ takie miejsca łagodzą ostrość mrozów; a jeżeli kiedy nieprzyjaciel nadciągnie, pustoszy on to, co stoi otworem, skrytki natomiast i podziemia albo całkiem mu są nie znane, albo dlatego właśnie przed jego wzrokiem uchodzą, że musi ich szukać.*

Tak czy inaczej, wobec jednorodności upraw i ogólnie niewielkiej intensywności rolnictwa, równowaga między dobrobytem a niedostatkiem była chwiejna, przy czym łatwo było popaść w to drugie. Paradoksalnie, w każdej klęsce głodu swój udział miały wcześniejsze lata tłuste. Jak to możliwe?

Otóż we wszystkich kulturach prymitywnych lata dobrobytu prowadzą do powiększenia populacji. Można sobie wyobrazić, że przez wiele lat warunki hodowli i upraw na Półwyspie Jutlandzkim, mimo dość srogiego klimatu północnego, bardzo sprzyjały mieszkającym tam ludziom. Klimat, kształtowany przez bliskie sąsiedztwo mórz, charakteryzował się niezbyt mroźnymi zimami i niezbyt gorącymi latami. Okres wegetacji roślin był przez to dłuższy niż na kontynencie, choć Półwysep Jutlandzki jest przecież wysunięty na północ. Częste opady sprzyjały wzrostowi traw, a to z kolei czyniło łatwą i wydajną hodowlę. Taki stan trwał kilkanaście, kilkadziesiąt lat i skutkowało wyraźnym wyżem demograficznym. W sprzyjających warunkach nie odczuwano skutków przeludnienia. Zresztą stąd nadwyżki populacji mogły migrować tylko w jednym

kierunku - na południe, co nie stanowiło zbyt zachęcającej perspektywy, podczas gdy na kontynencie kierunków było więcej, a zatem i mobilność ludności większa. Liczebność plemienia przekładała się na sukcesy militarne, a to znów owocowało poczuciem dostatku i bezpieczeństwa, czyli podtrzymywaniem wyżu demograficznego. W ten sposób społeczeństwo Cymbrów było społeczeństwem młodym i ta przewaga młodzieży mogła się wkrótce przełożyć na jakość podejmowanych przez plemię decyzji.

W strefie klimatu umiarkowanego kilka ostrych zim z rzędu nie jest niczym nadzwyczajnym. Skoro w średniowieczu mógł w całości zamarzać Bałtyk, to i w starożytności oddech zimy mógł przypominać, na jakiej szerokości geograficznej znajduje się Półwysep Cymbryjski. Wystarczyło kilka prawdziwych zim i kilka lat nazbyt wilgotnych, by okazało się, że nie zdołano wysuszyć siana i nie zdążono ze ścięciem zbóż, zanim zaczęły kiełkować ziarna w kłosach... Nazbyt liczna populacja ludzi i zwierząt zaczęła głodować.

Bezpośrednią przyczynę wędrówki Cymbrów i Teutonów w sposób lapidarny podaje nam Florus, mówiący o nich w kontekście galijskim, co nie powinno już mylić:

*(...) Cymbrowie, Teutonowie i Tygurynowie uciekli z najdalszych części Galii, ponieważ ich ziemie zalał Ocean, i szukali nowych siedzib po całym świecie*⁴¹.

Bywały pewnie i takie przypadki - częstych, gwałtownych sztormów, wielodniowych ulew i gradobić. Lata dobrobytu wcale nie oznaczały, że przyroda rozpieszczała Cymbrów, ale to, czego doświadczali w latach chudych, musiało przechodzić ich wyobrażenia. Jest wysoce prawdopodobne, że źle karmione bydło, stanowiące przecież podstawę bytu Germanów, padało od pomorów. Naraz na Półwyspie Cymbryjskim zrobiło się bardzo ciasno, a ziemia przestała dawać plony. Na niczyją pomoc nie można było liczyć. Wyprawy zbrojne na sąsiadów, będących w podobnej sytuacji, nie przynosiły żadnych łupów. Niewiele albo wręcz nic nie wskazywało na to, by następne lata miały przynieść jakąś poprawę. Postanowiono więc wyemigrować z tej niegościennej ziemi.

Nawet w latach względnego dobrobytu nadwyżki liczbowe plemion germańskich opuszczały przeludnione ziemie i szukały sobie miejsca gdzie indziej, zabierając ze sobą kobiety. Czasem kilka takich gromad łączyło się, tworząc nowe plemię. Tu jednak chodziło o większą wędrówkę, choć i takie pojęcie nie było dla Cymbrów żadną nowością.

⁴¹ Lucjusz Anneusz Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, op./éft.sff04.

Około 100 lat wcześniej przeszli przez te tereny Bastarnowie, by ostatecznie osiedlić się niedaleko ujścia Dunaju nad Morzem Czarnym (czyli Morzem Pontyjskim). Jeśli nawet zatraciła się w tradycji ustnej pamięć o wędrowce Bastarnów, to musiało w niej trwać inne, podobne wydarzenie. Przecież to w sąsiedztwie Cymbrów całkiem niedawno, zapewne wśród wielu utarczek zbrojnych, przesunął się z północy na południe wielki lud Wandalów, który osiedlił się między górną Wisłą a górną Odrą. Pamięć o tych wydarzeniach musiała być żywa, a przykład działał na wyobraźnię. Cymbrowie nie czuli się gorsi od Wandalów; mogli wędrować, tym bardziej że na miejscu nie czekało ich nic dobrego.

Bastarnowie, Wandalowie, Cymbrowie... To nie koniec listy wędrowców germańskich. Dwa pokolenia po Cymbrach na ziemię galijskie ruszyły liczne gromady różnoplemiennych ochotników germańskich, łącznie 15 000 wojowników pod dowództwem króla Ariowista. Zaprosili ich jedni Galowie (Sekwanowie) przeciw drugim Galom (Eduom). Galowie przyznali im za pomoc 1/3 ziemi, ale Germanów w trakcie kampanii wojennej przybyło drugie tyle, aż poczuli się na tyle silni, że zachowali się niezbyt, jak na gości, przystojnie, zabierając gospodarzom następną 1/3 ziemi i zakładników. Akurat wtedy Gajusz Juliusz Cezar pokonał Helwetów, którzy mieli zamiar osiedlić się w Galii. Wobec tego zarówno Eduowie, jak i Sekwanowie zwrócili się do niego o pomoc: czy nie zechciałby podobnie postąpić z Germanami? Cezar zyskał dzięki temu sposobność do następnej interwencji w Galii i już nigdy nie dał się stamtąd usunąć. Postanowił pomóc Galom, gdyż (...) *przyzwyczajając zaś powoli Germanów do przekraczania Renu i przechodzenia wielkimi masami do Galii uważał za niebezpiecznie dla ludu rzymskiego; mniemał bowiem, że ci dzicy i nieokrzesani ludzie nie znalazłby wcześniej spokoju, dopóki nie zajęliby całej Galii, by stąd wyruszyć do Italii, jak to niegdyś mieli uczynić Cymbrowie i Teutonowie*¹¹. A Ariowist miał rzeczywiście wielkie zamiary, gdyż szło mu na pomoc całe plemię Swenów, o którym krążyły pogłoski, że wystawia do boju 100-tysięczną armię!

Widać więc na tym przykładzie, jak często Germanie podejmowali wędrowki całymi plemionami, co jednak nie oznacza, że takie decyzje przychodziły im łatwo i bez żadnych refleksji. Zdawano sobie sprawę z dużego ryzyka. Ostateczne losy Cymbrów i Teutonów są tego najlepszym przykładem, ale przestroga były też losy innych ludów. Za czasów cesarza Nerona małe plemię Ampsywariów zostało wypędzone ze swoich siedzib przez

¹¹ Cezar, *Wojna gallicka* 1.33 [w:] *Corpus Cezariamtm*, tłum. i oprac. E. Konik i W. Nowosielska, Wrocław 2003, s. 69.

wielkie plemię Chauków. Poprosili oni Rzymian o możliwość osiedlenia się na ziemiach im podległych. Udzielono im odpowiedzi twierdzącej, lecz uwłaczającej godności. Wobec tego (...) *osamotniony lud Ampsywariów wycofał się do Uzyppówi Tubantów. Zich ziem wygnani podążyli do Chattów, potem do Cherusków, i długo błakali się jako cudzoziemcy, nędzarze i wrogowie; młodź ich na obczyźnie wycięto w pień, starszych i do walki niezdolnych jako zdobycz rozdzielono*¹².

W przypadku Cymbrów decyzji o wędrówce nie podjęto łątko, a i jedno-myślna też nie była. Część plemienia zdecydowała się pozostać na ojcowiznie, mniemając, poniekąd słusznie, że gdy ubędzie tylu ludzi i stad z ziemi, to z łątkością wyżywi ona pozostałych. I zostało ich na tyle dużo, że potrafili obronić swój byt aż do czasów cesarza Trajana, a Tacyt mógł przywołać nazwę ich plemienia i mówić, że już dwieście dziesięć lat zwycięża się Germanów". Lecz nie było ich tam aż tylu, by mieć jeszcze w historii jakies poważne znaczenie polityczne. To, że samo ich miano żyło jeszcze w dużej sławie, zawdzięczali nie sobie, ale tym, którzy odeszli.

Uchodźcy. Im dalej na południe, tym lepiej

Często widzimy w telewizji obozy dla uchodźców. Nie bez powodu uważa sieje za przekleństwo i symbol patologii współczesnych czasów. Choć w zamyśle tymczasowe, raz postawione, trwają niezmiennie i bez końca, a żyją w nich niekiedy kolejne pokolenia uciekinierów z własnych krajów. Co gorsza, nikt: ani ci, którzy je postawili, ani ci, którzy je utrzymują, a już najmniej ci, którzy w nich żyją, nie widzą wyjścia z tego impasu. Ludzie oderwani od swoich siedzib, stłoczeni w miejscach przypadkowych, szybko tracą kontakt z cywilizowanym życiem. Nie pracują, bo nikt im nie oferuje pracy. Żyją tylko z tego, co ofiarują im organizatorzy obozów, w związku z czym mentalnie, chcąc nie chcąc, stają się żebrakami. W końcu popadają w apatię, a namiastki życia społecznego w niczym nie zastępują zdrowych relacji międzyludzkich. Obok apatycznych bywają też nadmiernie pobudzeni, agresywni. Codziennoscia jest nuda, przemoc i brak porządku. Szybko wytwarzają się nieformalne struktury władzy, złożone z pozbawionych sumienia bandytów, żyjących zwykle w dobrej komitywie z miejscową legalną władzą. Wkrótce obu strukturom władzy

¹² Tacyt, *Roczniki XIII.56* [w:] *Dzieła*, przeł. Seweryn Hammer, Warszawa 2004, s. 305.

¹³ Słynne zdanie o nierozwiązywalności problemu germańskiego, zawarte w *Germanii 3 7* Tacyta.

- formalnej i nieformalnej - przestaje zależeć na powrocie uchodźców do godziwego życia. Władza w takim miejscu pozwala bowiem na czerpanie pożytków niedostępnych w normalnych okolicznościach. A uchodźcom pozostaje tylko śnić o własnej ziemi. Najwięcej na takim życiu tracą dzieci i młodzież, gdyż nie mogą znikąd czerpać właściwych wzorców zachowań. Pokolenie rodziców wie, jak wyglądało życie normalne, ale dzieciom trudno sobie nawet wyobrazić życie inne niż obozowe.

Ruszony z miejsca naród Cymbrów na pozór zachował dotychczasowe struktury społeczne, ale czyż kilkaset tysięcy wędrujących razem ludzi, pozbawionych widoków na szybką stabilizację, nic było jednym, wielkim obozem uchodźców, tym różniącym się od dzisiejszych, że wędrownym? Uciekali przed głodem, w nadziei na to, że im dalej na południe, tym będzie lepiej, a w końcu czeka na nich gdzieś upragniona ziemia. Od przybyszów z ciepłych krajów nasłuchali się o panującym tam dobrobycie, żyznych polach pełnych zbóż, słońcu grzejącym przez prawie cały rok i bogatych a niezbyt walecznych ludach. Tam, o ile jest się dzielnym, można osiąść na stałe i żyć bez trwogi, że zima zmiażdży plemię swoimi lodowymi szczękami, a głód wysieje szpik z kości. A że dzielności Cymbrom nie brakowało, więc, choć nie wszyscy śmiało ruszyli we wskazanym kierunku, co zapoczątkowało w ich życiu patologię, której rozmiarów, przynajmniej na początku, sobie nie uświadamiali.

Ruch Cymbrów i Teutonów nie odbywał się, jak przypuszczają niektórzy uczeni, przez obszary pustek osadniczych, bo te oznaczały nieprzebyte knieje, w których kilkaset tysięcy ludzi niechybnie umarłoby z głodu. Ponadto w pierwszym etapie trzeba było przejść przez kraje Germanii, zaludnione nad wyraz wojowniczymi pobratymcami. W tej sytuacji kwestia ziemi uprawnej, dla której podjęto wędrówkę, musiała ustąpić miejsca innej, ważniejszej, choć będącej jedynie środkiem wiodącym do celu, a nie celem samym w sobie: kwestii militarnej... I tak już zostało.

Kwestia rolna

Starożytni Germanie niezbyt wysoko cenili sobie uprawę roli. Skoro opisujący czasy połowy I w. n.e. Tacyt mówi o nich wprost, że (...) *leniństwem i gnuśnością wydaje im się w pocie czoki tego się dorabiać, co można krwią zdobyć*¹⁴, to podobna zasada z pewnością obowiązywała ponad 150 lat wcześniej. Za zajęcia niewątpliwie szlachetniejsze od rolnictwa

¹⁴ Tacyt, *Germania 14, op. ci./.*, s. 605.

uznawali łowy i wojaczkę, a szczególnie tę ostatnią. Nie znaczy to jednak, że rolnictwem totalnie pogardzali; rozumieli, że jest ono niezbędne nie tyle do życia, co do przetrwania. Wydaje się, że bliższy prawdy opis zasad uprawy roli i wojowania dał Gajusz Juliusz Cezar w połowie 1 w. p.n.c. w odniesieniu do wojowniczego związku plemiennego Swebów, tłumacząc, dlaczego nie wszyscy idą na wojnę:

(...) Reszta, która pozostała w domu, troszczy się o żywność dla siebie i dla tych, którzy uczestniczą w wyprawie wojennej; po roku z kolei pozostający obecnie w kraju wyruszają na wyprawę wojenną, natomiast ci, którzy w niej właśnie uczestniczyli, pozostają teraz w domu. W taki sposób nie ulega u nich przerwaniu ani uprawa roli, ani szkolenie i doskonalenie w sztuce wojennej¹⁵.

Zasadę tę można przyjąć jako powszechnie obowiązującą w Germanii. Zdarzały się jednak sytuacje, że pod broń stawało całe plemię, o uprawę roli nie dbając. Tak było, kiedy przyszło Germanom odpierać napaści silniejszych narodów lub gdy plemię traciło swoje ziemie. Sytuacje takie wcale nie należały do rzadkości, ale starożytni Germanie nie traktowali ich jako normalnych. Plemię pod bronią nie miało przecież solidnych podstaw bytu; dobrze było, gdy udało się przeżyć dzień dzisiejszy; o jutro, czyli o przyszłoroczne plony, nie dbano. Takie plemię walczyło o przeżycie.

Przypadek Cymbrów i Teutonów daleko wykraczał poza ramy ogólnie odczuwanej normalności. Poruszono tak ogromne masy ludzi, że znalezienie im miejsca w obowiązującym układzie plemion musiało łączyć się z przesunięciem bądź zniszczeniem zbliżonych liczebnie grup ludności. O uprawie roli w takiej sytuacji nie było mowy; w dodatku wojna, zamiast w miesiącach, musiała być liczona w latach. Zyskiwał na tym etos wojownika, ale etos rolnika coraz bardziej tracił na wartości. Jak się potem okaże, Cymbrowie i Teutoni kilka razy mogli osiedlić się na zdobytych ziemiach, ale tego nic uczynili. Można by powiedzieć, że ciągle szukali miejsc lepszych, niż ostatnio oglądane, ale to byłoby uproszczeniem bardziej złożonej kwestii. Na podstawie faktu, że trzy razy żądali od Rzymian ziem do osiedlenia (być może żądań tych było więcej, ale wzmianki o tylu przetrwały w dostępnych źródłach), możemy przypuszczać, że podobne żądania wysuwali również wobec innych nacji. Jednak w istocie nie o ziemię im chodziło, a o możliwość łupienia.

¹⁵ Cezar, *Wojna gallicka* IV, 1, 4-7, *op. cit.*, s. 1 12.

Koczownicze życie nie sprzyja rolnictwu. W czasie wędrówek Cymbrów i Teutonów zdążyło dorosnąć nowe pokolenie, nicznające osiadłego życia, a rolników widujące tylko w roli swych ofiar, czyli całkiem nikczemnej. Czy ich marzeniem było żmudne chodzenie za sochą, ciągnioną przez powolne woły, czy też dosiadanie ognistego rumaka bojowego? Władanie sierpem czy mieczem? Zdobienie kutych żelazem tarcz czy glinianych garnków?

Nietrudno się domyślić, że brzemienna w skutki decyzja Cymbrów o wymarszu przyniosła efekty dalej idące, niż oni sami byli w stanie sobie wyobrazić. Idea była piękna, porywająca i zrozumiała, ale szybko pojawił się rozdźwięk między celem a drogą do niego wiodącą. Uważni obserwatorzy zewnętrzni szybko zauważyli, że wojna, będąca dla zwyczajnych Germanów tylko uzupełnieniem życia, dla Cymbrów i Teutonów stała się jego zasadniczą treścią. Czy mogli przetrwać, nie uprawiając roli?

Kwestia władzy

(...) O sprawach mniejszej wagi stanowią przedni ejisi, o ważniejszych wszyscy, jednak w ten sposób, że także te, których rozstrzyganie przysługuje ludowi, poprzednio są omawiane przez przedniej szych mężów. (...) Król lub przedniejsi, każdy według swego wieku, urodzenia, sławy wojennej i wymowy, są słuchani raczej dzięki powadze swej rady niż mocy rozkazywania⁶.

Germanie mieli niezbyt sztywne struktury władzy, w dodatku mocno spłaszczone. O oligarchii wśród nich trudno mówić, bowiem rzucało się w oczy obcym ludziom, goszczącym w Germanii, że nawet królowie germańscy niemal niczym nie odróżniali się od swych poddanych. Zresztą „królowie” ówczesni nijak się mieli do silnych królów germańskich, tych niemal tyranów z czasów o kilkaset lat późniejszych. Teraz pełnili oni funkcje przywódcze w zakresie mocno ograniczonym przez zgromadzenia wolnych, a przy tym zawsze uzbrojonych mężczyzn. Musieli brać pod uwagę głosy różnych ciał doradczych - już to starszych rodów, już to kapłanów pełniących na równi z królami funkcje sędownicze; musieli uwzględniać nawet opinie bogów, przemawiających ustami wróżek. Starsi rodów, owi wymienieni wyżej „przedniejsi mężowie”, byli od zawsze znani swoim wspólnotom jako autorytety lokalne, lecz nie mogli,

⁶ Tacyt, *Germania 11, op. cii*, s. 603-604 (skrót pochodzi od autora).

podobnie jak królowie, wyróżniać się zanadto z ogółu bogactwem czy nazbyt dumną postawą, by nie stracić szacunku.

Osiadłe plemiona germańskie budowały struktury władzy sprzyjające stabilizacji. Choć podkreśla się w literaturze przedmiotu dużą łątwość, z jaką Germanie porzucali swoje siedziby, to nie należy przy tym zapominać o roli czynnika czasu. Otóż niektóre z plemion krążyły nieustannie po wywalczonym terytorium, nie opuszczając go przez pokolenia, a przesuając się po nim zgodnie z porami roku. Wszelkie eskapady poza owo terytorium wiązały się z poważnym ryzykiem, że nie będzie gdzie powrócić. Co innego udać się na wyprawę czy wysłać nadwyżki wojowniczej młodzieży w świat, a co innego poruszyć z miejsca całe plemię. Tymczasem nam, patrzącym na mapy wędrówek Gotów, Wandalów czy Franków z perspektywy ponad 1500 lat, wydaje się, że były to narody wiecznych wędrowców. Efektowne strzałki, wskazujące kierunki przemarszów, przesłaniają nam etapy postojów trwające czasami po kilkadziesiąt czy nawet kilkaset lat. Plemię, które raz opuściło ojczystą ziemię, musiało się liczyć z koniecznością długiej i uciążliwej wędrówki, nim zdołało gdzieś osiaść. Nic dziwnego zatem, że powody, skłaniające je do opuszczenia stabilnej i w miarę bezpiecznej ojcowizny, musiały mieć swoją wagę. Przecież wśród członków takiego plemienia znajdowali się starcy obu płci, którzy niejedno już w życiu widzieli, a do trudów dalekich podróży nieszczęśliwie byli zdolni, choć w domu niezbędni, oraz młode matki: te z niemowlętami przy piersi i te z małymi i podrastającymi dziećmi. Bydło w drodze też hodowano inaczej, a i straty wśród zwierząt były większe, niż w czasach hodowli osiadłych. Ludzie zdający sobie sprawę z tych uciążliwości niechętnie się na nie godzili, chyba że migracja stawała się koniecznością i oni sami innego wyjścia nie widzieli.

Wśród tych wędrujących plemion nie brakowało wszelako i takich osobników, którym wędrówka jak najbardziej odpowiadała. Byli to zazwyczaj ludzie młodzi, wojowniczy i przedsiębiorczy, nierzadko dzierżący najwyższą władzę. Nie ulega wątpliwości, że wędrówka władzę takich watażków utrzymywała. Germanie na ogół niechętnie słuchali ambitnych jednostek, a tyranii po prostu nie znosili, z jednym wyjątkiem - czasu wojny. Dobrze rozumieli, że w czasie wojny decyzje powinien podejmować jeden człowiek: wódz. A że każdy Germanin płci męskiej czuł się wojownikiem, doceniano sprawne wiodące do zwycięstwa dowództwo, zwłaszcza gdy dowódca zagrzewał do walki osobistym męstwem: (...) *Skoro przyjdzie do bitwy, byłoby hańbą dla naczelnika dać się przewyższyć w męstwie, hańbą dla drużyny nie dorównać w męstwie*

naczelnikowi¹⁷. Choć w innych okolicznościach przywiązywali dużą wagę do osobistej wolności, Germanie byli tak żądni walecznych czynów, że chętnie podporządkowywali się władzy wojskowej.

Wędrówka plemion, jako że od początku przybierała formę ogromnej wyprawy wojennej, wymagała odpowiedniej koordynacji działań, zaprowadzenia porządku i spokoju wśród trudnych do ogarnięcia wrokiem mas ludzi, zwierząt, taborów. Należało też zapewnić im bezpieczeństwo. Ukształtowano więc stosowne struktury władzy, jakbyśmy dziś powiedzieli: administracyjnej i wojskowej. Oczywiście, w sytuacji permanentnego pozostawania w stanie wojny główne decyzje należały do dowódców wojskowych, czyli królów, których władza w zwyczajnym czasie miała charakter czysto formalny i, obok przewodzenia wyprawom łupieżczym, ograniczała się do przywództwa wiecowego. Tu „sezon” sprawowania władzy przedłużał się aż do pomyślnego zakończenia wędrówki, czyli do znalezienia „ziemi obiecanej”. Ziemi obiecanej współplemioncom królewskimi ustami.

Z punktu widzenia królów, czas wędrówki był dla nich czasem danym im od bogów, aby w pełni zawładnęli rządzonymi ludami. Warunki były ekstremalne, sprzyjały więc rozszodom w starszyźnie plemiennej. Im bardziej oddalano się od ojczyzny, tym mniej ludzi zdolnych było do ogarnięcia rozumem coraz to nowych rzeczywistości. Starzy szybko się wykruszali, w czym młodzi widzieli szansę dla siebie. Młodzież z natury mniej dba o przyszłość, a wysoko ceni ofertę teraźniejszości. W czasie wędrówki takich ofert nie brakowało. Stale odnoszono jakieś zwycięstwa, pozyskiwano cenne i efektowne łupy: coraz lepszą broń, srebro, złoto, biżuterię, nie mówiąc już o zagarnianych stadach bydła i zbożu, nie sianym, a zbieranym. Kto im to wszystko zapewniał? Oczywiście - ich królowie.

Od stania w miejscu nie przybywało chwalebnych zwycięstw. Gdybyż młodość wiedziała... gdyby starość mogła... Złakniona władzy frakcja młodych parła naprzód. Już wkrótce miało się okazać, że w starciach decydujących o ich losie zarówno wiek, jak i rozum władz Cymbrów i Teutonów były młode i zupełnie nie liczące się z realiami. Szybko zapomniano o znaczeniu więzi społecznych i tradycji rolniczych. Królowie postarali się o bardzo efektowną otoczkę niezwyciężonej władzy, a młodzi, którzy chcieli być tacy jak oni, mieć błyszczące zbroje i dokonywać wielkich czynów, patrzyli na nich z podziwem. Czy w tej sytuacji królowie mogli dobrowolnie zrezygnować ze swojej rozległej władzy i dażyć do niebezpiecznej dla niej stabilizacji?

¹⁷ Tacyt, *Germania 14, op. cit.*, s. 604.

WĘDRÓWKA PRZEZ GERMANIĘ I PÓŁNOCNĄ CELTYKĘ

Atrakcje życia w podróży

Nie tylko wojownikom niekończąca się wyprawa wojenna wydawała się atrakcyjna. W pewnym sensie te atrakcje były widoczne również dla całej reszty populacji. Gdyby tak nie było, żony wojowników szybko by im wojaczkę wyperswadowały i na podbój świata królowie cymbryjscy musieliby wyruszyć sami.

Matki i siostry, żony i ukochane wojowników miały swoje wymagania. Dotychczas ciężko pracowały, by nakarmić i przyodziać rodzinę. Bydłatko, przyprowadzone przez mężczyznę z łupieżczej wyprawy raz na rok albo i na dwa lata, bywało odczuwalnym uzupełnieniem skromnej spiżarni, choć trzeba pamiętać, że jej podstawę stanowiły zasoby domowe, a zatem wypracowane, a nie zrabowane. W czasie wędrówki spiżarnia ta zapełniała się wyłącznie tym, co wojownik zdołał wydrzeć w walce, bo szans na to, by uzyskać coś z pracy własnych rąk, właściwie nie było. Dzielny wojownik oznaczał bogate kipy, a to przekładało się na zadbaną żonę i dobrze odżywione dzieciaki. Militaryzacja życia sięgnęła więc podstawowych komórek społecznych, czyli rodzin. Kobiety oczekiwały, że każdego dnia będą miały zboże do wsypania między kamienie żaren, do szycia ubrań potrzebowały tkanin (a wcześniej skór), których same tam nie mogły utkać, do podziału musiały mieć mięso zwierząt upolowanych lub ubitych, a nie przez siebie wyhodowanych. Wszystko to pochodziło więc z łupów i danin, wymuszanych na okolicznych ludach; wkład własny był praktycznie równy zeru.

Z czasem - a nie był to czas zbyt długi - narody Cymbrów i Teutonów przywykły do życia na cudzy koszt. Wiadomo, że cudze mniej się szanuje niż swoje, nie trzeba więc było długo czekać na akty rozpasania i niepotrzebnego marnotrawstwa, choć wiadomo też było, że za parę dni znowu trzeba będzie przymierać głodem. Z drugiej strony jakichś

¹ Wergiliusz, *Eclogae (Bucolica)* 1,70, cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, przekład i opracowanie: Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002.

szczególnych zapasów nie dawało się robić, bo po prostu nie było gdzie ich gromadzić. Niby osiedlano się na zdobytej ziemi, ale dla bezpieczeństwa osadników nie rozpraszano, a bardzo nisko stojąca kultura agrarna wędrownych Germanów nie nadawała się do wykorzystania przy zwartym osadnictwie. Działo się więc tak, że urządzano pełny wypas ludzi i stad, po czym opuszczano zdewastowaną okolicę i przenoszono się dalej. Bydło potrzebowało przecież większych powierzchniowo pastwisk niż ludzie pół. Dlatego nawet rozległe krainy rolnicze Galii były dla licznych, ekspansywnych i wygłodzonych Germanów za ciasne.

Wyjściem z tego swoistego, rozbójniczego impasu byłoby rozproszenie osadnictwa, ale to, jak już wspomniano, groziło poważnymi konsekwencjami. Cymbrowie i Teutoni wchodzili zazwyczaj na ziemie ludne, dobrze zagospodarowane, a więc pełne wrogów. Jako świetni wojownicy zwyciężali, ale przecież nie wszystko i wszystkich. Bijąc jedno z plemion, ustawiali przeciw sobie pozostałe, świadome niebezpieczeństwa i grozy położenia. Germanie, pewni swej siły, nie prowadzili żadnej długofalowej i celowej polityki, a z zatargów międzyplemiennych korzystali raczej biernie i „przy okazji”. Dlatego nieustannie poruszali się w morzu wrogów: ci, którzy spotkali się z nimi wcześniej, już nimi byli, ci, z którymi teraz się stykali, we wrogów się właśnie przeobrażali, a wszyscy pozostali mogli mieć niezachwianą pewność, że wcześniej czy później wrogami Cymbrów zostaną.

Najgroźniejszymi wrogami Germanów byli... inni Germanie-tak samo biedni i równie mężni, wszelako po opuszczeniu Germanii Cymbrowie i Teutoni już ich nie napotykali. Inne ludy z reguły okazywały się słabsze militarnie, za to mocniejsze ekonomicznie, co oczywiście zwiększało ich „atrakcyjność”. Wędrowni Germanie łatwo ich zwyciężali, zapewniając sobie przy tym łupy, o jakich w Germanii, nawet po najświetniejszych tamtejszych zwycięstwach, mogli sobie tylko pomarzyć. To powodowało, że stopień ich demoralizacji rósł z roku na rok. W chwilach euforii, wywoływanej zwycięskimi starciami, mało kto myślał o osiedlaniu się, skoro te zwycięstwa pozwalały w kilka dni zgarniać zapasy, jakie w „normalnych” warunkach plemię musiałoby gromadzić w pocie czoła przez kilka miesięcy. Co zrozumiałe, do tego pasożytnictwa dość szybko się przyzwyczajano, nie bacząc, że wypiera ono tak pomocne w życiu cechy, jak pracowitość i rozsądek.

Gospodarka rabunkowa wyjaławiała nie tylko glebę, ale i mentalność. Charakterystyczne, że dopiero znalazłszy się w rejonach niezbyt urodzajnych, Cymbrowie i Teutoni zaczęli myśleć o ustatkowaniu się. Tylko w takich okolicznościach występowali wobec Rzymian z żądaniem przydziału ziemi. Za każdym razem okoliczności te wiązały się z przekraczaniem Alp, czyli w okolicach słabo lub wcale niezaludnionych. O ornej

ziemi myśleli więc dopiero wtedy, gdy czuli głód, a tej ziemi tak naprawdę nie czuli pod stopami lub też czuli, że pali ich ona żywym ogniem. Musiało więc dojść do poważnych trudności aprowizacyjnych, by frakcja młodzieżowo-rozbojnicza dopuściła do głosu rozsądek. Ale i wtedy tego rozsądku nie starczało na długo: kolejne powodzenie tę ukradkową myśl o ziemi, wraz z resztkami zdrowego rozsądku, spychało na drugi plan, a tam znowu zajęty mordowaniem, gwałtami i rabunkiem wojownik nie gościł zbyt często. Tak czy inaczej niewykluczone, że w podejmowaniu pertraktacji z Rzymianami tkwiły zarodki myśli politycznej nieco głębszej od kałuży: oto Germanie, żądając przydziału ziemi, chcieli pokazać Rzymianom, że nie chodzi im wyłącznie o łupy i doraźne korzyści. Że wiedzą, co ma wartość najwyższą i że swojej długiej wędrówki nie podjęli dla samego wędrowania.

Wiele wskazuje na to, że przywódcy tych tułających ludów patrzyli szerzej i wiedzieli więcej niż reszta populacji, zdawali więc sobie sprawę, że na skutek działań wojennych - *de facto* rozbójniczych - na masową wręcz skalę, nigdzie nie mają sojuszników, a wszędzie wrogów. Rozumieli też, że jedynie potęga Rzymu mogła ochronić osiadłych Cymbrów i Teutonów przed odwetem skrzywdzonych wcześniej i żądnych zemsty ludów. Kto wie, czy nie był to jeden z powodów wysuwania żądań osiedleńczych. A może waleczni Germanie chcieli po prostu przekonać traktujących ziemię jak świętość Rzymian, że mają do niej podobnie nabożny stosunek?

Wszystko to są tylko przypuszczenia, w dodatku oparte na niepewnych przesłankach. Jedno natomiast nie ulega wątpliwości: królowie Cymbrów i Teutonów głęboko wierzyli w moc swoich wojsk i w poczuciu niekwestionowanej siły szukali kolejnych, mocnych doznań. Kilkanaście lat życia „w podróży”, wypełnionych ekscytującymi doznaniem, wystarczyło, by inne możliwości zniknęły im z pola widzenia.

Wędrówka przez Germanie

(...) Odwadze ich i dzikiej zuchwałości - pisał Plutarch - nikt, jak mówią, nie mógł się oprzeć. Zwinni w operowaniu bronią w czasie walki, w sprawności i sile fizycznej posuwali się naprzód jak ogień i nikt nie zdołał powstrzymać ich naporu. Dokądkolwiek przybyli, wszystko pędzili przed sobą i unosili jako pastwę wojenną².

² Plutarch, *Mariusz II* [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek. Wrocław 1957, s. 487.

Opuściwszy swoją jałową ziemię, Cymbrowie nie trafili od razu do krain mlekiem i miodem płynących. Położenie sąsiadów wcale nie było lepsze. U Germanów nawet w dobrych latach taidno było o zapasy zboża (sto lat później organicznie uzależnieni od zboża Rzymianie głowili się, jak zmusić swoich opornych sojuszników do powiększania areału zasiewów, by mieć czym wyżywić garnizony okupacyjne), więc nawet gdyby chcieli się nim podzielić, nie mieli go na zbyciu. Natomiast użyczenie stad zwierząt w ogóle nie wchodziło w rachubę. Przecież to właśnie bydło było najbardziej pożądanym łupem w „zwyczajnych” czasach, a po ostatnich latach chudych braki w zwierzynie musiały być znaczne. O tym, że sytuacja u podnóża Półwyspu Cymbryjskiego (a tam przecież w pierwszym etapie podróży trafili Cymbrowie) przedstawiała się równie beznadziejnie, jak nieco dalej na północ, świadczy to, że do wędrówki Cymbrów przyłączyli się lub poszli tuż za nimi mieszkańcy tych ziem, Teutoni. Miarą determinacji Teutonów może, choć oczywiście wcale nie musi być fakt, że na tych terenach nie przetrwało nawet ich imię, co wskazywałoby na to, że plemię Teutonów wyemigrowało w całości albo że jego niedobitki nie zdołały oprzeć się przewadze Longobardów i Swebów.

Już na ruch jednego, potężnego ludu patrzono w całej Germanii ze zrozumiałym niepokojem. Przemieszczanie się aż dwóch jednocześnie wprowadziło w tej krainie ogromny zamęt, przy czym zasadniczą kwestią pozostawał kierunek, jaki owi wędrowcy wybiorą. Nie wiadomo z całą pewnością, którędy Cymbrowie i Teutoni poszli, ponieważ starożytni mędrcy informacji na ten temat nie zostawili. Koncepcje dzisiejszych uczonych są różne. Zazwyczaj mówi się, że poruszali się z biegiem Łaby. Są też domysły, snute w oparciu o ślady archeologiczne (a ściślej mówiąc, o kilkanaście zapinek do płaszczy, kojarzonych z północnymi kulturami), kierujące ruch Cymbrów wzdłuż Warty i Wisły, a więc jeszcze dalej na wschód³. Wydaje się wszelako, że bezpieczniej będzie trzymać się tradycji i przyjąć, że trasa wędrówki Cymbrów i Teutonów wiodła wzdłuż Łaby.

Ponieważ każde plemię germańskie dbało o to, by wokół jego ziem uprawnych i pastwisk rozciągały się puszcze, można sobie wyobrazić wędrówkę Cymbrów i Teutonów przez Germanię jako przelewanie się potoku ludzi z naczynia do naczynia, przy czym wnętrzami naczyń były

¹ Np. mapa w artykule J. Martensa *W poszukiwaniu ojczyzny Cymbrów*, zamieszczonym w opracowaniu *Z otchłani wieków* (t. 54/3, przeł. Jacek Andrzejewski), pokazuje wszelkie domysły, obecne w nauce na temat tras przemarszu Cymbrów przez Germanię. Jedną z przypuszczalnych tras wiedzie wzdłuż Bugu na Ukrainę.

siedziby napotkanych w drodze plemion, a ich brzegami przeszkody naturalne - puszcze, rzeki i pasma wzgórz. Cymbrowie i Teutoni szli tak, jak im było wygodnie, korzystając z cudzych pastwisk i zajmując dobytek, jaki wpadł im w ręce. Zapewne doświadczali przy tej okazji wszelkich możliwych reakcji miejscowych Germanów na ich przedsięwzięcie - od współpracy i ułatwiania im przemarszu po wojnę szarpaną i otwarty opór. Niewykluczone, że dochodziło do zwierania szeregów między tubylczymi plemionami, skonsolidowanymi wspólną ideą położenia kresu najazdowi. Być może starali się w tym celu zepchnąć Cymbrów i Teutonów tam, gdzie stosunkowo najmniej szkodzili oni miejscowej ludności. Ale też wielce prawdopodobne, że postanowili nie ulegać agresorowi i zebrać siły dla odparcia nieproszonych gości, tym bardziej że o ochotników wśród gorącołowych Germanów z pewnością nic było trudno. Pamiętajmy, że zasobów na tych ziemiach nie było za wiele, w przeciwieństwie do osobników porywczych i skorych do bitki, więc potyczki, zwarcia i prowokacje stały się codziennością. Wygłodniali Cymbrowie i Teutoni tylko czekali na pretekst do napaści; prawdę mówiąc nawet preteksty nie były im potrzebne.

Jak długo nasi wędrowcy szli przez Germanię, nie wiemy. W opracowaniach naukowych⁴ przyjmuje się, że wyaiszyli ok. 120 r. p.n.e. Ich pierwszy kontakt z notującymi wydarzenia Rzymianami przypadł na rok, wedle naszej rachuby, 113 p.n.e. Ale po drodze mieli jeszcze do pokonania pas ziem celtyckich, gdzie mogli kilka lat zmitrężyć. Bez większego błędu można określić czas wędrówki Cymbrów przez Germanię na rok do trzech lat. Tempo nie było zatem oszałamiające (do pół kilometra dziennie), ale też nie chodziło im o wycieczkę turystyczną, tylko o znalezienie sobie miejsca na ziemi, zapewniającego godziwy byt. Jako że ziemie w Germanii godziwe nie były, zwłaszcza te słabiej zaludnione, jak choćby tereny w północnej części, systematycznie wyniszczane anomaliami pogodowymi, Cymbrowie parli na południe. A że w tych niełatwych warunkach działalność rozbójnicza zdawała się być relatywnie najkorzystniejsza, przywódcy plemienni pilnie wypatrywali co lepszych i zyskowniejszych perspektyw rabunku. Utwierdzali ich w tym sąsiedzi - broniący linii Odry Wandale i rozlokowani nad Łabą Swebowie. Oni to otwierali przybyszom oczy na zasoby zbożowo-metalowe Celtów, kusili ich wizją chwały wojennej, płynącej z pokonania tak walecznych ludów. Można powiedzieć, że stanąwszy wobec

⁴ Np. w opracowaniu zbiorowym pod red. B. Krtigera (*Die Germanen. Geschichte und Kultur der germanischen Stämme In Mitteleuropa*, t. I) przyjęto, że inwazja Cymbrów rozpoczęła się przed 120 r. p.n.e. (zob. mapa nr 51 w tym opracowaniu).

alternatywy: pozostać między Odrą a Łabą czy kontynuować marsz na południe, wędrowcy zrezygnowali z opcji stacjonarnej i wybrali dynamiczną. Na zgubę Celtów.

Efekt kuli śnieżnej i zasady domina

Wędrowka Cymbrów w swoich etapach germańskich, oprócz głównego aspektu, jakim było ratowanie się przed głodem, miała dwa dodatkowe efekty uboczne. Pierwszy z nich to efekt kuli śnieżnej, a drugi przypominał ruch domina.

Każde wezwanie, by ruszyć w pochód zdobywczy, trafiało u Germanów na podatny grunt. Ulegli mu za przykładem Cymbrów Teutoni, a za przykładem Teutonów następne plemię, Ambronowie. Jeśli wierzyć Cezarowi, do pochodu cymbryjskiego przyłączyli się Atuatukowie, którzy zresztą wędrowali potem innymi, własnymi drogami: (...) *Atuatukowie wywodzili się od Cymbrów i Teutonów. Ci w czasie najazdu na naszą Prowincję i na Italię zostawili po lewej stronie Renu sześć tysięcy ludzi spośród siebie jako straż i ochronę swych bagaży, ponieważ nie mogli ich zabrać ze sobą. Po zagładzie Cymbrów i Teutonów ludzie ci przez wiele lat musieli znosić udręki ze strony sąsiadów, których bądź sami napadali, bądź się przed nimi bronili, aż wreszcie, po zawarciu pokoju i za wzajemną zgodą ich wszystkich, wybrali sobie te okolice [w zachodniej Belgii, na pograniczu Germanii -przyp. autora P.R.] na teren zasiedlenia⁵.*

Nie można też nie wspomnieć w tym miejscu o swoistej w krajach germańskich tendencji do tworzenia międzyplemiennych drużyn zbrojnych spośród przedstawicieli znudzonej młodzieży⁶. Przecież tak powstała silna armia Ariowista, którą jedni Galowie ściągnęli przeciw innym Galom na własne nieszczęście⁷. Przeto możliwe, że do wędrujących na Celtów Cymbrów, Teutonów i Ambronów dołączyły liczne drużyny ochotników z sąsiadujących z trasą pochodu plemion germańskich. W ten sposób Cymbrowie, w miarę pokonywania drogi przez krainy germańskie, rośli w siłę na podobieństwo puszczonej z góry kuli śnieżnej, toczącej się swobodnie po stoku.

Drugim z efektów ubocznych było wprawienie w ruch misternie ułożonej mozaiki plemion i ludów Europy Środkowej. Ustalona po wielkiej

⁵ Cezar, *Wojna gallicka* 11.29.4 [w:] *Corpus Caesarianum*, przeł. E. Konik i W. Nowosielska, Wrocław 2003, s. 91.

⁶ Tacyt, *Germania* 14 [w:] *Dzieła*, przeł. S. Hammer, Warszawa 2004, s. 605.

⁷ Cezar, *Wojna gallicka* 1.31, *op. c/7.*, s. 67-68.

wędrowce Wandalów z północy nad Wisłę równowaga przypominała chwiejną równowagę ustawionych w rzędy kostek domina, ale do czasu przybycia Cymbrów panował względny spokój. Ich agresywna obecność zakłóciła tę równowagę, przede wszystkim biologiczną, i to dosłownie, pozbawiając całe rzesze ludzi środków do życia. Zaatakowane przez Cymbrów plemię, chcąc zejść im z drogi, musiało wejść na ziemie swoich sąsiadów. Pół biedy, jeśli łączące ich stosunki były jako tako poprawne i mogli przez czas jakiś korzystać z gościnności gospodarzy. Jeśli było inaczej, wybuchały nowe konflikty zbrojne, skutkujące kolejnymi ruchami plemiennych „kostek”. A swoją drogą, ciekawe, jak próbowano wypełnić próżnię po Cymbrach i Teutonach. Czy ziemie przez nich porzucone zostały uznane za niezdatne do życia i leżały odłogiem, czy też znaleźli się tacy, którzy nimi nie pogardzili?

Ruchy plemienne nasiliły się z chwilą podjęcia przez Cymbrów i Teutonów decyzji o najeździe na Celtów. Wcześniejsze napaści ze strony innych Germanów Celtowie łatwo odpierali, choć jednocześnie stopniowo ustępowali na południe. Teraz przyszło im zmierzyć się z ofensywą o niespotykanej dotąd sile. Setki tysięcy wojowników cymbrjsko-teutońskich to był zaledwie początek, ponieważ wkrótce inne plemiona germańskie, najpierw z uwagą przyglądające się poczynaniom wędrownych śmiałków i niedostrzegające znamion pobratymców, ruszyły za ich przykładem. W ten sposób kultura celtycka, do najazdu Cymbrów obejmująca dzisiejsze Czechy, Słowację, południową Polskę i południowe Niemcy, za sprawą germańskiego domina zniknęła z tych terenów w ciągu jednego pokolenia! I choć wkrótce Cymbrowie i Teutoni poszli dalej, na południe, za Dunaj, ruchy plemiennych kostek germańskich: Wandalów, Swebów, Markomanów i Burów, trwały jeszcze długo.

Wędrowka przez północna Celtyke

Nie mamy przekazów źródłowych na temat wędrowki Cymbrów i Teutonów przez kraje północnych Celtów. Pierwsze zachowane wiadomości dotyczą ich działań na prawym, południowym brzegu środkowego Dunaju, gdzie również mieszkali Celtowie. Dotrzeć tam mogli jedynie poruszając się po ziemiach, których ówczesna nazwa przetrwała do dziś: Bohemia. Tamta Bohemia była większa od dzisiejszych Czech, obejmując wtedy tereny dzisiejszej Austrii i części Bawarii. Nazwa ta wzięła się od celtyckiego plemienia Bojów. Wkroczywszy na te tereny,

nasi wędrowcy musieli skonfrontować się nie tylko z wysoko rozwiniętą materialną kulturą militarną Celtów, ale też z kilkusetletnią legendą plemienia, od dawna rozdającego karty w tej części świata.

Bojowie byli szczególnego rodzaju pionierami. Swego czasu jako jedni z pierwszych weszli na teren Italii, otwierając ją dla innych Galów, jako pierwsi też przekroczyli Pad⁸. Za ich przykładem niektóre z plemion galijskich osiedliły się nawet w południowej Italii⁹. Być może to posłowie Bojów rozmawiali niedługo potem z Aleksandrem Macedońskim, nie okazując żadnego strachu, chyba że przed niebem wyglądającym, jakby miało runąć im na głowy. To oni wyznaczyli północny kraniec osadnictwa celtyckiego. I wreszcie, to im pierwszym przyszło zmagać się z nawałą Germanów, jakże podobną w swym kształcie do ich własnej, niegdysiejszej ekspansji...

Możliwe, że po wejściu Cymbrów Bojowie poinformowali ich dokładnie, z kim przybysze mają do czynienia. W tym celu wysłali wspańnięte poselstwo, mające zniechęcić wrogów do działań. Być może wyglądało ono jak poselstwo Allobrogów do Gnejusza Domicjusza Ahcnobarbusa, wysłane w 121 r. p.n.e., czyli praktycznie niemal w tym samym okresie, który obecnie omawiamy. Poseł był (...) *kosztownie przybrany, z towarzyszącym mu orszakiem, na który składali się wystrojeni włóczęnicy i psy; tamtejsi barbarzyńcy prowadzą bowiem także psy w swej straży przybocznej. Szedł też za nimi śpiewak, który przy dźwiękach barbarzyńskiej muzyki opiewał ród, męstwo i bogactwo (...) Allobrogów (...)*¹⁰. Jeśli posłowie Bojów byli równie strojni, to wiele im to nie pomogło (zresztą wzmiankowane poselstwo Allobrogów, w ostatecznym rozrachunku zakończyło się katastrofą). Efekt był olśniewający, ale odwrotny do zamierzonego. Ubogim Germanom bardzo się spodobały nie tylko wspańnięte celtyckie ozdoby i poselska broń, ale też rumaki bojowe, a nawet psy, nie mówiąc już o widocznych w oddali żyznych dolinach, z bezkresnymi łąkami zbóż. Nowe kraje tak przypadły do gustu Cymbrów i Teutonów, że... postanowili tam zostać, a wroga postawa gospodarzy wcale ich nie speszzyła. Dufni w swoją liczbę i sprawność bojową, wkroczyli do celtyckich krain i zaczęli je zajmować jak swoje.

⁸ Według dzisiejszej rachuby czasu, miało to miejsce w roku 391 p.n.e. [za:] Liwiusz, *Dzieje od założenia miasta Rzymu*, XV.35, przeł. W. Strzelecki, Wrocław 1955.

⁹ Zob. F. Schlette, *Celtowie*, przeł. S. Lisicka i B. Wierzbicka, Łódź 1987, s. 32 i n.

¹⁰ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, I.IV.12, przeł. L. Piotrowicz, Wrocław 2004, s. 59 (skrót autora).

Z pewnością Bojowie podjęli szybko jakieś środki zaradcze, ale wiele nie mogli zdziałać, bo jedyną przewagą, jaką dysponowali, była przewaga uzbrojenia, ł nic więcej. W uzbrojeniu celtyckim, ogólnie rzecz biorąc, występowało więcej żelaza - w umbach tarcz oraz we włóczniach i oszczepach, których każdy Gal nosił po kilka. Tymczasem większość Germanów miała tylko jedną włócznię z żelaznym grotem, *ową frameę*, a byli też tacy, którzy walczyli maczugami lub kijami zaostrzonymi w ogniu. Dużo było tarcz plecionych z wikliny lub wykonanych w całości z drewna, łącznie z obłym, łychowatym umbem.

Tymczasem jednak okazało się, że nie sama broń daje przewagę, lecz sposób jej wykorzystania. Już starożytni zauważyli, że ludy osiadłe i żyjące w pokoju tracą w dużej mierze sprawność bojową, którą miały w czasie życia tułaczego. Temu pogażaniu się w ociężałości bojowej sprzyjało też rozwarstwienie społeczne Galów. Kasta wojowników, czyli szlachta, podtrzymywała swoją sprawność we władaniu bronią, ale nie była zainteresowana, by późniejsze kasty dysponowały podobnymi umiejętnościami - wszak musiała się czymś wyróżniać. Może dlatego, mimo powszechnego obowiązku służby wojskowej u Galów, ich piechota, złożona z ludzi niezajmujących się w owym czasie wojaczką na co dzień, tak często ponosiła porażki, natomiast jazdę, złożoną ze szlachty, ceniono wysoko. I może dlatego, ze względu na jedynie okazjonalne zajmowanie się wojowaniem, Galowie nie wytrzymywali teraz trudów długich kampanii wojennych tak dobrze jak kiedyś. Od jakiegoś czasu nie podejmowali przecież w tej części świata skutecznych akcji ofensywnych.

Było jeszcze na tych terenach kilka plemion galijskich niestroniących od napaści na sąsiadów, ale raczej nie zamieszkiwali oni w Europie centralnej. Tu życie płynęło spokojnie i dostatnio, nic nie skłaniało do wędrówek i migracji, tu okoliczności narzucały taktykę defensywną, a ludzie od początku byli szykowani do obrony, nie do ataku. Nie oznaczało to bynajmniej, że miejscowi Galowie byli słabi. Ciężka praca na roli pomagała w utrzymaniu siły i sprawności fizycznej, ale nawet ćwiczenia z bronią nie mogły zastąpić prawdziwej walki, nauczyć patrzenia wrogom we wściekłe twarze, uodpornić na rany i ból, gdy opadały emocje towarzyszące pierwszemu starciu.

Galowie byli wysocy i silni, więc Rzymianie chętnie zaciągali ich do wojsk pomocniczych i szkolili na żołnierzy z prawdziwego zdarzenia. W rzeczy samej byli to dobrzy wojownicy, gotowi w jednym, gwałtownym natarciu roznieść przeciwnika, ale nie było gwarancji, że - w razie potrzeby - tego zapału bojowego wystarczy im na drugie natarcie.

Co prawda do tej pory jakoś odpierali napaści Germanów, ale już zebrać się do kupy i to ustawiczne zagrożenie germańskie od siebie raz na zawsze odsunąć - nie byli w stanie. Możliwe, że przyczyną była swoista dezintegracja plemion, która sześćdziesiąt lat później ułatwiła podbój Galii Rzymianom. Wtedy agresorom przyszli z pomocą sami jej mieszkańcy, którzy wsparli rzymskich najeźdźców po to, by... dokuczyć sąsiadom. Śmiali się z nich potem Germanie, że podbili swoją ojczyznę własnymi rękoma, oszczędzając krew wrogów.

Teraz przyszło Bojom zmierzyć się z ludźmi, którzy nie rozstawali się ze swoimi włóczniami i tarczami; nawet spać się z nimi kładli, którzy nie znali wygod osiadłego życia, więc ich braku w czasie wojny nie odczuwali. Warto przy tej sposobności poświęcić chwilę uwagi *framei* - bardzo charakterystycznej dla tamtych i późniejszych czasów formie współistnienia człowieka i jego oręża, a dokładniej rzecz ujmując, Germanina i jego włóczni.

Autorzy starożytni podnoszą jednomyślnie maestrię Germanów we władaniu włócznią. A nie zapominajmy, że i ze swoją tarczą starożytny Germanin był równie mocno zżyty, jako że nigdy się z nią nie rozstawał. Tacyt wspomina:

(...) Jeden bywa rodzaj widowisk, który przy każdym uroczystym zebraniu powtarza się w tej samej formie: nadzy młodzieńcy, dla których jest to zabawa, rzucają się, tańcząc, między miecze i najeżone framee. Ćwiczenie stworzyło tu sztukę, a sztuka wdzięk, jednak nie w widokach zysku albo zapłaty: jedyną nagrodą tej tak ryzykownej swawoli jest uciecha widzów¹¹.

Nic dziwnego, że w obliczu takiego przeciwnika Celtowie, choć zdecydowanie lepiej uzbrojeni, ale słabiej wyćwiczeni, nie potrafili swojej przewagi wykorzystać.

Germanowie mieli jeszcze jeden atut będący ważnym składnikiem sztuki wojennej - zawziętość. Na własne życzenie znaleźli się w położeniu bez wyjścia: ani się wycofać, ani zmienić kierunek. Szli na wojnę z całymi rodzinami, które w czasie bitwy mieli wprawdzie za plecami, ale wciąż w zasięgu oka i ucha. (...) *Tradycja głosi - zwracał uwagę Tacyt - że niejeden szyk, zachwiany i idący już w rozsypkę, niewiasty z powrotem doprowadziły przez swe nieustanne prośby, nadstawianie swych piersi*

¹¹ Tacyt, *Germania* 24, op. cii., s. 609.

*i wskazywanie na bliską niewolę, której Germanie o wiele gwałtowniej dla swych niewiast się obawiają (...)*ⁿ.

Dawniej, w czasie swoich wędrówek, również Celtowie ustawiali wojska do bitwy przed obozami pełnymi ich żon i dzieci. Teraz jednak mogli sobie pozwolić na oderwanie się od rodzin; mieli też gdzie się schronić w razie porażki. W kraju nie brakowało ogromnych, dobrze zaopatrzonych w żywność twierdz, zwanych przez Rzymian *oppidami*.

(...) Celtyckie oppidum - jak pisze Friedrich Schlette w swojej książce o Celtach - było osadą umocnioną murem obronnym, która ze względu na uprawianie w niej jakiegoś znaczącego rzemiosła posiadała siłę ekonomiczną, istniała w niej już jakaś prosta produkcja towarowa, mająca w politycznym i społecznym życiu plemienia centralne znaczenie, wreszcie odgrywała wiodącą rolę w sferze kultów religijnych[^].

Zdania te potwierdzają silne przywiązanie Celtów do ziemi, wręcz ich zasiedzenie. Na terenie Bohemii konstrukcja murów *oppidów* była mieszana, drewniano-kamienno-ziemna: *strona przednia składała się z pionowych słupów, umieszczonych zwykle w równych odstępach, między którymi wznoszono mur. Z tyłu nanoszono ziemię albo tłuczeń. Aby zespolić stronę przednią z centrum wału, z przodu umieszczano w wale poziome belki*¹⁴. Każde plemię miało własne *oppidum*, będące na wypadek wojny miejscem schronienia dla ludności. Ponieważ każde z nich musiało pomieścić co najmniej kilkadziesiąt tysięcy ludzi i zwierząt, ich rozmiary były imponujące. Dla Bohemii (pod którym to pojęciem należy rozumieć Morawy, Czechy część Austrii i Bawarii) wynosiły od 26 do 170 ha na terenie Czech i aż do 600 ha na terenie Bawarii¹⁵.

Walka Galów, gdy już wygasł pierwszy zapal bojowy, nie więc szczególnie zawzięta; przecież było gdzie uciec, a porażka nie oznaczała natchmiastowych gwałtów na matkach, żonach i kochankach pokonanych. Inaczej Germanie - oni bili się do końca. Wszak patrzyły na nich ich bezbronne rodziny. Inna sprawa, że niekiedy obecność rodzin w sąsiedztwie pola bitwy mściła się na jej uczestnikach, ale tym zajmiemy się później.

Nie wiadomo, ile bitew z Cymbrami Bojowie przegrali. Ponieważ Germanie poszli dalej, przyjął się w nauce pogląd, że dzielni Celtowie ich odparli. Jest to wątpliwe - potem tak samo „odpierali” tych samych

¹² *Ibidem. Germania 8, s. 602.*

¹¹ Friedrich Schlette, *Celtowie, op. cit.*, s. 77.

¹⁴ *Ibidem*, s.78.

¹⁵ *Ibidem*, s. 80.

Germanów, już w prawdziwej Galii, inni Galowie, którzy sami przy tym omal nic wyginęli z głodu. Z całej Galii tylko Belgowie zdobili naprawdę obronić swoje ziemie. W Bohemii musiało być podobnie. Najeźdźcy zwyciężali w polu, ale twierdz zdobyć nie byli w stanie. Zresztą, syci łupów, pewnie nie czuli potrzeby ponoszenia żmudnego i krwawego trudu. Zajęli główne, żyzne doliny i objedli je, jak to mówią górale, „do immentu”. Wreszcie, po sezonie, a może i kilku, wobec wyczerpania dostępnych zapasów żywności, zadowolili się okupem. Wszak, jak to pisał Tacyt, naczelnikom Germanów (...) *sprawia szczególną radość otrzymywać od sąsiednich ludów dary, które przysyłają im nie tylko prywatne osoby, lecz i państwa; składają się one z doborowych koni, okazałych zbroi, ryngrafów i naszyjników*¹⁶.

Oprócz bogatego okupu, Bojowie dali Cymbrom jeszcze jedno - wiedzę o dalej na południe mieszkających Celtach. A wyposażywszy ich wielkodusznie w te bezcenne informacje, zrobili więc wszystko, by pozbyć się z kraju nieproszonych a nad wyraz uciążliwych gości i kosztami ich dalszego utrzymania obciążyć swoich pobratymców. Niewykluczone też, że aby przyspieszyć odjazd najeźdźców, wskazali im najdogodniejsze przejścia przez Dunaj, rzekę w swoim środkowym biegu ani małą, ani łatwą do sforsowania. Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że tak wyglądało „odparcie” najazdu Cymbrów i Teutonów na północną Cellykę.

Dla Bojów nie oznaczało to jednak końca kłopotów. Przykład Cymbrów okazał się zaraźliwy dla innych Germanów; od pokolenia zaś naciskali drapieżni Dakowie. W kilkadziesiąt lat później Cezar wspomina o wschodniej gałęzi Bojów przy okazji swoich walk z celtyckim plemieniem Helwetów. Posługując się spisami znalezionymi w obozie pobitych Helwetów, określił liczbę Bojów na 32 000¹⁷. Pozwolił im na osiedlenie się w ziemiach Eduów, zresztą na ich własną prośbę, jako że chcieli oni mieć u siebie to dzielne plemię, wprawione w nieustannych walkach z Germanami. Tyle pozostało po wielkich Bojach. Wystarczyło zaledwie dwóch-trzech pokoleń, by tereny Bohemii stały się Germanią.

Tymczasem Cymbrowie i Teutoni poszli dalej, choć już odmienieni. Z ich uzbrojenia zniknęła najprymitywniejsza i improwizowana broń: tarcze plecione z wikliny i drewniane pałki. Teraz przeważały tarcze z żelaznymi umbami. Wielu wojowników zyskało miecze przy boku i hełmy na głowach; dzięki zdobyczym koniom przybyło jeźdźców. Wszyscy mieli włócznie, a niektórzy, wzorem Bojów, nawet po dwie albo włócznię

¹⁶ Tacyt, *Germania 15, Ibidem.*, s. 605.

¹⁷ Cezar, *Wojna gallicka*, 1.29. *op. cit.* s. 67.

i kilka oszczepów. Następni przeciwnicy Cymbrów mieli więc zadanie trudniejsze niż kiedyś Bojowie - musieli walczyć z lepiej uzbrojonymi Germanami, którym wcześniejszych walorów bojowych, biorących się z przymusowo surowego trybu życia, wcale nie ubyło. Można chyba do nich zastosować chełpliwe słowa Ariowista, wypowiedziane kilkadziesiąt lat później przed starciem z Gajuszem Juliuszem Cezarem, że jeśli ktoś chce (...) *niech uderza, wówczas przekona się, czego potrafią dokonać, dzięki swej waleczności, najwspanialej wyćwiczeni we władaniu bronią niezwyknięci Germanie, którzy od czteremastu lat nie wchodzili pod dach*¹⁸.

W następnych latach walk z Cymbami i Teutonami przyszło posmakować celtotrackiemu plemieniu Skordysków, celtyckiemu plemieniu Noryków, nie wspominając o wojsku rzymskim, mającym to i owo do powiedzenia na południe od Dunaju. Był rok 113 p.n.e. - Cymbrowie i Teutoni oraz ich satelici przeszli przez Dunaj i znaleźli się w orbicie zainteresowań świata „cywilizowanego”, czyli rzymskiego. Jak to zapisano: *Już sześćset czterdzieści lat istniało nasze miasto, kiedy po raz pierwszy usłyszano o orężu Cymbrów za konsulatu Cecyliusza Metellusa i Papiriusza Karbona*¹⁹.

Nastała nowa era w dziejach Germanów.

¹⁸ *Ibidem*, s. 69.

¹⁹ Tacyt, *Germania* 36, *op. cit.*, s. 614.

Non est bonum quod magnitudine laborat sua
Żadne to dobro, które ugina się pod ciężarem własnej wielkości¹

IMPERIUM ROMANUM PRZED NAJAZDEM

Niemalże w tym samym czasie, gdy na północy Cymbrowie stanęli w obliczu śmierci głodowej i coraz częściej zadawali sobie pytanie: „Iść dalej czy nie?“, w *Imperium Romanum*, stojącym wówczas u szczytu potęgi, objawiło się wiele dotkliwych problemów. Każdy z nich znalazł wprawdzie później, choćby tylko czasowe, rozwiązanie, ale zawsze było to rozwiązanie bardzo bolesne. Problemy te najazd Cymbrów dodatkowo uwidocznił i nakreślił grubszą kreską. Przyjrzyjmy się im zatem.

Sytuacja wewnętrzna

Gołym okiem dawało się zauważyć, że siły rzymskiego organizmu państwowego uległy poważnemu nadwyżeniu. Zwycięstwa na wielu frontach z bardzo groźnymi przeciwnikami miały swoją cenę. Ich skutkiem była m.in. sytuacja demograficzna - powtarzane przez cenzorów co kilka lat spisy ludności wykazywały stagnację, a zadań do wykonania poza granicami Italii z każdym rokiem przybywało. Okazało się, że pozycja mocarstwowa zrodziła problemy, których nigdy nie dało się przezwyciężyć, a przyzwyczajenie się do nich zajęło kilku pokoleniom mnóstwo czasu spędzonego na wojnach domowych.

Żarłoczny luksus i nadużycia wyborcze

Połowa II w. p.n.e. to czas wielkich sukcesów rzymskich. W ciągu kilku lat opanowano prowincję Azję oraz niejako symbolicznie zniszczono Kartaginę w Afryce, Korynt w Grecji i Numancję w Hiszpanii. Niewolnicy od dziesięcioleci płynęli do Italii szerokim strumieniem, a wraz z nimi inne dobra, takie jak skrzynie wypełnione srebrem i złotem, tysiące posagów największych mistrzów dłuta, całe biblioteki

¹ *Sentencje łacińskie*, wybór i oprac. J. Syjud, Chorzów 2005, s. 90.

i nieprzebrane ilości zboża. Można by pomyśleć, że obywatele Rzymu nigdy nie mieli się lepiej. Pozory jednak, jak to często bywa, okazały się mylące. Szeroki strumień dóbr płynął wprawdzie wartko, ale głównie do kilkuset najbogatszych rodzin arystokratycznych (patrycjuszowskich) i ekwickich. Powstawały bajeczne fortuny, a wraz z nimi kształtowały się zwyczaje nieznane wcześniej Rzymianom. Bogactwo demoralizowało z szybkością i przyśpieszeniem wyprzedzającym wszelkie zapobiegawcze. W ciągu jednego pokolenia doszło do takiego kontrastu majątkowego, że Scypion Afrykański Młodszy, zdobywca Kartaginy i Numancji, w roku 129 p.n.e., czyli tuż przed wyruszeniem Cymbrów w drogę, (...) *trzydzieści dwa funty srebra (...) zostawił swojemu spadkobiercy (...)*², ale już jego bratanek, Kwintus Fabiusz Maksymus Allobrogikus, zaledwie osiem lat później, gdy Cymbrowie właśnie startowali (...) *pierwszy ze wszystkich miał tysiąc funtów (...)*³ srebra po swoim tryumfie nad galijskim ludem Allobrogów w roku 121 p.n.e. A żyli jeszcze wtedy ludzie starej daty - kilka lat wcześniej cenzorowie Lucjusz Kasjusz Longinus i Gnejusz Serwilusz Cepion (...) *wezwali przed swój trybunał wieszczka, Lepidusa Emiliusza, za to, że wynajął dom za sześć tysięcy sestercji*⁴. We wczesnych czasach cesarskich było nie do pomyślenia to, co teraz było na porządku dziennym, np. -jak w innym miejscu wspomina o kimś Paterkulus: (...) *Gdy zaś dzisiaj za mieszkanie płaci tak niski czynsz, z trudem uchodzi za senatora*⁵.

Walka z majątkami okazała się zarówno dla prawych i surowych cenzorów, jak i przeciwników politycznych bogaczy walką z wiatrakami. Majętni odkryli bowiem, że stać ich na nieprzebranie prawa. Spostrzegli, że pieniądze to władza, a władza to bezkarność. Zrodziła się w Rzymie moda na posiadanie majątków ziemskich. Dotychczasowe ambicje rodzinne co do liczby najwyższych urzędów, piastowanych przez członków rodu w dziejach Miasta, czy liczby tryumfów (tj. uroczystych wjazdów zwycięskiego wodza do miasta), wzbogacono o rozległość ziem, wielkość willi, liczbę stad niewolników i bydła. Był to bardzo wymowny wyraz rywalizacji między koteriami rodowymi, bo wymierny i wywierający na otoczeniu odpowiednie wrażenie bez zbędnych tłumaczeń. Synowie pokolenia odpierającego najazd Cymbrów zaszli w tym

² Pliniusz, *Historia naturalna* IX.8, przeł. I. i K. Zawadzcy, Wrocław 2004, s. 281, skrót autora.

¹ *Ibidem*, s. 282.

⁴ Wellejusz Paterkulus, *Historia rzymska* 11.10, przeł. E. Zwolski, Wrocław 1970, s. 29.

⁵ *Ibidem*.

tak daleko, iż najwybitniejszy-pod względem posiadanego majątku - ich przedstawiciel, Marek Licyniusz Krassus (likwidator Spartakusa), mawiał, że (...) *uchodzić za zamożnego może tylko ten, kto z rocznego dochodu jest w stanie utrzymać legię*⁶, wyznaczając tym samym poziom, który reszta ambitnych obywateli starała się osiągnąć. Wiodły ku niemu trzy drogi.

Pierwszą był handel i lichwa, ale o tym przedstawiciele arystokracji nawet nie powinni byli myśleć. Drugą było objęcie namiestnictwa bogatej prowincji, a trzecią - poprowadzenie zwycięskiej wojny. Wobec niedostępności drogi pierwszej (rzadko który arystokrata zaryzykowałby w ten sposób swoją reputację), pozostawały druga i trzecia, toteż po te sposoby wzbogacania się przedstawiciele najwyższych rodów sięgali praktycznie bez ograniczeń.

Droga handlowo-bankowa, formalnie zamknięta dla przedstawicieli patrycjusza jako zajęcie niegodne stanu szlacheckie urodzonych, wymagała zaangażowania dużych środków własnych i sporych umiejętności. Wiązała się przy tym z poważnym ryzykiem. Majętni patrycjusze wkroczyli na nią czasami poprzez podstawione osoby, ale generalnie woleli korzystać z dwóch pozostałych sposobów dorobienia się majątku jako przede wszystkim legalnych, a ponadto pewniejszych i przynoszących poważniejsze zyski w krótszym czasie. Aby jednak z nich skorzystać, należało wygrać w wyborach na najwyższe stanowiska urzędnicze, czyli pretorów lub konsulów. Najlepiej było zostać konsulem, co łączyło się z realną władzą cywilno-wojskową przez okres jednego roku, pozwalającą na wypracowanie sobie bardzo solidnej pozycji. Po konsulacie były konsul, już jako prokonsul, dostawał w zarząd prowincję. Nie było też źle zostać pretorem, bo w tym przypadku przez rok przysługiwały w Rzymie lub w Italii uprawnienia prokuratorsko-sędziowskie. Potem, jako propretor, dostawał w zarząd prowincję, wprawdzie biedniejszą niż prokonsularna, ale pozwalającą mu powrócić do domu człowiekiem solidnie zamożnym.

Namiestnictwo w prowincjach dostarczało wielu okazji do łatwego wzbogacenia się: od ordynarnego łapownictwa i rabunków, poprzez udzielanie pożyczek na poczet podatków, nakładanie tychże, wreszcie - wywołanie wojny z ościennym ludem. Wojna dawała z reguły szybki i łatwy zysk, a przy okazji pieczono dwie pieczenie na jednym ogniu - łupy i jeńcy wojenni zapewniali bogactwo, zaś chwała wodzowska dawała uprawnienia do triumfu - marzenia wszystkich wodzów rzymskich. Nic dziwnego zatem, że wojny Imperium, w miarę jego rozrastania się, trwały nieustannie, niezależnie od faktycznych potrzeb.

⁶ Pliniusz, *Historia naturalna*, *op. cit.*

Za zagrabione w prowincjach bogactwa prokonsulowie i propretorowie nabywali ziemię w Italii. Ale nie tylko nabywali, także, uciekając się do zwyczajnego kumoterstwa, zagarniali na własność ziemie publiczne. I to była główna przyczyna nasilających się problemów setek tysięcy obywateli rzymskich oraz ich italskich sprzymierzeńców. Otóż Rzymianie, w miarę podbijania Italii, zdobywali na swoich wrogach duże połacie ziemi. Część jej rozdzielali między swoich kolonistów, osadzanych na prawie rzymskim, gdy chodziło o Rzymian, a na latyńskim, gdy chodziło o italskich sprzymierzeńców, część sprzedawali, a w stosunku do dużych obszarów (...) ogłaszali, że wolno każdemu, kto zechce, uprawiać je pod warunkiem złożenia corocznej opłaty w plonach, a mianowicie dziesiątej części z zasiewów, a piątej części z sadów. Nałożone też zostały określone opłaty na hodowców bydła, zarówno od większych, jak i mniejszych jego gatunków⁷. Sama zasada wydaje się brzmieć dość logicznie, otwierając pewne możliwości przed ludźmi przedsiębiorczymi i pracowitymi, ale w praktyce taki sposób traktowania zdobycznych ziem prowadził do bardzo dużych nadużyć. Oczywiście, to, co w teorii było dostępne dla każdego, opanowali szybko najbogatsi (niekoniecznie Rzymianie). Natomiast ludziom „zwyczajnym” pozostawały tylko ich ściśle określone działki, wielkości kilkunastu morgów (*jugerów*), czyli kilku hektarów (jeden *juger* miał ok. 1/4 ha), co teoretycznie wystarczało do utrzymania jednej rodziny.

Bogacze raz zdobytej ziemi, niczym faszyści i komuniści raz zdobytej władzy, nie mieli zamiaru oddać. Wprawdzie obowiązywało prawo, że (...) nikomu nie wolno posiadać więcej aniżeli 500 morgów tej ziemi ani też wypasać na niej więcej aniżeli 100 sztuk większego bydła i 500 mniejszego*, ale ustawa w tej postaci pozostała jednym z najbardziej martwych przepisów w dziejach świata, a to za sprawą bojkotu ze strony najbardziej zainteresowanych. Ponieważ to patrycjusze, wypełniający trzystuosobowy senat, decydowali o tym, co jest dobre dla państwa, zdecydowali w tym przypadku, że najlepszym rozwiązaniem problemu ziem publicznych będzie zachowanie ich w rękach ludzi bogatych, czyli w ich własnych.

Oprócz zyskania bogactwa i chwały wojennej, każdy prokonsul czy propretor zostawał automatycznie członkiem senatu sterującego prawami Rzeczypospolitej, to zaś przekładało się na realną możliwość wywierania wpływu na politykę państwa i zabieranie głosu w interesie różnych grup, a także ułatwiało start w następnych wyborach na najwyższe urzę-

⁷ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, XIII.7, przeł. L. Piotrowicz, Wrocław 2004, s. 609.

* *Ibidem*, XIII.8, s. 611.

dy. Patrycjusze, rywalizujący między sobą o najintratniejsze stołki, zawsze zwierali szeregi w obronie swojej uprzywilejowanej pozycji. Ludzi „nowych”, czyli pochodzących z plebejuszy i ekwitów, z zasady nie dopuszczali do tych godności, więc główne stanowiska państwowe krążyły w grupie kilkunastu rodów, zresztą bardzo mocno ze sobą skoligaconych poprzez małżeństwa i adopcje. Natomiast urzędników w Rzymie wybierało zgromadzenie ludowe, a ściślej głosy centurii (setek) w poszczególnych gminach (*tribus*), które dziś nazwalibyśmy okręgami wyborczymi.

W miarę upływu lat coraz mniejszy wpływ na wyniki wyborów miała ludność wiejska, a coraz większy rosnąca w liczbę ludność miejska. Wielkie rody uzależniały od siebie byt całych grup ludności miejskiej, tworząc tzw. klientelę, co prawo dopuszczało. Ponieważ nie zawsze wystarczało to do odniesienia zwycięstwa w wyborach, a sama prawość charakteru i przymioty umysłu kandydatów wydawały się być słabymi gwarancjami sukcesu w tych trudnych czasach, posuwano się do przekupstwa, a to już było zabronione i nawet ludziom wpływowym nie zawsze uchodziło płazem. Jednak kłopoty z prawem były ceną wliczoną w koszt; warto było ją zapłacić, by zyskać najwyższe urzędy państwowe. W dodatku sądy złożone z senatorów bardzo niechętnie skazywały innych senatorów za jakiegokolwiek przestępstwa, w tym wyborcze; wszak dzisiejsi sędziowie mogli w przyszłości popełnić takie same.

Nic dziwnego, że tak skonstruowany system polityczny stał na straży głównie jednej grupy interesu, czyli patrycjuszy. Ich samych i zwolenników tego systemu zwano *optymatami*, czyli najlepszymi, bo nic lepszego już im nic przychodziło do głowy, jeśli chodzi o ustrój państwa. Wszelkie działania wewnętrzne i zewnętrzne miały na celu dobro arystokracji utożsamiane z dobrem Rzymu. W obronie takiej ojczyzny patrycjusze gotowi byli oddać nawet życie, choć nie zawsze majątek. Tyle że to nie oni płacili główną daninę krwi w okrutnych i zbędnych wojnach, zapewniających im bajeczne dochody, lecz prości, wolni obywatele, właściciele kilkunastomorgowych gospodarstw. To spośród tych ludzi rekrutowano armie. I tak jakoś dziwnie się składało, że tenże obywatel, jeśli nie stracił życia lub zdrowia na kilkuletniej, odległej od ojczyzny wojnie, to często po jej zakończeniu nie bardzo miał do czego wracać, gdyż jego mały majątek w całości należał już do kogoś innego, na przykład do ukochanego wodza, świętującego właśnie triumf.

Niewolnicy zjadający Rzymian

Tych, którzy pomyśleli o kanibalizmie, spieszę uspokoić. Nie chodzi tu o ludożerstwo w czystej postaci (choć w ówczesnym Rzymie wszystko

było możliwe), ale o pewne pojęcie pomocne w wyjaśnieniu sprzeczności zasygnalizowanej w poprzednim rozdziale. Otóż w renesansowej Anglii powstało zjawisko, nasilające się w następnych stuleciach, polegające na rugowaniu dzierżawców z gruntów ornych i zamianie tychże w pastwiska dla owiec. Ceny wełny stały tak wysoko, że nie opłacało się właścicielom czerpać zysków z czynszu dzierżawnego. Opustoszałe pola grodzono murami z kamieni i żywopłotami, przemieniając je w malownicze, typowo angielskie łąki, z których ludzie nie mogli żyć. Zwierzęta mogły i ktoś o rozwiniętej wrażliwości społecznej podsumował ten proces ekonomiczny lakonicznym stwierdzeniem: „owce zjadły Ludzi”. Anglia przestała produkować zboże, więc sprowadzała je z zamorskich kolonii.

Podobne zjawisko wystąpiło w starożytnej Italii, tylko w roli owiec wystąpili niewolnicy. Ale nim doszło do zjadania Rzymian przez niewolników, proceder niszczenia pól rzymskich zapoczątkował Hannibal w czasie II wojny punickiej. Potęgę Rzymu widział w jego niewyczerpanych zasobach rekruckich, czyli setkach tysięcy wolnych rolników, służących w wojsku we własnym uzbrojeniu. Niszcząc małe gospodarstwa rolne, Hannibal ograniczał liczbę obywateli zdolnych - w sensie ekonomicznym - do służby wojskowej w ciężkiej piechocie legionowej. Kilkanaście lat wojny w Italii zrobiło swoje: wzrosła ilość gruntów publicznych, za to wyludniły się całe krainy. Ubytek ludności rolniczej był znaczny, a konieczność prowadzenia wojen na teatrach wojennych położonych coraz dalej od Italii powodowała odrywanie od rolnictwa mężczyzn w wieku produkcyjnym na coraz dłuższy czas. Hannibal wojnę przegrał, ale zapoczątkował w Italii proces, który w 100 lat później zaowocował wielkimi zaburzeniami społecznymi.

Wkrótce do Rzymu zaczęły napływać pieniądze ze zdobytych prowincji i wzrost latyfundiów arystokracji uległ przyspieszeniu. Bogacze nie byli sentymentalni. Do prac w polu nie zatrudniali ludzi wolnych, gdyż ci zbyt drogo kosztowali, a poza tym podlegali obowiązkowi służby wojskowej, co odrywało ich od pracy. Zatrudniali niewolników kosztujących tylko tyle, co ich nędzne utrzymanie. Chłopi nie dość, że nie wytrzymywali konkurencji ze strony wielkich gospodarstw, gdzie w sposób oczywisty koszty produkcji były niższe, to po zatrudnieniu tam niewolników nie mogli w ogóle liczyć na jakikolwiek popyt na swoje produkty. W dodatku do Italii zaczęto sprowadzać zboże z Sardynii, Sycylii i Afryki, tańsze od miejscowego. Na skutek tego nawet w latyfundiach zaprzestano produkcji zboża, przerzucając się na winorośl i oliwkę. Latyfundia miały jeszcze tę przewagę nad drobnicą rolniczą, że łatwiej znosiły lata nieurodzajów. Drobnicy zadłużali się w czasach klęsk pod zastaw

swych gospodarstw, bo nic innego nie mieli, a potem tracili je, nie mogąc spłacić długów. Właściciele latyfundiów wykupywali z łatwością zadłużone gospodarstwa, zaokrąglając swoje włości. Skutek był taki, że w samym Rzymie przybywało obywateli niemających nic lub mających niewiele, czyli o najniższym cenzusie majątkowym, a więc, zgodnie z prawem, niezdolnych do pełnienia służby wojskowej.

Ten sam problem, lecz o wiele ostrzej, dotyczył ludności italskiej, sprzymierzonej z Rzymianami, a niemającej rzymskich praw. Italikowie, oprócz wypełniania obowiązków wojskowych, musieli jeszcze płacić daniny, więc w trudnych czasach jeszcze szybciej zadłużali się i popadali w zupełną nędzę. Skutek był taki, że (...) *liczba niewolników nie objętych służbą wojskową, a płodzących wielką ilość dzieci, powiększała się bez przeszkód. W następstwie tego możni potężnie się bogacili i wzmagala się w kraju liczba niewolniczej służby, natomiast liczba Italów. nękanych i biedą, i daninami, i służbą wojskową, spadała; coraz mniej było też chłopów naddających się do wojska. A jeśli nawet nastał okres pokoju, to skazani byli na gnuśne bezrobocie, bo ziemia była w posiadaniu bogaczy, którzy postugiwali się przy pracy na roli niewolnikami, a nie ludźmi wolnymi*".

Nic nieposiadający obywatele Rzymu mieli jednak coś, co trzymało ich przy życiu - skromne prawa wyborcze. Arystokracja musiała o nich zabiegać, więc obmyślano wkalkulowane w pozyskiwanie głosów wyborczych formy pomocy społecznej - sprzedawanie zboża po zaniżonej cenie, darmowe igrzyska gladiatorские i przedstawienia teatralne. W Rzymie dawało się żyć, co nie całkiem było możliwe na wsi, dlatego następne pokolenia biednych Rzymian, zdemoralizowane bezczynnością, już nic chciały ponosić ryzyka życia na własnej ziemi, ale wołały wprost o chleb i igrzyska. Ten właśnie lud rzymski, zwany przez wielu arystokratów motłochem, w trakcie doraźnie zwoływanych zgromadzeń ludowych miał wielką przewagę nad ludźmi o większej świadomości obywatelskiej: chciał, żeby nim sterowano, a jego żądania nie były zbyt wygórowane. I nie zawsze przychylnie patrzył na reformatorów chcących zagnać go do pracy. A sytuacja naprawdę dojrzała do zmian, co udowodniły wydarzenia na Sycylii.

Wielkie powstanie niewolników na Sycylii w latach 138-132 p.n.e.

Jak ogromne problemy może stworzyć nadmiar niewolników wobec obywateli wolnych, pokazało dobitnie ich powstanie na Sycylii.

" Appian z Aleksandrii, XIII.7, *op. cit.*, s. 610.

Sycylia po II wojnie punickiej jako pierwsza z prowincji doświadczyła na sobie drapieżności Rzymian. Co znamienne, o ile w Italii latyfandytami byli przeważnie patrycjusze, to majątki prowincjonalne dzierżyli ekwici. Przez 60 lat nie było tu wojny i raj, do którego szybkim krokiem zmierzała sytuacja ludnościowa w Italii, wyglądał następująco:

(...) Mieszkańcy Sycylii znacznie podnieśli swój poziom życia i zgromadzili wielkie bogactwa; kupowali niewolników w dużych ilościach. Gdy tylko sprowadzano ich w gromadach z obozu, w którym przebywali, właściciele kazali piętnować ich skórę znakami rozpoznawczymi. Najmłodszych przeznaczano na pastuchów, innym przydzielano takie zajęcia, jakie wyznaczała doraźna potrzeba. W pracy obchodzono się z nimi surowo; uważano za właściwe tylko, by dbać o nich w minimalnym stopniu - tak jeśli chodzi o wyżywienie, jak i ubranie. Dlatego większość niewolników zdobywała środki do życia, zajmując się rozbojami; wszędzie pełno było zabójstw, gdyż rozbójnicy rozpełzali się jak żołnierze¹⁰.

Wprawdzie uwaga kronikarza skoncentrowała się na pasterzach, którzy stanowili główną siłę sprawczą powstania, ale nie możemy zapominać, że Sycylia była znaczącym producentem zboża i głównym jego dostawcą do Rzymu. Nie brakło tam też niewolników skutych, motyczących ustawicznie ziemię, zaś pasterstwo należy rozpatrywać jako efekt zagospodarowania nieużytków i ziem leżących odłogiem. Tu granice były trudne do wytyczenia, więc kto miał większe stada, ten zyskiwał więcej. Bydło chodziło luzem, więc je piętnowano, by uniknąć sporów własnościowych. Z podobnego powodu piętnowano też niewolników, ale można wymienić jeszcze dwie tego przyczyny. Pasterze musieli być w miarę swobodni, by uganiać się za owcami, kozami czy bawołami, więc najprostszym sposobem odróżnienia ich od wolnych było napiętnowanie. Teoretycznie sam znak powinien powstrzymywać niewolnika od niecných czynów, bo ułatwiał jego identyfikację.

Dodatkowym efektem zbójstwa było zwiększenie represyjności. I tak z jednej strony duża swoboda i demoralizacja, z drugiej nickrępowanciczym okrucieństwo właścicieli stworzyły swoistą mieszankę wybuchową. *Niewolnicy, nękanii pracą ponad siły, poniżani częstym biciem bez najmniejszego powodu, nie mogli tego znosić cierpliwie. Skrzyknęli się i spotkali w stosownej porze na rozmowy o powstaniu, tak żeby ten*

¹⁰ Diodor Sycylijski, *Biblioteka XXXIV* [w:] Focjusz, *Biblioteka, kodeks 244*, przeł. Okławiusz Jurewicz, Wrocław 2006.

zamiar wprowadzić w czyn". Bali się jednak, czy nie obrażą bóstw swoim postępowaniem, gdyż uważali, że to z woli bogów znaleźli się w takim, a nie innym położeniu. Ale znalazł się ktoś, kto im wytłumaczył, iż istoty niebiańskie będą sprzyjać ich przedsięwzięciom.

Niejacy Antygenes i Pyton z miasta Enna mieli niewolnika zabawiającego ich w czasie uczt opowiadaniem barwnych snów, przepowiadaniem przyszłości i różnymi sztuczkami, jak choćby wydmuchiowaniem isker i płomieni (wtajemniczeni wiedzieli, że trzyma w ustach skorupę orzecha wypełnioną żarem). Ów prestidigitator był z pochodzenia Syryjczykiem, nosił imię Eunus i cieszył się ogromnym poważaniem wśród ziomków, wierzących, iż rzeczywiście w świętym natchnieniu przepowiada przyszłość i ziele boskim ogniem. Jego sława stale rosła wśród maluczkich, uchodząc uwagi wielkich.

Pewnej nocy (...) *ukazała mu się bogini syryjska i oznajmiła, że zostanie królem. Nie przestawał rozpowiadać tej przepowiedni wśród niewolników, jak i mówić swemu panu*". Bystry pan ujrzał w tym nową atrakcję towarzyską. Zapraszał przyjaciół na uczyty, kazał wprowadzać Eunusa i wśród szczerych śmiechów (...) *zapytywał go o jego przyszłe panowanie i o to, jak się będzie wówczas obchodził z każdym z tu obecnych. Eunus za każdym razem odpowiadał, że potraktuje swoich panów z umiarem (...); niektórzy brałże stołu co lepsze kąski i dawali mu w darze, dodając, żeby pamiętał o ich dobrych uczynkach, kiedy zostanie królem*¹¹.

Panowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że już od dłuższego czasu wśród ich niewolników wrzało. W mieście tym żył Damofil z żoną Megalilla, którzy okrutnym traktowaniem doprowadzili swoją ludzką trzodę na skraj wytrzymałości psychicznej. Zdaje się, że tych dwoje rywalizowało między sobą w jak najgorszym traktowaniu służby: pan męskiej, a pani żeńskiej. Doprowadzeni do ostateczności niewolnicy nic widzieli innego wyjścia, jak zamordować sadystów. O zdanie zapytali nie kogo innego, tylko Eunusa. Ten wywróżył im pomyślność zamiarów, ponadto sam podburzył jeszcze czterystu niewolników. Dokonano nocnego napadu na miasto Enna. Aby dodać powstańcom otuchy, Eunus kilka razy zionął ogniem.

Niewolnicy z łatwością opanowali miasto. Podłych właścicieli wybili łącznie z rodzinami. Wkrótce okazało się, jak starannie przygotowano powstanie. Eunus lepiej znał się na manipulowaniu psychiką ludzi niż na wojaczce, ale na szczęście potrafił trzeźwo ocenić swoje możliwości.

¹¹ Diodor Sycylijski, *op. cit.*, s. 378.

¹² *Ibidem*, s. 379.

¹³ *Ibidem*; skróty autora.

Dlatego siebie ogłosił królem, zmieniając imię na Antioch (królewskie w Syrii), natomiast komendę nad wojskiem przekazał ludziom ze swojego otoczenia mającym ku temu odpowiednie uzdolnienia. Wybrał też sobie doradców, opierając się głównie na swoich rodakach z Syrii. Zresztą wszystkich powstańców nazywał „Syryjczykami”. Nim władze rzymskie zdążyły zareagować, wódz Eunusa o imieniu Achaj - jak pisze cytowany już Diodor- (...) *w ciągu trzech dni uzbroił ponad sześć tysięcy ludzi, innych wyposażył w topory obosieczne, proce, sierpy, maczugi utwardzone w ogniu czy różna kuchenne*¹⁴. Tak wyposażone wojsko wyprowadzono w pole z zamiarem rozszerzenia obszaru powstania i opanowania okolicznych miejscowości. W jego miejsce natychmiast organizowano inne oddziały tworzone z napływających tłumnie do Enny ochotników.

Wobec naprawdę szybkiego rozwoju sytuacji reakcja Rzymian musiała być o kilka dni spóźniona. Sycylii broniły wtedy całkiem spore siły, ale sposób dowodzenia nimi pozostawiał wiele do życzenia, podobnie zresztą jak to miało miejsce na „prawdziwych” frontach wojennych w Hiszpanii. Błąd kardynalny polegał na kompletnym zlekceważeniu możliwości bojowych niewolników, skutkiem czego Rzymianie, bez dokonania jakiegokolwiek rozpoznania i nie zwracając sobie głowy zadbaniami o elementarną choćby koncentrację sił, mszyli na powstańców. Wkrótce okazało się, że niewolnicy potrafili świetnie walczyć, zwłaszcza że ich wojenny zapał podsycała nienawiść do Rzymian, a ponadto mieli liczebną przewagę i byli lepiej dowodzeni. Oddziały rzymskie, wspierane przez wojska sprzymierzeńców, ponosiły porażkę za porażką, jedną dotkliwszą od drugiej, rychło więc, chcąc nie chcąc, musiały przejść do obrony, bo zbrojnych niewolników było już 10 000, a siły rzymskie uległy rozproszeniu.

Wieści o tych wydarzeniach błyskawicznie rozeszły się po Sycylii. Pod ich wpływem w innym miejscu wyspy wybuchł następny bunt. Doprowadził do niego Cylicyjczyk o imieniu Kleon.

Rzymianie, o dziwo, nie zmartwili się tą wieścią, wręcz przeciwnie, (...) *wszyscy podnieśli się na duchu w nadziei, że oba powstania będą się zwalczały, a sami buntownicy wyniszczą się wzajemnie i uwolnią Sycylię od buntu*¹⁵. Ku ich zgrozie okazało się, że azjatyckie animozje między Syryjczykami a Cylicyjczykami w obliczu wspólnego, a gorzej niż śmiertelnego wroga przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, za to pojawiło się silne poczucie wspólnego losu. (...) *Kleon na zwykły rozkaz*

* *Ibidem*, s. 381.

⁵ *Ibidem*

Eunusa podporządkował mu się i sprawował czynności jakby naczelnego dowódcy przy królu, rozporządzając własnym wojskiem, liczącym pięć tysięcy żołnierzy”.

Kolejny przybyły z Rzymu dowódca, Lucjusz Hypseusz, był, tak jak jego poprzednicy, przekonany, że wystarczy przystąpić do dzieła z należytą śmiałością, a cel zostanie osiągnięty. Jak pomyślał, tak zrobił: skoncentrował wokół siebie całą armię sycylijską w liczbie 8000 żołnierzy i... ruszył na powstańców. Srodze się zawiódł, ponieważ w walnej bitwie poniósł nietrudną do przewidzenia klęskę, grzebiąc tym samym nadzieje Rzymian na szybkie spacyfikowanie Sycylii. Co gorsza, tego, co działo się na Sycylii, nijak nie dało się utrzymać w tajemnicy.

Słyszac o klęskach rzymskich na Sycylii, niewolnicy w innych częściach Imperium uwierzyli, że mogą pokonać swoich panów. Na szczęście dla Rzymian, nie byli zorganizowani tak dobrze jak niewolnicy sycylijscy, ale i tak w samym Rzymie zbuntowało się 150 niewolników, a w Attyce i na wyspie Delos (gdzie zlokalizowano targ niewolników), schwyciło za broń ponad 1000 pozbawionych wolności ludzi. Mówiło się też o wielu innych miejscach, gdzie wystąpiły bunty; choć nie były one tak znaczące jak tamte, budziły jednak zrozumiały niepokój właścicieli, a w niejednym wzbudziły panikę. W tej sytuacji zdecydowano się przez jakiś czas nie posyłać na Sycylię posiłków, by w obliczu tragicznej dla Rzymian wojny w Hiszpanii i niepokojów w całym świecie nie powodować osłabienia Italii. Wszystkie mniejsze ruchawki z całą bezwzględnością tłumiono.

Tymczasem na Sycylii (...) *buntownicy zdobywali miasta wraz z miescowymi załogami wojskowymi; wiele obozów padło ich łupem*¹¹. Oparły się im jedynie najsilniejsze, nadmorskie twierdze, które w przyszłości miały stanowić punkty wypadowe Rzymian do kontrofensywy. A ta nastąpiła zaraz po wyjaśnieniu sytuacji międzynarodowej.

Dopiero wysłanie do Hiszpanii Scypiona Afrykańskiego Młodszego doprowadziło do decydującego przechylenia szali zwycięstwa na stronę Rzymian. W roku 133 p.n.e. upadło niepokorne miasto Numancja, które przysporzyło Rzymianom tylu klęsk. Ten spektakularny upadek pozwolił wreszcie ojcom w senacie odzyskać swobodę myślenia o innych problemach. Wtedy też podjęto decyzję o potraktowaniu powstania sycylijskiego tak poważnie, jak na to zasługiwało. W rok po zdobyciu Numancji wysłano na Sycylię konsula Publiusza Rupiliusza, co oznaczało, że razem z nim przybyła dwulegionowa armia, licząca

¹¹ *Ibidem.*

¹² */biciem, s. 382.*

ok. 20 000 żołnierzy. Siły te, w połączeniu z garnizonem sycylijskim, pozwoliły wreszcie stronie rzymskiej przejść do działań zaczepnych.

Pierwszym poważnym sukcesem Rzymian, po pobiciu kilku oddziałów powstańczych w polu, było zdobycie miasta Tauromenion. Rzymski wódz naśladował tu niedawne działania Scypiona pod Numancją, nie wdając się w bezowocne szturmowanie niszczące bez potrzeby ludzi. Postanowił wziąć twierdzę głodem. Otoczył miasto tak szczelnym kordonem, że (...) *oblegani zaczęli zjadać swoje dzieci, a potem własne żony; nie powstrzymywali się nawet przed zjadaniem jeden drugiego*¹⁸. Gdy sytuacja stała się beznadziejna, a oczekiwana pomoc nie nadeszła, twierdza poddała się Rzymianom. Rupiliusz natychmiast przystąpił do przykładowych represji: wszystkich buntowników, jakich wzięto do niewoli (...) *poddano z jego rozkazu torturom, po czym strącono w przepaść*¹⁹.

Po tym sukcesie wojsko Rzymian pociągnęło na Ennę, czyli na stolicę niewolniczego królestwa. Enna miała opinię twierdzy nie do zdobycia szturmem, zarówno ze względu na swoje położenie, jak i grube mury, więc i tu Rupiliusz oszczędzał swoich żołnierzy, ograniczywszy się do odcięcia buntowników od świata. Okazało się wtedy, że twierdzy nie przygotowano do długotrwałego oblężenia, a Rzymianom się nie spieszyło; wiedzieli, że oblężeni nie mogli się spodziewać znikąd pomocy. Jako że w Ennie wiadano, jaki los spotkał obrońców Tauromenion, niektórzy postanowili uciekać, inni zginąć w walce, a jeszcze inni gotowi byli zdradzić swoich towarzyszy, byleby ujść z życiem. Ktoś otworzył bramy Rzymianom, licząc na ich łaskę. Król Antioch, czyli Eunus, postanowił uciec (co Rzymianie odnotowali z satysfakcją, nazywając go tchórzem) i bronić się gdzie indziej. Wytrwał przy nim wyborowy oddział straży przybocznej, liczący blisko 1000 ludzi. W beznadziejnej sytuacji owi wojownicy pozabijali się wzajemnie. *A Eunus, szarlatan i król, tchórzliwy uciekinier znajdujący schronienie w zagubionych jaskiniach, został z nich wyciągnięty wraz z czterema innymi: kucharzem, piekarzem, łożebnym-masażystą i czwartym, który go zwykle zabawiał w czasie uczt. Wtrącono go do więzienia; tam niezliczone ilości robactwa stoczyły mu ciało i tak skończył życie w Morgantynie*²⁰.

¹⁸ *Ibidem*, s. 382.

¹⁹ *Ibidem*.

²⁰ *Ibidem*, s. 383.

Próby reform i niesnaski społeczne

Nie trzeba było być szczególnie uważnym obserwatorem, by dostrzec patologię wynikającą z nierównego dostępu do ziemi. Kato Starszy zwracał uwagę, że wielu, w tym i on, ma ziemi publicznej zbyt dużo, ale nie lansował tego poglądu równie natarczywie, jak swojego głębokiego przekonania o konieczności zniszczenia Kartaginy. Biadał natomiast głośno nad upadkiem obyczajów. Sam będąc zagorzałym ziemianinem, nie widział nic złego w nabywaniu ziemi za własne pieniądze. Natomiast dziwiło go niepomierne i oburzało zarazem, że za niewolnika, nabytego tylko i wyłącznie do zaspokajania popędów seksualnych, Rzymianie byli gotowi zapłacić więcej niż za działkę ziemi.

Gdy pojawiły się pierwsze trudności rekrutacyjne, a jednocześnie w ciągu dwóch pokoleń Italia zaludniła się niewolnikami, stało się jasne, że bez drastycznych reform agrarnych problemu nic da się rozwiązać. Pomysłów, jakie znaleźć wyjście z tej sytuacji, nie brakowało, za to nie było odważnych do ich przeprowadzenia. Jednym z takich „nieodważnych” był Gajusz Lelusz, co zyskało mu przydomek „Sapiens”. Wreszcie z projektem prawa o gruntach rolnych wystąpił Tyberiusz Grakchus. Działając na mocy posiadanej władzy trybuńskiej, w roku 133 p.n.e. wniósł pod obrady Zgromadzenia Ludowego projekt ustawy odwołującej się do starego prawa regulującego posiadanie ziemi publicznej. Wszelkie grunty publiczne powyżej 500 morgów ich posiadacze mieli oddać, jednak nie za darmo, lecz za odszkodowaniem ze skarbu państwa. Jeśli mieli synów, prócz swoich 500 morgów, każdemu z nich mogli zostawić dodatkowo po 250. Na zwróconych gruntach planowano osiedlić ludność rzymską i italską. Projekt ten arystokracja utracąca na różne sposoby, m. in. odwołując się do złowróżbnych znaków i wykorzystując prawo *veta* innych trybunów ludowych. Tymczasem jednak sytuacja stała się dla nich o tyle groźna, że Tyberiusz bez ogródek piętnował niesprawiedliwe zawłaszczanie gruntów publicznych, co spotykało się z aplauzem słuchaczy (...) *Bo mamy tyle tysięcy obywateli rzymskich, z których żaden nie ma tu nigdzie ani ojczystego domu, ani grobowca swoich ojców, ale każdy bije się tylko w obronie cudzego zbytku i bogactwa! Idą do walki na śmierć i wmawia im się przy tym, że są panami świata, a tymczasem żaden z nich nie posiada na własność ani jednej piędzi ziemi*²¹.

Pomysłom Tyberiusza ze wszystkich sił sprzeciwiała się klasa ziemskich posiadaczy. Większość musiałaby oddać nic po kilkaset, ale po

²¹ Plutarch, *Tyberiusz Grakchus* 9 [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957, s. 423.

kilkadziesiąt tysięcy już zagospodarowanych morgów i sprzedać większość swoich trzód. Zarówno Tyberiusz Grakchus, jak i jego rodzony brat Gajusz, który podjął podobne działania 10 lat później, w czasie gdy Cymbrowie wyruszyli z Półwyspu Cymbryjskiego, zginęli w zamieszkach i walkach wewnętrznych, a wraz z nimi od kilkuset do kilku tysięcy ludzi. Kolejni reformatorzy bądź to ginęli w skrytobójczych zamachach, bądź gnębiono ich niekończącymi się procesami sądowymi. Ale myśli reformatorskie padły na podatną glebę, a do ich wzrostu przyczyniały się coraz to nowe nieprawości i nadużycia oligarchów.

Ambitni ludzie w Rzymie, a takich nigdy tam nie brakowało, wyciągnęli z działań Grakchów jeszcze jedną naukę. Zrozumieli, jak łatwo jest zdobyć popularność wśród ludu odpowiednio pięknymi hasłami, i zbudowali zręby ugrupowania będącego w opozycji do optymatów, nazwanego później stronnictwem popularów. Wśród postulatów zgłaszanych przez przywódców tego ugrupowania powracały kwestie reform rolnych, odłożenia, dostępu do najwyższych urzędów przedstawicieli klas innych niż arystokracja (ekwitów, a nawet plebejuszy) i w ogóle otwarcia senatu na dopływ świeżej, rzymskiej krwi. Z punktu widzenia arystokracji były to hasła absolutnie wywrotowe, prowadzące do anarchii, wszelako partia popularów osiągała pewne sukcesy. I tak uzupełniono kolegium sędziowskie o ekwitów w ten sposób, że zyskali oni przewagę nad senatorami. Wkrótce sądy ekwickie zaczęły skazywać za nadużycia w prowincjach... najuczciwszych namiestników arystokratycznych, gdyż z ich punktu widzenia, uczciwy wcale nie znaczyło dobry. Uczciwy nie pozwalał na nadużycia spółkom publikanów, zakładanym przez ekwitów, dzierzawiącym podatki prowincji i odbijającym sobie przy tej sposobności z nawiązką wydatki poniesione na rzecz fiskusa. Partia popularów odniosła też inny sukces - potrafiła, poprzez odpowiednią agitację, prowadzoną głównie ustami trybunów ludowych, doprowadzić kilku swoich kandydatów na stanowiska pretorów i konsulów, choć nigdy nie uzyskała tu przewagi - zawsze jeden z konsulów był arystokratą. Natomiast kilka razy wykazała z całą mocą nieudolność, pazerność i przekupstwo patrycjuszy w sprawach państwowych. Wyrzedzając wypadki o lat z górą sześćdziesiąt, można powiedzieć, że to właśnie na skrzydłach tej partii Gajusz Juliusz Cezar doszedł do jedynowładztwa.

Zmagania obu opcji politycznych prowadziły do coraz poważniejszych zaburzeń. Zaczęło się od pojedynczych przypadków zadawania sobie śmierci kijami i kamieniami, czyli - jak podkreślali z dumą antagoniści: „nie od żelaza”. Wkrótce jednak te indywidualne akty przemocy przerodziły się w regularne bitwy uliczne z udziałem tysięcy ludzi. Kiedy

do tłumienia zamieszek włączyło się wojsko, można było już mówić o formalnych wojnach domowych, zwłaszcza że ginęło w nich po kilka tysięcy ludzi jednego dnia. Ale to było później, już po odparciu Cymbrów i Teutonów...

Temperaturę politycznego wrzenia z okresu wędrówek cymbryjskich podnosiła jeszcze jedna sprawa, o której już tu wspomniano, a mianowicie kwestia sprzymierzeńców italskich, rozwiązana w kilkanaście lat po zajmującej nas tutaj wojnie cymbryjsko-teutońskiej. Przyjrzyjmy się pokrótce i jej jako nieodłącznemu składnikowi sytuacji wewnętrznej Italii.

Italikowie, czyli Rzymianie bez praw rzymskich

W odległości niewiele ponad trzydzieści kilometrów od Rzymu przebiegały granice plemion, których członkowie nie posiadali obywatelstwa rzymskiego. Typowym przedstawicielem takiego ludu byli Marsowie. Jako bardzo bliscy sąsiedzi podlegali Rzymianom niemal od zarania dziejów, mówili właściwie tym samym językiem (nie do odróżnienia nawet dla Rzymian, z czego wynikały poważne kłopoty w czasie późniejszej wojny sprzymierzeńczej), czcili tych samych bogów; słowem pod każdym względem przypominali swoich sąsiadów, tyle że nie mieli ich praw, a jedynie korzystali ze statusu sprzymierzeńców. Nawiasem mówiąc, status ten nakładał na nich więcej obowiązków niż dawał przywilejów. Marsowie płacili więc podatki i daniny, ale przede wszystkim brali udział we wszystkich wojnach w sile wskazywanej przez urzędników z Rzymu. Z ich pomocy korzystano bardzo skwapliwie, gdyż dzielność tego plemienia przeszła do przysłowia: *Nie było triumfu nad Marsami, tak jak nie było triumfu bez Marsów*¹². W dodatku ci dzielni żołnierze dostawali wynagrodzenie trzykrotnie niższe od rzymskiego; podobnie było z udziałem w łupach (jeśli w ogóle ich do tego dopuścił jakiś zakuty rzymski łeb), nie mówiąc już o pozyskiwaniu zdobyczej ziemi. Można zatem przyjąć, że Marsowie ponosili wszelkie koszty rzymskich przedsięwzięć, nic na tym nie zyskując.

Podobnie było z innymi sprzymierzeńcami Rzymu z terenu Italii, np. z Samnitami, Etruskami czy Lukanami, żeby wymienić tylko najsilniejsze ludy. Rzymianie bowiem ciągle, mimo wielopokoleniowego sąsiedztwa, zachowywali się wobec swoich sprzymierzeńców jak zdobywcy, upokarzając ich przy lada okazji i zupełnie bez potrzeby. Podczas gdy

²² Appian / Aleksandrii: *op. cit.*, XIII.46, s. 652.

obywatela rzymskiego nie można było skazać na śmierć bez sądu, ze sprzymierzeńcami postępowano w tej mierze w sposób dowolny, często-
kroć bezsensownie okrutny.

Próby uzdrowienia tej chorej sytuacji poprzez szersze nadania Italikom rzymskiego obywatelstwa spotykały się z solidarnym potępieniem ze strony wszystkich warstw obywatelskich: plebejuszy, ekwitów i patrycjuszy. Oczywiście, nie ulega wątpliwości, że chodziło przede wszystkim o skuteczną rekrutację do armii rzymskiej; temu też miały służyć powściągliwe na razie reformy agrarne. Już jednak samo podjęcie tego tematu przez Gajusza Grakcha spowodowało wśród plemion italskich wzrost nadziei na poprawienie ich bytu. Italikowie zaczęli coraz śmielej okazywać niezadowolenie, a jego apogeum była krwawa wojna, do jakiej doszło w kilkanaście lat po najeździe Cymbrów między dotychczasowymi sprzymierzeńcami. Jej skutek był taki, że Rzymianie, radzi nieradzi, dopuścili Italików do swojego obywatelstwa.

Sytuacja zewnętrzna

O ile wewnętrzna sytuacja w Italii przedstawiała się nie najlepiej i ktoś w rodzaju Hannibala mógłby ją łatwo wykorzystać, by wyrwać Rzymowi kły, to sytuacja zewnętrzna Imperium wyglądała nieźle. Wprawdzie objawy kryzysu i tam były widoczne, ale niejedno państwo w owym czasie chciałoby czuć się tak źle, jak Rzym przechodzący kryzys.

Kilka uwag o sposobach prowadzenia wojen i mentalności rzymskich wodzów

We wszystkich wojnach, jakie Rzym prowadził niemal od zarania swych dziejów, zwraca uwagę jego strategiczne podejście do konfliktów zbrojnych. Senatowi, mającemu w tej materii decydujący głos, nie przeszkadzało to, że wojny ciągnęły się latami; liczył się jedynie ich wynik, czyli bezwarunkowa kapitulacja przeciwnika. Jeśli wróg był na tyle silny, że nie dawał się pobić w polu, działano tak: najpierw pozbawiano go sprzymierzeńców, potem odcinano od zasobów i nękać na wszelkie sposoby, stopniowo zawężano jego terytorium, tak długo, aż wreszcie, wyczerpany i osłabiony nie był w stanie dalej prowadzić wojny. Kadencyjność sprawowania dowództwa sprzyjała przewlekaniu działań zbrojnych - wodzowie nieodnoszący sukcesów byli po roku wymieniani na innych, aż trafiano na właściwych.

Ale był też inny, bynajmniej niestrategiczny, powód wydłużania w nieskończoność działań wojennych. Otóż Rzymianie nie po to zostawali namiestnikami prowincji, by trwać w bezczynności. Gdy nie było wojny, chętnie ją prowokowali, pobudzając prowincję do buntu lub drażniąc sąsiadów, a potem likwidowali „bandy rozbójnicze”. W tej sytuacji ktoś, kto nazbyt szybko kończył wojnę, pozbawiał siebie i swoich następców korzyści z niej płynących, podobnie jak adwokat zbyt szybko i łatwo wygrywający sprawę uszczupla swoje honorarium. Wprawdzie takie podejście rujnowało zajęte kraje i przysparzało strat samym Rzymianom, jednak ambitni i chciwi wodzowie rzymscy nie zawracali sobie tym głowy. Władza nad życiem i śmiercią żołnierzy upajała ich i z braku innych walorów sama w sobie była powodem do chwały. Zresztą wielu z namiestników doskonale wiedziało, że w istocie są miernotami i drugi raz okazja do zyskania majątku i sławy może się w ich życiu nie powtórzyć. Prawo różnymi sposobami ograniczało możliwość sprawowania po raz kolejny konsulatu czy pretury; czasami trzeba było odczekać nawet 10 lat. Dla większości spośród beneficjentów tych urzędów oznaczało to całą wieczność, w związku z tym szli na całość, nie licząc się z niczyją opinią. Oni, podobnie jak ich poplecznicy z senatu, byli zainteresowani jedynym wynikiem, jaki był dla nich do przyjęcia, czyli zwycięstwem. Koszty i straty własne były bez znaczenia.

Chwilami wyglądało to wręcz na zмовę kolegów konsulów, prokonsulów, pretorów i propretorów z kolegami z senatu. Liczyło się to, ile srebra niesiono w triumfalnym pochodzie do skarbcza państwowego, ilu zabito wrogów, ilu spętano jeńców, jakie ziemie przyłączono, natomiast o straty nie pytano. Do perfekcji doprowadzono sztukę szukania (i znajdowania) usprawiedliwień dla wszelkich niepowodzeń. Przyjęto np., że dla nieudolnego wodza dostatecznie dotkliwą karą było... uniemożliwienie mu ukończenia wojny, a w związku z tym brak triumfu. Bardziej prawdopodobne też było skazanie go za nadużycia w prowincji niż za błędne, prowadzące do niepotrzebnych strat dowodzenie. Nic zatem dziwnego, że poziom dowodzenia nieustannie spadał. Najlepsze legiony wygrywały bitwy nie dzięki, ale pomimo swoich dowódców, choć i to jedynie do czasu napotkania walecznego przeciwnika, poprowadzonego do boju przez inteligentnego wodza.

Sprytni patrycjusze dobrze wiedzieli, kiedy zgłosić się do pełnienia urzędów. Gdy na jakimś teatrze wojennym wodzowie ponosili klęski, zwykle brakowało chętnych do ich zastąpienia i nowych dowódców do kontynuowania wojny trzeba było losować spośród opierających się z całych sił urzędników. Ale kiedy wiadomo było, że wszystko zmierza ku

zwycięstwu, pojawiały się dziesiątki kandydatów do objęcia dowództwa, gotowych osobiście uczestniczyć w pomyślnym finale. Chwała zawsze spływała na zwycięzcę, a nie na tego, kto bramy do zwycięstwa otworzył, chyba że był to ten sam człowiek. Ta arystokratyczna mentalność łatwo rozprzestrzeniała się na wodzów niższego - ekwickiego i plebejskiego - pochodzenia. Można było odnieść wrażenie, że chciwość, drapieżność i okrucieństwo były w starożytnym Rzymie zaraźliwe.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że działania strategiczne, mające na celu całkowite zniszczenie przeciwnika, były przeważnie tolerowanym przez senat łupiestwem, do którego dorabiano odpowiednią ideologię. Temu samemu celowi służyła sławetna rzymska bezkompromisowość, którą - mimo że niejednokrotnie przeradzała się w bezwzględne okrucieństwo - tłumaczono potrzebą zachowania autorytetu wśród ludu. Dopiero w sytuacjach naprawdę trudnych sięgano po ludzi nic dość, że zdolnych, to jeszcze chętnych do pomyślnego zakończenia wojny. To smutne, ale tylko państwo tak silne jak Rzym mogło sobie pozwolić na podobną rozrzutność w szafowaniu życiem żołnierzy i - wbrew pozorom - lekkomyślność w prowadzeniu wojen. Siły rzymskie, rozproszone po różnych stronach Imperium, były zwykle pozostawione same sobie. Ich działań w żaden sposób nie koordynowano. A że na ogół było ich za mało do szybkiego wykonania postawionych przed nimi zadań, wojny ciągnęły się w nieskończoność, angażując żołnierzy na coraz dłuższe okresy, czasem aż do ustania więzi rodzinnych z ojczyzną. W zdobytych krajach, oprócz zabitych, pozostawali też żywi, którzy starali się jak umieli ułożyć sobie życie w nowym miejscu. Była to jeszcze jedna przyczyna wyludniania się terenów macierzystych.

Zdobycze Rzymu w basenie Morza Śródziemnego i dziwna wojna hiszpańska

Przyjrzyjmy się teraz kilku ważnym wydarzeniom, jakie miały miejsce w drugiej połowie II w. p.n.e. I tak:

- w roku 146 pochodzący z rodu plebejskiego Lucjusz Mummiusz rozbił zbuntowanych Achajów i zdobył Korynt, zyskując dzięki temu przydomek Achajskiego. Był (...) *pierwszym człowiekiem nowym, który zdobył przydomek za męstwo*²³. Arystokraci nie lubili

²³ Weilejusz Paterkulus, *Historia rzymska* 1.13, przeł. E. Zwolski, Wrocław 1970, s. 15.

takich - jak byśmy dziś powiedzieli - nowobogackich, toteż wieść o Mummiuszu niosła, iż (...) *był tak nieokrzesanym prostakiem, że gdy po zdobyciu Koryntu ogłosił przetarg na przewóz do Italii posągów i obrazów wykonanych rękoma najwybitniejszych mistrzów, kazał zapowiedzieć kontrahentom, że w przypadku zniszczenia dzieł będą zmuszeni na ich miejsce zwrócić nowe*²⁴;

- w tym samym 146 roku Scypion Młodszy zburzył Kartaginę, zyskując przydomek Afrykańskiego. Po zakończeniu II wojny punickiej musiał wprawdzie zapłacić ogromną kontrybucję, ale, jak wieść gminna niosła (...) *odbywając tryumf nad Punijczykami, kazał nieść w pochodzie 4370 funtów. Tyle srebra miała cała Kartagina*. Wydaje się, że to dużo, ale Pliniusz twierdził, jakoby za Nerona niektóre srebrne zastawy stołowe miały większą masę;
- w roku 133 p.n.e., na mocy testamentu Attalosa III, królestwo Pergamonu przeszło za darmo na własność Rzymian. Przyłączono je do Prowincji Azji;
- w tym samym 133 roku, po kilkunastomiesięcznym oblężeniu, padła Numancja w Hiszpanii. Scypion Afrykański Młodszy, mimo swojej ogromnej przewagi liczebnej, zdecydował, że nie będzie tam żadnej bitwy, i waleczne miasto po prostu zagłodził na śmierć.

Te wydarzenia, sprowadzone do suchych faktów, nie oddają oczywiście całej złożoności towarzyszących im okoliczności. A trzeba pamiętać, że swoim zasięgiem objęły one Grecję, Afrykę, Azję i Hiszpanię, cztery różne strony świata. Wojny nigdy nie ograniczały się tam do jednego roku, ale potrafiły przeciągnąć się do 10 lat! Rozpiętość terytorialna unaocznia, że Rzym zajmował się w tym samym czasie kilkoma trudnymi przedsięwzięciami militarnymi, prowadzonymi w znacznej odległości, a w dodatku ich zakończenie nie zawsze oznaczało zakończenie wojny; zdarzało się, że była to zapowiedź następnych zmagień.

Rzymscy namiestnicy Macedonii rychło weszli w kontakty bojowe z plemionami trackimi i celtotrackimi, rozpoczynając serię nieustannych, jałowych wojen, ale też otwierając sobie pole do zaprezentowania swojej osobistej dzielności i kompetencji dowódczych. Nie było tam błyskotliwych zwycięstw, choć, jak donoszą annały, przez 100 lat - aż do czasów Augusta - *walczone pomysłnie*. W Azji borykano się wtedy z powstaniem Arystonikosa, niezadowolonego z zajęcia przez Rzym Pergamonu. Powstanie to nabrało rumieńców, gdy Arystonikos powołał pod broń niewolników. Wtedy z wojskiem ruszył tam Publiusz Licyniusz

²⁴ *Ibidem*, s. 16.

Krassus, konsul z roku 131 (...) *choć był najwyższym pontyfikiem. Mimo to - co nigdy dotąd nie zaszło - opuścił granice Italii. I tak został pobity, a sam poległ. Arystonika pokonał i przyjął w poddaństwo konsul Marek Perpenna²⁵ w roku 130, ale i on tam zmarł.*

Wszelako najdziwniejszą, a zarazem najpełniej obnażającą intencje i kompetencje rzymskich wodzów, była wojna w Hiszpanii, czyli Iberii. Przyjrzyjmy się jej bliżej.

Rzymianie zainstalowali się w Hiszpanii w czasie II wojny punickiej, by pozbawić Hannibala zaplecza ekonomicznego. Cel osiągnęli, ale do całkowitego ujarznienia Hiszpanii było jeszcze bardzo daleko; jak wiadomo ostatecznie dokonał tego dopiero Oktawian August. Zanim to nastąpiło, Hiszpania przez 200 lat była areną niekończących się wojen, z nielicznymi przerwami na krótkotrwałe pokój.

Miejscowa ludność, zwana przez Rzymian Celtyberami, czyli mieszaną Celtów i Iberów, odziedziczyła to, co najlepsze w obu skrzyżowanych narodach. Po Celtach wojownicy mieli wzrost i siłę, a po Iberach wytrzymałość na trudy, upały i pragnienie. Byli bardziej zdyscyplinowani od Celtów, a ich taktyka nie ograniczała się do przeprowadzenia jednego, szalonego ataku na linię bojową wroga, a gdy ten nie ustąpił pod naporem, rezygnacji z boju, jak to się zdarzało Galom. Przysięgi wojskowe zobowiązywały ich do walki na śmierć i życie.

Jeśli chodzi o typ uzbrojenia, Celtyberowie nie odróżniali się w ogólnych założeniach od Rzymian. Mieli pancerze, hełmy i wielkie tarcze, rzucali oszczepy bardzo podobne do rzymskiego *pilum*, a do walki bezpośredniej używali krótkich, szerokich mieczy o wydłużonym sztychu, (przejętych od nich zresztą przez Rzymian) i zakrzywionych mieczy jednosiecznych. Mieli też bardzo dobrą jazdę, przywykłą do walki manewrowej. Sami Rzymianie przyznawali, że Celtyberowie byli od nich lepsi. Wojownicy ci mieli też szczęście do dobrych dowódców, potrafiących nie tylko ustawić wojsko do boju, ale też, w razie potrzeby, umiejętnie wycofać je z walki i oderwać się od przeciwnika, co zawsze, niezależnie od epoki, pozostaje dużą sztuką. Stosowali różne ustawienia wojska - w linii, w klinach, z wydzielonym odwodem - a przy tym bardzo lubili urządzić zasadzki. Teren Hiszpanii sprzyjał takim działaniom - niewiele równin, dużo pagórków i o wiele więcej niż dziś lasów.

Celtyberowie mieli jedną, dość zasadniczą słabość - brakowało im jedności politycznej, ale Rzymianie swoimi - powiedzmy to wprost

²⁵ Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LIX, przeł. A- Kociotek, M. Brożek, Wrocław 1968-1982.

- głupimi działaniami parę razy zapewnili sobie dość jednolity, zwarty front hiszpańskich przeciwników. Potem starali się przymusić to czy inne plemię do współpracy, ale zawsze robili to siłą, i to dużą.

Wielkie wojny hiszpańskie (bo toczono je po dwie, a nawet trzy jednocześnie) rozpoczęły się w roku 153 p.n.e. Ograniczeni przez wcześniejsze układy z Rzymianami, Celtyberowie nie mogli zakładać miast, więc postanowili rozbudowywać dotychczasowe. Rzymianie nie mieli zamiaru na to pozwolić, a wiedząc, że akurat tego przeciwnika lekceważyć nie należy, wysłali tam konsula Kwintusa Fabiusza Nobiliora na czele armii konsularnej. Zaczęło się niezbyt fortunnie: od bitwy, w której życie straciło 6000 obywateli rzymskich, ale poległ też wódz Celtyberów, Karus, i 6000 jego ludzi. Ilu zginęło nie-obywateli pozostających w służbie rzymskiej - nie wiadomo, ale bitwa była tak krwawa, że jej dzień - 23 sierpnia - zaliczano odtąd w Rzymie do dni feralnych²⁶.

Plemiona celtyberyjskie zjednoczyły się pod przewodnictwem miasta Numancji. Nobilior podszedł pod bramy miasta, a że dostał posiłki z Afryki, w tym 10 słoń, postanowił wypróbować je w walce. Próba wypadła fatalnie - co prawda Celtyberowie na widok słoń podali tyły, ale jedno ze zwierząt, zranione przez któregoś z siedzących na murach obrońców, zdenerwowało się i zaczęło tratować Rzymian. Za jego przykładem poszła reszta słoń. Numantyni wykorzystali okazję i położyli trupem 4000 wrogów. Nie były to ostatnie niepowodzenia Nobiliora w tej wojnie, ale jakoś doczekał następcy i posiłków, po czym z ulgą powrócił do Rzymu.

Następca Nobiliora miał więcej szczęścia. Zdołał zakończyć wojnę za swojego namiestnictwa, zadowolając się oświadczeniem Celtyberów, że poddają się Rzymianom. Następnie w roku 150 przybył do Hiszpanii Lucjusz Licyniusz Lukullus. Chętnie zająłby się Numancją, ale nie mógł, gdyż zawarto już układ pokojowy. Powodowany (...) *żądzą sławy i chęcią wzbogacenia się, wpadł do kraju innego ludu celtyberyjskiego, Wakceów, którzy są sąsiadami Arewaków, mimo że nie zapadła żadna uchwała senatu w tym kierunku, a Wakceowie nie prowadzili wojny z Rzymianami ani w niczym nie uchybili Lukullusowi*²⁷. Lukullus zajął miasto Wakceów. Obsadził mury doborowymi żołnierzami, wprowadził do miasta resztę wojska i kazał wybić wszystkich dorosłych mężczyzn, których padło prawie 20 000! Ten okrutny rozkaz zapoczątkował wojnę

²⁶ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska* VI 4S przeł. L. Piotrowicz. Wrocław 2004.

²⁷ *Ibidem*, II.VI.51, s. 113.

rozbójniczą Lukullusa, który szedł od jednego hiszpańskiego miasta do drugiego, żądał okupów i próbował szturmów.

W innej części Hiszpanii, Luzytanii, od 153 roku kolejni rzymscy wodzowie ponosili dotkliwe porażki. Przegrał Maniusz Maniliusz, potem Lucjusz Kalpurniusz Pizon (obaj wkrótce mieli podjąć nieudolne oblężenie bezbronnej Kartaginy); ustąpić musiał też znany nam przewoźnik greckich dzieł, Lucjusz Mummiusz, który stracił tam aż 9000 ludzi, choć warto podkreślić, że on akurat potrafił podnieść się z klęski, ewakuować z pola bitwy 5000 ocalałych żołnierzy i, ochłonawszy nieco, ruszyć do zwycięskiego boju, co w tamtej sytuacji mogło imponować. Przyznano mu nawet triumf! Jego następca, Marek Atyliusz, miał mniej szczęścia, ale jakichś dramatycznych klęsk nie poniósł. Za to następny wódz, Sergiusz Sulpicjusz Galba, myślał, że odniósł zwycięstwo (Mummiusz też tak raz myślał) i dał się wciągnąć w zasadzkę. Stracił wtedy 7000 ludzi. Sam uciekł i w bezpiecznym miejscu gromadził zbiegów i sprzymierzeńców. Z pomocą przyszedł mu znany nam już Lukullus. Tymczasem okazało się, że Luzytanowie mają już dość wojny i postanowili poddać się Rzymianom. Wtedy Galba poszedł za przykładem Lukullusa: podzielił plemiona na trzy grupy (...) *kazał im, jako przyjaciółom, wydać broń, a kiedy się do tego zastosowali, otoczył ich wałem i rowem, po czym wysłał oddział zbrojnych i kazał wszystkich wymordować (...)*²⁸. Z pogromu uratowało się ok. 10 000 ludzi, wśród nich Wiriatus, który potem sporo krwi napsuł Rzymianom.

Nawet nie samo okrucieństwo Rzymian, ale sposób, w jaki traktowali oni zawierane układy (*fyide*: poczynania Lukullusa i Galby), sprawił, że nikt w Hiszpanii im nie wierzył, przez co wojny stały się dłuższe i okrutniejsze. Tym bardziej że sprawców tych niesłychanych prowokacji nie pociągnięto w Rzymie do żadnej odpowiedzialności.

Ocalały ze zdradzieckiej rzezi Celtyber Wiriatus rzadko dysponował siłami wojskowymi przekraczającymi 10 000 ludzi, ale rok w rok zadawał Rzymianom w bitwach dotkliwe straty. Miewał na swoim koncie po kilka tysięcy zabitych w jednej bitwie wrogów, nie licząc rannych; zdarzało się, że ginęli w niej wysocy dowódcy wojskowi. Niektóre armie, mimo ich przewagi liczebnej, zaganiał do ich warownych obozów i trzymał tam w oblężeniu. Wreszcie w roku 139 Kwintus Scrwiliusz Cepion, korzystając z toczących się rozmów pokojowych, przekupił najbliższych współpracowników Wiriata, którzy zabili go we śnie²⁹.

Ibidem, II.VI.60, s. 120.

Ibidem, II.VI.74 (można tam znaleźć opis zamachu na Wiriata).

Śmierć Wiriatusa nie rozwiązała, oczywiście, wszystkich problemów rzymskich w Hiszpanii. Jednym z nich była trwająca w tym czasie druga wojna numantyjska, w której Rzymianie niesłuchanie się kompromitowali. Kilka razy oblegali Numancję siłami blisko 30 000 żołnierzy, a Numantyni, wystawiający nic więcej niż 8000 wojowników, bez większego trudu ich odpierali, zadając przy tym najeźdźcom kilkudziesięcienne straty. Na skutek nieudolności i braku charakteru kilku kolejnych wodzów całkowicie upadła dyscyplina w armii rzymskiej. Dowódcy bez upoważnienia senatu podejmowali rozmowy pokojowe, a nawet składali odpowiednie przysięgi, które potem anulowano. Oprócz tego decydowali się na chaotyczne działania wobec miast i krain sąsiadujących z Numancją, powiększając zamieszanie i zasięg wojny, a jednocześnie obniżając wiarygodność Rzymu w oczach Celtyberów. Wreszcie wyczerpała się niezmierna, wydawało się, cierpliwość senatorów wobec wybryków swoich kolegów. Winnego wszczynania niepotrzebnych wojen i obwinianego o klęski w okolicach Numancji konsula Marka Emiliusza Lepidusa odwołano ze stanowiska, osądzono w Rzymie i ukarano grzywną³⁰, a Gajusza Hostyliusza Mancynusa, który dla uratowania nieudolnie przezeń dowodzonej armii zawarł pokój z Numantynami, wydano nagiego wrogom, co wcześniej w historii Rzymu zdarzyło się tylko raz³¹. Tym samym senat dał znak, że wojnę będzie prowadził do samego końca. Ponieważ jeszcze jeden wódz - Kwintus Kalpurniusz Pizon - (...) *nawet nie pociągnął pod Numancję, lecz wtargnął na obszar Pallatynów, spustoszył nieznaczną część kraju i resztę okresu swojego urzędowania spędził na leżach zimowych w Karpetani*^{P2}, senat wziął pod uwagę głos ludu rzymskiego, mającego dosyć krwawej i przewlekłej wojny, i sięgnął po nadzwyczajne środki: konsulem na rok 134 wybrano zdobywcę Kartaginy, Scypiona Afrykańskiego Młodszeo. Co prawda całkiem niedawno był on już konsulem, wybranym na okoliczność zdobywania Kartaginy, a to uniemożliwiało mu ponowne kandydowanie. Od czego jest jednak ręcznie sterowana legislacja? Specjalne dla Scypiona niewygodne prawo uchylono.

³⁰ *Ibidem*, II.VI.83 s. 140.

" W 321 roku p.n.e. wielka armia rzymska została otoczona przez Samnitów w wąwozie Kaudyńskim. Mając za sobą kilka bezowocnych prób przebicia się, wyczerpani głodem i pragnieniem Rzymianie zdecydowali się zawrzeć rozejm. Samnicy wypuścili ich - bez uzbrojenia i dobytku - przepuściwszy pierwaj pod jarzmem. Hańbiące warunki pokoju spowodowały odrzucenie go przez senat, a całą wyższą kadrę dowódczą pechowej armii, w pętach i nagich, za darmo oddano Samnitom. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi jednak ocalało...

³¹ Appian z Aleksandrii, *op. cit.*, VI.83 s. 141.

Nowy wódz zaprowadził w armii stare porządki. Wygnano ładacznice obu płci, a żołnierzy szybko wdrożono do wszelkich ciężkich ćwiczeń. Sami musieli nosić nie tylko swój dobytek i uzbrojenie, ale też pale do umacniania wałów. Stale coś robili: kopali i zasypywali rowy, maszerowali, zakładali i zwijali obozy. Scypion postępował z żołnierzami jak z rekrutami.

Kiedy nowy wódz uznał, że należycie wyćwiczył armię, ruszył pod Numancję. Tam wezwał posiłki z okolicznych miast. W sumie zebrał 30 000 wojsk rzymskich i 30 000 sprzymierzeńczych, ale nic dopuścił do ani jednej bitwy w otwartym polu. Miasto zamknął w pierścieniu oblężenia, odcinając je całkowicie od otoczenia, a sympatyków Numancji spośród innych plemion celtyberyjskich, spieszących im z pomocą, przykładnie i bez wahania karał. Przez prawie dwa następne lata (...) *trzymając Numantynów w całkowitym oblężeniu i widząc, że tak osaczonych gnębi głód, zabronił zabijać ludzi przeciwnika, którzy przekradali się na zdobywanie paszy, dodając, że szybciej zjedzą posiadaną żywność, jeśli ich będzie więcej*". Wreszcie ostatni zrozpaczeni Numantyni, którzy przetrwali straszne ludożerstwo, pozabijali się nawzajem, tak że tylko nieliczni poddali się Rzymianom.

Budowanie połączenia lądowego między Italią a Hiszpanią

Choć, obiektywnie rzecz biorąc, zagłodzenia Numancji i zamordowania Wiriata nijak nie można nazwać czynami wielkimi i świetnymi, nie ulegało wątpliwości, że Rzymianie wreszcie kontrolują Hiszpanię. Sytuacja nadal była tam niestabilna, a duże połacie kraju pozostawały faktycznie niezależne od woli senatu rzymskiego, ale za sprawą systemu zobowiązań sojuszniczych, na drodze przesiedleń i rzezi ludności, poprzez stopniową kolonizację, a także - nie zawsze cze - pogroźki sprowadzenia na resztę plemion wojny równie straszliwej jak numantyj-ska, Rzymianie mogli uznać te tereny za spacyfikowane. Wreszcie można było przystąpić do ich intensywnej eksploatacji, czyli głównie dobrać się do złotoonośnych terenów Hiszpanii. Jak donosił Pliniusz za Nerona: (...) *po 20 tys. funtów co roku dają (...) Asturia, Galicja i Luzytania*⁴, czyli prowincje hiszpańskie.

Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LVII, *op. cit.*
Pliniusz, *Historia naturalna*, IX.3, *op.cit.*, s. 274.

Dotychczas kontakt z Hiszpanią utrzymywano tylko drogą morską. A przecież droga lądowa nie była wcale długa, co już przed niespełna stu laty udowodnił Hannibal! Z opanowania wybrzeża między Alpami a Pirenejami mogły wynikać dla Rzymian duże korzyści. Był tylko jeden problem - owo wybrzeże niemal w całości należało do związku plemion galijskich, którym przewodzili Allobrogowie. Ponieważ mogli oni wystawić do boju stutysięczne siły, żeby opanować pas wybrzeża, należało w istocie podbić całe to plemię, sięgając do krańców ich ziem. Rzymian ta perspektywa bynajmniej nie zniechęciła, jako że mieli sporo atutów po swojej stronie. Po pierwsze, kraina ta leżała bardzo blisko Italii. Po drugie, był na wybrzeżu Allobrogów obcy „wtręt”, miasto Massalia (dziś Marsylia), dawna kolonia grecka, od lat współpracująca z Rzymem.

Wojna, prowadzona w zamyśle z jednym, wielkim plemieniem galijskim, czyli z Allobrogami, rozszerzyła się na inne, nie mniej liczne plemię - Arwernów. Okazało się, że pomysł wszczęcia wojny z Allobrogami był jednym z najbardziej trafionych w dziejach Rzymu. Kolejni wodzowie odnosili tam świetne zwycięstwa. Jeśli dać wiarę cokolwiek upiększającym przekazom kronikarzy, triumfy Rzymian były wprost oszałamiające. I tak:

Wojnę rozpoczęto tuż przed albo dokładnie w samym roku 123. Pierwszym ze znanych jej wodzów był konsul z roku 124, Gajusz Sekstiusz, który walczył bardzo pomyślnie z plemieniem Salluwiów. Pokonawszy ich skutecznie, urzeczony walorami siedliskowymi okolicy, założył przy ciepłych, leczniczych źródłach kolonię weteranów, nazwaną od jego imienia *Aquae Sextiae*³⁵. Wrócimy jeszcze zresztą do tej miejscowości. Kolejnym wodzem w wojnie był Gnejusz Domicjusz Ahenobarbus. Jako konsul pobił plemię Salasów, którego królowie uciekli do Allobrogów. Allobrogowie odmówili ich wydania, więc Rzymianie uderzyli na nich i odnieśli świetne zwycięstwo. W tej sytuacji Allobrogowie zwrócili się o pomoc do dalej mieszkających Arwernów, z którymi nad wyraz pomyślnie walczył w roku 121 konsul Kwintus Fabiusz Maksymus. Doszło do bitwy, w której (...) *padło sto dwadzieścia tysięcy ludzi*³⁶ po stronie Galów, a w efekcie rzymskiej wygranej Allobrogowie ostatecznie złożyli broń. W krótkim czasie opanowano ten duży kraj, przekształcając go w prowincję o niewyszukanej nazwie „Prowincja”; jak się okazuje, bardzo trwałej, gdyż używanej do dziś. Mówiono też o niej „Galia Zaalpejska”, aby odróżnić ją od „Galii Przedalpejskiej”, rozciągającej się na terenie

³⁵ Liwiusz, periocha ks. LXI, *op. cit.*

³⁶ *Ibidem.*

Italii, od Padu do Alp. W ten oto sposób Rzym uzyskał połączenie lądowe z Hiszpanią; poprawiło się też samopoczucie arystokracji, bo okazało się, że miała rację. To była właściwa droga. Przecież niedawno ujarzmiono Hiszpanię, zdławiono wielkie powstanie Arystonikosa w Azji, a teraz opanowano kraj broniony przez licznych i dzielnych wojowników. Dodatkowym trofeum tego podboju było zgrabienie wspaniałego ołtarza Domicjusza Ahenobarbusa, dzięki któremu wiemy, jak wyglądali rzymscy żołnierze w czasach rozkwitu Republiki.

Bo Republika rzeczywiście kwitła, ale tylko wtedy, kiedy patrzyło się na nią przez pryzmat jej wielkich zwycięstw. Zwycięstw zewnętrznych. Miasto w tym czasie było widownią krwawych zamieszek coraz bardziej przybierających na sile. Gdy zdobywano Numancję, w Rzymie kawałkami rozbitych ław zabijano urzędującego trybuna ludowego, Tyberiusza Grakchusa, i kilkuset jego zwolenników. Jednocześnie na Sycylii kolejne wojska przegrywały w haniebnej wojnie z niewolnikami. Dziesięć lat później, gdy niszczone w bitwach dziesiątki tysięcy Galów, kilka tysięcy ludzi w samym Rzymie poniosło śmierć w zamieszkach. Był wśród nich Gajusz Grakchus, brat Tyberiusza, który chciał kontynuować jego reformy.

Podsumowanie

Choć z zewnątrz imperium Romanum ciągle wyglądało imponująco, wewnątrz coraz silniejsze były tarcia naruszające zręby konstrukcji państwa. Ostatnie triumfy spotęgowały pewność siebie trzymających władzę patrycjuszy. Wprawdzie opozycja próbowała ich nękać procesami, a armii coraz trudniej było pozyskiwać rekrutów, ale te bolączki bynajmniej nie pogarszały samopoczucia rzymskiej arystokracji. Jako że jednak nawet w Wiecznym Mieście nic nie mogło trwać wiecznie, szybciej, niż się „ojcowie” spodziewali, nadeszły godziny próby, i to nie tylko dla kompetencji arystokratycznych wodzów, ale i dla cierpliwości niższych warstw społeczności rzymskiej, coraz lepiej zorganizowanych w stronnictwie popularów. Pech chciał, że niemal w tym samym czasie na dwóch kontynentach zaczęły się dwa przedsięwzięcia militarne, układające się w ciągu fatalnych klęsk, które Imperium przetrwało tylko dzięki swej dotychczasowej wielkości. W Europie Cymbrowie przeszli na południowy brzeg Dunaju, a w Afryce Jugurta, ambitny członek rodu królewskiego panującego Numidom, przystąpił do wprowadzania w życie planów objęcia niepodzielnej władzy. Obydwa te wydarzenia bezlitośnie obnażyły

wszystkie bolączki, trapiące mocarny Rzym, i miały bardzo daleko idące konsekwencje.

Możliwe, że pech militarny, który miał towarzyszyć w najbliższych latach arystokracji rzymskiej, był wynikiem woli pozaziemskiej, i to niekoniecznie niebiańskiej. Dla wielu ta seria katastrof nie była zaskoczeniem; społeczeństwo rzymskie, widząc, jak źle mają się sprawy, spodziewało się nieszczęść, nawet jeśli nie do końca było wiadomo, czy będą to kłęski wewnętrzne, czy zewnętrzne. Otóż na rok-dwa przed pojawieniem się Cymbrów w orbicie zainteresowań rzymskich, w Rzymie wykryto trzy niewiasty zajmujące się nierządem. Wieść ta wywołała prawdziwy szok w społeczeństwie. Co prawda w owym czasie złe prowadzenie się, nie mówiąc już o życiu rozpustnym, choć godne ubolewania, a nawet potępienia, nie stanowiło powodu do wzniecania zbiorowej hysterii. Jednak wszystkich ogarnęło przerażenie, gdy okazało się, jakie kobiety nadużyły swego dobrego imienia: nie dość, że były to przedstawicielki najznakomitszych rodów arystokratycznych, to w dodatku okazały się... westalkami. A przecież wiadomo było, że niewiasty pilnujące świętego ognia MUSIAŁY być dziewicami. Jak świat światem, a Rzym Rzymem! Największym liberałom nie mogło się to pomieścić w głowach! Oto trzy spośród westalek w świątyni Westy (...) *poznały stosunek z mężczyzną jednocześnie, z tych Marcja działała samodzielnie, darząc swymi względami jakiegoś jednego rycerza (...) Emilia i Licynia zaś miały mnóstwo kochanków i oddawały się rozpuszcieniu przy wzajemnej pomocy. (...) Każdemu wmawiały, że jest ich jedynym kochankiem. Potem same zobowiązywały do niezawodnego milczenia każdego, który mógł coś podejrzewać i donieść. Z góry płaciły stosunkiem (...)*³⁷. Gdy sprawa się wydała, Rzymianie, tak przecież przesadni, wręcz zabobonni, teraz, zdjęci niebywałą grozą, przeprowadzili dokładne śledztwo i (...) *wymierzali kary nie tylko uznanym za winnych, ale także wszystkim innym posądzonym, aby wykazać wstręt do tego, co zaszło*™, mając przy tym nadzieję, że bogowie docenią ich wysiłki. Spodziewali się bowiem, że po takim świętokradztwie (...) *może nastąpić wszystko, co najhaniebniejsze i najbezbożniejsze*^.

Nie mylili się - wkrótce po zakopaniu żywcem bezbożnych wszetecznicy, bo już w roku 114 p.n.e., w naddunajskim kraju Skordysków dostała się do niewoli tegoż plemienia cała armia konsularna łącznie z jej wodzem.

¹⁷ Kasjusz Dion Kokcejanus, *Historia rzymska*, XXVI.87, przeł. Wł. Madyda, Wrocław 2005. s. 119, skróty autora.

¹⁸ *Ibidem*.

³⁹ *Ibidem*.

Był to - z punktu widzenia społeczeństwa rzymskiego - oczywisty związek przyczynowo-skutkowy między postępkami „dziewic” bogini Westy a sprawami wagi państwowej, a zatem życiowej wszystkich Rzymian. Nadzieje optymistów, że to haniebne wydarzenie militarne stanie się pokutą i mimowolną ofiarą przebłagalną, gaszącą gniew urażonych bóstw, okazały się płonne. Czas pokazał, że był to dopiero początek całej serii klęsk ciągnących się przez najbliższą dekadę. Bogowie byli naprawdę urażeni i nie żartowali.

*Bellaque matribus detestata [multos iuvant]
I wojny przekłete przez matki [podobają się wielu]*¹

OD NOREI DO ARAUSIO - ZESTAWIENIE RZYMSKICH KŁĘSK W LATACH 113-105 p.n.e.

Po przekroczeniu Dunaju Cymbrowie, Teutoni oraz ich satelici znaleźli się na obszarach związanych z interesami rzymskimi. Nie były to interesy pierwszo- ani nawet drugorzędnej wagi, ale nawet jako trzeciorzędne mogły zyskać na znaczeniu w przypadku ich naruszenia.

Co też nastąpiło.

Południowy brzeg Dunaju był zapleczem plemion związanych pewnymi układami z Rzymem. Z punktu widzenia Rzymian zapleczem bardzo dalekim, gdyż ich interesowało głównie wybrzeże, a w nim porty na Adriatyku między Italią a Epiro, zaś górzyste krainy, leżące dalej od brzegu, tymczasem niczym istotnym ich nie przyciągały. Ale namiestnicy Galii Przedalpejskiej i Macedonii musieli obserwować także to zapleczce, bo stamtąd mogły pojawić się jakieś niebezpieczeństwa dla prowincji. Szczególnie niewygodną pozycję zajmował namiestnik Macedonii, którego włości były wystawione na ataki aż kilku plemion. Patrząc od wschodu, byli to: Scytowie (jeszcze za Augusta ich niedobitki atakowały nadczarnomorskie miasta, założone przez Greków, a opanowane przez Rzymian), Dakowie, Trakowie oraz Ilirowie i Celtowie. W owym czasie najgroźniejsi byli Trakowie i plemię mieszane, tracko-celtyckie, zwane Skordyskami.

Namiestnicy Galii Przedalpejskiej, która wkrótce miała się niemal stopić w jedno z Italią wchodzili w kontakty bojowe z plemionami alpejskimi, początkowo Ligurów, a potem różnych Celtów, zaś na wybrzeżu Adriatyku, z Ilirami. Ponieważ Ilirowie zachowywali się wobec Rzymu w sposób dość szczególny, a to zawiązując sojusze, a to szybko je zrywając, by po jakimś czasie ponownie do nich wrócić, podejmowano wobec nich działania dwójakiego rodzaju - ekspedycje karne i naciski dyplomatyczne. Szybko oparto granice prowincji na przeszkodach naturalnych,

¹ Horacy, *Carmina* 1,1,24-25, cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, „sentencje, przysłowia, wybór, przekład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002, s. 71.*

starając się nie dopuścić, by Ilirowie zanadto rośli w siłę. A że ich ziemie nie wydawały się Rzymianom atrakcyjne, zadowolano się stałym trzymaniem ręki na pulsie, bez podejmowania ryzyka wojny totalnej w terenie tak górzystym i zalesionym. Do utrzymywania w szachu Ilirów używano m.in. celtyckiego plemienia Noryków, ich północno-zachodnich sąsiadów. Zawiązano z Norykami odpowiednie układy o przyjaźni. Dzięki temu armia rzymska nie musiała być bardzo silna, by odgrywać w tym regionie decydującą rolę.

Tak w skrócie przedstawiała się sytuacja polityczna na południowym brzegu środkowego Dunaju, gdy na ziemi Skordysków wkroczyli Cymbrowie i Teutoni.

Fakt ataku Teutonów na Skordysków wysledzili uczeni niemieccy, którzy znaleźli na ziemiach obecnie przypisywanych Skordyskom osadę Teutoburgium² na prawym brzegu Dunaju, której nazwa wyraźnie wskazuje na jakieś koligacje z plemieniem Teutonów. Jest to słowny ślad obecności - raczej bardzo niedługiej - Germanów w tym miejscu.

Skordyskowie dotychczas nieźle radzili sobie z Rzymianami; w końcu byli u siebie, a w stanie wojny pozostawali od wielu lat. Dopiero ostatnimi czasy sytuacja stała się na tyle poważna, że Rzym zaangażował w wojny z nimi konsulów, czym zresztą Skorzyzkowie zdawali się specjalnie nie przejmować. Mieli przy tym u starożytnych opinię plemienia najdzikszego z dzikich, które (...) *Bellonie i Marsowi składało w ofierze jeńców wojennych oraz chciwie piło krew ludzką z wydrążonych czaszek. Często okrutnie nękali państwo rzymskie, w wielu bitwach zadawali mu klęski, aż w końcu zniszczyli całą armię wraz z dowódcą*".

Ta ostatnia bitwa, jak to już wspomniano przy okazji sprawy westalek, miała miejsce w roku 114, gdy osaczyli i wzięli do niewoli kompletną armię konsularną, łącznie z jej wodzem, Gajuszem Porcjuszem Katonem (z tych Katonów!). Ich starcia z Rzymianami trwały od 138 r. p.n.c. Ponadto Skordyskowie nieustannie walczyli z czysto trackim plemieniem Tryballów, więc, jakby to ujęli Rzymianie (a raczej tłumacze starożytnych annalistów), „nic gnuśnieli”, czyli nic zapominali, czym jest używanie broni.

Pojawienie się nowego przeciwnika nie było zatem dla tych wiecznych wojowników niemiłym zaskoczeniem. Oględnie przecież rzecz ujmując, Cymbrowie nie byli mistrzami w szybkości przemieszczania się, a wieści

² Zob.: *Die Germann. Geschichte unii Kultur der germanischen Stamme in Mitteleuropa*, oprac. pod red. B. Krugera, tom I, s. 201-202 oraz mapa nr 51.

¹ Ammianus Marcellinus, *Dzieje rzymskie*, XXVII.4.4., przeł. Ignacy Lewandowski, Warszawa 2002, tom II, s. 63.

o tym, co się dzieje w Bohemii za Dunajem lub u Panonów, zamieszkujących równiny w łuku prawobrzeżnego Dunaju (dzisiejsze Węgry), musiły do nich dochodzić. Ponadto nie było problemem dla wojowniczego plemienia Skordysków wysłać na północ wywiadowców, a skoro przez Dunaj mogli przejść Germanie, to równie dobrze nieco wcześniej mogli to zrobić uchodzący przed nimi Celtowie. Tak więc wiedza Celtotraków na temat liczebności i sposobów walki najeźdźców musiała być całkiem spora, a przy tym zdobyta przez ludzi znających się na rzeczy. To pozwoliło im odpowiednio przygotować się do spodziewanego najazdu.

W jaki dokładnie sposób Skordyskom udało się odeprzeć atak Teutonów - nie wiemy. Przekazy o tym milczą. Możemy tylko domyślać się, że nie dokonali tego wyłącznie w militarny sposób. Jak wiadomo, najeźdźcy utrzymywali się z rabunku. W kraju Skordysków prawdopodobnie nie było czego rabować. Ważna też była pora najazdu. Jeśli wyruszono wiosną, to nie wcześniej, niż po opadnięciu wód Dunaju po roztopach zimowych, a zatem byłby to kwiecień-maj. Wówczas na polach było już zielono, ale zboże jeszcze nie dojrzało. Skordyskowie zapewne potrafili chować zapasy żywności lub je ewakuować, a w razie potrzeby zostawić przeciwnikowi spaloną ziemię. Byłby to dla Germanów powód, by nie zapuszczać się daleko w te niegościnne, górzyste ziemie, w dodatku bronione przez wojska niespotykane mężnie. Ale mogło też być inaczej.

Wiemy z historii, że w starożytności różni najeźdźcy przekraczali Dunaj zimą, gdy rzeka zamarzała. Wątpliwe, by Germanie zdecydowali się na wędrówkę - i to z rodzinami - zimową porą, skoro w Bohemii było całkiem przytulnie. Ale nic nie stało na przeszkodzie, by wysłać tam oddziały zwiadowcze, które oceniłyby należycie kierunki przyszłego marszu. W przypadku kilkuset tysięcy armii Cymbrów i Teutonów oddziały zwiadowcze mogły liczyć nawet kilkadziesiąt tysięcy wojowników, a to mogło wyglądać na faktyczny najazd. Takie dwa oddziały, nieobciążone ludnością cywilną, mogły swobodnie dokonać wypadu na Skordysków i Noryków nawet zimową porą. Skordyskowie łatwo sobie poradzili, ale Norykowie nie, więc przedsięwzięta sposobniejszą porą zasadnicza inwazja została skierowana na tych drugich. Niestety, nic nie wiemy o tych trzech, którzy mieszkali na terenach o wiele przyjaźniejszych do maszerowania i uprawiania roli, a byli najbliżej Bohemii - o Panonach. Prawdopodobnie ich też Cymbrowie nie ominęli, ale to było już tak daleko od granic Rzymu i Grecji, że do naszych czasów o tych wydarzeniach nie przetrwały żadne przekazy. Jedno jest pewne: tamtejsze ziemie nijak nie przypadły do gustu wędrownym Germanom, bo tam nic zostali. Przyjrzyjmy się zatem wydarzeniom, o których to i owo wiemy, to znaczy napaści cymbryjskiej na celtyckich Noryków.

Norykowie, podobnie jak nieco wcześniej Bojowie, słabo sobie radzili z gennańską szarańczą. Ich kraj był górzysty, to prawda, ale przy tym na sposób galijski dobrze zagospodarowany. W przypadku Noryków można mówić o wysoko rozwiniętym przemyśle metalurgicznym. Norycka stal uchodziła u Rzymian za doskonałą jeszcze długie lata później, a w czasach Nerona Pliniusz Starszy uznawał ją za równie dobrą, jak hiszpańska, perska czy chińska... Na przykład -jak wspominał Enkolpiusz, „bohater” *Satyryków* Petroniusza - dorobkiewicz Trymalchion, chcąc zabłysnąć przed gośćmi hojnością w czasie swej wystawnej acz niezbyt gustownej uczty, nagroził kucharza za to, że z wieprzowiny potrafił zrobić rybę, mówiąc przy tym: (...) *A ponieważ ma dobrą głowę, więc przywozłem mu z Rzymu upominek: noże z noryckiej stali”. Zaraz też kazał je przynieść i oglądał je z zachwytem, a także nam dał możliwość wypróbowania ostrza na własnej gębie*⁴.

Tym razem sama świetna stal nie wystarczała. Zrozpaczeni Norykowie, zdruzgotani siłą najazdu, poprosili o pomoc Rzymian. Zapewne mieli nadzieję, że nawet jeśli nie widok armii, to samo imię ich sprzymierzeńców powstrzyma germański potok lub skieruje go w inną stronę. Rachuby te nie były pozbawione podstaw.

W Rzymie nie zlekceważono wezwania sojuszników, o czym świadczy wysłanie w rejon działania Germanów armii konsularnej, czyli dwóch legionów ze sprzymierzeńcami, razem ok. 20 000 żołnierzy. Na ich czele stanął konsul Gnejusz Papiriusz Karbon, z pochodzenia plebejusz. Zebranie i przemarsz armii musiały potrwać, a i konsul działał początkowo ostrożnie - (...) *obawiając się, by [Germanie -przyp. aut.] nie wpadli do Italii, obsadził Alpy w miejscu, gdzie znajduje się najwęższe przejście*⁵. W tym czasie Germanie zdążyli zająć takie ziemie Noryków, jakie chcieli, czyli praktycznie całe, a ich samych zamknęli w wielkiej twierdzy Noreja, wzniesionej na samej granicy między Norykum a plemionami Ilirów. Plemię Noryków stanęło przed widmem zagłady.

Ostrożne zrazu działania Papiriusza Karbona uległy z czasem zmianie. Po ochłonięciu z szoku, jakiego doznał na wieść o milionach najeźdźców, konsul... po prostu przestał w nie wierzyć. Zresztą nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w takie liczby: (...) *Trzysta tysięcy walecznego żołnierza szło pod broń naprzód, a z nimi nieporównanie*

⁴ Petroniusz, *Satyryki* 70, przeł. i oprac. M. Brożek, Wrocław 2005, s. 86.

⁵ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, tom I, ks. IV r. 13, przeł. L. Piotrowicz, Wrocław 2004, s. 60.

większe tłumy dzieci i kobiet (.../'. Przecież dotychczas najliczniejszy lud, z jakim Rzymianie mieli do czynienia, czyli Galowie, wystawiał do boju ogromne siły, ale nigdy nie przekraczały one 120 000 ludzi! (jeszcze dziś te liczby, nawet przy założeniu, że są mocno przesadzone, robią wrażenie...)- Zatem uznawszy te wieści za bałamutne, Papirusz Karbon rozumował dalej całkiem logicznie. Założył, że Norykowie, jak wszyscy przegrani, przesadzają, a klęski, jakie ponieśli, należy złożyć na karb - tu pewnie doszła do głosu jego typowo rzymska pycha - ich nieudolności w boju, a nie ogromnej przewagi przeciwnika. W związku z tym postanowił nie dawać wiary plotkom i nie straszyć siebie i wojską jakąś wielką chmarą nieludsko silnych Germanów. Oczywiście, wierzył, że przybysze są liczni i waleczni, ale przecież nie aż tak, by nie dało się ich pokonać. Liczył na to, że rozproszyli siły po całym Norykum w celu złupienia kraju i że jakąś część napastników zaangażowały wolne od oblężenia oddziały Noryków.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Karbon uznał, że jego armia, choć może nie potężna, jest wystarczająco silna, by dać przeciwnikowi należyty odpór. A i siebie nie uważał za gorszego wodza niż arystokraci, którzy niedawno zmiażdżyli Galów. Jako plebejusz, wybrany dzięki stronnictwu popularów, miał wszystkim coś do udowodnienia. Plebejusze rzadko osiągali sukcesy jako naczelni dowódcy, bo rzadko osiągali stanowiska konsulów. Jak to się robi, dał przykład wspomniany tu już Mummiusz Achajski, kolekcjoner posągów. Potem długo nie było plebejuszy na czele armii, aż pojawił się on, Papirusz Karbon. Wódz, który nie miał zamiaru czekać bezczynnie na Germanów, tym bardziej że trasa marszu w kierunku twierdzy Noreja raczej oddalała ich, niż przybliżała do granic Italii, postanowił przyspieszyć bieg wydarzeń. Ponieważ *tamci go nie zaczepiali, sam na nich uderzył, zarzucając im, że napadli na Noryków, którzy są zaprzyjaźnieni z Rzymianami*¹.

Marsz Rzymian nieco skonsternował Germanów. Mogli lekceważyć wszystkich po drodze, gniotąc ich swoją przewagą liczebną i walecznością, ale z samym Rzymem nie mieli zamiaru wszczynać zwady. Wieści o rzymskiej potędze i wprost nieludzkiej skuteczności wojska rzymskiego dochodziły z pewnością nawet do najdalszych zakątków Germanii. Wojny z Rzymem nie chcieli. I dlatego, a może też dla zyskania na czasie (...) *Teutonowie skierowali do zbliżającego się Karbona posłów z oznajmieniem, że nie wiedzieli, iż Norykowie są z Rzymianami zaprzyjaźnieni, więc na przyszłość nie będą ich niepokoić*".

¹ Plutarch, *Mariusz II* [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957, s. 485.

² Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, *op.ci!*

³ *Ibidem*.

Przebieg teutońskiego poselstwa i jego przesłanie upewniły rzymskiego wodza co do słuszności jego rachub. Mając to na względzie, konsul wpadł na pomysł, jak korzystnie zakończyć całe to przedsięwzięcie. Kto wie, czy nie zaświtała mu w głowie myśl, że raz wydobytej broni należy użyć? Kiedyś jeden z Papiriuszy (ale z linii arystokratycznej), dzierżąc naczelne dowództwo, wydał jakiś rozkaz. Rozkazu tego ktoś nie wykonał. Wtedy konsul Lucjusz Papiriusz Kursor wezwał winowajcę przed swe oblicze, po czym krzyknął: (...), „*Dobądź siekier, liktorze!*” - a gdy ujrzał, że tamten osłupiał ze strachu przed śmiercią, kazał liktorowi wykarczować przeszkadzający przechodniom korzeń na drodze⁹. Teraz plebejski konsul Papiriusz w roli obnażonej siekiery ujrzał swoją armię, gotową do ataku na przeciwnika. Trzeba było jej użyć, by wykarczować Norykum z napastników. Kto wie, może wówczas zdecydowano by w senacie o nazwaniu Papiriusza „Cymbryjskim” albo „Teutońskim”? Co prawda użycie armii równałoby się zerwaniu świeżo przyjętych układów, ale i w tym konsul widział korzyść: przeciwnik nie spodziewał się ataku. A że zaskoczenie to połowa sukcesu w walce, więc konsul, niewiele się wahając, jak pomyślał, tak i zrobił.

(...) *Karbon pochwalił postów i dał im przewodników na drogę, którym potajemnie polecił, by ich prowadzili dłuższą drogą, a sam podążył krótszą i niespodziewanie uderzył na odpoczywających jeszcze Teutonów*”. Przy normalnym układzie sił przedsięwzięcie Karbona miało wszelkie szanse powodzenia. Okazało się jednak, że to, co widział pod Noreją, to była tylko część sił obleźniczych. Reszta nie tyle ukryła się, co rozłożyła za pagórkami, które całkowicie przesłaniały widok. W swojej żądzy odniesienia świetnego zwycięstwa i późniejszego triumfowania, konsul popełnił identyczny błąd, jak wiele wieków później bardzo ambitny a niezbyt zdolny amerykański generał Custer pod Little Big Horn - wbrew oczywistym faktom i zdrowemu rozsądkowi zaatakował zbyt szczupłymi siłami zbyt wielki obóz. Ot, kawaleryjska fantazja, tylko w czasach rzymskich jakby w innej, dużo większej skali. To się nic mogło dobrze skończyć dla konsula, który (...) *poniósł wielkie straty. Może nawet wszystkich byłby zgubił, gdyby nie to, że jeszcze w ciągu bitwy zapadły ciemności, a następnie lunął deszcz i odezwały się donośne grzmoty. Jedni i drudzy wycofali się i walkę, ze strachu przed mocami niebieskimi, przerwano. Rozproszeni Rzymianie schronili się mimo to w lasy*

⁹ Pseudo-Aureliusz Wiktor, *O sławnych mężach* 31 [za:] J. Łanowski, *Antologia anegdoty antycznej*, Wrocław 1963, s. 148.

¹⁰ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, op. cit..

*i dopiero po trzech dniach ledwie się pozbiali*¹¹. To oznacza, że musiały w rzymskich szeregach zapanować totalna panika i chaos, a ulewa stała się tylko pretekstem, by rozproszyć się po lasach.

W innym źródle rzecz ujęto krócej: *Wędrowny naród Cymbrów przybył do Ilirii w celach grabieżczych. Rozbili oni konsula Papiriusza Karbona wraz z jego wojskiem*¹².

Ale i Germanie byli pod wrażeniem rzymskiej waleczności. Nie poszli do Italii, lecz skierowali się do Galii. Tym samym na Galię przyszły ciężkie czasy. Miały trwać długich 10 lat.

Z punktu widzenia sytuacji sprzed najazdu Cymbrów, bilans zmagañ wojennych w regionie środkowego Dunaju, mimo TEJ niewątpliwej klęski, Rzymianie mogli uznać za korzystny. Działania konsula Karbona, choć zakończyły się niepowodzeniem, a on sam mógł się poczuć co najmniej rozczarowany, doprowadziły przecież do tego, że Germanie opuścili kraj Noryków. Biorąc pod uwagę, że interwencja armii konsula Karbona miała charakter jedynie pomocniczy, jej klęska nie niosła ze sobą jakichś szczególnie negatywnych konsekwencji, bo, jak się okazało, Skordyskowie nie przeszli do groźnej ofensywy. Główne zadanie Rzymian w tamtym rejonie nie polegało przecież na wdawaniu się w wojny poza granicami Imperium - nawet jeśli były to wojny sojusznicze - ale na wzmocnieniu znaczenia rzymskich sił w Macedonii, by osłonić tę prowincję przed napaściami zuchwałych plemion trackich. W tej sytuacji pojawienie się Cymbrów i Teutonów, paradoksalnie, działało na korzyść Rzymian, bo angażowało Skorzystków, odwracając ich uwagę od lokalnej niemocy Rzymian. W tym samym czasie, gdy Karbon usiłował nagiąć oporną, norycką rzeczywistość do własnej woli, gromadzono wojsko do kampanii trackiej, bo gołym okiem widać było, że tam jest najpoważniejsze zagrożenie. Dzięki temu rok później konsul *Liwiusz Druzus walczył pomyślnie w Tracji ze Skordyskami (...)*¹³, a nawet wyparł ich czasowo za Dunaj. Tak pomszczono na Skordyskach klęskę poniesioną przez konsula Porcjusza Katona w roku 114. Rzymianie wykorzystali więc zamieszanie wywołane najazdem Cymbrów i Teutonów, by wziąć odwet na swoim, jak przypuszczali, najgroźniejszym przeciwniku. Poza tym, mimo istnienia innych teatrów wojennych, przez najbliższych kilka lat regularnie wysyłali do Macedonii posiłki.

¹¹ *Ibidem*.

¹² Liwiusz: *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LXIII, przeł. A. Kociołek, M. Brożek.

¹³ *ibidem*.

Nie był to zapewne przejaw dalekowzroczności, ale faktem pozostaje, że decyzje co do podziału teatrów wojennych zapadły przed pojawieniem się Cymbrów. Oddziaływanie tego plemienia na Rzym dopiero się zaczynało, z czego u sterów Imperium po prostu nie zdawano sobie sprawy. Uwagę ojców w senacie zaprzętały bowiem nie barbarzyńskie ziemie galijskie, zresztą oddzielone niebotycznymi Alpami, ale wydarzenia trackie, a od pewnego czasu jeszcze bardziej afrykańskie, czyli dążenie numidyjskiego władcy Jugurty do jedynowładztwa. W sytuacji gdy w zdające się nie mieć końca skandale zamieszany był niejeden z senatorów bądź ich braci czy druhów, jacyś tam Cymbrowie czy Teutoni, którzy nie wiadomo skąd przyszli i już sobie poszli, nie byli nawet tłem dla bieżących wydarzeń! A oto sprawy, jakie począwszy od roku 112 p.n.e. zaprzętały umysły władców świata.

O sile złota. Pierwsza odsłona wojny jugurtyńskiej w latach 112-110 p.n.e.

Jugurta był wnukiem Masynissy, władcy szczególnie zasłużonego dla Rzymu w drugiej wojnie punickiej. Jako że pochodził z nieprawego łoża, wszystkim w tym rodzie się zdawało, że będzie człowiekiem od czarnej roboty, podczas gdy rządzić będą legalni potomkowie królów. Jugurta prowadził wojny w imieniu króla Micypsy, przywoził Rzymianom posiłki (np. pod Numancją), zyskując, niepostrzeżenie dla swojego władcy, ogromną popularność w samej Numidii jako człowiek dzielny i inteligentny. Micypsa, mając na względzie tę popularność i młody wiek własnych synów, Hiempsala i i Adherbala (obu niezbyt inteligentnych), usynowił Jugurtę. Wołą umierającego Micypsy było, by doświadczony Jugurta przywiódł młodzieńców bez szwanku do najwyższej władzy. Z punktu widzenia Rzymian było to dobre rozwiązanie - władza w silnym królestwie byłaby tym samym podzielona na trzy. Ale zaraz pojawiły się problemy, bo Jugurta, tuż po śmierci Micypsy, przekupił ludzi z orszaku króla Hiempsala i kazał młodzieńca zamordować. Nie chciał trój władzy, dążył do jedynowładztwa. Tak wybuchła wojna domowa w Numidii.

Jugurta, jako bardzo sprawny żołnierz i administrator, szybko zajął całą Numidię, bijąc drugiego króla, Adherbala, w polu i zdobywając jego twierdze. Adherbal uciekł do Rzymu, który zawrzał powszechnym oburzeniem na Jugurtę. (...) *Wtedy Jugurta, osiągnąwszy swe zamierzenia i stawszy się panem Numidii, zaczął rozważać w spokoju ducha swój po-*

stępek i odczuwać lęk przed narodem rzymskim (...) Przewoził po kilku dniach wyprawia do Rzymu posłów z wielką ilością złota i srebra, i zaleca im najpierw hojnie obdarować dawnych jego przyjaciół, następnie nowych jeszcze pozyskać, w końcu bez wahania robić wszystko, co tylko przekupstwem da się osiągnąć¹⁴. Metoda okazała się bardzo skuteczna i niewiele pomogło Adherbalowi jego dramatyczne przemówienie w senacie. Zyskał tylko tyle, że komisja senacka miała na miejscu, to znaczy w Numidii, przeprowadzić sprawę podziału państwa między niego a Jugurtę.

Komisja, początkowo nastawiona bojowo w stosunku do Jugurty, wkrótce spuściła z tonu. Większość z komisarzy dała się przekupić samozwańcemu królowi, toteż dokonany podział ziem był niespecjalnie sprawiedliwy, co oczywiście zapowiadało nieuchronną wojnę. Wkrótce Jugurta wkroczył na ziemie Adherbala. W nocnej bitwie pod Cyrta pokonał siły przeciwnika i zajął jego obóz. Adherbal zbiegł do Cyrty, gdzie go obleżono. Stamtąd wzywał pomocy rzymskiej.

Do Numidii ponownie przybyła wojowniczo nastawiona komisja senacka (wniosek o wysłanie tam wojska sprytnie utracono), a Jugurtę, bardzo energicznie szturmującego Cyrte, wezwano przed oblicza komisarzy. (...) *I chociaż w imieniu senatu wypowiedziano ostre groźby pod jego adresem za to, że nie odstępował od obleżenia, to jednak po długich rozmowach posłowie odjechali z niczym*¹⁵.

Adherbal, za namową towarzyszących mu w Cyrcie Italików, poddał twierdzę i siebie samego Jugurcie. Ten natychmiast kazał go torturować, a potem zabić. Przekupnym arystokratom w Rzymie było to w zasadzie obojętne, ale zdaniem stronnictwa popularów, na szwank narażono godność państwa. W Rzymie dało się słyszeć gniewne pomruki, więc do Afryki pospiesznie wyprawiono armię konsularną z konsulem Lucjuszem Kalpurniuszem Bestią jako jej wodzem naczelnym. A to oznaczało, że sprawę potraktowano bardzo poważnie.

Konsul, nastawiony bojowo, zaczął działać z rozmachem - zdobył kilka miast, pojmał sporo niewolników. Szybko jednak okazało się, że - podobnie jak członkowie poprzednich komisji senackich (zresztą kilku ich miał przy sobie w charakterze legatów) - jest mało odporny na błysk złota. Wkrótce strony dogadały się: Jugurta skapitulował, oddając Rzymianom trzydzieści słoni (których znaczną część odzyskano, „odkupując” je od oficerów rzymskich), konie, bydło i pewną kwotę w srebrze. Między numidyjskim władcą a Rzymianami zapanował pokój.

¹⁴ Gajusz Salustiusz Krispus, *Wojna-Jugurta* 13 [w:] *Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurta*, przekł. K. Kumaniecki, Wrocław 1971, s. 45.

¹⁵ Salustiusz, *Wojna z Jugurta* 25, op. ci./., s. 55.

Za to w Rzymie znów zawrzało. Lud wzburzył się na wieść o tym jawnym przekupstwie; zresztą, jak wieści niosły, konsul nie cenił się zbyt wysoko. Podjęto uchwałę ludu (...) *której mocą ówczesny pretor Lucjusz Kasjusz miał udać się do Jugurty w poselstwie i udzieliwszy mu ze strony państwa oficjalnej gwarancji nietykalności, sprowadzić go do Rzymu, aby w ten sposób przez zeznanie króla tym łatwiej wyszły na jaw przewinienia (...)*¹⁶ przekupnych urzędników. Jednocześnie odnaleziono niejakiego Massywę, ostatniego wnuka Masynissy, szykując go do objęcia tronu w Numidii. Jugurta okazał się jednak sprytny i wywinął się z tej pułapki. Niby przybył, ale nic po to, by złożyć zeznanie, bo „zabronił” mu tego jeden z trybunów ludowych, a władza trybunów, jak wiadomo, jest święta. Massywa natomiast padł ofiarą zamachu. Ponieważ jednego z zamachowców schwytano i nakłoniono do zeznań, senat nakazał Jugurcie usunąć się z Italii, co ten skwapliwie uczynił i odpłynął do Numidii.

Nowym dowódcą armii rzymskiej w wojnie z Jugurtą został konsul Albinus. Jugurta tak długo wodził go za nos, aż nadszedł czas wyborów w Rzymie, a konsul do tego stopnia przejął się polityką, że wrócił do ojczyzny, by ich dopilnować. Zostawiony w charakterze legata brat konsula, Aulus, wpadł na pomysł, by zakończyć ślimaczącą się wojnę w czasie zimy i rozpoczął oblężenie miasta Suthul, bo tam znajdował się numidyjski skarbiec. (...) *A Jugurta, poznawszy się na niepoważnym charakterze i niedoświadczeniu legata, podstępnie zwiększał jego szaleństwo*¹⁷ - odciągnął go od twierdzy, a następnie wodził z całą armią po różnych bezdrożach, udając własną słabość. Jednocześnie przekupił kilka oddziałów i wypróbowanym już sposobem, po zapewnieniu sobie przewagi, nocnym atakiem zdobył obóz Rzymian. Przy okazji kilka oddziałów przeszło na jego stronę, a (...) *pierwszy centurion trzeciego legionu dał nieprzyjaciołom możliwość przejścia przez tę część umocnień, którą miał wyznaczoną do obrony*¹⁸. Armia rzymska zbiegła z obozu na sąsiednie wzgórze, gdzie jęponownie osaczono. Tam, pozbawiona broni, żywności i wody, za zgodą niefortunnego dowódcy Aulusa, zgodziła się przejść pod jarzmem, byle wyjść cało z opresji.

Rzymzawrzało oburzeniem. Bezskutecznie. Do wojskaw Numidii powrócił konsul Albinus i szybko doprowadził je do stanu totalnego rozprzężenia - kwitła korupcja, nieróbstwo i porubstwo. Wojnę z Jugurtą zawieszono do czasu przybycia do Afryki konsula Kwintusa Cecyliusza Metellusa w roku następnym, czyli 109 p.n.e. Wtedy jednak znów, jak wynika z za-

¹⁶ *Ibidem*, 32, s. 60.

¹⁷ *Ibidem*, 38, s. 63.

¹⁸ *Ibidem*.

pisków w annałach, objawili się w okolicach Italii germańscy najeźdźcy i to objawili w sposób dla Rzymian zaiste przykry. Wróćmy więc do nich, a sprawę dowództwa konsula Metellusa w Afryce omówimy przy innej okazji.

Drugie starcie Rzymian i Cymbrów - Prowincja Galia Zaalpejska, rok 109 p.n.e.

Cymbrowie i Teutoni znikają nam z widoku na 3 lata, lecz nic tak do końca. Ślady ich obecności odkryto nieopodal Manching¹⁹ w dzisiejszej Bawarii; wówczas był to obszar Galii (znaleziono tam kilka spinek do płaszczy, wytworzonych w kręgu tzw. kultury jastorfskiej). Nie zatrzymali się tam jednak długo; podążali do „prawdziwej” Galii w poszukiwaniu swojej ziemi obiecanej. A że tam jej nie znaleźli, szli dalej. Możliwe, że właśnie wtedy doszli do granic terytorium Belgów, którzy ich zatrzymali, a potem odparli; potem, aż do czasów podbojów Cezara, chętni, że tylko (...) *oni jedyni, gdy (...) całą Galię najechali Teutonowie i Cymbrowie, nie dopuścili najeźdźców do swoich dziedzin (...)*²⁰. Inni nie mieli tyle szczęścia ani nie byli tak mężni jak Belgowie. Pobici w polu, pozamykali się w *oppidach* i tam, głodując, czekali, aż ciemieżca zniknie. Sami Arwernowie przyznawali, że przetrwali wówczas tylko i wyłącznie dzięki ludożerstwu: (...) *nasi przodkowie, zagnani do zamkniętych miast i zgębieni (...) brakiem żywności, utrzymywali się przy życiu spożywaniem ciał tych, których ze względu na wiek uznano za nieprzydatnych w tej wojnie, i wrogom nie ulegli*²¹. Bawiąc na terytorium Arwernów, Cymbrowie zbliżyli się niebezpiecznie do posiadłości rzymskich, czyli Galii Zaalpejskiej. Tym razem Rzym bacznie przyglądał się ich działaniom, gdyż wprowadzali zamęt, jakiego tam od czasu wędrówek plemion celtyckich nie widziano.

Pamiętajmy, że w tym samym czasie Imperium toczyło średnio pomyslną wojnę ze Skordyskami oraz kompromitującą wręcz wojnę z Jugurta w Afryce. Zadania w roku 109 podzielono więc następująco: gdy jeden konsul - Kwintus Cecyliusz Metellus - popłynie z armią do

¹⁹ Flemming K., Martens J., *Southeast Europe Influences in the Early Iron Age of Southern Scandinavia. Gimdestrup and the Cimhri* [w:] *Acta Archeologica* vol. 66-1995, Kobenhavn 1995, s. 111-155.

²⁰ Cezar, *Wojna gallicka II*, 4, 2 [w:] *Corpus Caesariarum*, przeł. E. Konik i W. Nowosielska, Wrocław 2003, s. 84, skrót autora

²¹ *Ibidem*, YH.77.12, s. 197.

Afryki, by tam poskromić bezprzykładnego łapówkarza Jugurę, drugi z konsulów - Marek Juliusz Syllanus - zabezpieczy Galię Zaalpejską przed ekspansją Cymbrów i zlikwiduje wywołane przez nich niepokoje. Zadanie wykonał tylko ten pierwszy, za co zyskał potem zaszczytny przydomek „Numidyjskiego”. Konsul Syllanus na przydomek „Cymbryjski” nie zasłużył, gdyż jego armię konsularną, gdzieś na krańcach pilnowanych przezeń ziem Allobrogów, wrogowie po prostu zniszczyli w bitwie. Po tym fakcie Cymbrowie wysłali do Rzymu poselstwo. Posłowie cymbryjscy stanęli przed senatem i zażądali (...) *przydziatu siedziby i pola uprawnego, gdzie mogliby osiąść na stałe. Senat im odmówił*²². Bo też -jak to dość prosto-linijnie tłumaczy dziejopis Florus - (...) *jakież ziemie mógł dać naród rzymski, toczący wojnę domową z powodu ustaw agrarnych?*²³*

To żądanie brzmi tak, jakby Germanie byli już w Italii i czegoś w związku z tym oczekiwali. W istocie chcieli pewnie ziem Galii i gwarancji rzymskich, że będą mogli żyć tam w pokoju, nie nękani przez Rzymian i nie-Rzymian. Ale Rzym nigdy nie ustępował przed żądaniami, nawet gdy go zwyciężano. Wprawdzie stracił w tych walkach sporo swoich obywateli, ale przecież dotychczasowe dwie porażki z tym germańskim ludem to jeszcze nie totalna klęska, a jak uczyły dzieje, słabszy niż obecnie Rzym ponosił boleśniejsze porażki i jakoś z tego ostatecznie wychodził zwycięsko. Teraz też wydawało się, że do totalnej klęski jest jeszcze daleko.

Tymczasem Cymbrowie przyjęli odpowiedź Rzymu i - o dziwo! - poszli sobie gdzie indziej, czyli w ciągle jeszcze niezłupioną doszczętnie Galię.

Jak biją się Helweci - Prowincja Galia Zaalpejską, rok 107 p.n.e.

Nie wiemy, co się wydarzyło w sprawie lub z powodu Cymbrów w roku 108, za to nie ulega wątpliwości, że do sporego zamieszania doszło w Afryce. Do Rzymu docierały stamtąd dramatyczne, choć cokolwiek przesadzone wieści o celowym przeciąganiu wojny z Jugurą. Żołnierze mieli jej dosyć, za to dowództwo miewało się całkiem dobrze, choć na to - ich zdaniem - nie zasługiwało. Z całej wyższej kadry dowódczej

²² Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LXV, przcl. A. Kociołek, M. Brożek.

²³ Lucjusz Anneusz Florus, *Zarys dziejów rzymskich* 38, przeł. I. Lewandowski, Wrocław 2006, s. 104.

jedynie legat Gajusz Mariusz budził ich szacunek: nic tylko sam, mimo wysokiej godności, zachowywał się jak prosty żołnierz, to jeszcze, w odróżnieniu od nadętych arystokratów, chciał tę uciążliwą wojnę jak najszybciej zakończyć. Nie krył przy tym swojej dezaprobaty dla faktu, że dowództwo, mimo wypracowanej przewagi, dla osobistych zysków celowo ją przeciągało, wchodząc w dziwaczne układy z nieprzyjacielem i angażując w konflikt coraz to nowe plemiona.

Obywatelska armia jakby czekała na podobne sugestie. Doświadczenia przodków z Hiszpanii były powszechnie znane i żołnierze nie zamierzali tym razem dać się wodzić za nos patrycjuszom. Ponieważ zbliżał się termin wyborów konsulów na rok 107, rzymscy wojownicy ślali do domów gorące listy, w których głosili, że tylko Gajusz Mariusz, były pretor, służący w wojsku od szeregowego żołnierza, może - i powinien! - zostać konsulem. Wieści z tych listów zwielokrotnionym echem rozsiewali po Rzymie popularzy. Nawet to, że dowodzący armią afrykańską prokonsul Mctellus nie chciał udzielić kandydującemu w wyborach Mariuszowi urlopu i drwił z jego politycznych ambicji, odpowiednio nagłośnione, przyczyniło się do sukcesu wyborczego legata jako człowieka spoza układów arystokratycznych. Na fali powszechnego niezadowolenia z patrycjuszy, ekwita Gajusz Mariusz został konsulem na rok 107. Stronnictwo popularów odzyskało swoją siłę.

Na drugiego konsula wybrano Lucjusza Kasjusza Longinusa, arystokratę z krwi i kości. Z woli ludu zakres działania podzielono między konsulami w ten sposób, że ekwita Mariusz miał zakończyć wojnę w Afryce, a patrycjusz Kasjusz dbać o bezpieczeństwo Galii Zaalpejskiej, gdzie trwał niekontrolowany ruch galijskich Helwetów. Wyniki z pól bitewnych pokazały, który z konsulów był lepszy.

O Helwetach wiemy sporo, gdyż Gajusz Juliusz Cezar zaczął podbój Galii od zatrzymania, pokonania i zawrócenia tego plemienia, gdy postanowiło ruszyć w drogę całąswojąkilkusetstysięcznąmasą, pałac uprzednio domostwa i niemożliwe do wywiezienia zapasy. Wtedy, w roku 58 p.n.e., Helweci -jeśli wierzyć Cezarowi -podjęli wędrówkę w celu znalezienia sobie lepszych ziem i zawładnięcia Galia, choć niewykluczone, że mimo zabezpieczenia szerokim Renem, po prostu dały się im we znaki naciski Germanów. Teraz, w roku 107 p.n.e., do kraju Allobrogów, czyli rzymskiej Prowincji, całą swoją siłą ruszyło plemię helweckich Tygurynów. Powodów tej wędrówki możemy się tylko domyślać, bowiem annały dosyć pobieżnie łączą w związek przyczynowo-skutkowy wędrówki Cymbrów z wędrówką Helwetów. Mając jednak na względzie fakt, że Cymbrowie ciągle kręcili się w okolicy, bez ryzyka popełnienia poważnego błędu można się tego związku doszukać. Być może Tygurynowie

nie czekali na swoją kolej i woleli zawczasu zejść z drogi niepokonanym Germanom. Gdyby tak było, mielibyśmy wyraźny ślad wskazujący na wspomniany wcześniej efekt domina. A może Cymbrowie dali tylko przykład?

Kalkulacje Tygurynów nie były bezpodstawne. Wyruszyli oni do krajów nie dość, że wcześniej pozbawionych przez Rzymian obrońców, to jeszcze, jak to czas jakiś temu wykazali Cymbrowie, słabo bronionych przez samych Rzymian. Helweci uważali więc, że nie napotkają na swej drodze poważniejszych przeszkód. Ponieważ Rzymianie czuwali nad tym rejonem, nad rzeką Garumną stanęła Tygurynom na przeszkodzie armia konsularna z konsulem Lucjuszem Kasjuszem Longinusem. W następstwie tego spotkania (...) *konsul Lucjusz Kasjusz został pobity z wojskiem i sam zginął na ziemiach Allobrogów w walce z gallickimi Tygurynami, szczepem helweckim, który odłączył się od swego państwa. Żołnierze, którzy z tej klęski uszli z życiem, dali zakładników i zgodzili się odstąpić przeciwnikowi połowę wszystkich swych rzeczy zapuszczenie ich wolno*²⁴. Rzecz znamienna, pertraktacje w sprawie swojego ocalenia rzeczywiście prowadzili żołnierze, nie wodzowie. Wyższa kadra dowódcza wyginęła niemal w całości, wśród nich m.in. wspomniany przez Cezara dziadek jego teścia, Lucjusz Pizon²⁵, legat któregoś z legionów. Żołnierze musieli się przy tym zgodzić na hańbiące ich przejście pod jarzmem.

Było to już drugie przejście pod jarzmem armii rzymskiej w ciągu pięciu lat, co szczególnie źle odebrano w Rzymie. Wieść o klęsce zdawała się być mniej bolesna! Nic dziwnego, że wiadomość o przegranej i śmierci konsula Kasjusza wywołała w Rzymie podwójnie fatalne wrażenie. W ciągu kilku lat utracono u granic Italii trzy armie konsularne, co musiało dawać do myślenia. Szczęśliwie z Afryki od kilku lat dochodziły nieco pomyślniejsze informacje, a w tym samym roku 107, gdy Tygurynowie przyprawili Rzymian o hańbiącą klęskę, z Tracji doszły bardzo dobre wieści - prokonsul Tytus Minucjusz Rufus prowadził bardzo pomyślnie działania wojenne przeciw Skordyskom, tak dobre, że zasługiwały na triumf! Oczywiście, czas zrobił swoje - jeszcze pięć lat wcześniej powszechnie by się z tego cieszone, lecz teraz Skordyskowie byli dla władców świata trzeciorzędnym przeciwnikiem.

Wszystkie te klęski i triumfy zamazywały obraz całości, czyniąc go niespójnym. Senat posługiwał się własną, niewzruszoną logiką, nie dopuszczając istnienia związku przyczynowo-skutkowego między

²⁴ Liwiusz, *op. cit.*

²⁵ Cezar, *op. cit.*. 1,12,7, s. 63.

porażkami a nieudolnością wodzów walczących w galijskich obszarach wojennych. „Ojcowie” byli przekonani, że klęski w starciach z Cymbriami, Teutonami i Tygurydami ponoszono ze względu na... zbyt małą liczbę żołnierzy zaangażowanych w bitwach! Wobec tego następnemu wodzowi postanowiono ofiarować podwójną armię konsularną, czyli ok. 40 000 ludzi, co było sensownym posunięciem, zważywszy na mrowie Germanów. Za to w kwestii naczelnego dowództwa wykazano zaledwie minimum troski, oddając je w ręce ludzi wprawdzie ustosunkowanych i gwarantujących poparcie dla spraw arystokracji, ale zarazem całkowicie nieodpowiedzialnych.

Arausio - Prowincja Galia Zaalpejska, 6 października²⁶ 105 roku p.n.e.

Wodzem, który miał wreszcie wykazać rzymską przewagę w kraju Allobrogów (a i podreperować nadszarpnięty autorytet patrycjuszowy), był Kwintus Serwiliusz Cepio. Zaszczycił dowodzenie podwójną armią konsularną nie każdemu się przytrafiał. Była to siła bardzo poważna, można by rzec, wyjątkowa. Konsul aż nazbyt mocno przejął się swoją rolą, którą zrozumiał jako powołanie do niezwyklej misji dziejowej. Pewien przewagi, przez cały rok urzędowania czekał z utęsknieniem na Cymbrów, ale nadaremnie. Okazało się, że barbarzyńcy za nic sobie mają ściśle określone terminy sprawowania władzy przez urzędników rzymskich. Rok konsulatu (106 p.n.e.) przemknął Serwiliuszowi jak z bicia trzasnął, a wrogowie nie pojawili się, choć wszelkie wieści wskazywały, że już nadchodzą i są tuż-tuż. No cóż - wielkie plemiona germańskie miały wiele różnych zalet, prócz jednej - szybkości działania.

Ku wprost nieutulonemu żalowi konsula Serwiliusza, Cymbrowie zwlekali ze swoim przybyciem tak długo, aż do Prowincji przyszedł

-¹ Problem datowania dziennego sprzed reformy julijskiej zasługuje na osobne opracowanie. Do reformy kalendarza przez Gajusza Juliusza Cezara brakowało raptem 60 lat. Jego reforma kalendarza, oprócz oparcia roku na czasie słonecznym, nie księżycowym, jak było do tej pory, polegała również na ujęciu 30 dni, by zrównać czasy głównych świąt z porami roku. Zgodnie zatem z naszą rachubą, bitwa pod Arausio rozegrała się we wrześniu. Datę 6 października podaję jako przyjętą w nauce.

Datę dzienną 6 października podaje Plutarch, przy okazji bitwy Lucjusza Lukullusa z królem Armenii Mitrydatesem. Rzymianie obawiali się walki tego dnia, ale Lukullus odpowiedział: („Aleja ten dzień uczynię dla Rzymian szczęśliwym”. A był to dzień tuż przed Nonami października.) Plutarch, Lukullus 27, [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1996, s. 143.

konsul roku 105, Gnejusz Malliusz Maksimus, ze swoją podwójną armią konsularną (bo senat uwierzył wreszcie w liczbę barbarzyńskich wojsk i wystawił drugą potężną armię). Tym samym władza wojskowa Kwintusa Serwiliusza spadała o szczebel niżej i z konsula stawał się prokonsulem. Jako prokonsul powinien podporządkować się nowo przybyłemu konsulowi, ale tego nie uczynił. Formalnie rzecz biorąc, trochę racji miał, bo *imperium*, czyli władza wojskowa na danym terytorium, to było *imperium*, niezależnie od jego rangi. Ale konsul, to konsul i koniec; prokonsul, zwłaszcza w sytuacji zagrożenia zewnętrznego, powinien go słuchać.

Jedyny sukces bojowy byłego konsula Serwiliusza polegał na tym, że prawdopodobnie to on zdobył miasto Tolosę (Tuluzę), które zbuntowało się przeciw Rzymianom (...) *pod wpływem nadziei pokładanych w Cymbrach. (...) Tymczasem Rzymianie, wpuszczeni przez przyjaciół, zajęli je nagłą nocą, splądrowali świątynię, potem zdobyli dużo pieniędzy*¹¹. I chyba właśnie tym posunięciem - wydaniem miasta na łup żołnierzom - zapewnił sobie Serwiliusz wdzięczność, a zatem i posłuszeństwo armii, zresztą na jej rychłą zgubę.

Nowy konsul wykazał się większą operatywnością (tu Serwiliusz pewnie zgrzytał zębami) i wysłał naprzód jednego ze swych legatów, Marka Aureliusza Skaurusa, zapewne razem z legionem, by rozeznał się, gdzie są owi Cymbrowie. Legat tylko połowicznie wywiązał się z powierzonego mu zadania. Wprawdzie znalazł Cymbrów, ale z fatalnym dla siebie skutkiem, bowiem (...) *został pobity i pojmany przez Cymbrów, a następnie zamordowany przez wojowniczego i młodego Bojoryksa, kiedy wezwany przez nich na naradę, odstraszał ich od przekraczania Alp i marszu do Italii, mówiąc, że Rzymianie są nie do pokonania*^{1*} (można sobie wyobrazić, że powiadomiony o takim końcu wyprawy rozpoznawczej Serwiliusz zacierał ręce z radości). Rzymianie zawsze zachowywali się butnie w kontaktach z obcymi ludami, tym razem jednak Marek Aureliusz przesadził, zwłaszcza że słowa o niezwyciężonym Rzymie musiały zabrzmieć niezbyt przekonująco w uszach Cymbrów, którzy od kilku lat doświadczali czegoś zupełnie przeciwnego, również na jego, Aureliusza, najświeższym przykładzie. Mamy też sygnał o zmianie na szczytach władzy u Cymbrów. Na ich czele stał teraz młody, wojowniczy i nerwowy człowiek, co raczej nie zapowiadało szybkiego przejścia plemienia na osiadły tryb życia.

²⁷ Kasjusz Dion Kokcejanus, *Historia rzymska*, XXVII.90, przeł. Wł. Madyda, Wrocław 2005, s. 122, skrót autora.

²⁸ Liwiusz, *periocha* ks. LXVII, *op. cit.*

Wobec zaplecza w postaci 80-tysięcznej armii, klęska jednego legionu nie wydawała się groźna, ale zmuszała do podjęcia odpowiednich decyzji. I nie trzeba było długo na nie czekać. (...) *Po śmierci Skaurusa Malliusz zawiązał Serwiliusza. Ten jednak odpowiedział, że każdy z nich powinien strzec swojej prowincji*²⁹. Przydzielając identyczne zadania obu wodzom, senat popełnił jeden zasadniczy błąd - nie wziął pod uwagę, że obaj panowie bardzo się nie lubią. Nikt nie sądził, że osobiste animozje okażą się dla nich ważniejsze od bezpieczeństwa ojczyzny. Rozwój dalszych wypadków wskazywał, że wybierając tych ludzi na konsulów, lud rzymski nie tylko zaniedbał sprawę ich wzajemnych relacji, ale również nie wziął pod uwagę ich walorów umysłowych i doświadczenia wojskowego, szczególnie Serwiliusza, którego ambicje, w obliczu rychłego starcia z wrogami, przybrały rozmiary wprost chorobliwe. Wkrótce zmienił on zdanie co do kwestii wspomnienia konsula i to z bardzo prozaicznego powodu, mianowicie (...) *przypuszczając, że Malliusz może samodzielnie odnieść jakiś sukces, zapłonął do niego nienawiścią. Bał się, że on może zdobyć sławę sam jeden, i poszedł do niego*³". Ale to nie był koniec pomysłowości prokonsula Serwiliusza, bowiem (...) *nie rozbił obozu w tym samym miejscu [co konsul Malliusz -przyp. aut.], ani nie przystąpił do żadnego wspólnego planu. Zajął stanowisko pomiędzy Malliuszem a Cymbami, aby uprzedzić go w starciu i zdobyć całą sławę wojenną*^{*1}. Trudno to nazwać inaczej niż infantylizmem w czystej postaci.

W tym swoistym wyścigu rzymskich dowódców Germanie dopatrywali się zrazu jakichś podstępów wojennych. Bo wyglądało to w istocie dość dziwnie i mogło budzić podejrzenia - dwa obozy, dwie bardzo duże armie, w dodatku manewrujące w obliczu nieprzyjaciela i nieokazujące strachu... To skłaniało do ostrożności. Dla wprawnych oczu wojowników germańskich jasne było, że przeciwnik jest teraz czterokrotnie silniejszy, niż dotychczas to bywało, przy czym ma jakiś tajemniczy plan na stoczenie bitwy. W istocie żadnego planu nie było, a dowódcy rzymscy, nawet w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, pozostawali trwale skłócenii. (...) *Mimo tych stosunków z początku budzili strach u wroga, jak długo ich waśń była nie znana. Co więcej, wzbudzili u wrogów pragnienie pokoju. Kiedy jednak Cymbrowie podjęli rokowanie w tej sprawie z Malliuszem jako konsulem, Serwiliusz oburzył się, że nie skierowali posłów do niego. Nie udzielił im odpowiedzi pojedynczej i niewiele brakowało, by posłów*

^M Kasjusz Dion Kokcejanus, XXVI.1.9I, op. cit., s. 122.

³⁰ *Ibidem*.

³¹ *Ibidem*.

zabił (...)³² - Oburzeni takim postępowaniem Cymbrowie uroczyście i niezłomnie poprzysięgli, że w mającej nastąpić bitwie żadnego z Rzymian nie oszczędzą³¹.

Po opisanej powyżej reakcji jednego z wodzów rzymskich Cymbrowie zorientowali się, z kim majądo czynienia. Gwoli sprawiedliwości i wbrew ustaleniom kronikarzy oraz późniejszym sądom, nie tylko Serwiliusz raził słabością umysłową w rozstrzygających chwilach. Również Malliuszowi na rozumności nie zbywało, co potwierdzało nie tylko jego mało zdecydowane dotychczasowe postępowanie, ale i następujący przypadek. Otóż choć w armii Serwiliusza powszechnie zdawano sobie sprawę z grozy sytuacji, to świadomość ta niekoniecznie była powszechna wśród najwyższego dowództwa (a że prokonsul nie tolerował w swoim najbliższym otoczeniu osobowości nieco wybitniejszych od swojej, więc miał tam gromadę potakiwaczy i zadufanych w sobie durniów). Widząc ogólnie skretynienie przełożonych, sprawy wzięli w swoje ręce żołnierze, którzy (...) *zmusili Serwiliusza, by udał się do Malliusza i naradził się z nim nad położeniem*^{*4}. Z zamysłu tego nic nie wyszło, a nawet przeciwnie: sytuacja uległa pogorszeniu. Wodzowie bowiem, jak to mieli w zwyczaju, (...) *wszczęli kłótnię i rzucili obelgi, rozstając się w sposób haniebny*^{3^}. W ten sposób Malliusz nie tylko nie doprowadził do zgody, ale też nie zdobył się na aresztowanie zbuntowanego podwładnego, co rozsądni przecież żołnierze tego ostatniego przyjęliby raczej ze zrozumieniem. Dla wszystkich stało się jasne, że wprawdzie pod Arausio w dwóch obozach warownych znalazły się dwie bardzo silne armie rzymskie, ale obie dowodzone są przez wyjątkowo tępych i niekompetentnych, a w dodatku oczadziałych chęcią przodownictwa za wszelką cenę wodzów, którym nie można ufać. Co gorsza, przeciwnik już o tym wiedział i nie czekał, aż Rzymianie zmadrzeją lub na ich miejsce przyjdzie ktoś kompetentny.

Cymbrowie postąpili tak, jak to Rzymianom obiecywali. Nie wiemy, jak rozstawiono wojska rzymskie, za to z całą pewnością można przyjąć, że ze sobą nie współdziałały. Wiadomo, że w decydującym momencie bitwy do niepowstrzymanego ataku ruszyli Ambronowie, plemię towarzyszące Teutonom. Nie dość, że Rzymianie nie ostali się w polu, to jeszcze nie zdołali obronić swoich obozów, co przy tak ogromnych siłach było wprost szczytem kompromitacji. Ponieważ mało kto uszedł z bitwy z życiem, można przyjąć, że Germanie osaczyli Rzymian, a potem przyparli

³² *Ibidem*, s. 122-123.

³³ [Za:] Orozjusz, *Historiom adversuspaganam*, V.16,

³⁴ Kasjusz Dion Kokcejanus, *op. cit.*, s. 123.

³⁵ *Ibidem*.

ich do Rodanu. Orozjusz daje nam opis tej rozpaczliwej bitwy, w której Rzymianie, widząc beznadziejność swojego położenia, sami wrzucali złoto i srebro do rzeki, by nie dostało się w ręce barbarzyńców. Zresztą Cymbrowie i Teutoni, wypełniając swoją straszną przysięgę, poświęcili wszystkich nieprzyjaciół i znaczną część ich ekwipunku bogom. Na strzepy rozrywano nie tylko odzież zdartą z ciał poległych, ale również cięto pancerze pokonanych, rozrzucając wszystko wokół jak śmieci. Zabijano więc nie tylko ludzi, ale także niszczone ich broń i oporządzenie, by nie mogły więcej służyć przeciw Cymbrom. Jeźdźców topiono w rzece razem z końmi, jakby na ofiarę bóstwu. Rzezi nie przerwano nawet po poddaniu się części rzymskich wojsk.

W zwyczajnych okolicznościach jeńcy, zwłaszcza bogaci, mogliby liczyć na wykupienie przez rodziny lub skarb państwa (choć z tym drugim byłoby gorzej, bo Rzym zawsze źle traktował tych, którzy poddali się wrogom). Jeśli Rzymianie na to liczyli, srodze się zawiedli: barbarzyńcy nie zważali ani na pochodzenie, ani na majątność jeńców, co szczególnie zemściło się na ekwitach. Niezależnie od wieku, pochodzenia i stanu majątkowego (...) *mężczyźni byli wieszani na drzewach z pętlą wokół szyi* – tak wierni byli Germanie swojemu słowu. Wielu Rzymian wolało więc samobójstwo niż haniebną śmierć z rąk barbarzyńskich. (...) *Padło tam, pod Arauzjoną, osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy i czterdzieści tysięcy służby obozowej, stajennej i kuchennej* – ubolewał Liwiusz. Komentarz wydaje się zbędny. Nawet po odjęciu tych 40 000 służby, pozostaje 80 000 (!) zabitych żołnierzy; to o kilkanaście tysięcy więcej niż poległo pod Kannami. W całych swoich dziejach Rzym nie poniósł większej klęski – ta była rekordowa! Przy okazji ukuto termin, który miał potem zadomowić się w mowie potocznej i oficjalnej – *Furor teutonicus* – na określenie niewyobrażalnej, zażartej, prymitywnej i pozbawionej logiki wściekłości.

Italia stanęła przed Cymbami otworem.

Czy skorzystali z okazji?

^{'''} Orozjusz, *op. cit.*

³⁷ Liwiusz, periocha ks. LXVII, *op. cit.*

STRACH W RZYMIE

Gdy rozeszła się wieść o katastrofie pod Arausio, nie tylko Rzymie, ale chyba i w całej Italii nie było optymisty na tyle szalonego, by sytuację uznać za niegroźną i łatwą do opanowania. Z bardzo prostej przyczyny - nie było wojsk gotowych bronić Italii przed barbarzyńskim najazdem, jaki lada chwila miał nastąpić. Choć w swych dotychczasowych kilkusetletnich dziejach Rzym stanął kilka razy przed widmem zagłady, tylko dwukrotnie ta groźba zdawała się być całkiem realna - podczas najazdu Galów oraz w czasie wojny z Hannibalem. Teraz barbarzyński wróg - znacznie liczniejszy od Galów, a o ileż waleczniejszy! - mógł swobodnie wejść do Italii i zrobić to, co nie powiodło się Hannibalowi. Po prostu nie istniała żadna rzymska armia polowa w tej części świata. Wprawdzie można było zaciągnąć nowe armie, ale złożone z małoletnich nowicjuszy lub steranych życiem weteranów. Najlepsze roczniki właśnie wojowały w Tracji, Hiszpanii, Azji i w Afryce, a większa ich część leżała pokotem pod Arausio. Spis ludności, przeprowadzony przez cenzorów w 114 roku p.n.e., czyli w roku, który zapoczątkował to pasmo katastrof, wykazał 394 336 obywateli², co teoretycznie powinno wystarczyć do powołania pod broń kolejnych roczników, ale iluż z tych obywateli w roku 105 już nie żyło lub było zatrudnionych gdzie indziej? Czy dziewięć kolejnych roczników, jakie w tym czasie zdążyły dojrzeć, mogło wystarczyć na uzupełnienie strat? Pamiętajmy, że wielu z potencjalnych żołnierzy wykluczały ze służby wojskowej stan zdrowia czy ubóstwo. Oczywiście, pozostawali Halikowie, ale i oni ponieśli w ostatnich latach ogromne straty, apozą tym Rzymianie przestrzegali zasady, by ich sprzymierzeńcy nie mieli w armii przewagi liczebnej nad obywatelami Rzymu.

¹ Cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, przedkład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002, s. 71.

² Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LXIII, przeł. A. Kociołek, M. Brożek.

Rekrutacja armii była najbardziej palącą potrzebą, ale nie był to jedyny problem wywołany przez niedający się zbagatelizować fakt katastrofy pod Arausio. Za przykładem Tyguryków, a zapewne pod wpływem upojonych sukcesem Cymbrów i Teutonów, zaprotestowały plemiona alpejskie sąsiadujące z italską Galią Transpadańską; może nie był to klasyczny bunt, co raczej próba wybitcia się na pełną niezależność. Przymusowi sprzymierzeńcy Rzymu w różnych częściach Imperium zaczęli się zachowywać całkiem dwuznacznie, a na terenie Italii zaczęło dochodzić do rozruchów wywołanych przez niewolników. Wkrótce miało wybuchnąć II powstanie niewolnicze na Sycylii, a pod jego wpływem kilka buntów w innych częściach rzymskiego świata. Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja przedstawiała się źle i kto wie, czy w pierwszym odruchu przywódcy dzierżących władzę koterii rodowych - Metellusów, Skaurusów czy Kasjuszów - nie zastanawiali się nad ewakuacją wojsk z niektórych prowincji w związku z potrzebą zapewnienia ochrony ojczyźnie.

Najeźdźcy blisko, a wojska daleko

W tych pomnych okolicznościach pytaniem zasadniczym dla grupy trzymającej władzę nad Rzymianami było: „Skąd wziąć żołnierzy?”. Nagle, pewnego dnia, okazało się, że Grakchowie mieli całkowitą rację, gdy w czasach o wiele pomyślniej szych militarnie twierdzili, że w Italii nie ma wystarczającej liczby obywateli gotowych nosić broń. Jeśli gospodarka latyfundiarna pośrednio wyssała z obywateli rzymską klasę średnią, to jeszcze większych spustoszeń dokonała wśród Italików. Teraz, po serii dotkliwych klęsk, okazało się, że rezerwy rekrutacyjne są tylko w klasie majątkowej, której nie brano dotychczas pod uwagę, czyli pogardzanej biedocie, egzystującej poniżej cenzusu majątkowego, uprawniającego do służby wojskowej w piechocie lekkobrojnicy. Mimo to spróbowano dokonać zaciągu w sposób tradycyjny, jednak rekrutów nie wystarczyło nawet na trzy pełne legiony, gotowe do działań w polu, a ich wartość bojowa okazała się niższa od zakładanej³, więc zaciągnięto tylko dwa legiony wzmocnione.

Próbowano zaradzić tej trudnej sytuacji innymi sposobami. Nie tylko Rzym, jak zapewne wyraźnie akcentowali władcy świata, by nie czuć się całkowicie osamotnionymi, ale cała Italia była zagrożona, więc jej duże zasoby, uzyskane kosztem ludów, z którymi Rzym wojował, należało

³ O tym będzie w dalszej części opracowania.

obrócić na odparcie najazdu. Rozesłano polecenia do namiestników prowincji, by zakończyli lub ograniczyli konflikty zbrojne, a zwolnionych żołnierzy, ile się da, przystali do obrony ojczyzny. I tak się stało: wkrótce wszelkie konflikty ograniczono do minimum, o czym świadczy postępowanie, jakie przyjęto wobec rozruchów w Hiszpanii. Jak mówi Appian: (...) *Ponieważ do Italii wpadli podówczas Cymbrowie, a na Sycylii toczyła się druga wojna z niewolnikami, więc Rzymianie tym zaprzątnięci nie wysłali do Hiszpanii wojska, a tylko wyprawili tam posłów, którzy mieli za zadanie zakończyć wojnę, jak tylko zdołają*⁴. Bardzo dobrze się przy tym złożyło, że tuż przed Arausio prokonsul Gajusz Mariusz zakończył ostatecznie wojnę w Afryce. Gdy tylko mógł, załadował swoje wojsko na okręty i popłynął do ojczyzny. I to był jedyny fakt dający w tych dniach Rzymianom jakąś nadzieję na przyszłość.

Rozprawy sądowe, modły, wybory i... zdrowy rozsadek

Prócz stanu armii, senat miał jeszcze jedno poważne zmartwienie - nastroje społeczeństwa. To ono, jak na razie, ponosiło największe straty, nie zyskując w zamian praktycznie nic. Jeśli wcześniej można było tłumaczyć, że patrycjusze są stworzeni do rządzenia, bo są wyposażeni w tradycję, wiedzę, wykształcenie i doświadczenie, to teraz, po Arausio, brzmiało to po prostu śmiesznie, choć ze względu na powszechną żalobę, mało komu było do śmiechu. Kwalifikacje jedyne go ucziwego wodza, pochodzącego z arystokracji - Cecyliusza Metellusa Numidyjskiego, nie mogły być tu żadnym argumentem, a raczej zyskiwały rangę wyjątku potwierdzającego regułę o krańcowej niekompetencji arystokracji.

Patrycjusze postanowili odzyskać zaufanie ludu innymi sposobami. Przede wszystkim urządzono proces pokazowy, który miał napiętnować winnych ostatniej katastrofy. Orzeczenie było całkowicie klarowne: (...) *Kłeskę zawiniła lekkomyślność Cepiona. Toteż skazano go na karę, skonfiskowano jego mienie na rzecz państwa, czyniąc to po raz pierwszy od czasów króla Tarliwiniusza, i odebrano mu dowództwo*⁵. Historia przekazała nam więc informację, że Kwintus Serwiliusz Cepio został ukarany za swoje warcholstwo. Czyżby Cepio był jednym z owych dziesięciu, którzy - według legendy - ocalili z katastrofy nad Rodanem?

⁴ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, tom I.VI.99, przeł. L. Piotrowicz, Wrocław 2004, s. 154.

⁵ Liwiusz, periocha ks. LXVII, *op. cit.*

Zapewne próbowano też skierować gniew ludu na innych winowajców. Zwyczajowo posługiwano się w podobnych przypadkach jakimiś bezbożnikami. To na ogół wystarczało, by przewiny całych społeczności rzucić na barki występnych jednostek, a lud, syty krwi, zwykle dawał potem znów sobą sterować. Niestety, najmocniejsze argumenty użyto już wcześniej. Od czasu nierządu trzech westalek i ich przykładowego ukarania, na inne święte dziewice nie padł nawet cień podejrzenia. Nie objawiła się też żadna nowa sekta. W takich przypadkach zwykle próbowano przekupić wrogich bogów, ale jak przekabacić na swoją stronę bogów germańskich, skoro nikt nie znał nawet ich imion? Sytuacja zmuszała więc do zastosowania przewidzianych obyczajem ofiar przebłagalnych wobec własnych bóstw, choć to posunięcie nijak nie mogło usatysfakcjonować ludu. No, chyba że liczba ofiar byłaby jakoś szczególnie imponująca. Obrzędy religijne mogły zrobić wrażenie tylko na najpobożniejszych z ludzi; być może przebłagały jakoś bogów, ale nijak nie mogły zadośćuczynić rodzinom żołnierzy, poległych z powodu głupoty wodzów. Patrycjuszom potrzeba było czegoś wyjątkowego... Tylko czego...? Wszystkie problemy były nadzwyczajne i żadna agitacja, rytuał czy groźby urzędnicze nie mogły przekonać kwirytów, że arystokracja wie, co robi i że sobie poradzi. Wręcz przeciwnie - powszechnie uważano, że patrycjusze ostatecznie się skompromitowali.

I tak nadszedł termin wyborów konsularnych. Potrzeba posiadania dobrego wodza nie była już nagląca; była paląca. Lud, nie oglądając się na żadne formalności, prawne czy zwyczajowe, wybrał na konsula człowiek z nizin - Gajusza Mariusza. Złamano przy tym dwie zasady jednocześnie: nazbyt szybko ustanowiono nowy konsulat po poprzednim i nie dopełniono warunku obecności kandydata w Rzymie. Ale w obliczu najazdu Cymbrów nic tylko lud był zdania, że prawo nie nadaża za rzeczywistością. Duża część senatorów opowiedziała się za Mariuszem, gdyż na czele armii należało postawić jedyne go wodza, który miał niekwestionowany autorytet. Tak nakazywał zdrowy rozsądek. Formaliści przestrzegający litery prawa siedzieli cicho.

I tak Gajusz Mariusz, o którym historyczne przekazy mają nam do powiedzenia więcej złego niż dobrego, został konsulem na rok 104. Przedstawmy bliżej tego człowieka.

Gajusz Mariusz - maż opatrnościowy

Czytając o Mariuszu w dziełach starożytnych historyków i pisarzy, należy mieć na względzie jedno - wszystkie zachowane opinie pochodzą z kręgu patrycjuszy, co samo w sobie nic byłoby całkiem złe, choć

zaowocowałyby może pewnymi złośliwościami. Chodzi jednak o to, że opinie o Mariuszu sformułowano przez pryzmat wydarzeń z późniejszej wojny domowej, w której obie strony, łagodnie rzecz ujmując, nie traktowały się jak przystało na dobrze wychowanych ludzi. Mariusz słusznie zyskał wtedy miano mordercy i nic będziemy go tu usprawiedliwiać. Kłopot polega na tym, że ani Mariusz, ani nikt z jego stronnictwa, w końcu jeszcze bezwzględniej, bo niemal do nogi wyróżnietego przez Sullę, nic nam sami nie mówią na swoją obronę (a w każdym razie nic nam o tym nie wiadomo). Pozostały natomiast głosy oskarżycieli, zresztą ludzi bardzo zręcznych, gdyż każdy patrycjusz, nawet ten głupi, musiał przejść etap kształcenia prawniczego. obrońców praktycznie nie dopuszczono do głosu. Zaś całkiem kuriozalne jest, że naszą wiedzę o Mariuszu w znacznej mierze kształtują informacje zawarte w pamiętnikach jego śmiertelnego wroga, Lucjusza Korneliusza Sulli, będące w gruncie rzeczy małodusznyymi zmyśleniami i oszczerstwami, powtórzonymi bez poważniejszej refleksji przez greckiego pisarza Plutarcha, wprawdzie człowieka, jak się wydaje, po ludzku uczciwego i porządnego, ale bezradnego wobec skrajnej stronnictwości dostępnego mu materiału źródłowego.

Starożytna historiografia przyjęła punkt widzenia arystokracji za swój, wobec tego każdy, kto w jakikolwiek sposób występował przeciwko porządkowi oligarchicznemu, stawał się w oczach patrycjuszy „warchołem”. Oto przykład. O znanych już nam Tyberiuszu i Gajuszu Grakchach napisał Kasjusz Dion Kokcejanus, historyk ponoć uczciwy i dociekliwy, ale odległy o kilkaset lat od opisywanych czasów:

(...) Grakchus miał te same zasady, co jego brat; jednakże drugi, choć szlachetny, dał się ponieść ambicji, która go spychała w niczemność. Pierwszy zaś z natury był gwałtowny i z własnej woli zachowa/ się jak łajdak⁶.

O Mariuszu wypowiedano się z jeszcze większym zacięciem moralizatorskim. W końcu nie byle czego dokonał ten „człowiek z ludu”.

Surowe wychowanie

W mniemaniu patrycjuszy, Gajusz Mariusz nie nadawał się na zbawcę ojczyzny. Uratowanie Rzymu to czyn wielki, a do takich czynów trzeba

⁶ Kasjusz Dion Kokcejanus, *Historia rzymska*, XXV.85, przeł. Wł. Madyda, Wrocław 2005, s. 118.

się odpowiednio, tj. w odpowiednim miejscu urodzić. Takim „miejscem” może być tylko znamienity ród, opromieniony chwałą zasłużonej przeszłości, zaludniony pretorami, konsulami i prawodawcami, gdzie nikt nie musiał pracować własnymi rękami, by utrzymać się przy życiu (nadspodziewanie łatwo zapominano o dyktatorach odrywanych od pług). Człowiek urodzony w takim miejscu otrzymywał odpowiednie wychowanie, uczył się języków obcych, czyli greki, poznawał sztukę wymowy, zgłębiał tajniki sztuki wojennej, a jako stworzony do wyższych celów, od wczesnej młodości sprawował funkcje dowódcze. Potem zostawał kolejno edylem, pretorem, wreszcie konsulem, co przecież z urodzenia mu się należało. I dopiero wtedy, zgromadziwszy te wszystkie zaszczyty, zasługi i przywileje, mógł wreszcie, zgodnie z naturalnym porządkiem spraw, zabrać się za ratowanie ojczyzny.

Mariusz nie spełniał żadnego z powyższych kryteriów. Urodził się w 156 roku p.n.e. (mówi się też, że w 158, a często przyjmuje się, na zasadzie złotego środka, rok 157), tyle że nie w dostatnim domu rodu opromienionego chwałą przodków, ale w Cereate, nieopodal prowincjonalnej miejsciny Arpinum, gdzie jego rodzice mieli swój niewielki majątek ziemski. Rozmiary majątności wprawdzie wystarczyły, by cenzor zaliczył ich do stanu ekwitów, ale były za małe, by domowników mogli we wszystkim wyręczać niewolnicy. Wobec tego ród *rv±ariuszów* utrzymywał się przy życiu, własnoręcznie pracując na roli. Nic dziwnego, że jedynym miastem, jakie przyszły „trzeci założyciel Rzymu” widywał w ciągu pierwszych kilkunastu lat swojego życia, było pobliskie Arpinum, zaś (...) *stolicę zobaczył w dość późnym wieku i późno skosztował nurtu jej życia*¹.

Nauki pobierał w zakresie bardzo podstawowym, wychowywano go jednak w surowej dyscyplinie starorzymskiej, na porządnego obywatela. Nieznajomość greki, a w każdym razie słabe jej opanowanie, początkowo nie przeszkadzała mu specjalnie w życiu, choć potem z tego właśnie powodu uchodził za prostaka wśród uczonych senatorów. On sam jednak pokpiwał z tego zarzutu (...) *śmieszna bowiem rzeczą wydawało mu się, jak pisać, poznawanie takiej wiedzy, której nauczyciele są niewolnikami drugich**. No cóż - greki rzeczywiście uczyli wtedy niewolnicy. Trzeba mu za to oddać sprawiedliwość, że to za jego sprawą otwarto w Rzymie pierwsze szkoły retoryczne, w których nauczano po łacinie, zamknięte zresztą potem (na krótko) przez patrycjuszowskiego cenzora, przeciw-

¹ Plutarch, *Mariusz 3* [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957. s. 473.

* Plutarch, *op. cit.*, 2, s. 472-473.

nego kształceniu ludzi prostych. Może więc nie był Mariusz takim nieukiem, jakim go przedstawiano?

Niezależnie od lepszego czy gorszego wykształcenia, Mariusz wyniósł z domu kilka cech, których senatorowie mogli mu pozazdrościć. Był bardzo silny i świetnie znosił wszelkie trudy. Jego wytrzymałość na ból zdumiewała. Dał jej dowód w późniejszym wieku, decydując się na operacyjne usunięcie żyłaków:

(...) Pierwszą nogę trzymał przy tym bez przywiązania, nie drgnąwszy nawet i nie wydawszy żadnego jęku. Z twarzą spokojną i w milczeniu zniósł przy tych cięciach wszystkie cierpienia, przechodzące siły ludzkiej wytrzymałości. Gdy jednak lekarz chciał się zabrać do drugiej nogi, już mu jej nie podał, mówiąc, że doszedł do przekonania, że polepszenie nie warte jest takiej męki⁹.

Większe czy mniejsze braki w wykształceniu nadrabiał Mariusz wybitną inteligencją i umiejętnością logicznego myślenia, a ponadto nigdy nie wpadał w panikę; potrafił trzeźwo ocenić sytuację, nie tracił głowy w trudnych chwilach i, jeśli zachodziła taka konieczność, nie ustępował pola - walczył do końca. Temu nikt nie mógł zaprzeczyć - Gajusz Mariusz był urodzonym żołnierzem.

Początki kariery wojskowej i politycznej

Gdyby był synem patrycjusza, zapewne odbyłby wcześniej praktyki wojskowe, np. przy swoim ojcu (bywały takie przypadki, będzie o tym niżej mowa przy Metellusie Numidyjskim), a potem, w wieku poborowym, zostałby jednym z trybunów, czyli oficerów sztabowych. Mariusz jednak trafił do wojska z poboru. W jego przypadku nie było mowy o praktykach czy stanowiskach oficerskich w sztabie; rozpoczął służbę jako szeregowy żołnierz jazdy, czyli na starcie nie został nawet podoficerem. Trafił przy tym w miejsce i czas, gdzie z człowieka od razu wychodziły wszelkie wady i zalety - pod znaną już nam Numancję.

Przyjęto się uważać, że jazda rzymska była słaba i niewiele znaczyła na polach bitew, wygrywanych ciężką piechotą legionową. Istotnie, mogłoby się tak wydawać, gdy analizuje się starcia zwykle słabej liczebnie konnicy rzymskiej z ludami tradycyjnie przyrośniętymi do końskich

⁹ Plutarch, *op. ci./.*, 6, s. 478.

grzbietów - Numidami, Persami, Scytami czy Sarmatami. Rzymianie przegrywali te starcia, ale nie dlatego, że byli nieudolni. Oni po prostu mieli za mało swojej rodowej jazdy, by to jej manewry rozstrzygały o przebiegu bitew. Oczywiście, każdy myślący wódz (a takich w dziejach Rzymu nie było wielu - dwóch, najwyżej trzech na pokolenie, acz była to liczba wystarczająca) starał się zapewnić swoim wojskom odpowiednią ilość kawalerii. Gajusz Juliusz Cezar uważał, że bez konnicy nie da się wygrać bitwy, a nawet jeśli się ją wygra, to i tak nie da się wykorystać tego zwycięstwa. Podobne poglądy miał przed Cezarem Scypion Afrykański Młodszy, przybyły do Hiszpanii, by wydobyć z głębokiej załości przebywającą tam rzymską armię.

We wcześniej, pod Kartaginą, na czele nie innych, lecz rzymskich i włoskich oddziałów konnych, tenże Scypion dobrze sobie radził w potyczkach z jazdą afrykańską, kilkakrotnie ocalając rzymskie oddziały piesze od osaczenia. Teraz, w Hiszpanii, zanim uznał, że skrzywiona mentalnie i fizycznie piechota rzymska nadaje się do jakichkolwiek czynów zbrojnych w obliczu nieprzyjaciela, działania osłonowe względem ćwiczących wojsk pieszych wykonywała właśnie ta jazda, o której jeszcze dziś wielu sądzi, że nie nadawała się do niczego. A z całą pewnością nie było to zadanie lekkie, łatwe ani przyjemne, bo wroga jazda celtyberyjska przedtem, wtedy i jeszcze długo później uchodziła za wyśmienitą. Teraz przyszło potykać się z nią rzymskim jeźdźcom, w tym Mariuszowi.

Scypionowi zależało na zwycięstwie, a poza tym on naprawdę wiedział, jak do niego doprowadzić. Nie patrzył na pochodzenie żołnierzy, lecz na ich walory bojowe. Sam dowodził często jazdą w potyczkach, więc szybko zorientował się, ile który żołnierz jest wart. Wkrótce wpadł mu w oko młodzian, który nie narzekał jak pozostali, bez szemrania znosił niewygody służby, broń i oporządzenie zawsze miał czyste i sprawne, a jego koń i muł były zadbane i dobrze odżywione. A gdy jeszcze ów „odmieniec” (...) *na oczach tegoż wodza powalił, jak powiadają, jednego z nieprzyjaciół, który z nim stanął do pojedynku*TM, co w tamtejszej armii rzymskiej po prostu się nie zdarzało, Scypion należycie wyróżnił tego człowieka. Rychło też przekonał się, że Gajusz Mariusz, bo takie imię nosił ów zacny, młody człowiek, jest nie tylko zdyscyplinowany i dzielny, ale także inteligentny. Ujęty tymi przymiotami, w czasie oblężenia Numancji, gdy armia rzymska wreszcie była sprawna, wódz naczelny często zapraszał Mariusza do swojego namiotu na pogawędki w gronie swoich oficerów sztabowych i przyjaciół. Prawdopodobnie więc młody żołnierz już wtedy został wyróżniony stanowiskiem oficerskim.

¹⁰ Plutarch, *op. cit.*, 3 s. 474.

Jak głosi legenda (...) *Scypion dawał mu wiele dowodów przywiązania. Między innymi raz, gdy po posiłku wywiązała się rozmowa, na temat wodzów i jeden z obecnych - czy naprawdę się o to martwił, czy też zrobił to dla sprawienia przyjemności Scypionowi - zapytał go, w kim naród rzymski będzie miał po nim takiego wodza i opiekuna, który by jemu dorównał, Scypion odpowiedział: „, Chyba w tym oto!” - i poklepał Mariusza z uśmiechem ręką po ramieniu*¹¹.

Numancja nie zapewniła wojsku wielkich bogactw, a nagrody triumfalne dla żołnierzy były wprost śmiesznie małe, ale ekwita Mariusz zyskał coś cenniejszego od pieniędzy - poważne uznanie w kręgach ludzi możnych i znaczących. Prawdopodobnie brał potem udział w innych wojnach, choćby z Galami, a że był zdolny i energiczny, inni ekwici popierali go w poczuciu solidarności kastowej. Ponadto, jako że z mocy tradycji był klientem bardzo możnego, dzierżącego wówczas - pośrednio i bezpośrednio - stery władzy senatorskiego rodu Metellusów, korzystał też z ich protekcji, w tym z przychylności Cecyliusza Metellusa Numidyjskiego, z którym w przyszłości miał obejść się niezbyt wdzięcznie.

W 119 roku Mariusz uzyskał trybunat ludowy. Wtedy pokazał siłę swojego charakteru - mimo oporu protektorów, w tym urzędującego konsula z rodu Metellusów, przeprowadził nowe prawo o głosowaniach, bardzo niewygodne dla nobilew, gdyż utrudniało wywieranie nieformalnych nacisków na głosujących. Dał się przy tym poznać jako człowiek uczciwy i nie ulegający presji żadnej ze stron. Najpierw zagroził aresztem sprzeciwiającemu się nowemu prawu konsulowi, a w kilka dni później, (...) *kiedy wniesiono projekt ustawy o rozdziale zboża, Mariusz z całą stanowczością sprzeciwił się nastrojom ogółu i zwyciężył, zyskując sobie równe uznanie stronnictw jako ten, który nie kieruje się żadnymi sympatiami partyjnymi, sprzecznymi z interesami państwa*¹².

Mimo tych wszystkich zalet, Mariusz przepadł w wyborach na edylów i dopiero w roku 115 został pretorem, co otworzyło przed nim nowe drzwi do kariery. Jako propretor został namiestnikiem Hiszpanii Dalszej; ponoć wytepił grasujące tam bandy rozbójnicze. Czy popełnił przy tym jakieś nadużycia, a jeśli tak, to jakie - nie wiemy, wiemy natomiast, że zyskał tam opinię uczciwego namiestnika. Z pewnością wzrosła jego sława wodzowska, ale nie aż tak, by mógł odbyć triumf. Jednakowoż dzięki temu namiestnictwu stał się człowiekiem zamożnym, bo nawet uczciwie

¹¹ *Ibidem.*

¹² Plutarch, *op. r/7.*, 4, s. 475-476.

urzędując, zyskiwało się w prowincjach spore dochody. Co ważniejsze, jako były pretor mógł brać udział w posiedzeniach senatu. Jego kariera rozwijała się całkiem pomyślnie, w dodatku związał się z patrycjuszowskim rodem Juliuszów, poślubiając Julię, ciotkę późniejszego dyktatora, Gajusza Juliusza Cezara.

Hańbiąca stan nobilew i imię Rzymu wojna z Jugurtą trwała już cztery lata, gdy w roku 109 wysłano tam konsula Cecyliusza Metellusa. Ten mianował jednym ze swoich legatów Gajusza Mariusza, choć niektórzy znawcy przedmiotu uważają, wbrew przekazowi Plutarcha, iż Mariusz dostąpił tego zaszczytu na drodze losowania.

II odsłona wojny jugurtyńskiej

Choć Metellus przyprowadził do Afryki własną armię, nie zrezygnował z tamtejszej, tylko stopniowo wzię ją w karby dyscypliny. By uniknąć groźnego buntu sfrustrowanych i zniechęconych do walki żołnierzy, zastosował proste środki; nie represyjne, ale dające zdrowe zajęcie i działające zapobiegawczo: (...) *odbywając marsze w różnych kierunkach, codziennie zmieniał miejsce postoju; obóz, tak jakby nieprzyjaciele byli w pobliżu, umacniał wałami i fosą, rozmieszczał częste strażę i sam obchodził je z legatami; również podczas marszu raz był na przedzie, raz w tyle (...) uważając, żeby ktoś nie występował z szeregu i żeby żołnierz postępujący za sztandarami niósł ze sobą broń i żywność*¹³. Gajusz Mariusz szedł w straż tylną.

Początkowo wojna wyglądała dziwnie, gdyż Jugurta, zabiegając o pokój, na wszystko pozwalał armii rzymskiej, nad wyraz ostrożnie prowadzonej przez wodzów. Rzymianie bez żadnych trudności wkroczyli do bardzo ważnego miasta Wagi i je zajęli. Wówczas wiadomo już było, że rozmowy pokojowe konsul Metellus prowadzi tylko dla zmylenia przeciwnika. Jugurta postanowił zatem wydać bitwę konsulowi. Przygotował bardzo skomplikowaną zasadzkę, ale nic z tego nic wyszło; co więcej - sam stracił aż czterdzieści słoni! Co prawda straty Rzymian też były poważne - wojsko musiało odpoczywać aż cztery dni, nim podjęło następną kampanię. Widząc, że uganiecie się za nieuchwytnym przeciwnikiem nie przynosi spodziewanych efektów, Metellus postanawia uderzyć w podstawy ekonomiczne Numidii, w związku z czym (...) *pustoszy pola, zdobywa i pali liczne warownie i miasta, które albo były niedbale*

¹³ Gajusz Salustiusz Krispus, *Wojna z Jugurtą 45* [w:] *Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurtą*, przeł. K. Kumaniecki, Wrocław 1971, s. 67.

*obwarowane, albo pozostawione bez załogi: dorosłych każe w pień wycinać; zresztą wszystko staje się z jego rozkazu łupem żołnierzy*¹⁴. Wreszcie dochodzi do oblężenia Zamy.

Oblężenie szło Rzymianom oporni; ponosili dotkliwe straty, ale i Jugurta był już wyczerpany wojną. Konsul pozyskał ludzi z otoczenia króla, którzy sączyli mu w uszy słowa o kapitulacji. Wreszcie Jugurta zgodził się na warunki wstępne, to jest wydanie wszystkich słoni i zapłacenie 200 000 funtów srebra. Gdy je spełnił, zażądano, by wydał dezertersów. Trzeciego żądania, czyli osobistego stawienia się w Tidizjum, król przezornie nie wykonał, gdyż wiedział, że będzie to oznaczało jego pojmanie. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak przystąpić do odbudowy armii. I może nie tyle przeszedł do kontrofensywy, co zaczął odzyskiwać niektóre miejscowości i terytoria.

W Afryce Mariusz rozwinął wreszcie skrzydła - niejako kosztem swojego wodza. Choć był tylko legatem (...) *nie uchylał się od żadnych wielkich trudów, nie lekceważył małych. Dowódców tej samej rangi przewyższał trafną radą i roztropnym przewidywaniem korzystniejszych sytuacji. Z prostym żołnierzem współzawodniczył w oszczędnej skromności życia, w przewyciężaniu trudności. I tym też zdobywał sobie u nich wielką popularność*¹⁵.

Ta popularność nie była najlepiej widziana przez pozostałych wodzów, łącznie z naczelnym. Prowadziło to do nieuchronnych konfliktów na linii Mariusz - reszta dowództwa, tym bardziej że po jakimś czasie ten *homo novus* zdradził się ze swoimi planami politycznymi - postanowił zostać konsulem. Wywoływało to podrywania szlachetnie urodzonych z ambicji karierowicza, co ten wykorzystał w umiejętnej agitacji. *W owym czasie wszystkie inne urzędy rozdawał lud, konsulat jednakże arystokracja z ręki do ręki sobie przekazywała; żaden nowy człowiek nie był na tyle sławny przez swe czyny lub na tyle wybitny, żeby nie uważano go za niegodnego tego zaszczytu; sam urząd uchodził w oczach nobilew za splamiony, jeśli go osiągnął człowiek nowy*¹⁶.

Wszyscy kronikarze przyznają, że Cecyliusz Metellus dobrze prowadził wojnę. Potwierdza to nawet historyk Salustiusz, będący - jako jedyny z dziejopisów - stronnikiem popularów. Ale Salustiusz, choć sam nie pochodził z patrycjusza, miał wiedzę ukształtowaną przez patrycjuszowskie otoczenie. Był zbyt młody, by sięgać pamięcią tak daleko,

¹⁴ Salustiusz, *Wojna z Jugurta* 54, *op. cit.*, s. 73.

¹⁵ Plutarch, *Mariusz* 7, *op. cit.*, s. 479.

¹⁶ Salustiusz, *Wojna z Jugurta* 63, *op. cit.*, s. 78.

a o czynach Metellusa słyszał tylko od innych nobilów lub czytał w ich pismach. Choć więc kronikarze piszą o tym w sposób nie budzący wątpliwości, trzeba zdawać sobie sprawę z faktu, że wszystkie praktycznie przekazy na temat relacji Metellus-Mariusz są w oczywisty sposób jednostronne. A obiegowa opinia patrycjusza o Mariuszu była taka: (...) *w ogóle był warchołem i mącicielem, sprzyjał całemu motłochowi, z którego się wywodził, i dybał na zgubę całej szlachty*". Tylko że gdy konsul Metellus zabierał ze sobą legata Mariusza do Afryki, nikt nie dostrzegał tego „warcholstwa”, za to wielu podkreślało jego wybitne kompetencje dowódcze.

Prawdopodobnie Metellus stracił dowództwo w wojnie jugurtyńskiej nie tylko za sprawą złośliwej i przewrotnej działalności Mariusza w Afryce i stronnictwa popularów w Rzymie, ale z powodu spoczęcia na laurach po serii zwycięstw. Jako konsul podjął wiele działań dających nadzieję na szybkie zwycięstwo. Jako prokonsul Metellus odniósł kilka zwycięstw i zaczął pertraktować z wrogiem, teoretycznie zmuszając go do coraz większych ustępstw, a to obudziło czujność w Jugurcie, który przecież żadnej dotkliwej klęski, prócz straconych miast, nie poniósł.

Rzymski wódz odniósł kilka taktycznych zwycięstw, zajął miasta na wybrzeżach, ale nie posunął się dalej. Wiele wskazywało na to, że pojawił się kolejny arystokratyczny dowódca traktujący wojnę jako źródło korzyści. W dodatku jego podwładni i protegowani wchodzili w konflikt z przeciwnikiem. Jeden z nich, obwiniony o utratę w podejrzanych okolicznościach miasta Wagi na rzecz wroga, został na wniosek Mariusza skazany na śmierć. Wyrok taki, na swojego dobrego i lubianego znajomego, musiał wydać wódz naczelny, prokonsul Cecyliusz Metellus. Musiał, gdyż był bardzo dbały o swoją opinię człowieka nieposzlakowanego ucziwego, ale ten przymus doprowadzał go do bezradnej wściekłości. Więc gdy tenże Mariusz poprosił Metellusa o urlop, jako że chciał w Rzymie starać się o konsulat, poirytowany wódz palnął mu mowę jak do niesforne go klienta: (...) *Ty, mój kochany, chcesz nas naprawdę opuścić i płynąć do domu, by zgłosić swoją kandydaturę na konsula? Nie byłoby ci miło, gdybyś tak został konsulem dopiero razem z tym oto moim synkiem?*¹⁷ Przy czym Plutarch i Kasjusz Dion wspominają, że ten synek był wtedy jeszcze zupełnie małym chłopcem, zaś Salustiusz zauważa, że miał około 20 lat. Zwyczajowo, by móc ubiegać się o konsulat, powinien mieć 43, więc pełna pychy wypowiedź patrycjusza miała uświadomić Mariuszowi, że choć majuz 50 lat, wciąż jeszcze jest za mało dojrzały do sprawowania najwyższych w państwie funkcji.

¹⁷ Kasjusz Dion Kokcejanus, XXVII.90, *op. cit.*, s. 122.

¹⁸ Plutarch 8, *op. cit.*, s. 481.

Mariusz i tę wypowiedź wykorzystał przeciw arystokratom. Machina propagandowa stronnictwa popularów działała sprawnie i to, co nie wając słów, palnął prokonsul w dalekiej Afryce, głośnym echem odbiło się w Rzymie, oburzając kwiryków do żywego. Metellus, który - jako się rzekło - bardzo dbał o swoją opinię człowieka nieskazitelnej uczciwości, dał koniec końców Mariuszowi urlop, ale dopiero (...) *na dwanaście dni przed ostatecznym terminem zgłaszania kandydatur na konsulów*¹⁹. Kandydat jednak zdążył na czas. Obiecał ludowi, że zabije Jugurtę bądź pojmie go żywcem, i na fali oburzenia, wywołanego bezradnością pychą i lenistwem nobilew, został wybrany na konsula, z zadaniem zakończenia wojny w Afryce.

Prokonsul zorientował się, że zmarnował szmat czasu i ponownie przeszedł do ofensywy; udało mu się nawet zdobyć miasto Thala, trudno dostępne ze względu na konieczność marszu na przestrzeni 50 000 kroków (czyli ok. 70 km) po obszarach całkowicie bezwodnych. Tymczasem jednak wojna zdążyła rozszerzyć się na sąsiednie państwa, w których Jugurta szukał oparcia. Zanościło się na to, że króla aktywnie poprze niejaki Bokchus.

Pierwszy konsulat Gajusza Mariusza.

III odsłona wojny jugurtyńskiej - lata 107-105 p.n.e.

Po objęciu konsulatu Mariusz wygłosił do ludu mowę, w której dał upust targającym nim od dłuższego czasu uczuciom. Przede wszystkim dopiekł nobilem, piętnując ich jako zarozumiałych leni, rozpustników i żarłoków, okrywających hańbą swoich przodków. Podczas obrad zgromadzenia ludowego wypalił im prosto w oczy: (...) *Tymi to przodkami chełpi się arystokracja, choć z charakteru zupełnie do nich nie jest podobna, a pogardza nami, którzy z dawnymi Rzymianami współzawodniczymy, domagając się od was dostojęństw dla siebie nie według swej zasługi, lecz jakby się one im same przez się należały*²⁰. I przeciwstawił im siebie samego:

(...) *Nie mogę, jako gwarancji dla mej osoby, pokazać wam ani wizerunków przodków, ani ich triumfów, ani konsulatów, lecz jeśliby trzeba było, mogę pokazać włącznie, medale i inne odznaczenia wojskowe,*

¹⁹ *Ibidem.*

²⁰ Gajusz Salustiusz Krispus, *Wojna z Jugurtą* 85, *op. cit.*, s 92.

*prócz tego bliźny na piersi. To są moje wizerunki przodków, to moje szlachectwo - nie odziedziczone w spadku, jak tamtych, lecz takie, jakie zdobyłem sam, największymi moimi wysiłkami i narażaniem się na niebezpieczeństwa*²¹. Przywołując przykłady ostatnich klęsk nieudolnych dowódców arystokratycznych - a pamiętajmy, że było to na ponad rok przed Arausio - (...) *pytał zebranych, czy nie uważają, że przodkowie takich wodzów woleliby wydać potomków jemu podobnych, jako że sami doszli do sławy nie przez szlacheckie tylko urodzenie, ale przez własne męstwo i wielkie czyny*²².

Nowy konsul nie tylko przemawiał. Zarządził pobór do wojska, (...) *ale nie według tradycji przodków i nie według klas majątkowych, lecz (...) każdego, kto tylko miał ochotę, po największej części sam proletariat. Jedni przypisywali ten fakt brakowi ludzi zdolnych do noszenia broni, inni chęci popularności u konsula (...)*²³. Wielec prawdopodobne, że obie te przyczyny występowały jednocześnie.

W Afryce okazało się, że Metellus, wbrew swoim głośnym żalom, iż (...) *w chwili, gdy doprowadził wojnę do końca i nie pozostało mu nic więcej, jak tylko dostać w swe ręce Jugurte, przychodzi Mariusz po wieńiec zwycięski (...)*²⁴, wcale wojny do końca nie doprowadził. Bojowo nastawiony Mariusz, choć miał armię silniejszą od tej, którą dysponował jego dawny wódz, musiał się jeszcze sporo nawojować. Swoich żołnierzy oswajał z niebezpieczeństwem, dając im coraz trudniejsze zadania do wykonania, aż wreszcie zaczął z powodzeniem oblegać twierdze. W czynach wojennych daleko wyprzedził Metellusa; ten ostatni zdobył Thale, ale Mariusz sięgnął po jeszcze trudniej położoną, bo w okolicy zupełnie bezwodnej, Kapsę. Niedostępną twierdzę na skalistej górze, która wydawała się niemożliwa do zdobycia, on objął w posiadanie dzięki przemysłowemu fortelowi.

Przywieziony do ostateczności Jugurta postanowił wszystko rzucić na jedną szalę i pokonać Mariusza w walnej bitwie. Zawezwał na pomoc swego teścia, Bokchusa, i razem urządzili zasadzkę na maszerującą kolumnę wojsk Mariusza. Tymczasem Mariusz zaprezentował wszystkie swoje zalety, z których i przedtem, i potem był znany - umiejętność trzeźwej oceny sytuacji, odwagę i zdolność szybkiego podejmowania właściwych decyzji w trudnych momentach. Część rzymskiego wojska osaczono, ale mimo zamieszania i strat żołnierze uformowali krąg obron-

²¹ *Ibidem.*

²² Plutarch, *op. cit.*, s. 482.

²³ Salustiusz, *op. cit.*, s. 93, skrót autora.

²⁴ Plutarch, *op. cit.*, s. 483.

ny i tak skupieni, odpierali ataki licznych nieprzyjaciół aż do nocy. Ale i wtedy nie przerwano walki. Mariusz kilka razy próbował przebić się do osaczonych na czele jazdy, gdy zaś nadciągnęła reszta piechoty, wpadł na pomysł, jak uratować wszystkich i przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Zajął dwa sąsiadujące ze sobą pagórki. Na mniejszym z nich było źródło, większy przeznaczył pod obóz armii. Rozkazał swemu kwestorowi, Korneliuszowi Sulli, by wraz z jazdą zajął teren wokół źródła i bronił go aż do nadejścia wojsk. Następnie ściągnął wszystkie swoje oddziały w sąsiedztwo pagórków i w całkowitym już porządku wprowadził na nie wojska, dając żołnierzom możliwość wytchnienia.

Ale nie był to koniec zamysłów Mariusza, bo - według niego - bitwa się jeszcze nie skończyła. Wojska barbarzyńców założyły obóz wokół pagórków, mając Rzymian niejako w oblężeniu, lecz też lekceważąc ich całkowicie. (...) *Barbarzyńcy, zapaliwszy liczne ognie, przez dłuższą część nocy dawali swym zwyczajem upust radości, weselili się i hałasowali, a sami ich wodzowie, pewni siebie dlatego tylko, że nie uciekli, odgrywali rolę zwycięzców.(...) Najwięcej ta nierozwaga nieprzyjaciół dodawała otuchy Mariuszowi; każe on w obliczu nieprzyjaciela zachowywać jak największą ciszę i zabrania nawet otrąbywać hasła (...). Następnie, kiedy świt się zbliżał, a nieprzyjaciele pomęczeni dopiero co zasnęli, rozkazuje niespodziewanie strażom i trębaczom kohort, szwadronów i legionów równocześnie zatrząść pobudkę do boju, a żołnierzom podnieść okrzyk bojowy i wypaść z bram obozu*²⁵.

Ustawieni do walki Numidyjczycy, Maurowie i Getulowie, nawet jeśli przegrywali starcia, zwykle uchodzili z życiem, bowiem ucieczka była jednym z ich sposobów na toczenie walki. Teraz wpadli w panikę, ginęli trатовani przez siebie nawzajem i od mieczy Rzymian. Szacowano, że zginęło ich w tej jednej bitwie więcej, niż we wszystkich poprzednich. Należy zwrócić uwagę na przytomność umysłu Mariusza - wieczorem, w ogniu największej walki, zastanawiał się nad drogą odwrotu dla żołnierzy i wytchnieniem dla nich, by potem podjąć walkę w wybranym przez siebie momencie. Właśnie nie tyle odwaga i bohaterstwo, co opanowanie nerwów, „czytanie” przebiegu bitwy i przewidywanie konsekwencji posunięć czyniło go wybitnym wodzem. Nawet gdy przegrywał, nie tracił kontroli nad tym, co się dzieje.

Niedługo potem doszło do następnej bitwy. Pod miastem Cyrtą Jugurta i Bokchus natarli na wojsko Mariusza z czterech stron jednocześnie, ale

²⁵ Salustiusz 98-99, *op. cit.*, s. 101.

Mariusz był na to przygotowany. Zdaerzył się w tej bitwie jeden moment bardzo dramatyczny - gdy Jugurta krzyknął do Rzymian, że właśnie zabił Mariusza. Żołnierze uwierzyli mu i złamali szyk, ale sytuację uratował Sulla, nacierając śmiało ze skrzydła na czele swojej jazdy. Wkrótce nadeszła pomoc z innych odcinków, gdzie Mariusz poradził już sobie z nacierającymi barbarzyńcami. A że udało mu się osaczyć część najlepszych wojsk Jugurty, przeciwnik znów poniósł wielkie straty.

Inicjatywa rozmów pokojowych wyszła od króla Bokchusa. Z ramienia Mariusza prowadził je kwestor Lucjusz Korneliusz Sulla. Dzięki dobrym układom z Bokchusem, dostał od niego Jugurtę. Oznaczało to, że w siódmym roku trwania wojna została wreszcie zakończona. Na zdobytych ziemiach przystąpiono do organizowania nowej prowincji.

Koniec wojny afrykańskiej przyjęto w Rzymie z entuzjazmem, gdyż wyszała ona dotychczas sporo żywotnych sił ze społeczeństwa. I wtedy gruchnęła wieść, którą trudno było pojąć i zrozumieć: klęska pod Arausio. (...) *Od tej grozy zadrżała cała Italia (...);* rozumiano, że teraz (...) *walka toczy się już o sam byt, nie o sławę. lecz kiedy zakończono wojnę w Numidii i doniesiono, że Jugurtę związanego wiodą do Rzymu, Mariusz, choć nieobecny, został wybrany konsulem i jako prowincję wyznaczono mu Galię. Jako konsul odbył z wielką chwałą triumf w dniu pierwszym stycznia. I w tym czasie cała nadzieja i potęga opierała się na jego osobie²⁶**.

Nierozumne decyzje najeźdźców

Katastrofa pod Arausio otworzyła przed Germanami wrota Italii. Chodziły słuchy, że już wcześniej nosili się z zamiarem zapuszczenia się w tamte okolice, zwabieni wieściami o nieudolności kolejnych rzymskich dowódców. Teraz sytuacja wyglądała, jakby wystosowano do nich specjalne zaproszenie, oni jednak z niego nie skorzystali. Trudno powiedzieć, jakie mogły być powody tej niezbyt rozsądnej z militarnego punktu widzenia decyzji. Przecież nie wystraszyli się chyba potęgi rzymskiej, którą udało się im zniszczyć po kilku wstępnych bojach. Nawet oni, obcy, musieli sobie zdawać sprawę z faktu, że Italia nie jest właściwie przygotowana do obrony i że lepszą okazję, by ją pokonać, trudno sobie wyobrazić. Co więc się stało, że wbrew szumnym zapowiedziom i niesłuchanie sprzyjającym okolicznościom Cymbrowie i Teutoni nie zdecydowali się na krok, który mógł zmienić bieg dziejów?

²⁶ Salustiusz, 114, *op. cii*, s. 110.

Tu, niestety, musimy się zdać na domysły i spekulacje. Można wymienić kilka czynników, hamujących zdobywcze zapędy Germanów, przy czym jedne z nich będą bardziej, a inne mniej racjonalne, co nie znaczy, że mniej prawdopodobne.

Po pierwsze, pod Arausio nie odbyła się rzeź ludzi bezbronnych, tylko źle dowodzonych. Nawet doprowadzeni do ostatecznej rozpaczki Rzymianie zazwyczaj walczyli do końca. To prawda, wielu się poddało, ale, ogólnie rzecz biorąc, lekkozbrojni Germanie, zmuszeni do walki w szyku, nie uniknęli poważnych strat. Nie chodzi tu o samych poległych, ci nie mogli przecież utrudniać marszu, ale o dziesiątki tysięcy rannych. Dlatego gdy minęło bitewne napięcie, najeźdźcy poczuli się znużeni i chwilowo syci łupów (i bitew), zatem nie widzieli sensu kontynuowania w tej chwili marszu.

Po drugie, również towarzysząca wojsku ludność cywilna nie chciała dalej maszerować. Przecież od wiosny wszyscy byli w drodze, ciągle czujni, napięci, spodziewający się ataku i ze strony licznych tam oddziałów rzymskich, i nieprzychylniej nieproszonym gościom miejscowej ludności galijskiej. Na bitwę pod Arausio oczekiwano w zorganizowanym naprędce obozie warownym, a to, mimo oswojenia Germanów z niewygodami życia koczowniczego, łączyło się z dodatkowymi uciążliwościami - ciasnotą, niedostatkiem żywności i paszy, ustawicznym smrodem, a pewnie i chorobami. Ci ludzie chcieli wreszcie żyć, czyli rozłożyć się swobodnie, wypasać bydło i puścić dzieci na łąki. Naprawdę nie widzieli powodu, by iść gdzieś dalej, skoro wokół było tyle wolnych ziem.

Po trzecie, nadchodziła zima. Ani wojakom, ani cywilom nie uśmiechał się marsz w słotach i śnieżycach. Wprawdzie zatrzymali się na południu Europy, gdzie klimat był łagodniejszy, ale doświadczenie uczyło, że zimę należy przeczekać możliwie wygodnie, a dopiero wiosną ruszać w drogę, zwłaszcza w sąsiedztwie gór. Dla samych wojowników pora roku nie byłaby przeszkodą (co udowodnili kilka lat później), ale dla towarzyszących im taborów stanowiła poważny argument, by ten trudny czas przeczekać w jednym miejscu.

Wreszcie, i tego aspektu nie można pominąć, ważne było to, co mówiły wróżby, przepowiednie i znaki od bogów. Germanie (zresztą Rzymianie też, tylko ci ostatni wypracowali rytuały dosyć skutecznie odwracające wymowę złych znaków) bardzo się tym przejmowali. Dość powiedzieć, że prawie pół wieku później, gdy nastąpiły starcia między rzymsko-galijską armią Juliusza Cezara a germańską króla Ariowista, Germanie, mimo sprzyjających okoliczności, nie wszczynali bitwy, gdyż ich kobiety wywróżyły, że będzie źle, jeśli ją teraz podejmą, co istotnie źle się skończy-

ło, bo ich wróg, Cezar, dowiedziawszy się o treści przepowiedni, nader skwapliwie ją wykorzystał do wzniesienia walki. Możliwe zresztą, że kobiety Cymbrów i Tcutonów od dawna miały swoje zdanie na temat wojny i teraz uznały, że wreszcie przyszedł czas sytego odpoczynku.

Omówione powyżej przyczyny nie musiały, oczywiście, być jedyne, choć w znacznej mierze wyjaśniają, co zatrzymało (albo mogło zatrzymać) Germanów w Galii w roku 105. Pytanie jednak, dlaczego najeźdźcy nie ruszyli dalej w roku 104. Co prawda, przełęcz i drogi były już obsadzone wojskiem rzymskim, ale to wojsko, pomne dotychczasowych klęsk, bardziej myślało o tym, jak z tej opresji ująć cało, niż troszczyło się o dobro ojczyzny. W każdym razie ducha bojowego było w armii tyle, co kot napłakał. Chyba więc nie z obawy przed imperialną armią Germanie, po złupieniu ziem Allobrogów, mszyli wreszcie z miejsca, ale w kierunku dość zaskakującym, bo... z powrotem do Galii. Po raz trzeci z rzędu! Co ich tam pchało?! Tęsknota za wygodą czy siła przyzwyczajenia?

Zaskoczeni i uradowani Rzymianie wiedzieli swoje. Oni nie mieli wątpliwości, jaki był powód tych nieracjonalnych poczynań barbarzyńców: oto łaskawi bogowie przestali się wreszcie gniewać na rzymski lud i pomieszaali Germanom rozum, dając Rzymowi czas na gruntowne przygotowanie się do wojny. A Rzymianie nie zgrzeszyli lenistwem i darowanego im od bogów czasu nie zmarnowali.

A militibus imperator potiusquam hostis metui debet
Żołnierze bardziej niż wroga powinni bać się wodza¹

PRZYGOTOWANIA RZYMU DO WOJNY Z CYBRAMI I TEUTONAMI

(...) Mariusz miał wielkie szczęście. Barbarzyńca bowiem, jak ta fala wezbrana przy odpływie morza, cofnął się i poszedł powodzią najpierw ku Hiszpanii. W ten sposób Mariusz zyskał czas na ćwiczenia fizyczne swoich ludzi, na pokrzepienie ich ducha i przywrócenie bojowej odwagi w armii oraz - co było najważniejsze - na pokazanie swoim żołnierzom, jakim on sam jest człowiekiem².

Szczęście Mariusza nie ulegało wątpliwości, ale nie dla samego szczęścia, choć i ono miało znaczenie, wybrano go na konsula i powierzono zadanie walki z Germanami. Oprócz szczęścia Mariusz miał jeszcze rozum, a choć był człowiekiem ogromnie przesadnym, nie zdawał się ślepo na wróżby. Przede wszystkim zachowywał zdrowy rozsądek i to nim się kierując, zarządził pobór do wojska, podczas którego, konsekwentnie trzymając się swojego pomysłu z poprzedniego konsulatu, polecił przede wszystkim sięgnąć po ochotników z najniższych obywatelskich klas społecznych. Warto w tym miejscu zatrzymać się na chwilę, by przyjrzeć się poczynaniom współtowarzysza Mariusza w konsulacie, Gajusza Flawiusza Fimbrii.

Cała sympatia i wszystkie nadzieje ludu oraz większości ekwitów związane były z osobą Mariusza, w związku z czym traktowali go jak głowę państwa. Tymczasem większość senatorów sympatyzowała raczej z konsulem ze swojej klasy, to jest właśnie z Fimbrią. Ówże konsul, mający formalnie takie same prawa jak Mariusz, również dostał w swoje władanie armię, ale wiele wskazuje na to, iż niekoniecznie on sam przeprowadził pobór do wojska. Mógł ją odziedziczyć z poprzedniego roku, kiedy to naprędce starano się stworzyć jakiegokolwiek wojsko. Nie było go wiele, w sumie dwa solidnie wzmocnione legiony, czyli ok. 22 000-23 000 ludzi, jeśli doliczyć

¹ Cyt. za: *Sentencje łacińskie*, wybór i oprac. J. Syjud, Chorzów 2005, s. 180.

² Plutarch, *Mariusz 14* [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957, s. 489.

sprzymierzeńców. Natomiast skład tej armii był zasadniczo różny od składu armii Mariusza. Wprawdzie ciągle byli to Rzymianie, lecz pochodzący w przeważającej mierze z poboru przymusowego, zorganizowani, uzbrojeni i wyposażeni w sposób tradycyjny.

„Materiał” ludzki w tych legionach był dość pośledniej jakości, co nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę kryzys klasy średniej, będącej bazą rekrutacyjną armii, oraz niedawne, ogromne straty. Do armii zaciągnięto tych, którzy ostali się po poprzednich poborach. Wszelako żołnierze ci czuli się lepszymi od żołnierzy Mariusza, a to z tego względu, że byli pełnoprawnymi, w sensie cenzusu majątkowego i praw wyborczych, obywatelami. Niechęć do „hołoty” Mariusza i do niego samego jako konkurencyjnego wodza umiejętnie podsycali senatorowie, a animozje te miały ujawnić się z całą siłą kilka lat później, po zwycięstwie pod Vercellae i zażegnaniu największego niebezpieczeństwa.

Tymczasem jednak senat nie tylko chciał mieć pod ręką narzędzie obrony, ale także dysponować własną armią na wypadek, gdyby w głowie Mariusza zrodziły się jakieś niebezpieczne, rewolucyjne pomysły. Wszyscy dobrze pamiętali, że przecież Grakchowie też zaczęli od wprowadzania zmian w armii, a wystąpienia przeciw arystokracji uzasadniali słabością bazy rekrutacyjnej w Italii. Mariusz zaś już dwa lata temu, po objęciu pierwszego konsulatu, pokazał, jak zamierza postępować: (...) *domagał się więc uzupełnień legionów, narodom i królom nakazywał dostarczenie kontyngentu posiłkowego, prócz tego werbował najdzielniejsze jednostki spośród Latynów i sprzymierzeńców; przeważnie byli to ludzie znani mu ze służby wojskowej, a niektórzy z dobrej opinii. Obchodząc osobiście wysłużonych żołnierzy, nakłaniał ich do wyruszenia ze sobą. A senat, chociaż był temu przeciwny, nie ośmielił się w żadnej sprawie czegokolwiek mu odmówić, zresztą dodatkowy zaciąg do legionów uchwalił nawet z radością, ponieważ panowała opinia, że służba wojskowa nie uśmiecha się ludowi i że Mariusz albo zaniedba sprawy wojenne, albo utraci popularność wśród ludu*³.

Jak wiemy, senat mocno zawiódł się w swych rachubach, bo Mariusz, nie dość, że bez trudu zaciągnął uzupełnienia, i to właśnie głównie wśród proletariatu, to jeszcze... zyskał na popularności. Tak więc teraz, gdy pozycja Mariusza była o niebo silniejsza, a arystokracja nigdy nie miała gorszych notowań, senat musiał działać w sposób bardziej przemyślany, niż poprzednio; po prostu nie mógł sobie pozwolić na to, by pozostać bez realnej siły wojskowej, która służyłaby jego rozkazów.

³ Gajusz Salustiusz Krispus, *Wojna z Jugurtą* 84 [w:] *Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurtą*, przcl. Kazimierz Kumaniecki, Wrocław 1971, s. 89.

Słuchać senatu mogła tylko armia obywatelska, dowodzona przez arystokratycznego konsula. Ponieważ było jasne jak słońce, że ani dziś, ani w przyszłości armią tą, zarówno ze względu na liczbę żołnierzy, jak i ich „walory” fizyczne, nie da się nastraszyć Cymbrów i Teutonów, przydzielono jej zadania rezerwowe; chodziło prawdopodobnie najpierw o rozprawienie się z plemionami alpejskimi (Rzymianie lubili załatwiać siłą to, co dałoby się polubownie), a potem o stanowienie odwodu podczas walki z germańskim agresorem. Bo na pierwszej linii miał działać Mariusz ze swoją armią.

Tak to wyglądało na pierwszy rzut oka, ale ten nieformalny podział mógł mieć jakieś drugie dno. W istocie konsul Fimbria dostał pewnie tajne instrukcje od senatu, zgodnie z którymi miał, z przyczyn politycznych, mimo zagrożenia ojczyzny, za wszelką cenę uniknąć podporządkowania siebie i swojej armii Mariuszowi. W samym Rzymie toczyła się przecież ostra walka, dla której kilkanaście wieków później marksieści ukuli nazwę „klasowa”. Na czoło państwa wysuwali się ekwicy, wspomagani tak radykalnymi i gwałtownymi wystąpieniami trybunów ludowych, że gorące przemówienie Mariusza do ludu, wygłoszone trzy lata wcześniej, brzmiało jak łagodna, rzeczowa perswazja. W tej sytuacji, nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia ze strony nadciągających barbarzyńców, sprawą pierwszorzędnej wagi stało się dla senatorów uzyskanie czy raczej odzyskanie wpływu na armię.

Zgodnie z wolą ludu (*vox populi, vox dei*) główne zadania obronne spoczęły na Mariuszu i jego armii nowego zaciągu. Zapewne oparł się on na żołnierzach przywiezionych z Afryki, ale tylko częściowo, bowiem znaczna część armii, najpewniej jeden legion, pozostała w Afryce, by pilnować porządku w nowej prowincji. Z pozostałej części armii wicium żołnierzy zdemobilizowano jeszcze w Afryce i osiedlono w kolonii weteranów. Z kolei ci, którzy powrócili do Italii, mieli za sobą nieprzerwaną, 7-letnią służbę w trudnych, afrykańskich warunkach, byli więc w większości ludźmi niemłodymi i steranymi wyczerpującą wojaczką. Mimo teoretycznych i prawnych możliwości, trudno było od nich wymagać dłuższej służby wojskowej. W Afryce straciło zdrowie wielu żołnierzy, również tych z ostatnich zaciągów Mariusza; tak czy inaczej należał im się raczej dłuższy niż krótszy wypoczynek, jeśli w ogóle jeszcze nadawali się do walki. Tak więc po odprawieniu weteranów, pozostało Mariuszowi akurat tylu żołnierzy, by stworzyć z nich kadry setników, chorążych i dziesiątników nowej armii. A biorąc pod uwagę tylko kadry oficerskie i podoficerskie, armia czterolegionowa potrzebowała co najmniej 4000 takich ludzi.

Zatroskanemu o jakość bazy rekrutacyjnej Mariuszowi zależało przede wszystkim na jak najlepszych zasobach ludzkich. Podobnie jak podczas swojego pierwszego konsulatu, teraz także ogłosił pobór do wojska, deklarując, że cenzus majątkowy poborowych nie ma znaczenia. Dzięki temu prostemu rozwiązaniu mógł wybrać sobie ludzi, jacy mu odpowiadali, czyli młodych, wysokich, dobrze zbudowanych, a zatem silnych i sprawnych. Rekrutów wyposażono nie tylko w odzież i oporządzenie, ale i w broń, a wszystko na koszt państwa, tak jak kilkanaście lat wcześniej planował to Gajusz Grakchus; przydzielono im też niewielki żołd. Przy okazji uzbrojenie całkowicie zunifikowano, rezygnując z udziału na piechotę lekką i ciężką, a i w ciężkiej piechocie uzbrojono ludzi jednakowo, nie wyodrębniając *triarów*. Tak Gajusz Mariusz rozpoczął przedsięwzięcie, które przeszło do historii pod nazwą „reforma wojskowa Mariusza”. W sytuacji, jaką zastał po powrocie z Afryki, taka reforma była nieunikniona.

Przyjrzyjmy się bliżej, jak to wszystko wyglądało, gdy obok siebie działały jednocześnie dwie armie - republikańska starego wzoru i zreformowana Mariusza.

Organizacja armii rzymskiej

Jeśli chodzi o organizację i uzbrojenie armii rzymskiej z czasów tuż przed najazdem Cymbrów, dysponujemy bardzo cennymi i wiarygodnymi informacjami, przekazanymi przez Polibiusza z Megalopolis. Pojmany przez Rzymian w wieku dojrzałym, był on zakładnikiem w Italii przez tak długie lata, że aż się tam zestarzał. Z czasem zaprzyjaźnił się z czołowymi przedstawicielami patrycjuszy rzymskich. Pewnie nie była to przyjaźń równoprawna, niemniej jednak inteligentnego, świetnie wykształconego i ciekawego spraw wojskowych Greka traktowano w Rzymie ze szczerą i pobłażliwą życzliwością, a on odpłacał za to żarliwym podziwem.

Rzymski ustrój, szczególnie w zakresie wojskowości, był, zdaniem Polibiusza, ustrojem doskonałym. W dodatku większość obserwacji militarnych poczynił w towarzystwie najlepszym z możliwych pod tym względem, bo samego Scypiona Afrykańskiego Młodszego. Co zobaczył i usłyszał, postanowił zapisać, ku przestrodze tym, którzy zechcieliby podnieść broń na niezwyknięty Rzym. Dzięki temu zapisowi wiemy, jak Rzymianie organizowali swoje legiony w oparciu o powszechny obowiązek służby wojskowej; trzeba przyznać, że nawet dziś system ten zasługuje na uznanie.

Tuż po wyborach konsularnych wybierano średnią kadre oficerską legionu - trybunów wojskowych, po sześciu na legion. Starano się przy tym zapewnić równowagę między młodszymi stażem a starszymi oficerami. Po ustaleniu kadry dowódczej legionów, pobór pod broń ogłaszali konsulowie. (...) *Kiedy ci, którzy piastują władzę konsularną, zamierzają przeprowadzić zaciąg żołnierza, zapowiadają na Zgromadzeniu Ludu dzień, w którym mają się stawić wszyscy pełnoletni Rzymianie (...).* Polecenie dotyczyło mężczyzn do 46. roku życia, którzy nie odsłużyli przewidzianej prawem liczby lat, a raczej sezonów wojennych. Prawo Gajusza Grakchusa podniosło wiek minimalny poborowych do 17 lat. Obowiązkowa służba wojskowa w jeździe trwała 10 lat, a w piechocie aż 16, z tym że (...) *w razie naglących okoliczności obowiązani są piesi służyć w wojsku przez dwadzieścia lat (...)*⁴. Podzieleni między legiony trybunowie w drodze losowania dzielnic wybierali ze zgromadzenia ludzi do swoich legionów; starano się przy tym, by do jednego legionu trafiali poborowi równego wzrostu.

W rzymskiej, obywatelskiej armii lądowej istniały w zasadzie trzy rodzaje broni, do których powoływano żołnierzy odpowiednio do ich cenzusu majątkowego:

- jazda, w której służyli ekwici i senatorowie (ci ostatni sporadycznie); ludzie bogaci służyli więc konno,
- piechota ciężkobrajna - stanowiąca trzon legionu, podzielona na trzy kategorie wiekowe: *hastati*, *principes* i *triarii*. W piechocie tej służyli ludzie średniozamożni, najczęściej rolnicy,
- piechota lekkobrajna - *velites*, złożona nie tyle z biedoty, co z mającej pełne prawa wyborcze, najniższej klasyfikowanej warstwy społecznej; w oddziałach tych służyli najmłodsi żołnierze.

System podziału na kategorie wiekowe wziął się z dostrzeżenia pewnego dość oczywistego, a zarazem charakterystycznego faktu: że żołnierze zachowują się w czasie bitwy stosownie do swego wieku. Postanowiono to odpowiednio wykorzystać, czyli zamiast walczyć z wadami, przekuć je w zalety. Żołnierzy piechoty ciężkobrajnej podzielono na trzy kategorie wiekowe, ustawiane w osobnych liniach bojowych. Pierwszą tworzyli *hastati*, czyli włócznicy - żołnierze najmłodszy i najbardziej zapalcywi. Wbrew nazwie, ich główną bronią nie były włócznie *hasta*, lecz oszczepy *pilum*. W drugiej linii ustawiano żołnierzy dojrzałych - *principes*, uzbrojonych tak jak *hastati*. Trzecią zaś linię tworzyli żołnierze najbardziej

⁴ Polibiusz, *Dzieje*, I.VI.19, przekład i oprac. Seweryn Hammer, Wrocław 1957, s. 329.

⁵ *Ibidem*.

doświadczeni, czyli *triarii*, dla odmiany i zmylenia nazewnictwa uzbrojeni nie w *pila*, lecz w długie włócznie *hasta*, od których wzięli swoją nazwę *hastati*.

Linie bojową tworzyły *manipuly*, które dzieliły się na mniejsze jednostki organizacyjne. I tak najmniejszą jednostką liczbową w piechocie rzymskiej była dziesiątka (*dekuria*). Dalej była *centuria*, czyli setka, licząca jednak nie stu, tylko 60 żołnierzy. Dwie centurie tworzyły wspomniany wyżej manipuł - składnik linii bojowej, będący samodzielną jednostką taktyczną, liczący 120 osób w oddziałach *hastati* i *principes*, i 60 w oddziałach *triarii* (czyli u *triarów* centurie liczyły po 30 osób). Trzydzieści manipułów ciężkozbrojnej piechoty, po 10 każdego rodzaju, tworzyło legion. Między trzydzieści manipułów (10 *hastati*, *W principes*, 10 *trarii*) rozdzielano 1200 *velites*, czyli lekkozbrojnych. Dawało to 40 lekkozbrojnych przy *manipule* ciężkozbrojnych, jeśli podzielić ich liczbę po równo między *manipuly*.

Jak pisał Polibiusz o liczbie rekruta (...) *ta wynosi raz na każdy poszczególne legion cztery tysiące dwustu pieszych, raz pięć tysięcy, jeżeli większe jakieś pojawi się niebezpieczeństwo (...)*⁶ a w innym miejscu: (...) *Jeżeli zaś wszystkich więcej jest niż cztery tysiące, to proporcjonalnie podwyższa się liczbę poszczególnych jednostek wojskowych, z wyjątkiem triarii, z których liczba pozostaje zawsze ta sama*⁷, czyli 600 w legionie. Wszystko to za sprawą Mariusza uległo zmianie.

To, co w 107 roku można było potraktować jako incydentalny wybryk konsula z nizin społecznych, chcącego się owym nizinom przypodobać, w roku 104 stało się po prostu koniecznością. Trzeba było uruchomić rezerwy ludzkie tkwiące w biedocie, klasyfikowanej „poza cenzusem majątkowym”, czyli bez dochodów pozwalających na zakup niezbędnego uzbrojenia. Mariusz nie dość, że odważył się tej konieczności zaść uczynić, to jeszcze wiedział, jak to przeprowadzić. Z oszacowania zasobów państwowych wynikało, że Rzym stać na powołanie armii w pełni zawodowej. Surowców, pieniędzy i zaplecza gospodarczego wystarczało, by uczynić to w krótkim czasie. Tylko teraz, w stanie najwyższej konieczności, chodziło o podwójną armię konsularną, a więc o 40 000 ludzi, z czego 20 000 miało być obywatelami rzymskimi. Reformy nie ominęły też Italików. I ich w pewnym sensie uzawodowiono, dając im jednak żołd 3 razy niższy niż obywatelom. Ich także objęła unifikacja uzbrojenia.

⁶ *Ibidem*, LVI.20-21, *op. cit.* s. 397-399.

⁷ *Ibidem*, I.YI.21.

Reforma Gajusza Mariusza polegała nie tylko na uniezależnieniu zaciągu do armii od cenzusu majątkowego. Jednocześnie Mariusz zlikwidował podział na *velites*, *hastati*, *principes* i *triarii*, tworząc jednolite oddziały piechoty ciężkozbrojnej. Zmiany w zaciągu i uzbrojeniu armii wpłynęły na zmiany w taktyce. Mariusz ostatecznie zrezygnował z zaciągania rzymskich (i italskich) oddziałów lekkozbrojnych. Widział zapewne, że piechota lekkozbrojna, choć jest bardzo przydatna, ma niewielki wpływ na przebieg bitwy. Ze względu na brak pancerzy i hełmów metalowych czy też wielkich tarcz, rzymscy lekkozbrojni nie byli w stanie nawiązać równorzędnej walki z silniejszymi fizycznie przeciwnikami. Z kolei w walce na odległość ich lekkie pociski nie robiły na zwartych szykach nieprzyjaciół większego wrażenia. Było utartym zwyczajem, że po pierwszych starciach wycofywano ich na tyły szyków, po czym bardzo rzadko mieli okazję do kontynuowania walki. Samą tylko przemianą żołnierzy lekkozbrojnych w ciężką piechotę legionową Mariusz zyskiwał w każdym legionie 1200 ludzi. Dotychczasowe funkcje piechoty lekkozbrojnej, użytecznej w marszu, zwiadzie czy działaniach osłonowych, mogły przejąć kontyngenty sprzymierzeńców z prowincji.

Zarówno przed reformą, jak i po niej, legion składał się z 60 centurii ciężkozbrojnych, ale po reformie rozdzielono liczbę *velites* między pozostałe centurie, a stan liczbowy we wszystkich centuriach wyrównano. I tak od czasów Mariusza centurie liczyły po 80 żołnierzy. Dwie centurie tworzyły manipuł, stanowiący u Mariusza już tylko zwyczajową jednostkę organizacyjną, lecz nie taktyczną. Taktyczną jednostką była *kohorta*, składająca się z trzech manipułów, a zatem kohorta liczyła sześć centurii po 80 ludzi, razem 480 osób. Przejście na system kohortowy nie było zasługą samego Mariusza. Już przed nim kilku dowódców posługiwało się kohortami na polach bitew, ale dotychczas nikt tak wyraźnie i kategorycznie jak on nie zerwał z tradycją. Przejście z szyku manipularnego na kohortowy zadecydowało o powiększeniu siły uderzeniowej legionu. Kohorta była w stanie wykonywać samodzielne zadania taktyczne, podczas gdy manipuł miał do tego zbyt mało żołnierzy. Jednocześnie wzrosła rola wodza, gdyż przesunięcie w szyku kilku kohort oznaczało uruchomienie liczby żołnierzy trzykrotnie większej niż przy przesunięciu tej samej liczby manipułów - i to przy jednakowo brzmiącym rozkazie, wydanym tej samej liczbie dowódców. Mówi się też, że szyk kohortowy był elastyczniejszy od manipularnego; choć brzmi to paradoksalnie, nie sposób temu twierdzeniu odmówić racji. Manipuł zajmował bardzo wąski front, ok. 15-20 m, dlatego musiał walczyć w sąsiedztwie innych manipułów, by nie zostać osaczonym i zniszczonym. Kohorta, zajmująca front ponad trzy razy dłuższy, mogła walczyć samodzielnie.

Ochotniczy legion Mariusza liczył 10 kohort, co daje 4800 ciężkozbrojnych żołnierzy, był więc liczniejszy o 600 żołnierzy od standardowego legionu poborowego. Różnica wynikała z nie zaniżania stanu liczebnego centurii przez *triarów*. Z włóczni *triarów* Mariusz zrezygnował, wyposażając ich w ciężkie oszczepy, dużo skuteczniejsze na polu bitwy. Gdy akcja dochodziła do trzeciego szeregu, *triari* najczęściej odrzucali włócznie (*hasta*), gdyż w ścisku nie można było nimi walczyć. *Pilum* było bardziej wszechstronne. Można nim było walczyć jak włócznią, a w razie konieczności podjęcia walki w zwarciu - odrzucić je, tuż przed starciem we wrogów.

Stan liczebny legionu podnosiły jeszcze inne oddziały. Do każdej centurii przydzielano trębacza (*corniciferi*), grającego na rogu (*cornu*, *bucina*), co daje ok. 60 osób, a byli też sygnaliści grający na przenikliwie brzmiących, prostych trąbkach - *surmach*, którymi zwykle dawano sygnał do ataku. Ponadto w legionie były dwie centurie oddziałów inżynierskich, rzemieślników i saperów (*fabri*), opiekujących się machinami, co po uwzględnieniu centurii sygnalistów pozwala mówić o łącznej liczbie około 5000 żołnierzy w legionie. Warto też wspomnieć o innych służbach, niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania całej tej skomplikowanej maszyny, tj. pisarzy i lekarzy. Legionowi towarzyszyły też zastępy sług i niewolników kadry dowódczej oraz sług obozowych (mulników, woźniców); ich ogólna liczba sięgała połowy stanu liczebnego legionu, czyli 2500 osób.

Do legionu dołączano oddział jazdy, liczący 300 jeźdźców. Podczas gdy piechota dzieliła się na centurie, jazdę dzielono na *turmy*. Jedna *turma* to było 30 jeźdźców. Turma dzieliła się na dziesiątki, czyli wspomniane już *dekurie*.

Żołnierze

Do legionu zaciągano tylko obywateli rzymskich. Starano się, aby byli to ludzie sprawni fizycznie, bez widocznych wad postawy, raczej szczupli, młodzi i zdrowi. Zalecano, by zaciągać ludzi o wzroście jak najwyższym (zwłaszcza w perspektywie walki z Celtami czy Germanami, wyraźnie wyrastającymi ponad ówczesną średnią), ale i tak większość żołnierzy była - według dzisiejszych kryteriów - po prostu niewysoka; a ich wzrost nie przekraczał 165 cm. Nie on jednak był czynnikiem decydującym. Jak pisał Wegecjusz ponad czterysta lat później:

(...) młodzieniec, który ma poświęcić się wojennemu rzemiosłu, powinien mieć bystre oczy, prosto osadzony kark, szeroką pierś, muskularne

bary, silne ramiona, długie palce, niewielki brzuch, szczupłe pośladki, golenie i stopy jędrne i krzepko związane, bez niepotrzebnego ciała. Jeśli będzie odpowiadał tym wymaganiom, to już jego wzrost nie ma większego znaczenia, gdyż lepiej jest mieć silnych żołnierzy niż wysokich.*

Z drugiej strony nie wydaje się, aby udało się Mariuszowi oprzeć swój zaciąg wyłącznie na mieszkańcach wsi, jak to zalecano, gdyż proletariatus, spośród którego go dokonywano, gnieździł się głównie... w Rzymie.

Za czasów Mariusza rozpoczęto zaciąganie od razu pełnych kohort, rezygnując z mieszania żołnierzy wysłużonych z nowicjuszami. Na podstawie późniejszych zwyczajów można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że im kohorta miała w legionie wyższy numer, tym młodszy żołnierze w niej służyli. Gdy pełne oddziały (centurie, manipuły, kohorty) tworzyli żołnierze jednego rocznika, łatwiej było im, zwłaszcza tym najmłodszym, znieść trudy życia obozowego i szykany starszych towarzyszy. Trzeba pamiętać, że Rzymianie dość obojętnie traktowali pleć przy pożyciu seksualnym, więc i zjawisko molestowania było w armii poważnym problemem. Mariusz zmierzył się z nim bardzo skutecznie tuż przed rozprawą z Teutonami.

Żołnierzy stale szkolono. W idealnym układzie wódz-armia młodzi żołnierze odbywali dwa treningi dziennie, weterani jeden. Ćwiczenia składały się z musztry, fechtunku mieczem i miotania oszczepem, przy czym drewniana broń ćwiczebna była dwukrotnie cięższa od bojowej. Dużą wagę przywiązywano do sprawnego kopania rowów i sypania wałów. Elementami treningu były też urządzane co jakiś czas całodzienne marsze w pełnym oporządzeniu, ćwiczące wytrzymałość i odporność na trudy:

(...) Z nastaniem letniej pory rekruci winni odbywać marsze na 20 000 kroków w ciągu 5 godzin; ostrym marszem, który jest szybszy od poprzedniego, mają przejść w tym samym czasie 24 000 kroków. Jeśli tylko trochę przyspieszą kroku, już przejdą w bieg, a ten nie daje się już określić jakąś miarą czasu. Do biegania należy wdrażać przede wszystkim młodych, aby całym pędem umieli natrzeć na nieprzyjaciela i gdy zajdzie potrzeba, by potrafili ubiec przeciwników i zająć dogodniejsze pozycje'.

Wszak już w poprzednim pokoleniu Scypion Afrykański Młodszy nie przystąpił do oblężenia Numancji, dopóki jego armia nie nauczyła się

* Flawiusz Wegecjusz Rcnatus, *Zarys wojskowości, ksiąg cztery*, 1.6, przeł. Anna M. Komornicka, „Meander” 28 /1973, s. 405.

⁹ *Ibidem*, 1.9, s. 408.

odpowiednio maszerować, dźwigać ciężary, zakładać i zwijać obozy. Ow roztropny wódz uznał przy tym, że to nie trening z bronią jest najważniejszy u żołnierza, ale odporność na trudy i niewygody.

(...) Na widok żołnierza, który dźwigał pal na częstokół wokół obozu, Scypion odezwał się: „Wydaje mi się, że jest ci ciężko, bracie!” Kiedy ten odparł: „Jeszcze jak!”, Scypion stwierdził: „No cóż, przynajmniej masz powód, bo twoją nadzieję na ocalenie stanowi właśnie to drewno, a wcale nie miecz!”¹⁰.

Armię nie tylko ćwiczano, ale i zaprawiano do innych prac. Umiejętność kopania rowów była przydatna nie tylko do zakładania bezpiecznych obozów, ale też do budowy dróg i kanałów żeglownych, co Mariusz wykorzystał. Z prac budowlanych zwalniała zima, ale nawet wtedy nie rezygnowano z ćwiczeń wojskowych, czyli musztry i używania broni. Ponadto cyklicznie odbywano całodienne marsze wokół obozu. Sięgnijmy znów w przeszłość, żeby mówić o przeszłości:

(...) Ustawy boskiego Augusta i Hadriana opierają się na dawnym zwyczaju, który każe tak konnych, jak pieszych wyprowadzać z obozu trzy razy w miesiącu i ćwiczyć ich w maszerowaniu (...); piechota uzbrojona, a więc w pełnym rynsztunku, maszerowała żołnierskim krokiem na odległość 2000 kroków od obozu, tam i z powrotem, przy czym część drogi odbywała biegiem. Konnica, złożona z oddziałów zwanych „turniami”, podobnie uzbrojona jak piechota, miała tę samą przestrzeń do przebycia; ich pochód połączony był ze specjalnym manewrem konnym, który polega na tym, że jeden oddział ściga drugi i wyprzedza go, a ten z kolei znów dogania go i nadrabia stracony dystans¹¹.

Poziom wyszkolenia wojska zależał głównie od wyższego dowództwa wojskowego. W czasie pokoju żołnierze, zwłaszcza ci ze służby obozowej, bardzo niechętnie znosili wszelkie uciążliwości. Jeśli dowódca był ambitny, a przy tym miał jasno wytyczone cele militarne, armia szybko stawała się bardzo sprawnym narzędziem w jego ręku. Mniej inteligentny dowódca, utrzymujący dyscyplinę dla samej tylko dyscypliny, musiał liczyć się z możliwością buntu. Natomiast nawet w rzymskiej armii zdarzało się, i to wcale nie tak rzadko, jak mogłoby się wydawać, że dowódcy zwyczajnie zaniedbywali swoje obowiązki. Wówczas w krótkim czasie armia robiła się nieprzydatna do działań

¹⁰ Poliajnós, *Podstępny wojenne*, VIII. 16.3, przeł. Małgorzata Borowska, Warszawa 2003, s. 333.

¹¹ Wegecjuż, 1.27, *op. ci./.*, s. 416.

bojowych. Wojna z Jugurtą mogła tu stanowić najświeższy przykład, a poniższy opis dotyczył żołnierzy, którzy przeszli pod jarzmem, czyli we własnym mniemaniu stali się ludźmi bezwartościowymi. Oto przepis, jak w krótkim czasie nawet tak sprawną armię, jak rzymska, przemienić w bezużyteczną, a nawet szkodliwą, zdemoralizowaną bandę:

*(...) Albinos, wstrząśnięty klęską brata Aulusa i wojska, postanowił przez cały czas łąta, jak długo jeszcze był naczelnym wodzem, nie ruszać się poza obręb prowincji i trzymał żołnierzy przeważnie w stałym obozie, chyba że odór albo brak paszy zmusił go do zmiany miejsca postoju. Ale ani nie umacniano obozu, ani zwyczajem wojskowym nie zaciągano straży: jak kto chciał, oddalał się od swego oddziału; służba obozowa wraz z żołnierzami włóczyła się dniem i nocą, i podczas tych wędrówek plądrowali pola, zdobywali wille, na wyścigi uprowadzali zdobycz w bydle i niewolnikach, i wymieniali je z kupcami na wino zagraniczne i tym podobne towary; prócz tego sprzedawali zboże otrzymywane z przydziału, a chleb z dnia na dzień sobie kupowali (...)*¹².

O powszechnym porabstwie lepiej nie wspominać. Z taką armią nie dało się wojować:

*(...) wojsko rozleniwione, pozbawione ducha bojowego, niewytrzymałe na trud i niebezpieczeństwo, silniejsze w języku niż w walce, grabiące sprzymierzeńców, a samo będące ofiarą grabieży ze strony nieprzyjaciół, nie wiedzące, co to rozkaz czy posłuszeństwo*¹³.

Najmłodszy żołnierz dostawał żołd (*stipendium*) w kwocie 75 denarów rocznie. Potem mogli dostawać większe sumy, gdyż szczególnie dzielnym lub funkcyjnym przyznawano podwójny żołd. Wysoki żołd otrzymywała jazda, ale tam należało utrzymać z niego konia. Ogólnie rzecz biorąc, żołd był niski, choć ceniony ze względu na stałość i regularność wypłat. Z czasem, po pełnym uzawodowieniu armii, wszedł nowy zwyczaj: zaprzestano wypłacania żołdu w całości, potracano z niego za broń i żywność. Z pozostałej sumy część zatrzymywano w kasie legionu, by z jednej strony żołnierz czuł się związany z armią, a z drugiej, żeby nie przehulał od razu wszystkiego, co dostał, o co było niezmiernie łatwo. Po zakończeniu służby wojskowej weteran dostawał odprawę, działkę ziemi

¹² Salustiusz, *Wojna z Jugurtą* 44, op. c/7., s. 67.

¹³ *Ibidem*.

i sporą kwotę z zaoszczędzonych przymusowo sum z całej służby, o ile wcześniej obóz stały legionu nie wpadł w ręce wroga.

Dobrzy dowódcy potrafili zadbać o swoich żołnierzy w inny sposób: a to rozdając im łupy, a to sprzedając je - dla niepoznaki - po bardzo zaniżonych cenach, by mogli je natychmiast odsprzedać kupcom po cenach rynkowych. Oszukiwano w ten sposób skarb państwa, ale według Mariusza, który też tak postępował, to nie skarb państwa walczył, lecz żołnierze.

Ważnym składnikiem uposażenia były nagrody za dzielność, przyznawane w postaci dużych medalionów, naszyjników i bransolet. Wykonywano je ze zwykłego lub srebrzonego brązu, albo z metali szlachetnych, głównie ze srebra, choć czasami też ze złota. Ponadto było w zwyczaju, że po zwycięskiej bitwie przyznawano wojsku premie pieniężne; ich wysokość zależała od gestu głównodowodzącego, a na ten wpływała zarówno wielkość łupów, jak i wrodzone cechy osobnicze wodza i jego kalkulacje polityczne. Nagrody te i premie przyznawano tylko w czasie działań wojennych.

Pojawił się za to inny problem: co zrobić z beczynną armią. Póki było to wojsko obywatelskie, po zakończeniu kampanii wojennej po prostu rozpuszczano je do domów. Teraz było inaczej, gdyż armia była zawodowa, a jej członkowie raczej bezdomni. W związku z tym już wkrótce, bo zaraz po zakończeniu wojny cymbryjskiej, miało się okazać, że wojsko zawodowe czas pokoju uznawało za całkowicie niezyskowy, za to ono samo czuło się obciążone wielkimi obciążeniami, głównie budową dróg. Tymczasem za Mariusza - i z jego przyczyny - żołnierze służyli za niewysoki żołd i obietnice nadziei zdobyciej na wrogach ziemi.

Niższa kadra dowódcza

Na czele dziesiątki stał dziesiątnik, czyli *dekurion*. Dostawał wyższe uposażenie, lecz poza tym nie różnił się wyraźnie wyposażeniem czy uzbrojeniem od reszty żołnierzy. Zrozumiałe jest, że dekurioni musieli mieć większe doświadczenie i wiedzę niż szeregowi, a przynajmniej powinni różnić się od nich stażem służby.

Wyżej stał *centurion*, czyli setnik. Połowę centurionów mianowało dowództwo, połowę zaś wybierali żołnierze. Centurion mianowany (*prior*) dowodził pierwszą centurią i całym manipulem, centurion wybierany (*posterior*) dowodził daigą centurią w manipule. Później wszyscy centurioni byli mianowani. Centurion musiał spełniać kilka kryteriów, z czego najważniejsza była wytrwałość w walce. (...) *Od centurionów wymagają nie tyle odwagi i zamięłowania do niebezpieczeństw, ile raczej*

biegłości w dowodzeniu, stałości i przytomności umysłu; i nie na ty/e, żeby z nienaruszoną załogą nacierali i zaczynali walkę, lecz żeby wobec przewagi i nacisku nieprzyjaciela wytrwali i umierali w obronie swojej pozycjiTM. Dodać do tego należy, że to centurioni utrzymywali dyscyplinę w oddziałach i przez to bywali znienawidzeni przez swych podwładnych. Mimo to wszyscy szeregowi żołnierze marzyli o osiągnięciu stanowiska centuriona, choćby najniższej rangi, bo to oznaczało, że nie trzeba już wystawiać pleców pod rąkami ani dźwigać ciężarów. Znakiem rozpoznawczym centuriona był kij, wycięty z winorośli z zachowaniem zgrubień i skręceń, stanowiący symbol wymierzania podwładnym kar cielesnych - według własnego uznania.

Każdy centurion dobierał sobie spośród żołnierzy *optio*, czyli pomocnika w dowodzeniu centurią. Oczywiście, tym pomocnikiem zostawał któryś z dekurionów. Ponadto centurion wyznaczał chorążych (*sigmifer*) do noszenia znaków manipułów i kohort (*signifer* był też skarbnikiem centurii) oraz w każdej centurii tzw. tesserariusza (*tesserarius*), funkcyjnego odpowiedzialnego za system wartowniczy.

Centurioni nie byli równi sobie stopniem. W każdej kohorcie było ich sześciu, przy czym najważniejszym był centurion pierwszej centurii. On dowodził całą kohortą. Pozostali stali odpowiednio niżej w podległości dowodzenia, czyli im wyższy numer centurii, tym niższa ranga centuriona. Z nazw centurionów wynika, że dzielili się oni na dwa rodzaje: *prior* (centurion mianowany, wyższy ranga) *iposterior* (centurion wybierany, niższy ranga), a także *pilus* (tj. dowódca triarów), *princeps* (dowódca doświadczonych) i *hastatus* (dowódca nowicjuszy).

Ponadto im niższy numer kohorty, tym była ona ważniejsza. Ale lepiej było zostać priorem w kohorcie X niż posteriorem w II. Awanse polegały na przenoszeniu na stanowisko równoległe w kohorcie o niższym numerze lub na zmianie stanowiska wewnątrz tej samej kohorty. Zyskując uznanie głównodowodzącego, można było ominąć kilka szczebli awansowych. Zwieńczeniem kariery centuriona był awans do pierwszej kohorty, a w niej na stanowisko *primus pilus*, czyli *primipilus*. *Primipilis* zasiadał w radzie wojennej między wyższymi oficerami. To jego wódz naczelny pytał o zdanie, i to nie przez grzeczność, jak większości trybunów, ale żeby rzeczywiście poznać jego opinię. W ten sposób centurion mógł wreszcie wpływać na bieg wydarzeń. *Primipilus*, który miał wkrótce przejść na emeryturę, otrzymywał dużo większe wynagrodzenie niż inni centurioni, przy czym automatycznie był przenoszony do stanu ekwitów,

¹⁴ Polibiusz, *Dzieje*, op. cit., I.VI.24.

co innych centurionów mogło, ale nie musiało spotkać. Jednocześnie mógł dostać jakąś wysoką funkcję w regionalnej administracji prowincji. Dzięki temu jego dzieci startowały do kariery w innym świecie. Dlatego warto było zostać *primipilusem*. Jeśli nie odchodził na emeryturę, mógł jeszcze awansować - co zdarzało się naprawdę rzadko na stanowisko prefekta obozu. Wtedy już tu, w czynnej służbie, nadawano mu rangę ekwity.

Wyższa kadra dowódcza

W kastowym społeczeństwie rzymskim szczebel pośredni między centurionami a ścisłym dowództwem legionu był zarezerwowany dla ekwitów (jeźdźców), czyli -jak byśmy dziś powiedzieli - szlachty, rycerstwa. Ekwitów wyróżniał pierścień na palcu, wąski szlak na tunice oraz posiadanie konia na koszt publiczny. Nim jednak ekwita dopchał się do tych najwyższych godności, musiał najpierw w młodości wypełnić powszechny obowiązek służby wojskowej.

Potomek zamożnych ekwitów zaczynał jako dowódca kohorty (*praefectus cohortis*) oddziałów pomocniczych, potem przechodził do legionu na pomocnicze stanowisko oficerskie. Mógł też zostać dowódcą oddziału jazdy wojsk pomocniczych. Jeśli pełnił te funkcje, mógł potem kandydować do cywilnych urzędów, właściwych jego stanowi¹⁵. Urzędów nie wystarczało dla wszystkich ekwitów, więc mniej ambitni lub zdolni mogli pełnić funkcje dowódcze w rzymskiej jeździe legionowej, a ubożsi nawet służyć w tej jeździe na szeregowych stanowiskach. Tak zaczął swoją karierę Gajusz Mariusz.

Młodzieniec ze stanu senatorskiego mógł służyć w jeździe, lecz poważnie od razu zostawał oficerem w randze trybuna. Choć praktyczna wiedza wojskowa takiego oficera nie była wysoka, to ranga była najwyższej wagi, gdyż formalnie pełnił on funkcję prawej ręki legata. Przebieg służby, nie krótszej niż roczna, będącej w istocie praktyką wojskową, bardzo rzutował na późniejszą karierę młodzieńca. Jeśli praktykant sprawdził się, a legat wystawił mu dobrą opinię, droga do dalszej kariery stała przed nim otworem.

Praktykantów ekwickich i senatorskich mogło być więcej, zwłaszcza w sztabie naczelnego wodza. Ale prawdziwie dowódczą rolę odgrywali następujący oficerowie (od czasów Mariusza coraz częściej zawodowi, to znaczy na całe życie związani z armią):

¹⁵ Opis początków kariery ekwickiej (*cursus honorum*) za: J. Trynkowski, *Inskrypcje lewińskie* [w:] *Yaciemecum historia starożytnej Grecji i Rzymu*, praca zbiorowa. Warszawa 1985, tom I, s. 196.

- *praefect fabrum* - dowódca oddziałów inżynierskich, zwykle pochodzenia ekwicyjskiego lub senatorskiego, gdyż musiał to być człowiek świetnie wykształcony w naukach ścisłych; nadzorował on też maszyny miotające;
- *praefect castrorum* - czyli najczęściej były *primipilus*, oficer odpowiedzialny za rozplanowanie i rozłożenie obozu, utrzymanie w nim porządku, a następnie jego zwinięcie;
- *quaestor* - kwesor, czyli kwatermistrz, bardzo ważna funkcja, pełniona przez ekwicyjów i senatorów. Kwesor był zastępcą legata w bitwie, tj. gdy legat stał na prawym skrzydle legionu, kwesor dozorował lewe. Na co dzień dbał o zaopatrzenie legionu w żywność, dzielił i wypłacał żołd oraz pełnił funkcje prawne. Funkcja kwesora (przy konsulu, czyli wodzu kilku legionów) była w czasach republiki wstępem do dalszej kariery. Wymagała niepospolitej bystrości i zaradności. Swego czasu kwesorem pod Numancją był Tyberiusz Grakchus, a w Afryce, pod Mariuszem, Korneliusz Sulla.

Na czele legionu stał legat. Najczęściej był to człowiek pochodzenia senatorskiego (choć mógł też być ekwicyj), który przeszedł już kilka etapów kariery urzędniczej, wojskowej i cywilnej, czyli zdążył być praktykantem w którymś z kolegów urzędniczych, trybunem wojskowym, kwesorem cywilnym przy namiestniku prowincji, pretorem (czyli sędzią) w Rzymie¹⁶. Zwykle posiadał bogate, wszechstronne doświadczenie. Stanowisko legata mogło być tylko etapem w jego karierze, ale jednocześnie mogło być też jej celem, jeśli spodobała mu się służba wojskowa. W praktyce legatem zostawało się z wyboru wodza armii lub przez losowanie senackie.

Oddziały sprzymierzeńców italskich

W czasach republiki, przed okresem krwawych wojen sprzymierzeńczych, miasta nierzymskie na terenie Italii były zobowiązane do wystawienia tylu oddziałów, ile było ich w legionach. Jedyną różnicą polegała na tym, że oddziały jazdy sprzymierzonej były kilkakrotnie liczniejsze od oddziałów jazdy rzymskiej. W ten sposób Rzymianie zapewniali sobie odpowiednią liczbę jeźdźców bez konieczności ponoszenia kosztów ich

¹⁶ Opis kariery senatorskiej (*ciirsus hanorum*) [za:] J. Trynkowski, *Inskrypcje łacińskie*, <>p. *cii*, s. 194.

utrzymania. Do czasów Mariusza sprzymierzeńcy służyli za darmo, dopiero wraz z uzawodowieniem armii rzymskiej uzawodowiono również oddziały sprzymierzeńców. Wojsko to służyło za żołd trzykrotnie niższy od żołdu legionowego.

Oddziały piesze sprzymierzeńców dzielono na kohorty i centurie, o liczebności zbliżonej do rzymskich, dowodzone przez rzymskich oficerów, głównie pochodzenia ekwickiego. Oddziały jazdy dzielono na *alcie*, czyli „skrzydła”, po ok. 500 konnych, dzielone z kolei na *turmy*, jak jazda rzymska. Dowódcy byli przeważnie rzymscy, ale tu sprawa przedstawiała się w sposób bardziej skomplikowany. W jeździe służyli potomkowie szlachty podbitych ludów, wyczuleni na punkcie godności osobistej. Rzymianie znaleźli wyjście z tej sytuacji, nadając obywatelstwo i rangę ekwicką przodującym wojownikom. W ten sposób dowództwo było albo dublowane przez cudzoziemców, albo po prostu przez nich sprawowane, gdyż jako obywatele rzymscy spełniali formalne wymogi regulaminów - na czele oddziału stał ekwita rzymski, tylko bez praktycznej możliwości robienia dalszej kariery urzędniczej.

Siłę legionu rzymskiego należy rozpatrywać zawsze w połączeniu z oddziałami pomocniczymi. Jeśli armia rzymska składała się tylko z jednego legionu, to przeciwnik widział w środku szyku 10 kohort ciężkiej piechoty rzymskiej, na jej skrzydłach, przed nią albo za nią 10 kohort wojsk pomocniczych, a na krańcach ugrupowania po kilkuset jeźdźców. Łącznie dawało to ponad 10 000 ludzi.

Inne wojska sojusznicze

Oprócz sprzymierzeńców italskich, również inne narody musiały dostarczać Rzymianom kontyngentów zbrojnych. Oddziały te tworzyły następujące kategorie wojsk:

- liniową piechotę lekkozbrojną,
- oddziały piesze procarzy i łuczników,
- jazdę lekkozbrojną,
- jazdę ciężkozbrojną,
- jazdę z towarzyszeniem oddziałów pieszych.

W oddziałach tych służyli Galowie, Iberowie (Hiszpanie), Numidowie, Scytowie, Syryjczycy, Trakowie i inne ludy niemające obywatelstwa rzymskiego.

Wartość militarna tych wojsk była różna, ale niezależnie od ich wartości bojowej, tych kilkanaście tysięcy wojowników mogło przesądzić

o wyniku każdej bitwy, jeśli tylko byli dobrze użyci. Dlatego Rzymianie nigdy nic zaniedbywali pozyskiwania sojuszników. Każdy wojownik stojący po ich stronie nie mógł być jednocześnie po stronie przeciwnej. Ponadto zwykle sprzymierzone z Rzymem kraje przysyłały żołnierzy będących wyszkolonymi specjalistami: łuczników, procarzy, konnicę. Były to więc oddziały bardzo podnoszące wartość ogólną armii rzymskiej. Nawet wojska lekkobrojne, zwłaszcza po reformie Mariusza, która „oczyściła” armię rzymsko-italską z lekkiej piechoty, świetnie uzupełniały ciężkie szyki w manewrach na polu bitwy czy jako ubezpieczenia kolumny marszowej.

Uzbrojenie armii rzymskiej

Broń obronna

Najbardziej charakterystycznym elementem uzbrojenia obronnego legionisty była tarcza (*scutum*). Kształt długiej tarczy Rzymianie przejęli od Galów, ale dokonali w niej istotnych zmian, bardzo podnoszących jej wartość użytkową. Tarcze galijskie były płaskie i czasami przesadnie wąskie, natomiast Rzymianie swoje tarcze powiększyli, głównie wszerz i wyraźnie uwypuklili. Zagięte brzegi lepiej chroniły ciało wojownika niż proste, oszczędzały ruchy ręki, a więc noszenie i używanie rzymskiej tarczy było łatwiejsze i mniej męczące. Tarcza wypukła lepiej też od płaskiej radziła sobie z przyjmowaniem i amortyzowaniem ciosów, trudniej było naciąć jej brzeg mieczem czy wbić w nią oszczep lub włócznię.

Ówczesne *scutum* miało kształt owalny, wysokość 120-125 cm i szerokość 75-80 cm. Przy niedużym wzroście ówczesnych Rzymian tarcza, ustawiona na ziemi, sięgała im pod pachę lub nawet do ramion. Wykonywano ją z cienkich deseczek (listewek) drewnianych, sklejanych w trzech warstwach klejem wołowym, pod naciskiem, na kopycie formującym kształt półwalca. Na środku tarczy zostawiano otwór na *imacz*. Następnie z obu stron naklejano impregnowane płótno lub filc, który przesywano dwoma ściegami wokół brzegów, przy czym jeden ścieg szedł niemal po samej krawędzi, a drugi równoległe, bliżej środka tarczy, w odległości kilku centymetrów od pierwszego. Od wewnątrz przybijano kilka wiązek listew, usztywniających konstrukcję i tworzących ramę. Jedna wiązka poprzeczna biegła w połowie wysokości, a w miejscu otworu stanowiła *imacz*. Na zewnętrznej stronie, pośrodku, przez całą jej wysokość, przybijano mocną, drewnianą ość. Potem od strony zewnętrznej

tarczę oklejano i objano skórą cielęcą lub do płótna mocowano warstwę impregnowanego filcu. Wreszcie nakładano na środek żelazne *umbo* (zwane dziś taśmowym) z metalowej listwy, z wypukłą częścią centralną. *Umbo* stanowiło osłonę dla dłoni zaciśniętej na *imaczu*. Brzegi tarczy, a przynajmniej jej dolną i górną krawędź, okuwano paskami cienkiej blachy brązowej, nitując ją na wylot.

Taka tarcza ważyła ok. 8-10 kg. Wyposażano ją w pas naramienny do noszenia, a żeby się nie niszczyła, chowano ją w skórzany pokrowiec, w którym spoczywała w położeniu marszowym.

Na tarczach mogły znajdować się jakieś inskrypcje i obrazy: imię żołnierza oraz znaki i symbole totemiczne, jak godło legionu czy regionu, z którego wojak się wywodził. Mogły też być przedstawione symbole rolnicze - wieńce plecione z kłosów, snopki; w późniejszych czasach bardzo popularne stały się wyobrażenia piorunów. Tarcze te, nie dorównujące ozdobnością tarczom z czasów cesarskich, utrzymane były zazwyczaj w naturalnym kolorze materiału, z którego je wykonano.

Tarcze jazdy, wyższej kadry dowódczej oraz chorążych były wyraźnie mniejsze od *scutum*, miały kształt okrągły lub owalny. Rodzajem użytych materiałów nie różniły się od tarcz piechoty legionowej. Tarcze trybunów, bogatszych centurionów i chorążych zdobiono metalowymi aplikacjami, ciętymi często w brązowej lub nawet w srebrnej blasze, z wypełnieniami emaliowanymi, i bardzo kunsztownie je malowano.

W owym czasie używano kilku rodzajów hełmów, wykonywanych z brązu, pochodzenia italskiego i greckiego, którym Rzymianie nadali łatwo rozpoznawalne cechy własnego stylu. Najczęściej używano hełmów klasyfikowanych dziś jako typy *Montefortino* oraz *Coolus*. Różniły się one kształtem: hełmy *Montefortino* miały dzwon wymodelowany w wyraźny stożek, natomiast hełm *Coolus* miał dzwon okrągły lub nieznacznie stożkowaty. Obydwa hełmy wieńczyły spiczaste tuleje wypełnione ołowiem; było to miejsce na osadzenia pióropusza w przypadku awansu właściciela. Czasami po bokach dzwonu montowano tulejki do osadzania piór. Nakarczek, będący przedłużeniem obrzeża dzwonu, wychodził z dolnej krawędzi jak daszek z czapki dżokejki. Obydwa typy wyposażano w ruchome lub stałe napoliczki. W hełmach *Coolus* montowano płaską sztabkę - naczółek szerokości kilku centymetrów, chroniący głowę przed cięciem broni siecznej. Poza tym dzwony hełmów pozostawały gładkie, bez dodatkowych wzmocnień w postaci żeber, gdyż wykuwano je z jednego kawałka blachy. Odstępstwem od gładkości były tylko uchwyty do mocowania pióropuszy, kit z końskiego włosia czy ozdobnych „szczotek”

centurionów. Hełmy szeregowych były gładkie, ale czasami wzdłuż dolnej krawędzi wykuwano na nich imiona żołnierzy z określeniem przynależności legionowej.

Hełmy oficerskie, od trybuna wzwyż, miały nieco inną postać. Wywodziły się z hełmu attyckiego lub etrusko-italskiego, z nakarczkiem zachodzącym wyraźnie poniżej linii brwi i uszu, do szyi. Skorupa tego hełmu była okrągła. W miejsce sztyby ochronnej mocowano do niej naczółek, na którym wykuwano przedstawienia figuralne. Ruchome napoliczki również zdobiono srebrnymi aplikacjami. Dzwon hełmu mógł pozostawać gładki, ale najczęściej wykuwano w nim różne ornamenty figuralne, roślinne i geometryczne. Barwny pióropusz mocowano wzdłuż osi hełmu, czasem przez całą jego długość. W hełmach centurionów pióropusz mocowano w poprzek dzwonu.

W nieco wcześniejszych czasach główną formą pancerza był tzw. *pektoral* - kilka wypukłych, miskowatych tarcz z brązu, połączonych w naramiennik, lub jedna prostokątna albo okrągła płyta, chroniąca centralną część torsu piechura. Z tej płyty ewoluował z czasem pełny pancerz torsowy, ale to nie on stał się standardowym wyposażeniem ciężkozbrojnej piechoty, lecz kolczuga. W momencie, gdy państwo przyjęło na siebie obowiązek wyposażenia armii w broń, ten celtycki wynalazek szybko upowszechniono. W związku z tym Mariusz swoje wojsko wyposażył przede wszystkim w różnego kroju kolczugi (*lorica hamata*) w formie już to tuniki, czyli koszulki z krótkimi rękawami bez naramienników, już to koszulki bez rękawów, z naramiennikami kolczymi bądź koszulki bez rękawów, z naramiennikami z innego materiału. Brzegi kolczugi i naramienników podszywano lub obszywano płótnem albo skórą, żeby nie obcierały ciała. Naramienniki łączono na piersiach esowatymi elementami, tworzącymi charakterystyczny zawias.

Innym typem pancerza, używanym w wojsku rzymskim, był pancerz łuskowy (*lorica squamata*). Wykonywano go z łusek żelaznych lub brązowych, przytwierdzanych do skórzanego podkładu. Mocowano je nie w jednym punkcie, ale w kilku, przy czym łuski były jednakowej wielkości i dosyć drobne, o długości od 2-3 do 5 cm i szerokości od 1,5 do 2,5 cm. Ich zakończenia były spiczaste lub zaokrąglone. Ponieważ na kilku nagrobkach centurionów widać takie właśnie pancerze, uznano, iż stanowiły one wyróżnik tych dowódców, a na podstawie późniejszych przedstawień z kolumny Trajana łączy się je też z chorążymi. Stosowanie przez centurionów pancerzy łuskowych mogło być bardziej kwestią pewnej mody i chęci wyróżnienia się, niż wygody. Szarawa kolczuga nigdy nie

wyglądała zbyt okazale, natomiast zbroja łuskowa, zwłaszcza srebrzona (a był to ulubiony sposób zdobienia metalu przez Rzymian), błyszczała i mieniła się na właścicielu, a setkami słonecznych odblasków sprawiała wrażenie ruchu. Ta srebrzystość stanowiła bardzo dobry estetycznie kontrast dla czerwieni. Centurion, doskonale widoczny, wyróżniał się z otoczenia, i o to chyba chodziło, bo jeśli wziąć pod uwagę jego samopoczucie, przewiewna i lżejsza przecież kolczuga była lepsza.

Najwyższa kadra dowódcza nosiła ekskluzywne pancerze torsowe. Wykonywano je z brązu lub stali, modelując w kształt męskiego torsu, z zaznaczeniem wydatnej muskulatury. Składały się z napierśnika i napełznika. Najokazalszy pancerz, połyskujący srebrem, nosił wódz naczelny. Ponieważ cała rzymska wyższa kadra oficerska dosiadała koni, pancerze te były krótkie, sięgały do pasa. Poniżej osłonę stanowiły tzw. *pteriges*, czyli pióra skórzane lub płócienne, z końcówkami obszywanymi frędzlami albo okuwany metal.

Uzupełnieniem uzbrojenia centurionów i wyższych dowódców były nagolennice. Mówi się też o tym, że legioniści nakładali nagolennicę tylko na jedną z nóg, ale chyba nie zawsze i nie we wszystkich oddziałach. Duża tarcza osłaniała żołnierza w całości, natomiast w przypadku dowódców, używających mniejszych tarcz, nagolennice były niezbędne.

Broń zaczepna

Podstawową bronią zaczepną piechoty legionowej, często przesadzającą o jej zwycięstwie, był ciężki oszczep, zwany *pilum*. Składał się z około metrowej długości grotu i ponadmetrowego drzewca.

Współczesne doświadczenia wskazują, że z punktu widzenia walorów użytkowych tej broni (środek ciężkości, zasięg rzutu) idealne proporcje ma oszczep, w którym $\frac{2}{3}$ długości stanowi drzewiec, a $\frac{1}{3}$ - grot. W miejscu łączenia grotu z drzewcem widniało charakterystyczne, czworograniaste zgrubienie, z dwoma lub trzema otworami na nity. Płasko rozklepany koniec grotu wpuszczano w nacięcie w owym zgrubieniu, które następnie, poprzez otwory, nitowano na wyłot. Czasami nakładano na całość czworograniastą skuwkę. Dolny koniec drzewca oszczepu (*tok*) zabezpieczono metalowym, spiczastym okuciem, umożliwiającym wbicie w ziemię broni przed jej użyciem.

Zaletą tego oszczepu był jego grot. Długi, cienki pręt, okrągły lub kwadratowy, w przekroju miał ok. 1 m długości i zwężał się od miejsca mocowania w drzewcu, gdzie był gruby na ok. 1 cm, do nasady ostrza, gdzie grubość pręta nie przekraczała 0,5 cm. Jego ostrze

odkuwano w formie wąskiego, czworograniastego stożka, długości 3-5 cm, o przekroju podstawy ok. 1 cm - dwa razy większym niż średnica pręta. Dzięki temu *pilum* działało jak współczesne pociski podkalibrowe. Wąski, kilkucentymetrowy grocik z łatwością przebijał każdą tarczę, o ile trafił w nią pod kątem prostym. Po przebiciu osłony ciężki oszczep sunął dalej, gdyż otwór miał średnicę większą niż metalowy pręt *pilum*. Zatrzymywał się dopiero w momencie, gdy do przeszkody docierała nasada grotu, a zatem po przebiciu tarczy penetrował jeszcze przestrzeń poza nią na głębokość, zależnie od odmiany, 60-80 cm. To tyle, co długość wyciągniętej ręki, więc gdy ktoś nieumiejętnie przyjął pchnięcie lub po prostu miał pecha, mógł być przebity razem z tarczą.

Każdy legionista nosił co najmniej dwa takie oszczepy: ciężki i „lekkie”, czy raczej zwyczajny. To ostatnie *pilum* różniło się od ciężkiego nieco cieńszym drzewcem; nie miało też zgrubienia łączeniowego. Grot bywał tu nieco krótszy niż w *pilum* ciężkim, a łączono go z drzewcem za pomocą tulei, nasadkowo.

Piechota lekkobrojna (*yelites*) używała *pilum* lekkiego. Wyglądało identycznie jak lżejsze *pilum* piechoty ciężkobrojne, tylko było o 1/3 krótsze. Żołnierz lekkobrojni miał 3-5 takich pocisków.

Prawdopodobnie w legionach tworzonych na bazie przymusowego poboru przez arystokratycznych konkurentów Mariusza działali jeszcze *triarii*. Ich bronią była włócznia długa na blisko 3 m, wyposażona w liściasty grot wielkości dłoni i solidny, spiczasty trzewik (*tok*), którego można było użyć bojowo jak grotu.

W konnicy używano włóczni *hasta* lub kilku oszczepów, ale o konstrukcjach bardziej tradycyjnych niż *pilum*.

Miecz rzymski owych czasów, *gladius*, miał długość ok. 60-70 cm razem z rękojeścią, głownię szeroką, przewężoną w połowie długości, z bardzo spiczastym sztychem, przeznaczonym przede wszystkim do mocnych pchnięć od dołu. Miecz był dosyć ciężki, ważył ok. 1 kg, co pozwalało na zadawanie silnych cięć, na tyle skutecznych, że od jednego zamachu odrąbano nimi głowy. Oprawa rękojeści składała się z ciężkiej głowicy, okrągłej lub soczewkowej, półokrągłego, wąskiego, masywnego jelca i drewnianego, rogowego lub kościanego uchwytu w formie czterech zagłębień. Miecz szeregowi nosili po prawej stronie, a oficerowie po lewej, na osobnym pasie. Uzupełnieniem miecza był sztylet (*pugio*), wykonany w całości z metalu, noszony po stronie przeciwnej, na pasie głównym. Pochwy mieczy i sztyletów wykonywano z deseczek pokrywanych skórą, którą następnie objano blachą, czasem nawet srebrną.

Stosunkowo małą popularnością cieszyli się w armii rzymskiej łucznicy, choć zaciągano takie oddziały pomocnicze, np. pieszych łuczników z Krety albo konnych z Azji czy ze stepów Europy (Scytów). Natomiast w powszechnym użyciu były proce, i to nie tylko wśród wyspecjalizowanych oddziałów pomocniczych, zaciąganych na Wyspach Balcarskich, ale i wśród szeregowych żołnierzy legionowych. Władanie procą, do której pocisków nie trzeba było daleko szukać, stanowiło jeden z etapów szkolenia. Dla najlepszych pociski do proc odlewano z ołowiu, co czyniło z nich wyroby standardowe i całkowicie powtarzalne pod względem kształtu i masy, a co za tym idzie - celności.

Od czasów Cezara legion był mocno nasycony artylerią. W każdej centurii była *balista* (katapulta), a w każdym manipule *onager*, przewożone w częściach na wozach. Używano ich nie tylko w czasie oblężeń, ale również w polu, podczas walki w szyku bojowym. Za Mariusza tych machin było mniej i używano ich głównie do walk oblężniczych. Z pewnością wykorzystywano je do obrony obozów.

Odzież i wyposażenie dodatkowe armii rzymskiej

Legioniści mogli odbywać długie marsze dzięki właściwym butom, czyli sandałom (*caligae*). Sandały te wycinano z jednego płata skóry. Podeszwy wykonywano z kilku warstw, znitowanych ćwiekami, tworzącymi różne wzory. Buty kadry dowódczej nie były tak masywne, a wodzowie nosili sandały bardziej okrywające stopę, sporządzone z czerwonej skóry.

Podstawowym elementem stroju żołnierzy były tuniki, wykonywane z tkaniny wełnianej, rzadziej lnianej, w kolorze naturalnym wełny, czyli szarym, kremowym lub brązowym. Noszono płaszcze wojskowe z dużego, prostokątnego płatu wybranej tkaniny, oraz przejęte od Galów dosyć krótkie, wełniane płaszcze z kapturem, wkładane przez głowę, podobne do indiańskiego *poncho*. Miały one bardzo surowy, niemal „obszarpiany” wygląd, ale widocznie były bardzo funkcjonalne, skoro używano ich przez kilkaset lat (nawet w jednostkach słynących z upodobania do ozdób pretorianów z czasów Cesarstwa).

W czasie przemarszów żołnierze mieszkali w skórzanych namiotach. Skóry były naoliwione, żeby nie chłoneły i nie przepuszczały wody.

Jednym z elementów reformy Mariusza było radykalne ograniczenie wielkości taborów. Mariusz poszedł za przykładem Scypiona Afrykańskiego Młodszego i polecił żołnierzom wziąć na plecy wszystko, co mają (a było tego co niemiara), a następnie zdecydować, co, oprócz regulaminowego wyposażenia oczywiście, im jest naprawdę niezbędne.

W skład dodatkowego wyposażenia legionistów wchodziły: kosz na drobiazgi, torba skórzana, sierp, manierka, kociołek, motykokilof, siekiera, szpadel, łopata do cięcia darni. Prawdopodobnie nie każdy legionista dźwigał ze sobą wszystkie te narzędzia do kopania i cięcia, raczej rozdzielano to równomiernie w ramach jednej dziesiątki; wszystkimi naraz i tak nikt się przecież nie posługiwał. Natomiast każdy nosił ze sobą, wykonane według ustalonego wzoru, dwa pale do palisady, obustronnie zaostrome, z przewężeniem w środku, zwane *pila muralia*.

W sakwach legionisty znajdowały się raczej żywnościowe na kilka dni, czyli kasza, mąka (o ile sobie zmełł wydzielane co kilka dni zboże) i niewielkie porcje suszonego mięsa.

Tak objuczeni żołnierze nazywali siebie „mułami Mariusza”. Rekonstrukcje wykazują, że maszeający legionista dźwigał ok. 40 kg uzbrojenia i wyposażenia dodatkowego. Waga samej broni dochodziła do 25 kg!

Wyżsi oficerowie nie mieli problemów żołnierzy szeregowych. Mieszkali w jednoosobowych namiotach, często bardzo okazałych. Ich dobytek jechał na wozach. Ubierali się tuniki z najwyższej jakości materiałów, haftowane srebrną i złotą nicią. Naczelnych dowódców wyróżniały długie, purpurowe płaszcze (*pahidamentum*), przy czym przez purpurę należy rozumieć kolor zbliżony do fioleto. Inni wyżsi oficerowie też mieli takie płaszcze, ale czerwone. Płaszcze setników, także czerwone, były krótsze.

Zakładanie obozów

Jeśli przyjrzeć się uważnie dowolnej wojnie ówczesnych Rzymian, nie sposób nie zauważyć, jak ogromną rolę przykładali do zakładania i obwarowywania obozów. Zauważyliśmy, że w czasie bitwy z połączonymi siłami afrykańskich królów Jugurty i Bokchusa, troską Mariusza było nie tyle odparcie ataków, jak to się mówi, „przeważających sił wroga”, ale znalezienie właściwego miejsca na obóz i jego przygotowanie. Obóz był miejscem odpoczynku i schronienia. Z tej perspektywy historia wojen rzymskich przypomina proces ustawicznego zakładania i zwijania obozów. Do wodza, który przegrał starcie w polu, zwykle nie zgłaszano większych pretensji; tak bywało na wojnie. Natomiast nie założenie obozu lub dopuszczenie do jego utraty traktowano niemal jak działanie na korzyść przeciwnika, czyli zdradę.

Najpierw należało wybrać teren pod obóz.

(...) W wyborze miejsca pod obóz pierwszeństwo mają tereny, które z równiny lekko podnoszą się w górę. Przy takim układzie w najwyższym miejscu umieszcza się bramę decymańską (tylną bramę obozu), aby równina leżała poniżej obozu. Brama pretoriańska winna zawsze być zwrócona w stronę nieprzyjaciela. Drugorzędna pozycja obozu to umieszczenie jej na równinie. Trzeciorzędna - na pagórku; czwartorzędna - na górze; piątorzędna - na terenie przymusowym; stąd nazwa takiego obozu „*castra necessaria*”¹⁷.

Pełny opis zakładania obozu przez konsularną armię republikańską dał Polibiusz. Zaczynano od wbicia sztandaru w miejsce, gdzie miał stanąć namiot wodza. Wokół niego odmierzano rynek - *forum* o boku 200 stóp, czyli ok. 60-70 m. Następnie wyznaczano miejsca lokalizacji namiotów trybunów wojskowych (dwunastu w dwulegionowej armii konsularnej) oraz dla prefektów. Odległości między tymi namiotami tak odmierzano, żeby ustawione obok siebie zajęły całą szerokość obozu. Linia tych namiotów wyznaczała drogę: *via principalis*. Prostopadle do niej wytyczano drogę *decumanus maximus*, dzielącą obóz na dwie, całkowicie symetryczne połowy. Obszar po obu jej stronach, aż do *via principalis*, był miejscem rozlokowania zasadniczych sił wojskowych, czyli legionów rzymskich i sprzymierzeńców italskich. Legiony rzymskie stacjonowały w środku, w sąsiedztwie głównej drogi, sprzymierzone lokowano na zewnątrz, co zresztą odpowiadało ustawieniu wojsk w polu.

Legion stacjonował manipułami. Każdy manipuł zajmował plac o boku 100 stóp, czyli 30 m, a właściwie 40 m, uwzględniając odstępy między manipułami i drogi. Wzdłuż *decumanus maximus* odmierzano miejsce na dziesięć manipułów, z przerwą na drogę *via quintata*, czyli „piątą”, bo prowadzoną między piątymi a szóstymi manipułami każdej linii. Ponieważ manipułów było trzydzieści, rozlokowywano je w trzech rzędach. Dwa z nich były zwrócone plecami do siebie, trzeci (w starym układzie byli to *triarii*) sąsiedował z turmami kawalerii.

Na zewnątrz w stosunku do legionów rzymskich rozlokowywano legiony sprzymierzeńców, z tym że ich jazda, dwukrotnie liczniejsza od rzymskiej, zajmowała dwa razy więcej miejsca. Ponadto po dziesięć manipułów z każdego legionu sprzymierzeńców wyznaczano do stacjonowania po drugiej stronie *via principalis*, przy *porta pretoria*, a więc od strony nieprzyjaciela, jako tzw. *extraordinarii*. Tam też stacjonowali

¹⁷ Hyginus, *Planowanie obozu rzymskiego*, przeł. i oprac. M. Brożek [w:] „*Filomata*” 425-426, Kraków 1995, s. 17-18.

ochotnicy rzymscy, przeważnie młodzież z dobrych domów, oraz oddziały sojuszników.

Wokół całości odmierzano pas terenu o szerokości 200 stóp. Te 70 m przestrzeni zabezpieczało żołnierzy przed pociskami nieprzyjaciela, pozwalało na swobodne ustawianie oddziałów, a w razie potrzeby wypełniało się łupami lub oddziałami sprzymierzeńców.

Do obozu wiodły cztery bramy. *Porta pretoria* i *porta decumana* zlokalizowane były na krańcach *decumanus maximus*, natomiast na krańcach *via principalis* sytuowano *porta principalis*, zwane po prostu „lewą” i „prawą”. Ani *via quintata* ani żadna inna z dróg pomocniczych nie kończyły się bramami. (...) *Brama* zwana „pretoriańska” - objaśniał Wegecjusz - *powinna być zwrócona na wschód lub w kierunku nieprzyjaciela, względnie w stronę drogi, którą wojsko ma wyruszyć (...). Naprzeciw tej bramy, po drugiej stronie obozu, znajduje się „brama dekumańska”, którą wyprowadza się na kaźń żołnierzy, którzy dopuścili się jakiegoś wykroczenia*¹⁸.

Taki obóz miał postać kwadratu o boku około 400-500 m. W przypadku zgromadzenia dwóch armii konsularnych w jednym obozie, rozlokowywano je symetrycznie względem *pretorium*, a zajmowany przez nie teren wyglądał jak dwa połączone kwadraty. Czasami, zależnie od warunków terenowych, modyfikowano kształt obozu poprzez dodanie kolejnych ulic, ewentualnie poszerzając któryś z boków obozu.

Obóz natychmiast umacniano. (...) *Jeżeli chodzi o pracę przy kopaniu rowu i sypaniu wału, to dwa boki przypadają na sprzymierzeńców, mianowicie te, przy których obozują oba ich skrzydła, dwa zaś na Rzymian, tj. jeden na każdy legion. Każdy bok zostaje rozdzielony między różne manipuły, a nadzór nad poszczególnymi częściami mają obecni przy pracy centurionowie, podczas gdy ocena pracy całego boku należy do dwóch trybunów. (...) W ten sam sposób wśród sprzymierzeńców wykonują swoją pracę prefekci*¹⁹.

Przymusowi sprzymierzeńcy Rzymu

O Italikach była tu już mowa tyle razy, że nie trzeba ich przypominać. Ale Rzym miał też przecież prowincje i państwa klienckie, zobowiązane do dostarczania pomocy zbrojnej na żądanie Imperium. Z takim żądaniem

¹⁸ Wegecjusz, 1.23, *op. cit.*, s. 415.

¹⁹ Polibiusz, *Dzieje*, I.VI.34, *op. cit.*, s. 408-409.

wystąpiono, co zresztą nieoczekiwanie okazało się źródłem dodatkowych kłopotów dla Rzymu. Czego mogli żądać Rzymianie?

Zazwyczaj chodziło o rodzaje broni, których oni sami nie mieli, a uznawali je za bardzo przydatne. I tak z Afryki dostawali słonie bojowe i lekkobrojną jazdę numidyjską, bardzo przez nich cenioną od czasów wojen hannibalskich. Tym razem nie dostali słoni, czego musieli żałować, a i o Numidach w armiach konsulów nie słyszano. Powód tego stanu rzeczy nietrudno było wskazać - póki żyli zależni od Rzymu władcy Numidii, utrzymywali oni pokaźne armie, mające odrębny i tak pożądany przez Rzymian charakter. Armie te jednak Rzymianie wyteplili w ostatniej wojnie jugurtyńskiej, i to łącznie ze słoniami, które z pewnością wartyby na Germanach należyte wrażenie. Zniszczyli również zaplecze tych wojsk, kadre dowódczą i bazę rekrutacyjną. W dodatku Imperium zadbało, by nowe państwa klienckie, powstałe w sąsiedztwie utworzonej prowincji, nie były zbyt silne. Teraz więc, w tej palącej potrzebie, nie pozbawiali ich wojsk, by władztw tych klientów nie wchłonęła dalej położona a silna konkurencja, niemająca zobowiązań sojuszniczych wobec Imperium. Uszczuplenie stanu liczebnego wojsk w Afryce spowodowałyby, że na nowo w świeżo urządzonej prowincji rozgorzałaby wojna.

Blżej Rzymu była prowincja Achaja, czyli Grecja. Ale mieszkańcy macierzystej Grecji, nie dość, że borykali się właśnie z kryzysem demograficznym (ludzie nie chcieli rodzić ani wychowywać urodzonych już dzieci, w związku z czym porzucali niemowlęta, zwłaszcza płci żeńskiej, na pewną śmierć), to na domiar złego poborowi z tamtych stron patrzący na nich nijak nie wydawali się ludźmi zdatnymi do boju. Kilka pokoleń ustawicznych wojen, epidemii i odpływu ludności w kontyngentach niewolniczych zrobiło swoje, zarówno w sferze mentalnej, jak i fizycznej.

Namiestnicy Macedonii mieli nadal poważne problemy z Trakami i Skordyskami, więc i stamtąd nie można było liczyć na pomoc.

Dobrych żołnierzy dostarczała zwykle Hiszpania. Byli oni tak dobrzy, że często wybierano ich do straży przybocznej wodzów rzymskich. Teraz jednak Hiszpania miała własne problemy. Kilka plemion wkroczyło na drogę rozbójniczą, więc inne poczuły się zagrożone. Namiestnicy rzymscy, niemający dostatecznych sił, ledwo powstrzymywali prowincje hiszpańskie przed powszechnym powstaniem. W niedalekiej przyszłości dążący do samodzielności Celtyberowie mieli dokonać nie lada wyczynu i własnymi siłami wyprzeć Cymbrów z kraju. Ponieważ nie dostali pomocy z Rzymu, sami nie kwapili się z jej udzieleniem. Prawdę mówiąc, ze względu na tamtejszą sytuację należało posłać armię rzymską



Widok Alp z lotu ptaka. Cymbrowie i Teutoni przekraczali je kilkakrotnie.
Fot. P. Rocha/a



Miecze rzymskie, czyli *gladius*. Środkowy to typ pompejański, późniejszy o ok. 150 lat od opisywanych czasów. Skrajne przypominają kształtem *gladius* hiszpańskie, używane w czasach Mariusza. (Rekonstrukcje „Pro antica”. Fot. M. Olszewski)



Te same miecze z pochwami. Zwracają uwagę kunsztowne zdobienia pochew. (Rekonstrukcje „Pro antica”. Fot. M. Olszewski)



Na pierwszym planie grotty oszczepów rzymskich, na drugim grotty bełtów do katapult. Grotty oszczepów w różnych stadiach wykonania. Środkowy będzie wykorzystany w *pilum* ciężkim, najwyższy, z tuleją, to gotowy grot *pilum* średniego. (Rekonstrukcje „Pro antica”. Fot. M. Olszewski)



Skrajne egzemplarze to gotowe ciężkie oszczepy *pilum*. W środku włócznia *hasta*. (Rekonstrukcje „Pro antica”. Fot. M. Olszewski)



Dwa pasy bojowe rzymskich żołnierzy, czyli *cingulum*. (Rekonstrukcje „Pro antica”. Fot. M. Olszewski)



Sztylet legionisty, czyli *pugio*, i prefabrykat, z którego powstanie kolejny egzemplarz. (Rekonstrukcje „Pro antica”. Fot. M. Olszewski)



Kolczuga legionisty, czyli *lorica hamata*, z pasem *cingilum*. Zwraca uwagę bardzo staranne wykończenie szcegółów. (Rekonstrukcje „Pro antica” Fot. M. Olszewski)



Tarcza rzymska z czasów republiki, czyli *scutum*. Nie wszystkie były tak piękne. (Rekonstrukcje „Pro antica”. Fot. M. Olszewski)



„To” nosiło się na nogach. Dla nas sandały, dla Rzymian *caligae*. {Fot. P. Tomczyk}



Inne ujęcie obuwia legionisty. Widać szczególne konstrukcyjne. (Fot. P. Tomczyk)

Podeszwa *caligae* z widocznym wzorem, tworzącym przez mocno zdarte ćwieki. (Fot. P. Tomczyk)



Wzór na podszewie wyraźnie nowszego obuwia. (Fot. C. Wyszzyński)



Rzymianie naprawdę nosili prawdziwe, wełniane skarpety. Klimat nie zawsze ich rozpieszczał. Skarpety wykonano znanym w starożytności ściegiem igłowym. (Fot. C. Wyszzyński)



Przedmioty widoczne na zdjęciach legionieści nosili na swoich barkach. I to dzięki nim wygrali wiele wojen. Od lewej: łopata do cięcia darni, 4 kołki do palisady, czyli *pila muralia*, dwa siekierokilofy, zwane *dolabra*. Zestaw dla dwóch osób. {Fot. C. Wyszyński}



Dolabra - kilof i topór w jednym. Dzięki niej legiony zakładały obozy w każdych warunkach.



Łopata do cięcia darni, torfu, korzeni drzew. (Fol. C. Wyszyński)



Szpadel rzymski, podstawowe narzędzie obozowe. (Fol. C. Wyszyński)



Pierwsze czynności przy zakładaniu obozu - kopanie rowu za pomocą *dolabry* i łopaty do darni. Widoczni na zdjęciu legioniści są ubrani w tuniki, *caligae*, skarpety, przepasani *cingulum*. W obliczu nieprzyjaciela takie czynności wykonywano w uzbrojeniu, zdejmowano tylko hełmy i odkładano tarcze. (Fot. C. Wyszyński)



A tak, w razie potrzeby, przenoszono ziemię dalej i wyżej. (Fot. C. Wyszyński)



Gdzie nie dało się wyrzucie ziemi bezpośrednio, sypano ją do koszy. Kosz, oprócz sakwy z dobytkiem, żywności, kołków do palisady, narzędzi do kopania oraz, oczywiście, uzbrojenia, każdy legionista nosił ze sobą. Dlatego nazywano go „Mułem Mariusza”. (Fot. C. Wyszyński)



Widoczny na zdjęciu żołnierz, dla wygody, rozpiął tunikę nad prawym ramieniem, obnażając fragment torsu. W razie potrzeby obnaży lewe ramię, a zasłoni prawe. Pracy ma już niewiele. Jeszcze tylko wyrównać wał, obłożyć go damią i związać *pila mwalia*, a potem już...



...można będzie spokojnie i bezpiecznie obozować. Gotowy fragment wału obozu marszowego i narzędzia służące do jego budowy. (Fol. C. Wyszyński)

Członek bractwa historycznego z cymbryjską maczugą. (Fot. P. Żmijewski)



Celtycki hełm, jakiego mogli używać Cymbrowie. Bardzo podobne były rzymskie hełmy typu Montefortino, używane powszechnie w wojskach Mariusza. Miały tylko inny, bardziej „rzymski” kształt napoliczków. [Fot. P. Żmijewski]



Członek bractwa historycznego z cymbryjską *frameą*. (Fot. M. Pasikowski)



Ludność celtycka z doliny Padu uciekała przed Cymbrami albo na południe, za Pad, albo na północ, do podnóża Alp, do twierdz zwanych *oppidami*. Na zdjęciu: Bergamo Alta, czyli wzgórze wznoszące się na wys. 50 m. Miejsce dawnego *oppidum Berghm*. (Fot. P. Rochala)



Równina na południe od Vercellae, czyli Pola Raudyjskie, na których stoczono bitwę z Cymbrami. (Fot. P. Rochala)



Rzeka Sessia tuż przy Vercellae. W momencie robienia fotografii (październik 2005) jej stan był niski i miała szerokość ok. 50 m. Piaszczyste łąchy wskazują, jak szeroko potrafi płynąć podczas topnienia alpejskich lodowców. Jak donosili starożytni, jej stan bywał najwyższy na początku lata. O jej roli w bitwie z Cymbrymi nic nie wiadomo, ale można przypuszczać, że wody Sessii utrudniły odwrót pokonanym. (Fot. P. Rochala)



Kłęska była druzgocąca, ale nie wszyscy Cymbrowie wyginęli. Ci, którzy przeszli Alpy, zdołali dotrzeć do swojej dalekiej ojczyzny na północy... (Fot. P. Rochala)



Wojownik cymbryjski we wczesnym etapie wędrówki. Uzbrojony we włócznię z żelaznym grotem, oszczep w postaci zaostzonego kija utwardzonego w ogniu, jednosieczny miecz, drewniany hełm i wiklinową tarczę z drewnianym umbem. Ramiona okrywa mu skóra wilcza. (Rekonstrukcja uzbrojenia na podstawie archeologicznych znalezisk skandynawskich)



Pieszy wojownik cymbryjski z końcowego okresu wędrówki. Zwraca uwagę większa liczba elementów metalowych w jego uzbrojeniu. Ma włócznię i dwa oszczepy, nóż bojowy, sześciokątną tarczę drewnianą z krawędziami okutymi blachą, i z żelaznym umbem. Narzucona na ramiona skóra niedźwiedzia wg uwczesnych wierzeń przydawała wojownikowi siły tego zwierzęcia. Zwracają uwagę spodnie skrojone w sposób właściwy ludom germańskim, lecz wykonane z materiału o charakterystycznym dla Celtów kraciastym wzorze. (Rekonstrukcja uzbrojenia na podstawie archeologicznych znalezisk skandynawskich. Proporcje tarczy z wizerunków wojowników pieszych na kotle z Gundestrup)



Konny wojownik cymbryjski uzbrojony, jak to opisał Plutarch, we włócznię z dwoma grotami, długi miecz celtycki w pochwie żelaznej, kolczugę, owalną tarczę o konstrukcji warstwowej (deski i skóra), wzmocnionej okuciami i żelaznym uinbem. Na głowie ma hełm typu Negau. (Rekonstrukcja uzbrojenia wojownika i uprzęży końskiej na podstawie wizerunków na kotle z Gundestrup oraz znalezisk archeologicznych z ziem pozostających pod wpływami Celtów w II-I wieku p.n.e.)

do Hiszpanii, a nie zabierać stamtąd wojsko. Co też uczyniono zaraz po rozprawie z Cymbrami, i to według bezwzględnych reguł, wypracowanych w okrutnych wojnach.

Z kolei azjatyccy sprzymierzeńcy Rzymu znaleźli bardzo oryginalny powód, by odmówić mu pomocy. Otóż od czasu nieszczęsnego testamentu, oddającego Rzymianom Pergamon, trwały tam nieustanne niepokoje. Okoliczne kraje zostały wciągnięte do wojny, a Rzymianie szybko uzależnili je od siebie, nie tylko okupując, choćby częściowo, ich terytoria, ale i kredytuując odpowiednio spolegliwych władców, co w praktyce oznaczało pełne ich podporządkowanie sobie. Szybko okazało się, że władcy, których królestwa sąsiadowały z prowincjami rzymskimi, muszą łupić swoje własne ziemie, by spłacać zaciągnięte w Rzymie długi. A że mimo tych bolesnych konsekwencji - nie tylko ambicjonalnej natury - chętnych do władzy nie brakowało, ci, którzy aktualnie rządzą, nie mieli innego wyjścia, niż być wiernymi dłużnikami Rzymian, by ostać się na tronach, a zatem i przy życiu. Nic dziwnego, że w tej sytuacji co i rusz wybuchały bunty o charakterze społecznym przeciw serwilistycznej władzy; zresztą żywy tam był wciąż przykład Arystonikosa, który nie wahał się użyć w tym celu niewolników. We wszystkie konflikty ochoczo angażowali się Rzymianie, mający oczywiście na względzie głównie swój zysk.

Tym bardziej zaskakujące było, że w takich okolicznościach jeden z sojuszników rzymskich potrafił w godzinie próby wykazać się silnym charakterem i zadziałać zgodnie z dobrem własnego kraju. A był nim król Bitynii, Nikomedes, który stanowczo odmówił dostarczenia żądanych przez Rzym kontyngentów wojsk posiłkowych na wojnę cymbryjską. Uzasadniając swoją decyzję, podał okoliczności, faktyczne i prawne, które wziął pod uwagę przy jej podejmowaniu. Wykazał ponad wszelką wątpliwość, że swojemu sojusznikowi pomocy udzielić nie może, gdyż nie ma skąd brać żołnierzy, ponieważ większość obywateli jego kraju, zdolnych do odbywania służby wojskowej, znajduje się... w rzymskiej niewoli. Do swojego uzasadnienia załączył stosowne dowody, z których wynikało niezbicie, że rzymski sojusznik Bitynii, bezprawnie, łamiąc wszelkie traktaty sojusznicze, doprowadził do zawłaszczenia jej ludności, by osiedlić ją przymusowo na ziemiach prowincji Sycylii, wyludnionej wcześniej powstaniem niewolników.

Informacje te zaszokowały rzymskich senatorów, choć raczej nie wszystkich, bo wielu nobilów doskonale wiedziało, jak czerpie się zyski w prowincjach Azji i Syrii. Postanowiono naprawić tę ewidentną szkodę, wyrządzoną sojusznikowi, ale załatwiono to źle. Namiestnik Sycylii, Publiusz Licyniusz Nerwa, dostał rozkaz uwolnienia sprzymierzeńców. Informacja ta lotem błyskawicy obiegła Sycylię. I zaczęło się...

Każdy niewolnik uważał, że zasługuje na to, by być wolnym. Licyniusz, absolutnie nieprzygotowany do takich nienaturalnych działań, gdyż zwykle Rzymianie brali w niewolę, a nie uwalniali, napotkał z jednej strony poważny opór właścicieli, a z drugiej rozpalone nadzieje niewolników. Mimo że czuł się cokolwiek zdezorientowany, wezwał tych, którzy czuli się skrzywdzeni przez panów, by stawili się przed jego trybunałem. Przybyły nieprzebrane tłumy niewolników oraz niewiele mniejsze rzesze ich właścicieli - obydwie grupy uzbrojone. Namiestnik wyzwolił kilkuset ludzi, ale potem, gdy ujrzał przybyte tłumy, zwyczajnie się zląkł (...) *dlatego nie przyjął żadnego z niewolników, odprawił ich, przekonany, że nie spotka ich żadna krzywda lub że zaraz rozproszą się i nie będą mogli wywołać zamieszek*²⁰. Jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, powody opieszałości namiestnika były dość oczywiste i bynajmniej nie sam strach nim powodował, gdy tak nagle wstrzymał całą procedurę. Zapobiegliwy ów człowiek dał się przekupić właścicielom i podjął decyzję o niewyzwalaniu nikogo ponad tych kilkuset pierwszych szczęściarzy. Wtedy pozostali niewolnicy, przekonawszy się na własne oczy, jak dwulicowa jest władza, i nie spodziewając się, że ujawnienie swoich intencji ujdzie im na sucho, chwycili za broń.

Pierwszy oddział buntowników namiestnik Licyniusz Nerwa zgładził, uciekając się do zdrady. Po tym sukcesie uznał, że już po rozruchach i rozpuścił wojsko. Ledwie dotarł do Syrakuz, a dowiedział się, że w innym miejscu zbuntowało się osiemdziesięciu niewolników. Namiestnik, zamiast energicznie działać, zwoływał jedną naradę po drugiej. Co robić? - rozważano. Gdy wreszcie wyruszył, zorientował się, że ma za mało żołnierzy w stosunku do liczby zbiegów, których było ośmuset, więc nie podjął żadnych zdecydowanych działań. W tym czasie liczba buntowników wzrosła do prawie dwóch tysięcy. W końcu rozkazał jednemu z podwładnych zaatakować przeciwnika silniejszego liczebnie i usadowionego na wyższych pozycjach. Efekt był taki, że (...) *spośród jego żołnierzy jedni padli zabici, drudzy porzucili broń i z trudem znaleźli ocalenie w ucieczce*TM, a co gorsza, rozniosło się po Sycylii, że Rzymianie przegrali bitwę z niewolnikami! W sytuacji, gdy (...) *wszyscy niewolnicy żyli myślą o powstaniu*²², wybuchło z pełną mocą II powstanie sycylijskie.

Niewolnicy obrali królem niejakiego Salwiusza, gdyż (...) *uważano go za biegłego w sztuce wróżenia i umięjącego wprowadzić się - gdy grał na*

²⁰ Kasjusz Dion Kokcejanus, *Historia rzymska, op. cii.*, XXVII.93, s. 123.

²¹ Diodor Sycylijski, *Biblioteka XXXIV* [w:] Focjusz, *Biblioteka, kodeks 244*, przeł. Oktawiusz Jurewicz, Wrocław 2006, s. 388.

²² *Ibidem*.

fletni podczas widowisk przeznaczonych dla kobiet — w stan uniesienia²⁷¹. Podobnie więc jak w pierwszym powstaniu, na czele niewolników stanął ktoś, kto gwarantował buntownikom przychylność istot najwyższych. Wobec bezczynności Licyniusza Nerwy, Salwiusz wyznaczył niemalże symboliczny cel ataku - Morgantynę, gdzie wodza wcześniejszego o pokolenie powstania niewolników, Eunusa, zjadły wszy. Wkrótce twierdzę obiegło 20 000 pieszych i 2000 konnych powstańców. Powstańcom śpieszyło się - chcieli wziąć miasto szturmem, nim nadejdzie odsiecz.

Wreszcie namiestnik Sycylii zebrał naprawdę pokaźne siły - 10 000 ludzi. Niewolnicy urządzili na nich zasadzkę. Żołnierze, którzy znaleźli się w fatalnej sytuacji, rejterowali z pola walki, zachęceni obietnicą króla niewolników, że (...) *ten, kto porzuci broń, nie zostanie zabity*²⁴. W rezultacie poległo ok. 600 żołnierzy, a 4000 zbrojnych buntownicy wzięli do niewoli.

Teraz powstanie było już nie do opanowania. Jakby tego było mało, w dwóch kolejnych miejscach wyspy powstały niewolnicy, łącząc się ze sobą i tworząc całkiem już liczną i dobrze dowodzoną armię. Jej wodzem i królem został Atenion, w niewoli zarządca wielkiego majątku. Udało mu się nadać powstaniu głębszy wymiar, a mianowicie oparł je na trwałych podstawach i wprowadził doń ład społeczny. (...) *Nie przyjmował do siebie wszystkich, którzy porzucili właścicieli, lecz tylko najlepszych i formował z nich oddziały żołnierzy. Pozostałym kazał, by trwali przy codziennych, zwykłych zajęciach, zajęli się posiadłością i przebywali na miejscu. Od nich właśnie czerpał obfite zapasy żywności dla swoich żołnierzy*¹⁵.

Okazało się, że na wyspie jest aż kilka ośrodków rozruchów niewolniczych, a Rzymianie żadnego z nich nie są w stanie zlikwidować. Odpowiedzialny był za to przede wszystkim namiestnik Sycylii, który wykazał się tylko tym, że owo powstanie wywołał, natomiast wygasić go nie umiał. Sytuacja mogła ulec poprawie tylko w przypadku zmiany namiestnika, a to mogło nastąpić dopiero w następnym roku urzędowym, czyli 103p.n.e.

Tymczasem niewolnicy łączyli swe siły, tworząc na Sycylii jedno państwo, z jednym ośrodkiem władzy. Król Salwiusz wezwał innych wodzów powstania, Tryfona i Ateniona, do podporządkowania się. Historia i w tym przypadku zatoczyła wyraźne koło, bowiem Rzymianie i Sycyljczycy liczyli, że (...) *Atenion zakwestionuje jego najwyższą godność i że dzięki*

²² *Ibidem*, s. 388-389.

²⁴ *Ibidem*, s. 388.

²⁵ *Ibidem*, s. 390-391.

*waśni buntowników łatwo będzie zakończyć wojnę. Tymczasem los jakby umyślnie wzmocnił siły zbiegłych niewolników i sprawi/, że ich przywódca doszli do zgody*²⁶. Atenion z całym swoim wojskiem podporządkował się Trytonowi.

Nowy namiestnik Sycylii, Lucjusz Licyniusz Lukullus, przybył na wyspę na czele 14 000 żołnierzy rzymskich i italskich - co oznaczało, że o tyle mniej żołnierzy można było skierować przeciw Cymbrom i Teutonom. Do tego miał 2000 innych żołnierzy. Pod miejscowością Skirtaja doszło do bitwy między Rzymianami a powstańcami. Wodza niewolników, Ateniona, raniono w obydwu kolana, a gdy raniono go po raz trzeci (...) *niewolnicy upadli na duchu i rzucili się do ucieczki. Atenion, pozostawiony na polu bitwy jako trup, udawał zabitego i z nastaniem nocy uszedł cało*²⁷. Drugi wódz niewolników, Tryfon, nie potrafił zaprowadzić nad paniką, która ogarnęła szeregi powstańców, wskutek czego niewolnicy ponieśli ogromne straty, sięgające 20 000 ludzi. Wydawało się świadkom, że rzymski wódz mógł wybić wrogów w pościgu, ale się na to nie zdecydował.

Lukullus podszedł z wojskiem pod Triokala i przystąpił do oblężenia twierdzy. Spotkał go tu jednak zawód - niewolnicy bronili się dzielnie; mało tego - dostali posiłki, które nie obawiały się zaatakować Rzymian i zmusiły ich do odwrotu. Podejrzewano przy tym, że przyczyna niepowodzenia namiestnika tkwiła gdzie indziej i że Lucjusz Licyniusz Lukullus (...) *nie osiągnął żadnego z postawionych sobie celów, czy to z powodu gnuśności, czy przekupstwa. Dlatego właśnie Rzymianie wytoczyli mu później proces i wydali wyrok skazujący*²⁸*

W ten oto sposób Rzymianom przybyła jeszcze jedna wojna, podczas gdy od północy nadciągało śmiertelne zagrożenie.

Dla porządku należy dodać, że nie było to jedyne powstanie niewolnicze w tym czasie. Groźne zamieszki wybuchły nieco wcześniej w Kampanii, gdzie pewien młodzian zakochał się w zbyt drogiej dla niego niewolnicy. Jako że nie stać go było na zapłatę, wywołał bunt wśród niewolników. Zamieszki stłumiono szybko i sprawnie, więc nie zakłóciły one w odczuwalny sposób zakrojonych na bardzo szeroką skalę przygotowań do wojny, ale z pewnością przyczyniły się do podtrzymania w społeczeństwie panicznego lęku przed groźną, obcą nawałnicą. Dla niewolników był to fatalny przykład. Dzięki obywatelskiej czujności kilka ich spisków zdławiono, ale więcej było tych, których na razie jeszcze nie rozpoznano.

²⁶ *Ibidem*, s. 392.

²⁷ *Ibidem*, s. 394.

²⁸ *Ibidem*.

Powstanie sycylijskie miało dalej idące skutki, gdyż nie dość, że dosłownie zmniejszyło liczbę żołnierzy po stronie rzymskiej, to w dodatku poważnie zakłóciło dostawy zboża do Italii. Rzymowi zajrzało w oczy głód. Ze względu na rozmiary armii niewolniczej i konieczność zaangażowania wojsk w bardziej palącej potrzebie, z powstaniem na Sycylii uporano się dopiero po zażegnaniu niebezpieczeństwa germańskiego.

I tak okazało się, że w godzinie prawdziwej próby Imperium nie może liczyć na wsparcie swoich przymusowych sprzymierzeńców. Afryka, Azja i Hiszpania wsparły Italię tylko symbolicznie. W dodatku ujawniły się problemy, których załatwienie trzeba było odłożyć na później ze względu na stojących u wrót państwa Cymbrów i Teutonów. Rzymu nie stać było teraz na rozpraszenie sił. Trudno tu oprzeć się wrażeniu, że elity podbitych przez Rzym prowincji wstrzymały oddech w oczekiwaniu na wynik wojny cymbryjskiej, przy czym wcale nie życzyły dobrze okupantom.

Ale Italia nie pozostała całkowicie osamotniona w odpiernaniu najazdu. Wsparły ją ludy, które choć pewnie nie odczuwały braterskiej miłości do Rzymu, to w poczuciu wspólnego zagrożenia gotowe były z nim współpracować. I tak doszliśmy do kwestii mimowolnych sprzymierzeńców Rzymu, o których kroniki raczej milczą.

Inni sprzymierzeńcy

O ostatniej kampanii cymbryjsko-teutońskiej wiemy z całą pewnością to, że Rzymianie własnym wysiłkiem finansowym, mobilizacyjnym i umysłowym usunęli realne niebezpieczeństwo, jakie zagroziło nie tylko ich imperialnemu, ale przede wszystkim materialnemu bytowi. O tym mówią fakty. Ale poza wymową faktów daje się wyczuć w ówczesnych przekazach coś bardzo szczególnego. Tym „czymś” jest przekonanie, nawet jeśli nie formułowane *expressis verbis*, to dające się łatwo wyczuć, że Rzymianie ocalili nie tylko siebie, ale wszystkich dookoła. Ta konstatacja jest tak oczywista, że nawet nie poddaje się jej logicznej weryfikacji. I zaraz pojawia się następna teza: Rzymianie nie dość, że ocalili świat, to uczynili to bez jakiegokolwiek pomocy ze strony tego świata, opierając się tylko i wyłącznie na obywatelach własnych i od czasu do czasu na ukrytych gdzieś tam w cieniu obywatelach łatyńskich. Bo kogo widzimy naprzeciw Cymbrów i Teutonów, oprócz Rzymian i Latynów, zaludniających twardo stojące w miejscu legiony? W zasadzie tylko Ligurów,

którym przypadło w udziale główne zadanie rozpoczęcia starcia pod Aquae Sextiae.

A przecież byli jeszcze, co oczywiste, inni sprzymierzeńcy. Nie widać ich na pierwszym planie, ale nie dziwota, skoro już wkrótce zaczęli się z niego zazdrośnie spychać główni uczestnicy wydarzeń. Stosunkowo skąpe źródła informacji z konieczności bardzo zawężyły to *theatrum*; niewiele się tu mieści, choć w rzeczywistości przestrzeń operacyjna (czyli pole walki) była bardzo rozległa. Uwaga dziejopisów, niby punktowe reflektory wydobywające z ciemności tylko wybrane miejsca na scenie, „oświetla” jedynie głównych aktorów, pozostawiając w głębokim cieniu chór, orkiestrę i tłum statystów. Na to, jak przedstawiał się plan ogólny, wpływ mieli też reżyserzy tych „widowisk”. Rzymska racja stanu wymagała podkreślania dzielności Rzymian, a przemilczania chwalebnych czynów innych narodów. To dlatego Cezar, który osobiście ustawił rzymskie i sojusznicze wojska do bitwy z Helwetami, tak napisał potem o swoich czynach:

*Cezar (...) ustawił cztery legiony weteranów w potrójnym szyku bojowym w połowie wysokości wzgórza, a wyżej, na jego szczycie, dwa legiony niedawno zaciągnięte w Galii Bliższej oraz oddziały posiłkowe (...)*²⁹.

Gdy jakiś czas później ustawiał wojsko do boju z Germanami, (...) wszystkie (...) oddziały posiłkowe rozmieścił na widoku nieprzyjaciela przed małym obozem; ponieważ liczbą legionistów ustępował przeważającym siłom nieprzyjaciół, posłużył się oddziałami posiłkowymi dla stworzenia pozorów większej liczebności; sam natomiast, ustawivszy się w potrójnym szyku bojowym, podszedł aż pod obóz nieprzyjacielskiTM - co sugeruje nieuczestniczenie wojsk posiłkowych w rozstrzygającej walce. Wygląda to na zwyczajną propagandę. Schlebający ludowi rzymskiemu i sobie samemu Cezar uwypuklał dzielność rzymską, co mile łechtало narodową próżność wszystkich warstw społeczeństwa, w tym ekwitów i nawet senatorów. W ten sposób zbierał cenne punkty na poparcie swojej osoby.

Prawda wyglądała nieco inaczej. Rzymianie, wbrew temu, co sugerowały te przemilczenia i niedopowiedzenia, nie byli osamotnieni w walce

²⁹ Cezar, *Wojna gallicka* I, 24, 2-3 [w:] *Corpus Caesarianum*, przeł. E. Konik i W. Nowosielska, Wrocław 2003, s. 66.

³⁰ Cezar, *op. cit.* I, 51, 1, s. 74.

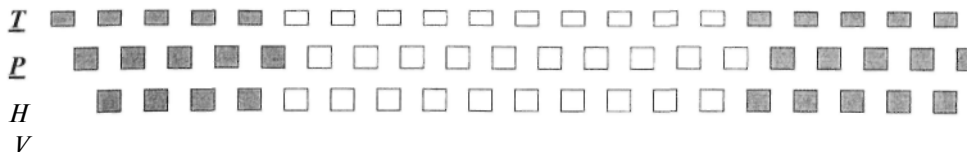
z najeźdźcami. Mieli sojuszników i to wielu, a ich rola, nawet jeśli nazywać ją bierną, była ważna w tym dramacie.

Chcąc nie chcąc, cała Galia stanęła po tej samej stronie, co Rzymianie. Osłabieni, a nawet zmasakrowani klęskami w wojnie z Rzymem Arwernowie z najwyższym trudem przetrwali najazdy germańskie w swoich twierdzach. Zapewne nienawidzili Rzymian, ale Cymbrów i Teutonów nienawidzili jeszcze bardziej, gdyż to z ich powodu musieli żywić się ciałami swoich bliskich...

Pozostałe wielkie plemiona galijskie, jak Eduowie i Sekwanowie, były w identycznej sytuacji jak Arwernowie, tylko że dotychczas jeszcze nie miały powodu znienawidzić Rzymian. Tymczasem jednak pokonali je Germanie i to ich szykany musiały znosić. Dla tych wszystkich ludów Rzymianie byli przynajmniej przewidywalni w swych żądaniach. W ich działaniach dostrzegano porządek i cel, których trudno się było dopatrzeć w działaniach Germanów - ci przychodzili i odchodzili kiedy i jak chcieli, zjadając i niszcząc wszystko, co się dało; co gorsza, mieli przy tym różne krwawe zachcianki. Nawet jednak w tej pokonanej i stłamszonej Galii ciągle żyła wielomilionowa rzesza ludzi, czekających w napięciu, aż Germanom powinie się noga. Pewnie - jak zawsze w takich sytuacjach - byli jacyś Galowie, którzy kolaborowali z Germanami, choć poważnie robili to pod przymusem. A takich przymusowych sojuszników trudno uznać za wiernych i lojalnych, co zapewne na swój sposób zawazyło na przebiegu przynajmniej niektórych batalii. I tak jedni Galowie przyjmowali wobec Germanów postawę jawnie wrogą inni demonstrowali pozorną zyczliwość, a wszyscy solidarnie życzyli im sześnięcia w czeluściach piekieł. I dlatego, za sprawą Galów, Rzymianie mieli coś, co w każdej wojnie ma wartość bezcennego kruszcu - precyzyjne informacje o przeciwniku.

Informacji o wojsku rzymskim Galowie najeźdźcom nie dostarczali, a jeśli już, to na pewno nie robili tego dobrowolnie. Germanie, mimo swojej siły, nie mogli się więc czuć bezpiecznie, a w dodatku, jako permanentnie niedoinformowani, musieli stale improwizować i choć to oni byli w ofensywie, to i tak przeciwnik zawczasu wiedział, co ma robić.

Choć mimowolni galijscy sojusznicy Rzymu nie pokusili się o samodzielne spowodowanie przełomu w wojnie (a może i pokusili się, ale albo nic im z tego nie wyszło, albo my nic o takim akcie nie wiemy), to skłonni byli pomóc w zniszczeniu najeźdźców. Zanim doszło do ostatecznych rozstrzygnięć pod Aquae Sextiae i Vercellae, zarówno Teutoni, jak i Cymbrowie musieli pokonywać opór lokalnych plemion. I choć im się to udawało, to przecież ludy te przetrwały kataklizm germański i w końcu poczuły smak odwetu.



Prawe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
600 velites. 600 hastati.
600 principes. 300 triarii

Legion rzymski: 1200 velites. 1200 hastati.
1200 principes. 600 triarii

Lewe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
600 velites. 600 hastati.
600 principes. 300 triarii

T - triarii

| | - manipuł triarii: 60 żołnierzy

P - principes

H - hastati

V - velites

1 - manipuł hastati i orincioes po 120 żołnierzy

Legion rzymski z italskim wojskiem posiłkowym z czasów republiki sprzed reformy Mariusza, rozstawiony w tradycyjnym szyku potrójnym (*acies triplei*), tworzonym przez linie manipułów piechoty ciężkozbrojnej: *hastati*, *principes* i *triarii*. Przed nimi ustawiono w linii ciągłej piechotę lekkozbrojną. Na rysunku nie przedstawiono wojsk konnicy rzymskiej i posiłkowej, ustawionej zwykle na skrzydłach szyku. Na prawym skrzydle byłoby to 120-300 jeźdźców, a na lewym ok. 240-600 jeźdźców sprzymierzonych sił italskich.



Prawe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
600 velites. 600 hastati.
600 orincioes. 300 triarii

Legion rzymski: 1200 velites. 1200 hastati
1200 principes. 600 triarii

Lewe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
600 velites. 600 hastati.
600 orincioes. 300 triarii

T - triarii

| | - manipuł triarii i velites po 60 żołnierzy

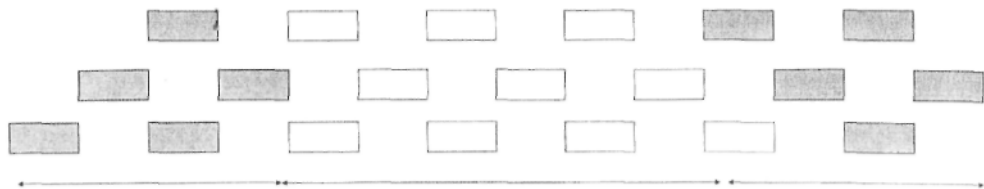
P - principes

H - hastati

V - velites

] - manipuł hastati i orincioes po 120 żołnierzy

Legion rzymski z wojskiem posiłkowym w momencie utworzenia falangi przez linie manipułów *hastati i principes*. Falangę tworzyło 40 manipułów po 120 ludzi, co dawało 4800 ludzi w linii bojowej. Piechotę lekkozbrojną, *velites*, wycofano do trzeciej linii. W razie potrzeb mogła ona być rozdzielona na skrzydła lub wejść w interwały między manipułami *triarii* i utworzyć z nimi linię bojową; wobec tego odwód (*triarii + wlitcs*) wynosił 2400 żołnierzy. Na rysunku nie przedstawiono konnicy rzymskiej i posiłkowej ustawionej zwykle na skrzydłach szyku.



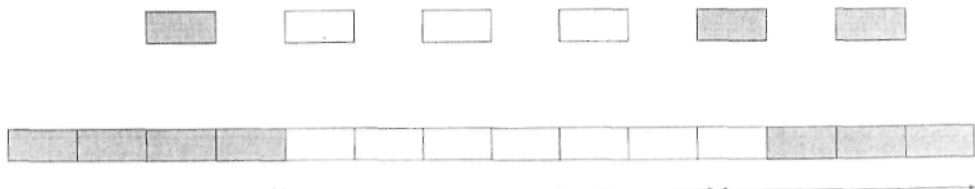
Prawe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
5 kohort po 480 żołnierzy

Legion rzymski: 10 kohort PO 480 żołnierzy

Lewe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
5 kohort po 480 żołnierzy

- - kohorta, składająca się z 3 manipułów po 160 żołnierzy, co daje 480 ludzi.
 ———/ - Kolorem szarym zaznaczono kohorty sprzymierzeńców italskich.

Legion rzymski z italskim wojskiem posiłkowym po reformie Mariusza, rozstawiony w szyku potrójnym (*acies triplex*), tworzonym przez trzy linie kohort piechoty ciężkozbrojnej. Piechoty lekkozbrojnej nie zaciągano do legionów; stanowiła ona kontyngenty wojsk sprzymierzeńców pozaitalskich. Ustawiono ją w przerwach między kohortami pierwszej linii, a przed starciem wycofano do dalszych linii. Dla zobrazowania zmian liczebności pokazano wielkość manipułów tradycyjnych poprzez wcielenie do centurii ciężkozbrojnych piechoty lekkozbrojnej, liczba żołnierzy w każdej z nich wzrosła z 60 do 80 żołnierzy. Wobec tego manipuły liczyły odtąd nie po 120, ale po 160 żołnierzy.



Prawe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
5 kohort po 480 żołnierzy

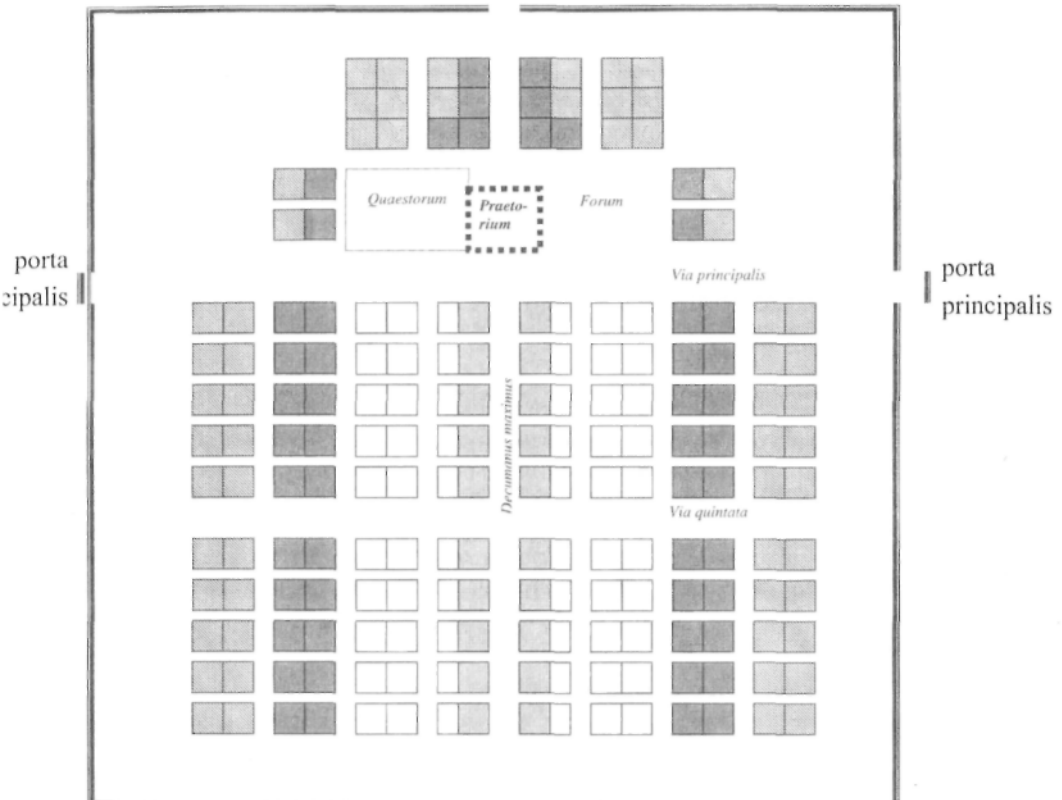
Legion rzymski: 10 kohort po 480 żołnierzy

Lewe skrzydło legionu
sprzymierzeńców italskich:
5 kohort po 480 żołnierzy

- - kohorta, składająca się z trzech manipułów po 160 żołnierzy, co daje 480 ludzi.
 ———/ - Kolorem szarym zaznaczono kohorty sprzymierzeńców italskich.

Przedstawiono tu legion rzymski z italskim wojskiem posiłkowym - po reformie Mariusza Po utworzeniu falangi przez dwie pierwsze linie szyku potrójnego (14 kohort), dawało to 6720 ludzi w linii bojowej. W odwodzie pozostawało 6 kohort - 2880 ludzi. Jak widać, po reformie legion był wyraźnie silniejszy. Linia bojowa kohort była o blisko 2000 ludzi silniejsza od linii bojowej manipułów, przy niewiele silniejszym odwodzie. Wynikało to nie tylko ze zwiększenia liczby ludzi w legionie, ale i ze zmian w ustawieniu na polu bitwy.

porta praetoria



porta decumana

- plac dla manipulu piechoty rzymskiej
- plac dla turmy jazdy rzymskiej
- IM** - plac dla manipulu piechoty sprzymierzonej
- plac dla turmy jazdy sprzymierzonej

Schemat rozmieszczenia wojsk w obozie dwulegionowej armii republikańskiej z dwoma legionami wojsk sprzymierzeńców italskich (na podst.: P. Connolly, *Historia armii rzymskiej*, Wrocław 2002)

ORGANIZACJA, UZBROJENIE ORAZ ZAMIARY CYMBRÓW I TEUTONÓW

W kwestiach dotyczących organizacji i uzbrojenia wojsk Cymbrów i Teutonów musimy polegać na autorach starożytnych, zupełnie nieorientowanych w germańskich tradycjach; z nich wszystkich tylko Cezar podał informacje z pierwszej ręki. Skoro więc w starożytnych przekazach na temat interesującego nas zagadnienia roi się od uproszczeń, uogólnień i skrótów, nasza wiedza o samych Cymbrach i Teutonach przypomina wiedzę na temat zjawisk funkcjonujących na pograniczu legendy i baśni, w związku z czym trudno ją zweryfikować, a jeszcze trudniej ocenić.

Wprawdzie istnieją archeologiczne odkrycia z tamtych czasów, ale nie pochodzą one bezpośrednio od naszych wędrownych ludów, a od raniej lub bardziej z nimi spokrewnionych innych plemion germańskich. Warto przy tej okazji zatrzymać się chwilę przy słowie „barbarzyńcy”, jakim historia zwykła określać Germanów. Tymczasem jeśli bliżej przyjrzeć się zachowanym zabytkom, a są to głównie szczątki ceramiki, broni czy biżuterii, nie sposób uznać ich za prymitywne, toporne czy niefunkcjonalne, czyli barbarzyńskie. Wiele z tych przedmiotów użytku codziennego musiało mieć najwyższe walory estetyczne, choć oczywiście brakowało im rzymskiego czy greckiego wyrafinowania. Między niemalże tymi samymi typami przedmiotów występują tyle istotne i powtarzalne różnice, że badacze ziem zamieszkałych przez starożytnych Germanów potrafią dostrzec w nich cechy charakterystyczne nie tylko dla poszczególnych epok, ale i dla konkretnych regionów, czyli można powiedzieć - nieco upraszczając - wyraźne różnice międzyplemienne. Zgodnie z przyjętą w nauce klasyfikacją, „naszych” Cymbrów i Teutonów zalicza się do kręgu tzw. kultury jastorfskiej, obejmującej w tym czasie północną Germanię między ujściem Łaby a ujściem Odry.

Na podstawie znalezisk broni określa się między innymi status społeczny jej właściciela, oszacowując ilość użytego brązu i srebra w okuciach

¹ Cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, p kład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002, s. 201.

pocheł mieczy i noży czy tarcz. Te nieomal bezbarwne dziś ślady zastosowanego „do ozdoby” materiału nie tylko o zamożności jednak świadczą. Są one dowodem, że owym „barbarzyńcom” nieobce były kanony piękna, toteż starali się, by otaczające ich przedmioty były nie tylko użytecznie funkcjonalne, ale i „bezużytecznie” piękne.

Cymbryjscy i teutońscy wojownicy w kontekście germańskim

Tym, co rzucało się w oczy przy pierwszym kontakcie z Germanami, był ich wzrost czy szerzej fizyczna dorodność. Wielcy i silni wojownicy germańscy wzbudzali respekt samym swoim wyglądem. O wybujałym wzroście Germanów zgodnie piszą wszyscy autorzy, mało tego, podkreślają ten fakt jako właściwie niezrozumiały i trudny do wyjaśnienia względami przyrodniczymi. Przecież im dalej na północ, tym gorsze warunki środowiskowe! Z badań archeologicznych wynika, że ówczesnych Germanów dziś za wysokich raczej by nie uznano, ale Rzymianom tacy się wydawali, więc musieli w ich oczach osiągać miarę 6 rzymskich stóp świadcząca o wzroście wysokim. A ponieważ w pierwszych szeregach stawali zazwyczaj najwyżsi wojownicy, trudno dziwić się wrażeniu raczej ogólnie niskich Rzymian, że Germanie przerastają ich o głowę.

Na szczęście dla Rzymian, ze wzrostem i siłą Germanów nie współgrało ich uzbrojenie. (...) *Rzadko posługują się mieczami* - pisał Tacyt - *albo dłuższymi spisami: noszą włócznie, czyli w ich języku framee, o wąskim i krótkim żeleźcu, lecz tak ostrym i zdatnym do użytku, że tą samą bronią - według wymogów taktyki - walczą albo z bliska, albo z daleka*². Żeby ten zapis odpowiednio zrozumieć, należy mu się kilka objaśnień. Otóż przez te „dłuższe spisy” kronikarz zapewne miał na myśli włócznie typu rzymskich *hasta*, o długości do 3 m, o sporym grocie. Tłumacz kroniki posłużył się tu terminem „dłuższe spisy”, żeby być w zgodzie z literacką konwencją, przyjętą przez autora dzieła. Natomiast żeby być w zgodzie z rzymskim nazewnictwem, jako „włócznie” należy rozumieć „oszczepty” lub też włócznie mające pełnić funkcję oszczepów, czyli takie, którymi daje się celnie rzucać. *Framea* byłaby więc włócznią służącą nie tylko do walki wręcz, ale i do rzucania. Jednak używano też większych włóczni, o czym ten sam Tacyt w swoich *Rocznikach* informuje słowami Germanika, mówiącego do swych żołnierzy o Germanach: (...) *nadmierznie długie ich spisy nie są tak poręczne wśród pni drzew i krzewów*

²Tacyt, *Germania* 6 [w:] *Dzieła*, przeł. Seweryn Hammer, Warszawa 2004, s. 601.

(...), jak rzymskie dziryty (...)³. Lub w innym miejscu: *Cheruskowie (...)* mieli ogromne włócznie, zdadne do zadawania ran choćby z daleka⁴, co oznacza, że dzięki długiej włóczni nie dopuszczali do siebie Rzymian na odległość ciosu mieczem. *Prócz framei*, będącej jak widać po prostu osobistą, ulubioną, dłuższą lub krótszą (zależnie od mody czy upodobania) włócznią, z którą nigdy się nie rozstawano, piesi Germanie nosili po kilka oszczepów z krótkimi grotami.

Miecz był bronią niezmiernie pożądaną przez wojowników germańskich, lecz drogą, a przez to trudno dostępną. Posłużmy się tu pewnym ustaleniem archeologów polskich wobec wojowników tzw. kultury przeworskiej, identyfikowanej współcześnie z Wandalami, dla tzw. fazy A1 i A2, czyli czasów, odpowiadających w przybliżeniu czasom „naszych” Cymbrów. Jeśli chodzi o uzbrojenie zaczepne, w fazie A1 w samą włócznię lub włócznię i oszczepy jednocześnie wyposażano ok. 1/3 wojowników. Reszta miała miecze, z czego i miecze, i włócznie dostawało ok. 34% wojowników. Interesująco wygląda też sprawa tarcz, gdyż obecność ich szczątków stwierdzono w ok. 37% pochówków. W fazie A2 wojownicy posiadający tylko włócznie stanowili prawie 50%. Natomiast druga połowa miała albo miecze i włócznie (33%), albo tylko miecze (10%). Pojawiły się też miecze jednosieczne, czyli noże bojowe (7% wojowników). Tarcze w tej fazie miało 25% wojowników⁵.

Oczywiście te dane szacowane na podstawie zwyczajów pogrzebowych, nie muszą odzwierciedlać zwyczajów ludzi żywych. Brak tarczy w znacznej części pochówków może mylić, ale to, że mieli je wszyscy żywi wojownicy, nie ulega wątpliwości. W końcu nie aż tak trudno było wykonać ten najtańszy element broni defensywnej. Wielu używało tarcz w całości wykonanych z drewna, z niewielką liczbą metalowych okuć, wzmocnień i nitów, co sprawiło, że nie pozostały po nich ślady w pochówkach całopalnych. Dotyczy to zwłaszcza tak wczesnego okresu, jak epoka Cymbrów. Dziś znajdując się w Skandynawii tarcze o *limbach* drewnianych, których pochodzenie sytuuje się w interesującej nas epoce.

Z czasem wykorzystanie żelaza w uzbrojeniu ofensywnym i defensywnym musiało wzrosnąć, zważywszy na liczne zwycięstwa cymbryjsko-teutońskie nad ludami zasobnymi w żelazo. Dotyczyło to zwłaszcza

³ Tacyt, *Roczniki*, 11.14, *op. c/7.*, s. 85.

⁴ *Ibidem*, 1.64, s. 70.

⁵ Zob.: B. Kontny, *Diversification of Burials With Weapons In the Przeworsk Culture In the late Pre-Roman Period* [w:] *Bewaffung Der Germanen und ihren Nachbarn in den letzten Jahrhunderten vor Christi Geburt*, Lublin 2002, s. 59-75; odpowiednik tego artykułu w jęz. polskim [w:] <http://bartoszkontny.pradzieje.pl/>

mieczy. Większość stanowiły zapewne zdobyczne rzymskie *gladiusy* lub długie miecze galijskie. Germańscy kowale wytwarzali jednak typowo germańską broń, pełniącą funkcję miecza: wielki, jednosieczny nóż bojowy o spiczastym sztychu. I można tu zaryzykować twierdzenie, że z im dalszej północy wywodził się lud, tym tej właśnie broni miał więcej⁶. Wielki nóż miał długość ok. 50-60 cm (czasami więcej), a kształt klingi przypominał dzisiejsze uniwersalne noże kuchenne. Uchwyt rękojeści był wygodny, dopasowany do ręki, z lekkim wygięciem głowicy, rozszerzającej się na końcu, by broń nie wyslizgnęła się z dłoni. Często rękojeść stanowiła wcięcie w płaszczyźnie klingi, przez co chwyt był jeszcze wygodniejszy. Nóż taki, podobnie jak rzymski *gladius*, mógł służyć zarówno do pchnięcia, jak i do cięcia. W późniejszych o 500-800 lat czasach podobne noże nazywano *sax*.

Germanie nie za często używali łuków. Ponieważ ceniono u nich głównie osobiste męstwo, zawsze dążyli do walki w zwarciu, stąd łuk, choć bardzo skuteczny i funkcjonalny, nie był przez nich postrzegany jako broń główna, lecz raczej typowo myśliwska. W pochówkach stwierdza się śladowe ilości broni strzeleckiej (do 5%). Wprawdzie rzeczywistość wymuszała stosowanie łuków na wojnie, ale to nie one, lecz *framee* decydowały o przebiegu bitew.

Uzbrojenie pieszych i konnych Germanów wykazywało niewielkie różnice. (...) *Otóż jeździec zadawała się tarczą iframeą, piesi rozsiewają także pociski; każdy ma ich większą ilość, a ciskające w niezmierną dal nadzy lub odziani w lekki płaszcz wojskowy*⁷. Jednak w armii cymbryjsko-teutońskiej wystąpiły poważne różnice w uzbrojeniu obu rodzajów wojsk. W momencie decydujących starć z Rzymianami jazda cymbryjska przybrała postać jazdy celtyckiej.

Uzbrojenie defensywne Germanów było na ogół bardzo skromne. (...) *Nie widać żadnej pretensji w ekwipunku; tylko tarcze pstrzą się najbardziej wyszukanyimi barwami. Niewielu ma pancerze, ledwie jeden lub drugi - hełm albo szyszak** - pisał Tacyt o wojownikach późniejszych od Cymbrów o 150-200 lat. Tarcze germańskie nie dorównywały rzymskim

⁶ Prawie wszystkie egzemplarze broni siecznej, charakterystyczne dla czasów przedrzymskich, znalezione na Olandii i Gotlandii, to noże bojowe. O tym w wykładzie: M. Rasch, *yoiromische Waffentypen und Waffenkombinationen aufden Inseln Óland und Gotland in der siidostlichen Ostsee und ihre chronologische Stellung im Licht der kontinentalen Waffenfunde* [w:] *Bewaffning der Germcmen und ihren Nachbam*, Lublin 2002.

⁷ Tacyt, *Germania* 6, *op. cit.*, s. 601.

^x *Ibidem*.

jakością wykonania i funkcjonalnością. (...) *Germanowie nie mają ani pancerzy, ani hełmów, ani nawet tarcz, mocno skonstruowanych z żelaza lub skóry, lecz plecionki z wierzby lub cienkie i barwnie pomalowane deski*⁹. To zdanie wypowiedziano już w naszej erze po 30 latach wojen rzymsko-germańskich; oceniając wielkość tarcz, uznano, że są „ogromne”, a przez to niewygodne. Być może te ogromne tarcze wpleciono z wikliny na okazję walnej bitwy, już po krwawych doświadczeniach z rzymskimi oszczepami, żeby stworzyć wreszcie skuteczną osłonę pierwszej linii bojowej przed rzymskimi pociskami, nazbyt łatwo raniącymi niemal nagich wojowników. Na ogół tarcze wojowników germańskich były raczej średniej i małej wielkości; wszak ich właściciele nigdy się z nimi, podobnie jak *zframeq*, nie rozstawali, więc noszenie po bezdrożach i krzakach takiej wielkiej, ciężkiej płaszczyzny przynosiłoby więcej kłopotów niż pożytku.

Tarcze prostokątne miały zazwyczaj wymiary ok. 80x60 cm, choć wiele było wyższych. Wykonywano je z płaskich desek grubości ok. 1 cm, na co wskazuje długość nitów przy *umbach*. Czasami, zwłaszcza w egzemplarzach bogatszych wojowników, pokrywano je skórą. Zwykle miały formę prostokątną z zaokrąglonymi rogami, owalną lub kolistą. Z czasem tarcza owalna przeobraziła się w tarczę o kształcie wydłużonego sześciokąta, która zyskała sobie popularność w całej Germanii¹⁰. W miarę pozyskiwania metali starano się jak najlepiej wzmocnić konstrukcję tarcz. Jak wskazują doświadczenia grup rekonstruujących uzbrojenie, płaska tarcza bez okuć krawędzi bocznych była w zasadzie jednorazowego użytku i do drugiej bitwy już się nie nadawała. Drewniane *umbo* łatwo pękało pod mocnym ciosem, nie stanowiło też skutecznej osłony przed rzymskim oszczepem. Nic więc dziwnego, że tarcze, jakich używali cymbryjscy i teutońscy wojownicy pod koniec wędrówki, wyglądały zupełnie inaczej niż te, z którymi na nią wyruszyli.

Prosta, na ogół jednowarstwowa konstrukcja tarcz germańskich mniej skutecznie chroniła przed ciosami niż rzymskie tarcze wielowarstwowe. Tarcze malowano w różnorodne, wielobarwne wzory, będące znakami przynależności rodowej i plemiennej. Te malowidła miały też znaczenie religijne i rytualne; czytelne dla Germanów, dla Rzymian były oczywiście przypadkową pstrokacizną (w domyśle - całkowicie bezsensowną,

⁹ Tacyt, *Roczniki* 11,14, *op. cit.*, s. 85.

¹⁰ Bardzo interesujący wykład o tarczach Germanów można znaleźć w tekście J. Andrzejowskiego pt. *Wczesnorzymska miniaturka tarczy z Nadkola nad Liwcem, zamieszczonym [w:] „Superiores Barbari”. Księga pamiątkowa ku czci proj. Kazimierza Godłowskiego*, Kraków 2000, s. 21⁴⁷.

jak to u barbarzyńców). Jak od każdej zasady, i tu był wyjątek - tarcze jazdy cymbryjskiej (ale już nie teutońskiej) były po prostu... białe.

Tarcza nie była tylko i wyłącznie orężem, znaczyła coś więcej. To do tarczy śpiewano (a raczej nucono lub buczano) pieśń bojową, to tarczą obdarowywano nowożeńców. (...) *Tarczę porzucić uchodzi za największą hańbę, a tak zhańbionemu nie godzi się brać udziału w ofiarach ani przychodzić na zebranie (...)*¹², gdyż zawinił nie tylko wobec ludzi, ale i wobec bogów.

Sylwetkę wojownika kształtowało nie tylko uzbrojenie, ale i ubiór. Wśród szczątków pochówków znaleziono wiele zapinek do odzieży, które zresztą stanowią podstawę do datowania innych zabytków, gdyż właśnie one ulegały łatwym do prześledzenia w czasie przekształceń będącym wyrazem swoistych trendów modowych. Mówi się, że Germanie walczyli nago, choć tak naprawdę mieli na sobie spodnie. Ale nosili też koszule, np. w Skandynawii znaleziono pochówek, którego „użytkownik” miał na sobie i spodnie, i koszulę; obydwa rodzaje odzieży wykonano z wełny. Używali też płaszczy, jeśli to odpowiednie określenie prostokątnych tkanin, odpowiednio upiętych na człowieku. Tacyt nie pozostawia specjalnych złudzeń co do wykuintności ubioru Germanów:

*(...) Powszechnym okryciem jest krótki płaszcz spięty sprzączką lub w braku tejże - cierniem; poza tym są nieohyci i spędzają całe dni przy palenisku i ogniu. Najbogatsi wyróżniają się odzieniem, niespływającym w fałdach -jak u Sarmatów i Partów - lecz ściśle przylegającym i uwydatniającym wszystkie kształty ciała. Noszą też skóry dzikich zwierząt, i to najbliżsi brzegów Renu mieszkańcy niedbale, dalsi w sposób więcej wyszukany, ponieważ drogą handlu żaden inny zbytek w stroju do nich się nie wkrada. Dobierają zwierza, a na zdartą skórę nakładają w cętki kawałki futra z tych zwierząt, które rodzi dalszy Ocean i nieznanne morze. Kobiety nie mają innego odzienia niż mężczyźni, z tym wyjątkiem, że one dość często okrywają się płóciennymi szatami i zdobią je czerwonym naszyciem (...)*¹².

A zatem o naszych Cymbrach i Teutonach można powiedzieć, że stroili się w futra, przynajmniej w pierwszych etapach swojej wędrówki.

Trzeba tu wspomnieć o znaleziskach w grobach z czasów przedrzymskich na terenie Szwecji i Gotlandii. Otóż wśród elementów uzbrojenia

¹² Tacyt, *Germania* 6, *op.cit.*, s. 602.

¹² *Ibidem*, 17, s. 606.

widać zęby wilcze i niedźwiedzie. Badacze¹³ identyfikują jako fragmenty skór, wyprawionych z łbem zwierzęcia. W taką skórę ubierał się potem wojownik, nakładający sobie na głowę zębatą paszczę drapieżnika w celu wywarcia należytego efektu na przeciwniku, a i samemu sobie przydania śmiałości i siły. Zresztą taki obraz doskonale pasuje do kultowej przemiany człowieka w zwierzę i nabraniu przez niego zwierzęcych cech, takich jak siła, spryt, zręczność czy wreszcie drapieżność. Wojownik w skórze wilka stawał się wilkiem, w skórze niedźwiedziej - niedźwiedziem. I zawsze taka skóra stanowiła choć minimalną osłonę głowy, ramion i pleców. Czując ją na sobie, wojownik stawał się silnym zwierzęciem. Co ważne, miało to zapewne związek z jego inicjacją, czyli wejściem młodości w dorosłość. Posłużmy się tu cytatem z wybitnego religioznawcy, Mircea Eliade:

Istota inicjacji wojennej polegała (...) na rytualnej przemianie młodego wojownika w bestię. Chodziło nie tylko o waleczność, siłę fizyczną lub wytrzymałość, ale o doświadczenie magiczno-religijne, które modyfikowało sposób bycia młodego wojownika. Musiał on przemienić swą ludzką naturę przez napad agresywnej i przerażającej furii, upodabniającej go do wściekłych drapieżników. U starożytnych Germanów wojowników-bestie nazywano berserkami („berserki” dosł. „wojownicy w niedźwiedziej powłóce” - „serkr”). Znano ich także pod nazwą „ulfhedhnar” - „ludzie w wilczej skórze” (...). Dopóki było się przyodzianym w skórę zwierzęcia, dopóty nie było się już człowiekiem, ale samym drapieżnikiem: nie tylko wojownikiem drapieżnym i niezwykłym, owładniętym przez furor heroicus, ale nie miało się już więcej nic ludzkiego; krótko mówiąc, nie czuło się już związanym prawami i zwyczajami ludzi¹⁴. Natomiast zupełnie odrębną sprawą pozostaje noszenie skór zwierząt na południu Europy. Zimą - jak najbardziej tak. Ale latem, w niemal zenitalnym słońcu?!

Wojownicy germańscy występowali do walki w trzech rodzajach broni: jako piesi, konni i w oddziałach mieszanych. Owe oddziały mieszane były tak skuteczne w walce, że później Juliusz Cezar najał je do własnej armii i powiódł aż do Afryki. Sama jazda germańska nie przedstawiała aż tak dużej skuteczności bojowej, gdyż (...) *konie ich nie wpadają w oko ani kształtem, ani chyżością*¹⁵, lecz nadal pozostawała bardzo groźna. W jeździe służyli bowiem najdzielniejsi wojownicy. W czasach

¹³ Zob.: P. Nicklasson, *Pre-Roman Weapon find In Mainland Sweden - Typology, Chronology and Regional Groups* [w:] *Bewaffung Der Germanen op.cit.*, s. 267-272.

¹⁴ Mircea Eliade, *Od Zalmoksis do Czyngis-chana*, przeł. Krzysztof Kocjan, Warszawa 2002, s. 12, skróty autora.

¹⁵ Tacyt, *Germania* 6, *op. cit.*, s. 601.

Cezara i nieco później jazda germańska uchodziła za lepszą od galijskiej i hiszpańskiej, choć zarówno konie, jak i uzbrojenie defensywne i ofensywne miała gorsze. Koń był u Germanów główną nagrodą za dzielność przyznawaną przez dowódcę zasłużonym wojownikom. Bycie jeźdźcem zatem zobowiązywało. Jeśli wierzyć Plutarchowi, Cymbrowie zerwali z tradycją lekkiej jazdy doceniając walory uzbrojenia defensywnego.

Piechota w otwartym polu nie przedstawiała dużej wartości bojowej, jeśli tylko wytrzymało impet jej pierwszego natarcia i nacisk masy wojowników. Decydowały o tym głównie braki w uzbrojeniu ochronnym. W zwarciu łatwo było o rany, więc jeśli nie powiodło się Germanom pierwsze gwałtowne natarcie, ustępowali. Za to w terenie trudnym lub w pojedynkach indywidualnych germańscy wojownicy szybko ujawniali swoją przewagę. Siła fizyczna, duży zasięg ramion, wreszcie swoboda ruchów niemal nagiego ciała pozwalały na zwyciężanie lepiej uzbrojonych i zorganizowanych przeciwników. Ale w walce z Rzymianami swoboda ruchów była praktycznie niemożliwa. Ciągące się tysiącami kroków długie falangi wojsk oraz znaczna głębokość szyków powodowały ich niebezpieczne zacieśnianie. Rzymianie dobrze sobie radzili z tym problemem, nawet w ogniu bitwy zachowując odpowiednie odstępy. U Germanów i Celtów zdarzało się, że tylne szeregi napierały na przednie, nie tylko uniemożliwiając im w razie potrzeby odwrót, ale nie pozwalając na sprawne władanie bronią, robienie uników czy wycofanie na tyły rannych. A to fatalnie oddziaływało na jakość walki pierwszych szeregów.

Cymbryjscy i teutońscy wojownicy w kontekście celtyckim

Germanie z interioru owych czasów, a takimi byli początkowo Cymbrowie i Teutoni, mieli bardzo skromne uzbrojenie. Kontakty z Celtami zaowocowały podwyższeniem jego ilości i jakości. Proces metalizacji uzbrojenia, zwłaszcza tarcz, zapewne postępował stale; wszak germańscy wędrowcy nieprzerwanie, od 10 lat przebywali w Galii, a wcześniej kilka lat spędzili również w celtyckich krainach. Nic zatem dziwnego, że przejęli kilka bardzo funkcjonalnych wzorów uzbrojenia. Nie można w tym miejscu pominąć pewnych aspektów psychologicznych - Germanie wierzyli przecież głęboko, że broń pokonanych nie nadaje się do dalszego użytku, podobnie jak broń zmarłych. A zatem... niszczone ją. To z naszego punktu widzenia całkowicie niepraktyczne

podejście do życia było mocno ugruntowane w świadomości Germanów, z tym że w razie zwycięstwa nie całą zdobyczną broń niszczone; dużą jej część zachowywano na pamiątkę. Trzecim źródłem dostaw była broń otrzymywana w charakterze okupów, wykupów i danin. Pojmani do niewoli rzemieślnicy wyrabiali ją dla nowych panów.

Z wędrowką Cymbrów związany jest pewien dobrze znany nauce niezwykłej urody przedmiot. Jest to tzw. kocioł z Gundestrup, odnaleziony, w Danii, datowany na II-I wiek p.n.e. Wykonany ze srebra, miał jednoznaczne zastosowanie kultowe. Co dla nas w tej chwili istotne, to zbieg kilku okoliczności: mówi się, że wykonano go w sąsiedztwie Tracji, w warsztacie celtyckim (czyżby u Skordysków lub Noryków?), a w czasie wędrowki Cymbrów znalazł się w ich punkcie wyjścia, jako okup, dar lub zdobycz przysłana do ojczyzny. Oprócz treści, bez wątpienia boskich, przedstawia ludzkie, a ściślej mówiąc, militarne. Te wizerunki pokazują, jak przeobrazili się wojownicy cymbryjscy, nabrawszy cech celtyckich. Widać tam wojowników w hełmach zdobnych postaciami zwierząt, można domyślać się kolczug, kilku ryczy na celtyckich trąbach (*kamyksach*), a wszyscy mają długie, wąskie tarcze i włócznie. Hełmy tych postaci, w ujęciu bocznym, mają kształt jako żywo przypominający... nocniki. Archeolodzy znaleźli takie hełmy, i klasyfikują je jako tzw. typ *Negau*. Z boku rzeczywiście wygląda on jak nocnik, do czego przyczynia się krągły dzwon i wydatnie wyprofilowana krawędź, tworząca rondo. Natomiast z przodu widać, że hełm ma pionową oś, biegnącą przez cały dzwon, nadającą mu opływowy kształt. Uczeni dosyć mocno identyfikują ten typ hełmu z Cymbrami¹⁶, zwłaszcza że na terenie Danii znaleziono taki okaz wystrugany z drewna!¹⁷ Czyżby z braku metali doceniano u Germanów nawet drewniane ochrony głowy? A może drewniany hełm był świetną platformą do noszenia spreparowanych skór i czaszek drapieżników?

Można się domyślać, że większość wojowników, zwłaszcza w piechocie, pozostała przy tradycyjnym uzbrojeniu germańskim, czy to z przekonania (wymieniając tylko poszczególne elementy uzbrojenia na lepsze), czy też z konieczności. Jednak nawet i w tym przypadku dla niewchodzącego w subtelności laika wojownik cymbryjski mógł wyglądać jak celtycki. Wystarczyła jedynie zmiana tarczy, a nic zapominajmy, że przez wiele lat najeźdźcy korzystali też z galijskich tkanin czy

¹⁶ Flemming K., *The Gundestrup Cauldron reconsidered* [w:] *Acta Archeologica* \>ol. 66-1995, Kopenhaga 1995, s. 1-35.

¹⁷ Dwa drewniane hełmy znaleziono w połowie XX wieku w Ulgmose, na wyspie Lolland. Ich związki z Cymbrami są wykazane w publikacji przywołanej w poprzednim przypisie.

ubrań gotowych, stroili się w zdobyczne ozdoby (choćby naszyjniki), a że byli zewnątrznie podobni, trudno było na pierwszy rzut oka rozeznąć, kto zacz.

Trzeba mieć na względzie jeszcze jedno - oto w miarę upływu czasu postępowało rozwarstwienie w wędrownych społeczeństwach. Niby wszyscy byli tam równi, ale niektórzy, zwłaszcza poplecznicy, przyjaciele i towarzysze królów, byli zdecydowanie równiejsi od reszty społeczności. Wiemy, że w całkiem nieodległych od tego okresu czasach znakiem nobilitacji wśród Germanów było otrzymanie konia bojowego w nagrodę za waleczne czyny, niewykluczone więc, że i w społeczeństwie cymbryjsko-teutońskim mogło być tak samo. Ten, kto chciał być ważny, pragnął być wojownikiem konnym. A wiadomo, że podczas walki na otwartym polu jeźdźcy byli bardziej wystawieni na rażenie pociskami niż piesi, stojący w zwartym szyku i dzierżący większe tarcze. W dodatku dźwiganie ekwipunku spadało na koński grzbiet, szybko więc jeźdźcy cymbryjscy zaczęli mieć tego ekwipunku, w tym uzbrojenia, coraz więcej; coraz mniej przypominali niegdysiejszych, skromnie uzbrojonych Germanów. Mieli hełmy (...) *podobne do paszcz i oryginalnych kształtów strasznych, dzikich zwierząt. Na nich wznosiły się w górę skrzydlate kity, przez co sami wydawali się jeszcze większymi. Uzbrojeni byli w ozdobne, żelazne pancerze, a tarcze mieli błyszcząco białe. Za pocisk służył każdemu oszczep o podwójnym grocie, a w czasie walki wręcz używali wie/kich, ciężkich mieczów¹⁸**.

Hełmy celtyckie, na ogół bardzo funkcjonalne, miawały czasami bardzo oryginalne, czasami wręcz dziwaczne kształty, nieułatwiające ich użytkowania, np. zdobiły je dwa wielkie, wystające na boki rogi czy rozbudowane konstrukcje do mocowania skomplikowanych ozdób. Dotyczyło to głównie egzemplarzy paradnych, ale również hełmy typowo bojowe przyozdabiano metalowymi różkami, rozetami, wyobrażeniami kół ze szprychami czy postaciami zwierząt. Widocznie ich użytkownicy zabezpieczenia magiczne uznawali za nie mniej ważne od fizycznej ochrony. I tak, zapożyczając to i owo z uzbrojenia pokonanych ludów, ale wzbogacając te inspiracje własną pomysłowością jazda Cymbrów upodobniła się całkowicie do celtyckiej. Tym samym jeźdźcy zyskali wszelkie zewnętrzne atrybuty, które świadczyły o odrębności i ekskluzywności ich własnej kasty.

¹⁸ Plutarch, *Mariusz 14* [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957, s. 489.

Ponadto jest wysoce prawdopodobne, że do Germanów przyłączyło się wielu galijskich awanturników. Możliwe też, że niektóre z podbitych plemion były zmuszone dostarczyć zwycięzcom kontyngentów zbrojnych. Te pozyskane oddziały walczyły w typowo celtyckim uzbrojeniu, więc nie ma co się dziwić, że późniejsi pisarze mieli problemy z określeniem przynależności etnicznej najeźdźców.

Niewykluczony też jest udział w szeregach germańskich piechoty celtyckiej. Piesi byli skromniej uzbrojeni od jeźdźców. Rzadko kto nosił pancerz, niewielu miało hełmy, za to wszyscy wysokie, wąskie, owalne tarcze, malowane w spiralne i wężykowate wzory. Tarcze te dorównywały niekiedy wielkością tarczom rzymskim, ale w odróżnieniu od nich były całkiem płaskie. W uzbrojeniu ofensywnym dominowały włócznie; dużo też było różnego rodzaju oszczepów. Włócznie miały duże, liściaste groty, osiągające często szerokość dłoni. Groty oszczepów były małe, czasami niewiele większe od grotów strzał. Często groty oszczepów odkuwano z zadziorami, utrudniającymi ich wyrwanie z rany.

Charakterystycznym dla Celtów elementem wyglądu zewnętrznego było nacieranie włosów gliną, co tworzyło bardzo najeżone, strąkowane fryzury. Ponoć nie była to kwestia mody, lecz użyteczności, na którą składało się kilka elementów: straszono przeciwnika „podwyższoną” postaćią, zabezpieczano się przed insektami, zwiększano też, nieznacznie, ale zawsze, ochronę głowy przed cięciem wrogiego miecza. Swoją drogą, szkoda, że współcześni charakteryzatorzy filmowi pomijają ten element lub traktują go li tylko jako przejaw ówczesnej mody, układając „swoim” starożytnym Galom włosy na żel...

Wodzowie i taktyka walki

Wodzami Germanów byli zazwyczaj ich naczelnicy plemienni bądź, w mniej demokratycznych społecznościach, jak u naszych wędrowców, królowie. Z czasem pojawili się atrakcyjni dla wojowników, gdyż wiodący do wojen, zwycięstw, łupów i sławy - dowódcy międzyplemienni.

(...) Szyk bojowy ustawia się w kliny. Ustąpić z placu boju, byleby do ataku wrócić, uważają raczej za fortel niż za bojaźliwość¹⁹. To zdanie mówi o podstawowych elementach taktyki walki Germanów z czasów Tacyta, ale nie oddają one tego, co działo się na polu bitwy, w której uczestniczyli Cymbrowie i Teutoni. Zapewne szyk klinowy nic był im obcy, ale walczyli oni tak ogromnymi masami wojsk, że poszczególne

¹⁹ Tacyt, *Germania* 6, *op. cit.*, s. 602.

kliny sklejały się ze sobą, tworząc falangę. Klin, przekraczający szerokością 500 czy 1000 kroków, z ugrupowaniem klinowym nie ma już praktycznie nic wspólnego. Z zachowanych opisów bitew zupełnie nie wynika, by Cymbrowie albo Teutoni w którymkolwiek miejscu szyku ustawiali wojsko w klin ani też ustawiali swoje masy w kilka klinów. Niemniej zdawkowy opis szyku, przypominającego kliny, daje nam Cezar: (...) *Germanie z konieczności wyprowadzili swoje siły z obozu i ustawili się jednakowych odstępach plemionami: Harudowie, Markomanowie, Trybokowie, Wangionowie, Nemetowie, Sedusjowie, Swebowie i całe wojsko otoczyli ciężkimi i lekkimi wozami, aby pozbawić się nadziei na ucieczkę. Na wozach umieścili kobiety, które wyciągając ręce ku ruszającym do boju wojownikom, błagały ich wśród płaczu, aby nie wydawali ich Rzymianom w niewolę²⁰*.

Dalej pisze, że po niepomyślnym starciu z Rzymianami (...) *Germanie, zgodnie ze swoim zwyczajem, uformowali szybko falangę i zastłonili się tarczami przed ciosami mieczy²¹*. Inny kronikarz opisuje to samo wydarzenie nieco inaczej, odsłaniając przed nami ugrupowanie klinowe: *Zbijając się w grupy po trzystu i większe lub mniejsze, osłaniali się ze wszystkich stron tarczami. Stali wyprostowani, niedostępni z powodu ścisłego frontu i trudni do ruszenia z miejsca z powodu gęstości. W ten sposób ani nie wyrzadzili, ani nie doznali niezłego¹²*. A jednak to ugrupowanie zawiodło jako szyk defensywny, gdyż Rzymianie wchodzili na tarcze Germanów, odchylali je i dźgali bezradnych wojowników mieczami.

Wodzowie Cymbrów i Teutonów opracowali swoją własną taktykę, opartą na tradycji, ale zarazem odpowiadającą możliwościom bojowym współczesnej armii. Potrafili ustawić wojsko do dużej bitwy; zresztą zawsze dążyli do walnych rozpraw. Nie dotyczyło to wszystkich Germanów - ich późniejsi o 100 lat kuzyni, po kilku przykrych doświadczeniach, unikali starć z Rzymianami na otwartym polu, ale potrafili urządzać zasadzki na całe armie bądź ich części. Teraz wojska ustawiano do walki, formując je w wielkie falangi, którymi w pewnym zakresie, jeśli tylko było miejsce manewrowano - do tego tematu jeszcze wrócimy. Dla dodawania wojownikom animuszu, z tyłu szyku bojowego ustawiano kobiety i dzieci, zataczając tam obóz. Na ogół miało to swoje dobre strony i zwykle sprawdzało się, gdyż Germanie byli wyczuleni na punkcie

²⁰ Cezar, *Wojnagallicka* 151 [w:] *Corpus Caesarianum*, przeł. E. Konik i W. Nowosielska, Wrocław 2003, s. 74.

²¹ *Ibidem*, 1.52, s. 74.

²² Kasjusz Dion Kokcejanus, *Historia rzymska*, XXXIX. 49, przeł. Wl. Madyda, Wrocław 2005, s. 266.

swojego honoru i okrzyki „tchórz!” i „zajac!” wiele mogły tam zdziałać. Zresztą najczęściej nie było innego wyjścia, jak bić się w oparciu o obóz zatoczony w zasięgu głosu od pola bitwy. Czasami jednak okazywało się, że pobliski obóz, pełen skłonnych do paniki niekombatantów i -jak byśmy dziś powiedzieli - cywilów, w chwilach krytycznych mógł oddziaływać fatalnie na walczących wojowników, przy czym, w odróżnieniu od obozu rzymskiego, absolutnie nie był przewidziany jako miejsce schronienia w przypadku porażki. Tu nie wchodził w grę fortel, oparty na chwilowym wycofaniu się do obozu, a potem niespodziewanym powrocie do walki ze zdwojoną energią ten obóz, zaludniony tysiącami przerażonych oczu, miał być gwarantem walki na śmierć i życie do samego końca.

Ponieważ wodzowie osobiście uczestniczyli w walce, i to na pierwszej linii, dowodzenie praktycznie kończyło się w momencie rozpoczęcia walki. Trzeba było doświadczeń kolejnych paru pokoleń, by zerwać z tym absurdalnym zwyczajem opartym na przekonaniu, że (...) *byłoby hańbą dla naczelnika dać się przewyższyć w męstwie (...)*²³ Na razie jednak zwyczaj ten miał się całkiem dobrze, bo w całej tej ogromnej armii, gdzie bardziej niż manewry taktyczne liczyła się odwaga w parciu na przeciwnika, tylko osobistą dzielnością można było zyskać uznanie. Z tego względu zarówno król Teutonów, jak i król Cymbrów angażowali się osobiście w walkę i to praktycznie od samego jej początku. Świadectwo odwagi i siły, składane przez samego władcę, z pewnością wpływało pozytywnie na jego najbliższe otoczenie, ale już walczącym kilkadziesiąt kroków dalej wojownikom niewiele przychodziło ze świadomości, że król walczy tak, jak oni. Poza tym póki król zwyciężał i posuwał się naprzód, wszystko było w porządku. Nietrudno jednak sobie wyobrazić, co się działo, jeśli był zmuszony się wycofać lub gdy go zraniono...

Germanie ustawiali się w szyku plemionami, jak to opisywał Cezar. W ramach plemion stawali prawdopodobnie rodami. W związku z tym więzi między wojownikami były bardzo silne; walczący ramię w ramię wojownicy znali się przecież praktycznie od dzieciństwa. Skłonność do rywalizacji, tak charakterystyczna dla Germanów, znajdowała tu swoje spektakularne ujście.

Ogólnie rzecz biorąc, Cymbrowie i Teutoni wierzyli w swoją prze wagę liczebną (było ich dużo) oraz fizyczną (byli silni, muskularni i bojowo nastawieni). Ponieważ stanowili tzw. plemiona pod bronią, każdy z mężczyzn, niezależnie od swoich indywidualnych predyspozycji

²³ Tacyt, *Germania*, 14, *op. cit.*, s. 605.

i wieku, był przewidziany do walki. Powiększało to oczywiście wydatnie liczbę szeregów, ale zarazem w tej mnogości tkwiła słabość... niejednorodności. Nie wszyscy jak jeden mąż byli ogromni, silni i sprawni fizycznie, więc by wyrzucić na przeciwniku odpowiednie wrażenie, do pierwszych szeregów wysyłano najlepszych i najlepiej uzbrojonych wojowników. Tylne szeregi tworzyli ludzie o słabszych walorach fizycznych i gorszym uzbrojeniu. Jeśli więc szeregi czołowe nie sprostały przeciwnikowi, to choć siły z głębi ugrupowania pozostawały ciągle nienaruszone, niewiele można było nimi zdziałać: uznani za „gorszych” wojownicy rzeczywiście czuli się gorsi od pokonanych czy odpartych pierwszoszeregowych, a więc i skłonniejsi do ustąpienia - skoro lepsi od nich sobie nie poradzili, to i oni nie czuli się na siłach, by sprostać wrogom. Świetnie uzbrojone i wyćwiczone wojsko rzymskie miało tu więc dużą przewagę, ale jak pokazały dotychczasowe wypadki, trudno było ją wykorzystać. Uzbrojenie Germanów, w porównaniu z rzymskim, było gorsze, ale już kilka razy zwyciężali oni w polu poprzez przemożny nacisk, pod którym nawet zdyscyplinowane szyki rzymskie ustępowały i zbijały się w ściśnięte masy. Nie zapominajmy przy tym o silnym efekcie psychologicznym - wrażeniu, jaki wywierał na nieprzyjaciołach Cymbrów i Teutonów widok szerokiego i głębokiego szyku germańskiego. Z racji swej wielkości mógł się on wydawać nie do pokonania, nim jeszcze doszło do starcia. Czas miał pokazać, czy ta niewyszukana taktyka okaże się wystarczająca dla okiełznania rzymskiej armii nowego wzoru.

Plany Cymbrów i Teutonów

W działaniach Rzymian po Arausio łatwo jest znaleźć ślady planowego działania z przygotowaniem zaplecza logistycznego i infrastruktury, podziałem zadań i rozgraniczeniem kompetencji urzędników. Tym samym przygotowania Rzymu do wojny osiągnęły poziom strategiczny. Przy uwzględnieniu faktu, że Imperium prowadziło jednocześnie jeszcze kilka innych konfliktów, w miarę możliwości łagodząc je i odkładając ich rozstrzygnięcie na później, wyraźnie widać wytyczenie głównego zadania i myśl przewodnią z określeniem celu, środków do niego wiodących i spodziewanych skutków.

W przypadku Cymbrów i Teutonów trudno mówić o planowym działaniu, gdyż nawet to, co wydawało się planowe, wcale takie nie było. Tu raczej trzeba myśleć o zamiarach, które uda się bądź nie uda zrealizować. Świadczy o tym całe dotychczasowe postępowanie tych plemion, czego

najlepszym przykładem będzie ich zachowanie po największym zwycięstwie. Wróćmy zatem do ich pierwszej decyzji po Arausio, czyli zawróceniu od granic Italii.

Gdyby najeźdźcy mieli jakiś plan działania, związany z Italią, niechybnie wprowadziliby go w czyn. Takiego planu po prostu nie było, a niebывały sukces zwyczajnie przerósł zwycięzców. Całkiem przy tym możliwe, że mimo kręcenia się w okolicy przez 7-8 lat, wcale nie zdawali sobie sprawy z faktu, czym jest w istocie Imperium Rzymskie. Już dla Pyrrusa Rzym był wielogłową hydrą, ale na nim mogła robić wrażenie tylko kultura militarna Rzymian i nic więcej. Z Cymbkami mogło być nieco inaczej. Kultura militarna Rzymu nie wydawała im się szczególnie groźna, choć u trzeźwiej myślących mogła powstać niepokojąca refleksja, że ciągle biją Rzymian, a sam Rzym jakoś nie pada. Wrażenie, jeśli w ogóle było, tkwiło gdzie indziej. Ich posłowie byli w Rzymie, więc zaznali tłoku, zgiełku i duchoty wielkiego miasta, poznali przy tym, czym jest jego ogrom. Mijali po drodze wiele innych, dużych miast mających twierdze, a miejsc warownych nie potrafili skutecznie oblegać. Poznali też, jak górzysty jest teren Italii i jak łatwy do obrony. Gęstość zaludnienia, zagospodarowanie kraju i jednocześnie jego bogactwo przerosły ich możliwości pojmwania, niezależnie od tego, czy im przypadła do gustu, ta kraina, czy nie. Na pewno byli wśród nich tacy, którym Italia bardzo się spodobała, ale większość wolała chyba, jak to Germanie, niezabudowane przestrzenie. Przecież od kilkudziesięciu lat żyli w uważanym początkowo za zło konieczne obozie wędrownym. Raczej nie marzyli, by osiedlić się w miastach, czyli w czymś wyglądającym jak stały obóz... Na przetrwanie tych wrażeń i sukcesu pod Arausio zwyczajnie potrzebowali czasu. A czas działał na ich niekorzyść.

Tak czy inaczej, nie było planu zajęcia Italii, tylko zamiar. A z zamiaru łatwiej jest zrezygnować, gdyż szybko można go zamienić na jakiś inny. Nad planem trzeba się wcześniej napracować, więc trudniej przychodzi rezygnacja z włożonego już wysiłku umysłowego. I tak, nie zadając sobie trudu wykorzystania niebывałego zwycięstwa, o czym była już mowa wyżej, obydwaj ludy wycofały się ze zdobytej ziemi, nie podejmując próby wejścia do Italii. W tym ruchu wstecz też nie było planu, tylko zamiar. Tak się przy tym złożyło, że Teutoni i ich sojusznicy poszli na prawo, do Galii, a Cymbrowie na lewo, do Hiszpanii.

Co jest charakterystyczne, Cymbrowie i Teutoni po Arausio działali całkowicie osobno. Wcześniej łączyli się i rozłączali, zależnie od potrzeb czy przypadku. Teraz rozłączenie było trwałe, aż do samego, beznadziejnie tragicznego końca. Za decyzją o podziale stało kilka czynników, z których na pierwszy plan wychodzą dwa:

- nie istniała już w okolicy żadna armia, zdolna podjąć walkę z nawet podzielonymi siłami Germanów;
- wędrówka połączonych sił po zniszczonym kraju pociągała za sobą duże koszty społeczne, a przede wszystkim trudności z aprowizacją mas ludzi i możliwością wybuchu epidemii.

Wkrótce miało się okazać, że obydwie plemiona zawiodły się w swych rachubach z całkiem różnych zresztą powodów. Teutoni nie obłowili się zaledwie w Galii, gdyż już wcześniej oni sami i ich bracia Cymbrowie dokładnie spustoszyli te ziemie. Jako rabusie niemyślący kategoriami gospodarzy, musieli poczuć się lekko rozczarowani, że od czasu ich ostatnich rabunków nie przybyło tam żadnych zasobów. Galowie nauczyli się chować dobytek i unikać starć na otwartym polu, więc dla Teutonów nie było ani łupów, ani chwały wojennej.

W przypadku Cymbrów rozczarowanie było jeszcze większe. Przeszli wprawdzie przez Pireneje bez większych trudności, ale że ze względu na ogromny tabor nie maszerowali zbyt szybko, Celtyberowie zyskali dużo czasu do działania. Zebrali odpowiednią ilość wojsk i - niepomni sławy Cymbrów - śmiało stawili im czoła. Nie wpuścili najeźdźców w głąb kraju, zatrzymali ich i pozbawili możliwości manewru, zmuszając do wybrania jedynej możliwej drogi - drogi powrotnej.

W Galii Cymbrowie i Teutoni zeszli się na krótko razem, a przynajmniej spotkali się decydenci plemion. Przebiegu rozmów nie znamy, jedynie ich efekty. Możemy tylko się domyślać, że władcy wielotysięcznych rzesz nie wiedzieli, co robić dalej w zaistniałej sytuacji. Dotychczas byli już wszędzie, gdzie się dało. Odparli ich tylko Skordyskowie, Belgowie i Celtyberowie, co jakoś przeboleli, uznając po porażkach czy remisach bronione ziemie za nieatrakcyjne. Poza tym wszędzie zwyciężali. Ale teraz, od dwóch już prawie lat, nikt nie wyszedł w pole do otwartego boju, by dać się pobić. Skarby, zboże i stada najeżeni trzymali w ukryciu lub ich po prostu nie mieli, a nowych, w tak krótkim czasie nie zdołali odtworzyć. W związku z tym wśród ludności cywilnej wędrownych ludów trudno było uniknąć kryzysu samopoczucia. Kto wie, czy w podjęciu tej decyzji nie pomogli Germanom mający ich dosyć Celtowie. Podpowiedzieli, że przed laty plemiona celtyckie swobodnie weszły do Italii i osiedliły się tam, ba - zdobyły nawet Rzym. Jeśli Celtom nie sprawiło to większych trudności i mieszkają tam do dziś (co prawda pod panowaniem rzymskim, ale to chyba przemilczano...), to dla zwycięskich Germanów zdobycie Italii nie powinno stanowić żadnego problemu.

Jakie nie byłyby tego przyczyny, postanowiono iść po zwycięstwa i łupy, czyli tam, gdzie jeszcze można było je zyskać, a więc do Italii. Tym, którzy domagali się natychmiastowego osiedlenia, wytłumaczono, że na życie osiadłe będzie miejsce i czas za Alpami. Wystarczy tylko przekroczyć je wzorem starożytnych Galów i za tym samym wzorem osiąść na italskiej ziemi. Wprawdzie po drodze przyjdzie pokonać Rzymian, ale tego dokona się już według własnych, kilkakrotnie wypróbowanych wzorów. Pozostawało jeszcze do rozstrzygnięcia, jak tam dotrzeć. W toku narad ustalono, że ze względu na katastrofalny stan zaopatrzenia w żywność, należy iść do Italii osobno. I tak powstał wreszcie plan działania.

Teutoni mieli iść wprost na Italię, przekroczyć Rodan i wejść do niej przez Alpy od zachodu. Cymbrowie mieli zatoczyć koło, przejść ziemie Helwetów i Noryków, a następnie, poprzez wschodnie przełęcz, znaleźć się przy ujściu Padu (czy dokładnie tę rzekę mieli na myśli, nie wiemy; chodziło o wejście do Italii). Tam, w północnej Italii, obydwaj ludy miały się odnaleźć i podjąć wspólne działania w celu ostatecznego osiedlenia. Gdyby ten plan się powiódł, Galia Przedalpejska zyskałaby nowe miano: Cymbrii i Teutonii.

Plan ten przyjęto, nie znając rozmieszczenia rzymskich sił ani nie zdając sobie sprawy z zamiarów dowództwa rzymskiego. Jakiegokolwiek by one były, liczone zapewne na efekt dezorientacji i zaskoczenia gospodarzy wywołanych podwójnym marszem nieproszonych gości. Jeśli tak było, to w rachubach chyba brano przy tym pod uwagę naturalną konsekwencję takiego obrotu spraw, a mianowicie podział sił rzymskich na dwie części, co oznaczałoby osłabienie obrońców. Dzięki temu plemiona proporcjonalnie zachowywałyby dotychczasową przewagę ilościową nad Rzymianami, co do tej pory tak ładne dawało wyniki na polach bitew. Liczone więc na kolejne łatwe zwycięstwa. Nawet jedno zwycięstwo pozwoliłoby na realizację całego planu, czyli osiągnięcie celu i otwarcie drogi mniej fortunemu plemieniu.

Tak w ogólnym zarysie mogły wyglądać zamiary barbarzyńców, którym wreszcie nadali formę planu. Oczywiście, da się w nim wskazać kilka poważnych luk. Pierwszą i najważniejszą była praktycznie żadna koordynacja poczynań obu mas plemiennych, oraz znaczne przesunięcie ich w czasie, naprawdę niesłużące dobrze całemu przedsięwzięciu. I tak, gdy Teutoni już wchodzili w kontakt bojowy z Rzymianami, Cymbrowie wszczynali niepokoje u Helwetów, a potem, nic nie wiedząc o rezultatach starć pobratymców, przebijali się przez ziemie Noryków. Z Rzymianami zaczęli walczyć około pół roku później, nadal nie mając żadnego pojęcia o tym, co stało się na zachodzie. Z tego wynikała druga luka, a właściwie

przepaść, czyli całkowity brak łączności między plemionami, a raczej całkowity jej brak. Po rozpoczęciu marszu bardzo rzadko wymieniano informacje, nie śledzono wzajemnie swoich poczynań ani nie zdawano z nich relacji pobratymcom. W dodatku złym wieściom nie dowierzano, uznając je za plotki. Zresztą wydaje się, że królowie Cymbrów i Teutonów aż tak ufali w moc oręża swych ludów, że żadne wiadomości nie były im potrzebne. Być może swoje obecne przedsięwzięcie rzymskie traktowali jako wyraz woli sił wyższych, do czego dawały im podstawę dotychczasowe wyniki bojów. Raz puszczonej w ruch maszyny nie mieli zamiaru zatrzymywać, stawiając w ostatecznym rachunku wszystko na jedną kartę. Było to oczywiście myślenie życzeniowe, typowo emocjonalne, i to też odróżniało ich od Rzymian.

Plan miał więc zasadnicze wady, ale nie ma planów pozbawionych wad. Żółwia powolność ruchu mas ludności cywilnej z pewnością nie ułatwiała Germanom realizacji powziętych zamiarów, ale i to mieli wkalkulowane w całość przedsięwzięcia. Byli święcie przekonani, że w końcu i tak wszystko się oprze na dzielności doświadczonych w nieustannych bojach i niezle uzbrojonych wojowników, których każda grupa miała około stu tysięcy. Ostatecznie strategiczne zamiary Cymbrów i Teutonów sprowadziły się do kwestii taktycznych, którym tym razem nie sprościli. Mimo wszystko trzeba przyznać, że niewiele brakowało, by ten pełen wad plan się powiódł. Na przeszkodzie jego pełnej realizacji stanął Gajusz Mariusz.

Si leonina pelis non saris est, vulpina addenda
Jeśli skóra lwa nie wystarcza, trzeba jeszcze włożyć lisią¹

STARCIE Z TEUTONAMI - AQUAE SEXTIAE, JESIEŃ 102 roku p.n.e.

Po kilku latach jakże potrzebnej Rzymianom przerwy obie strony konfliktu przeszły od zamiarów do czynów. Nic przy tym nie wskazuje na to, by próbowano załatwić sprawę polubownie, nie ma śladów jakichkolwiek ugodowych kroków z którejś strony. Znosiło się więc na szczególnie zajadłą wojnę.

Nie wszyscy jednak zdawali sobie sprawę z tego, co ich czeka. Oczywiście, Rzymianie wiedzieli, że dla nich ta wojna oznacza: być albo nie być, i to nie tylko dlatego, że po kolejnej przegranej ich świata nie miałby już kto bronić. Chodziło też o wrażenie, jakie wieść o ich kolejnej klęsce może wywrzeć w świecie. Na Sycylii ciągle nie umiano sobie poradzić z trwającym tam od dłuższego czasu powstaniem niewolników, co dobitnie pokazywało, że możliwości militarne Rzymu są jednak ograniczone. Kolejna klęska, zadana rękoma Germanów, oznaczałaby nic tyle kres samego Rzymu - wszak niejedna twierdza była jeszcze po drodze, a i pasm górskich, trudnych do przejścia, też nie brakowało - ale na pewno byłyby to koniec Imperium w jego dotychczasowym kształcie. Jeśli bowiem nieuzbrojeni niewolnicy potrafili tak długo opierać się machinie wojennej Rzymian, co zresztą szybko stało się przykładem naśladowanym w innych częściach świata, to o ileż szybciej i skuteczniej mogły uwolnić się z poddaństwa ludy uzbrojone, a znoszące swoją zależność tylko ze względu na przewagę militarną Rzymian. Wygrana z Germanami była więc absolutną koniecznością, warunkiem *sine qua non* dalszej egzystencji Cesarstwa i nadzieją na pożądaną przełom w sytuacji międzynarodowej. Rzym musiał jeszcze raz udowodnić, że jest niezwyciężony. Innego wyjścia nie było.

Germanie byli w lepszej sytuacji; dla nich ta wojna nie dotyczyła spraw ostatecznych, była po prostu jeszcze jedną wojną, którą należy stoczyć,

¹ Cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, p: skład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002, s. 518.

czyli - w ich mniemaniu - sprawy nie przedstawiały się ani lepiej, ani gorzej niż zwykle. A ponieważ zawsze, odniósłszy zwycięstwo, z pokonanym przeciwnikiem postępowali tak, jak postępowali, i swego dziwnego okrucieństwa nie traktowali jako czegoś wyjątkowego.

Sytuacja przedstawiała się więc następująco: Rzymianie czekali na wojnę, do której Germanie dążyli. Ci ostatni podzielili swoje siły na dwie aż nadto niezależne części, które nie mogły na siebie liczyć w razie niepowodzenia. Każda z tych części nadal była w stanie wystawić do boju ponad 100 000 wojowników, a więc przewagę liczebną mieli zapewnioną, jednak nie była ona już tak miażdżąca jak poprzednio. A że Teutoni i Cymbrowie bardzo „rozproszyli się” w czasoprzestrzeni, Rzymianie zyskali sposobność skoncentrowania sił na wybranych kierunkach i stoczenia osobnych bitew z podzielonym przeciwnikiem. Nie zrobili tego podczas swojego pierwszego starcia z Teutonami, prawdopodobnie z przyczyn politycznych, choć mogły też o tym zadecydować względy militarne, czyli chęć zabezpieczenia Italii przed Cymbriami. Jakkolwiek by było, przystępujący do boju żołnierze Mariusza, a już na pewno ich wódz, mieli świadomość, że walczą o życie i że nie mogą liczyć na skuteczną pomoc. To przeświadczenie rodziło determinację, ale też skłaniało do ostrożności i przemyślenia dróg odwrotu.

W identycznej sytuacji znajdowali się Teutoni, ale oni... nie byli tego świadomi. Od niemal pokolenia przemieszczali się pośród mniej lub bardziej wrogich, ale nigdy przyjacielskich plemion. Przyzwyczaili się więc do prostej prawdy: że mogą polegać tylko i wyłącznie na sobie. Dotychczas nie spotkał ich zawód z tej strony, a z powszechnym zagrożeniem tak się oswoili, że często go nie zauważali. Tymczasem oni naprawdę nie mieli żadnych dróg odwrotu, więc w chwili prawdziwej próby, gdy zawiedli się sami na sobie, groza sytuacji dopadła ich ze zdwojoną siłą, nie pozwalając im na szukanie innej drogi ocalenia niż chaotyczna ucieczka.

Oczekiwanie Mariusza

W rozdziale o planach odparcia najazdu germańskiego przez Rzymian była mowa o przyjęciu przez Mariusza ostatecznie strategii ofensywnej, połączonej z taktyką defensywną, co miało się okazać urzeczywistnieniem myśli militarnej, sformułowanej 2000 lat później przez Clausewitza. Stało się tak jednak dopiero w roku 102. Wprawdzie wcześniej Mariusz emanował optymizmem i pewnością siebie, ale po bliższym przyjrzeniu

się zachowanym śladom jego poczynań zrozumiemy, że była w nich daleko posunięta ostrożność. Wprawdzie od samego początku, czyli już w roku 104, przyjął koncepcję obrony możliwie jak najdalej odsuniętej od granic Rzymu, lecz spodziewane starcie rad był jak najbardziej opóźnić. Powody takiego postępowania były dwa. Pierwszy to powszechne przekonanie o ogromnych siłach najeźdźców. Na skutek dotychczasowych upokarzających porażek (żaden z rzymskich wodzów nie odniósł choćby najmniejszego zwycięstwa), Rzymianie bali się Germanów strachem podszytym zabobonem, a więc trudniejszym do zwalczenia. Drugim była „świeżość” własnej armii, niewyćwiczonej i jeszcze niezdiscyplinowanej, przy czym kondycja drugiej, mniej licznej armii konsula Fimbrii przedstawiała się pewnie jeszcze gorzej, zwłaszcza pod względem ciężki fizycznej rekrutów.

Konsul Mariusz zadziałał w tej sytuacji bardzo zdecydowanie, praktycznie z dnia na dzień odcinając swoich żołnierzy od cywilnych biadoleń, przesuwając tym samym ich uwagę z myśli o strasznym przeciwniku na myśl o ich własnym wodzu, nie cudzymi, tylko ich własnymi głosami wybranym, nawet jeśli myśl ta początkowo niezbyt pochlebna, a nawet całkiem była gorzka. Możemy mieć pewność, że konsul zastosował wszystkie środki służące podniesieniu sprawności armii, jakie wcześniej, wobec między innymi jego samego, zastosował Scypion Afrykański Młodszy przed oblężeniem Numancji. Nie szczędził rekrutom ostrych regulaminowych szykan, do jakich miał prawo wódz naczelny. Takie postępowanie, by przyniosło należyty efekt, również, a może nawet przede wszystkim, od samego naczelnego wodza wymagało niezwyklej samodyscypliny i odporności na trudy. Mariusz już kilka razy udowadniał, iż mimo mocno dojrzałego wieku może je znieść nie tylko na równi, ale nawet lepiej od młodych żołnierzy. Jak widać, i w tej materii był Mariusz naśladowcą swojego mistrza, Scypiona.

(...) W czasie nowej wyprawy Mariusz już w drodze hartował żołnierza w trudach przez różnego rodzaju ćwiczenia w biega i długie marsze, a również przez to, że każdy musiał sam dźwigać swój bagaż, sam sobie przyrządzać rzeczy do jedzenia, tak że później takich żołnierzy, którzy chętnie znosili trudy i bez szemrania poddawali się rozkazom, nazywano nawet „mułami Mariusza”².

Jeśli dodać do tego - również zaczerpnięte od Scypiona - wykopywanie i zakopywanie rowów, zakładanie i zwijanie obozów, gdzie zapewne nie poprzestawano na małym rowie i wale, ale niewątpliwie przyzwyczajano

² Plutarch, *Mariusz* 13 [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957, s. 489.

wojsko do sporządzania od razu solidnych umocnień (przecież pod Arausio nazbyt łatwo padły obydwie obozy, nie dając żołnierzom schronienia), służbę wartowniczą całymi kohortami przy wałach obozowych, nietrudno zrozumieć, że nastroje w armii Mariusza szybko zmieniły się na gorsze. Tym razem jednak konsul postępował z armią inaczej niż w Afryce, gdzie (...) *raczej wzbudzaniem poczucia honoru u żołnierzy niż karami trzymał wojsko w karbach: jedni mówili, że robił to z chęci popularności, inni, że twardy sposób życia, do którego nawykł od dzieciństwa, i inne takie rzeczy, które inni uważają za nieszczęście, on uważał za przyjemność: w każdym razie jednak wszystko szło dobrze i składnie, i całkiem tak samo, jak pod najbardziej surowym dowódcą*³. Wtedy bowiem konsul objął doświadczoną armię, a przywiódł jej tylko uzupełnienia, wobec tego, by nie zrażać do siebie żołnierzy, musiał z nimi dosyć łagodnie postępować. Teraz, gdy miał armię złożoną w dużej części z nowicjuszy, musiał ich jak najszybciej wyszkolić i zrobić z nich reagujące na polecenia narzędzie.

Zadany trud wydawał się żołnierzom ponad ludzkie siły, ciała mieli obolałe, uwierał ekwipunek. Wprawdzie konsul wybrał sobie najsilniejszych lub najlepiej rokujących pod tym względem młodzieńców z populacji rzymskiej i italskiej, ale możliwość nie oznacza gotowości. Wkrótce sarkania przemieniły się w próby niesubordynacji. Tu Mariusz zareagował z całą surowością, bez pardonu eliminując ludzi łamiących dyscyplinę. Urządzając supertrudne ćwiczenia, od razu wykrył rekrutów nie tyle słabych fizycznie, co obciążonych wadami psychicznymi, które mogły objawić się dopiero w naprawdę ekstremalnej sytuacji, a mianowicie w boju z Germanami. Szybko więc, jak to zwykle w takich okolicznościach bywa, ujawnili się ludzie skłonni do nazbyt dużej egzaltacji i nienawykli, również psychicznie, do ponoszenia trudów, a przecież płacz w szyku nie sprzyja jego utrzymaniu. Pokazali się też ludzie nazbyt agresywni, skrajni egoiści, skłonni do zwad z byle powodu, przy tym niepoddający się dyscyplinie. Wiadomo przecież, że tacy jako pierwsi w godzinie próby zawodzą, wypychając innych naprzód, a sami podając tył, co na szyk działa fatalnie. Szybko objawili się też różnej maści cwaniaczkowie, którzy zwykle więcej trudu wkładają w uniknięcie pracy niż jej uczciwe wykonanie.

Wódz wszystko widział i odpowiednio reagował, od samego początku nie tolerując żadnych wybryków. Wkrótce tchórze, bandyci i lenie wzięli razy po plechach, a może i po szyi. Srogie środki dyscyplinujące

³ Gajusz Salustiusz ICrispus, *Wojna z Jugurtą* 100 [w:] *Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurtą*, przeł. K. Kumaniecki, Wrocław 1971, s. 103.

mogły wywołać niechęć żołnierzy, ale większość z nich, prosta z natury, doceniła ich sprawiedliwe zastosowanie przez konsula, bo (...) *przykra jego surowość jako dowódcy i nieubłagane stosowanie kar przyzwycza- iło armię do nienagannej dyscypliny i bezwzględного posłuszeństwa, co potem okazało się rzeczą zarówno słuszną, jak i zbawienną. Żołnierz zaś, oswoiwszy się powoli z gwałtownością jego charakteru, z szorstkością słowa i groźnym spojrzeniem, odczuwał je jako straszne już nie dla siebie, lecz dla samego wroga*⁴. Zaakceptowali je tym chętniej, że prawo i sprawiedliwość nie były czczym hasłem, lecz stosowaną powszechnie i konsekwentnie zasadą, która dotyczyła wszystkich - zarówno prostych żołnierzy, jak i kadry dowódczej, do czego zresztą za chwilę wrócimy.

Mariusz bardzo starannie dobrał sobie pomocników. Znamy z imienia kilku z nich: Maniusza Akwiliusza, Klaudiusza Marcellusa czy znanego nam już z Afryki Korneliusza Sullę, późniejszego dyktatora, który wytrwał przy Mariuszu tylko przez lata 104-103, a następnie przeszedł pod komendę jego kolegi w konsulacie na rok 102, Kwintusa Lutacjusza Katulusa⁵. Mariusz nie lubił Sulli ze względu na zaszczości z niedawnej wojny jugurtyńskiej. Sulla, będący tam kwestorem Mariusza, pojmał Jugurte, a potem sprawę przedstawiał tak, jakby to on faktycznie zakończył wojnę, pomniejszając zasługi wodza naczelnego. Mariusz mimo wszystko trzymał Sullę przy sobie, ale powierzał mu z roku na rok coraz niższe stanowiska: w Afryce był kwestorem, zaś przy armii Mariusza w północnej Italii najpierw legatem w roku 104, a następnie trybunem wojskowym w roku 103, co było już wyraźną degradacją. Urażony takim traktowaniem Sulla w roku 102, mimo zbliżającej się wojny z Teutonami, uznał, że ma dosyć dowództwa Mariusza i przeszedł do konsula Lutacjusza Katulusa, gdzie natychmiast został kwestorem tego niezbyt przedsiębiorczego wodza. Ale to nie dyscyplinowanie Sulli stało się przyczynkiem do podniesienia chwały Mariusza. Zaszła bowiem w armii Mariusza sprawa skandaliczna, dotycząca wysokiego oficera z jego najbliższej rodziny. Przykład Sulli czy niżej opisany przypadek świadczą o tym, że staranny dobór kadr nigdy nie jest aktem jednorazowym.

Plagą wielu -jeśli nie każdej - armii są nadużycia popełniane przez kadrę oficerską. Zwykle są one brzemienne w skutki bardziej, niż mogłoby się na pozór wydawać, bo przecież prości żołnierze widzą i... myślą. Trudno się dziwić, że popadają w głęboką frustrację, gdy od nich egzekwuje się wszelkie pisane i niepisane przepisy i zasady,

⁴ Plutarch, *Mariusz*, 14 *op. cit.*, s. 490.

⁵ Zob.: Plutarch, *Sulla*, [w:] *Cztery żywoty*, przeł. M. Brożek, Warszawa 2003, s. 6

a wyżsi oficerowie bezkarnie pozwalają sobie na różnego rodzaju, nie-
rzadko bardzo głupie wybryki. Tolerowanie ich przez wyższe dowódz-
two, a dowództwo zwykle udaje Greka, otwiera furtkę do łamania dyscy-
pliny przez szeregowych żołnierzy.

W armii Mariusza oficerowie musieli naśladować swojego wodza, co
wcale nie było proste, więc tam również, jak w każdej armii, zdarzały się
przypadki nieregulaminowego wykorzystywania swojej dominującej po-
zycji, I nie chodziło tylko o prostackie okazywanie podwładnym wyższości.

*(...) Siostrzeniec Mariusza, Gajusz Lusjusz, służył pod nim wtedy jako
trybun wojskowy (...). Miał on słabość do pięknych chłopców. Zakochał
się też w pewnym młodzieńcu ze swojego pułku. (...) Odtąd go często
nachodził, ale na próżno. Wreszcie raz w nocy wysłał do niego żołnie-
rza służbowego z rozkazem, że ma się zaraz u niego zameldować. Młody
Treboniusz przyszedł. (...) I kiedy został wprowadzony do namiotu trybu-
na, Lusjusz chciał użyć względem niego gwałtu. Lecz wtedy Treboniusz
pchnął go sztyłem i zakłuł na śmierć⁶.*

Mariusza nie było wówczas przy armii. Po jego powrocie zaciągnięto
Treboniusza przed trybunał konsula. Ze strachu przed wodzem nikt nie
bronił młodzieńca, za to znalazło się wielu oskarżycieli. Wtedy oskarżo-
ny (...) *sam wstał odważnie i przedstawił całą swą sprawę (...)* że Lusjusz
dawał mu nawet wielkie podarunki, ale on za żadną cenę nie chciał mu
się oddać. Wtedy Mariusz z wielkim podziwem dla chłopca i z radością
kazał sobie podać wieniec, jaki przyznawano zwyczajem ojców za boha-
terskie czyny, i własnoręcznie włożył go na głowę Treboniusza za to, że
w chwili wymagającej pięknego przykładu zdobył się na tak szlachetne
zachowanie¹.

Znając rzymskie stosunki rodzinne, można powątpiewać, czy po tym
wszystkim siostra Mariuszajeszcze się do niego odzywała. Ale postąpiw-
szy tak sprawiedliwie, wódz zyskał sobie przywiązanie armii i korzyść
dodatkową, a przy tym całkiem niespodziewaną: gdy wieść o tym dotarła
do Rzymu, ponownie obrano go konsulem na rok 103.

Pierwszy rok konsulatu upłynął więc Mariuszowi na wzajemnym docie-
raniu się z armią. Rok to czas wystarczająco długi, by przy intensywnym
trybie szkolenia wytrenować armię pod względem sprawności fizycznej.
Nadal jednak pozostawało zagadką, jak ci niedoświadczeni żołnierze za-
chowają się w obliczu groźnego nieprzyjaciela. A ponieważ ten ciągle

⁶ Plutarch: *Mariusz* 14, *op. cit.*, s. 490, skróty autora.

¹ *Ibidem*, s. 490-491.

nie nadchodził, Mariusz postanowił wypróbować sprawność bojową żołnierzy na ludach alpejskich, które nabrały przekonania, że po klęsce roku 105 Rzym już się nie podniesie. Przedpole Alp i przełęcz górskie miały dla Rzymian kluczowe znaczenie w kontekście najazdu germańskiego, więc wprowadzono tam świeże wojsko rzymskie. Mariusz naśladował w tym zakresie działania wodzów z dawniejszych czasów, gdy dla sprawy walczone z Ligurami. Natomiast kwestią dyskusyjną pozostaje, czy wojna z ludami alpejskimi była w tym czasie Rzymianom potrzebna. Jak pokażą późniejsze wypadki, nie umieli opanować przełęczy górskich, zresztą pogubili się tam całkowicie i z terenu zdobytego sporym nakładem sił po prostu ustąpili. Ale takie są reguły wielkiej polityki, a ponadto Rzym nigdy nie przebaczał słabszym od siebie, gdy choć raz go zaczepili...

Prawdziwa walka, i to z przeciwnikiem raczej niegroźnym, dobrze wpływała na żołnierzy. Między surowym, ale sprawiedliwym konsulem a jego armią nawiązały się pierwsze nitki sympatii. A on w dalszym ciągu i mimo wszystko chętnie oddaliłby główne starcie. Barbarzyńcy znów go nie zawiedli.

Nie zawiedli też Mariusza wyborcy, i to nie tylko ze względu na jego obozową sprawiedliwość, ale i dlatego, że (...) *równocześnie spodziewano się także, że w porze letniej zjawi się nieprzyjaciel i nikt nie chciał pod żadnym innym dowództwem narażać się na groźące z jego strony niebezpieczeństwo**. Prawdę mówiąc, z powodu strasznej, jak się powszechnie spodziewano, wojny, nie pchano się za bardzo na urząd konsula na rok 103. Drugim konsulem został Lucjusz Aureliusz Orestes, ale jego zadań nie znamy. Być może znalazł się w Galii Przedalpejskiej, niedaleko Mariusza, by walczyć z plemionami alpejskimi.

Rok 103 upłynął Mariuszowi, podobnie jak poprzedni, na intensywnym ćwiczeniu armii i utarczkach w Alpach. Armia i jej wódz poznali się w tym czasie niemal doskonale. Okazało się, że narzucona przez Mariusza dyscyplina miała określone, uczciwe ramy i nic nie niosła ze sobą głupiego sadyzmu. Więzy między wodzem a armią stały się tak silne, że później dochodziło nawet do całkiem poufałych uwag żołnierzy, czynionych konsulowi. Uwagi te zresztą nie były wyrazem buntu; przeciwnie, żołnierze domagali się pójścia „na Germanów”. Armia wytrenowała się więc i w sensie moralnym. Zyskała dojrzałość, świadomość własnej siły, chęć czynu, a jednocześnie gotowa była wypełnić wszystkie rozkazy wodza, który zyskał takie narzędzie, jakiego potrzebował.

^x *Ibidem*, s. 491.

Nadeszła jesień, a z nią czas wyborów. Sytuacja w Rzymie uległa dosyć dużym zmianom. Barbarzyńcy przez dwa lata nie pokazali się U wrót Italii, więc wielu ludzi zwątpiło, czy kiedykolwiek się pojawią. Przełożyło się to dość jednoznacznie na wzrost liczby kandydatów na najwyższe urzędy państwowe; odwaga potaniała. (...) *O konsulat ubiegało się tym razem wielu znakomitych mężów*⁹ - pisał Plutarch. Należy przez to rozumieć, że arystokracji powróciła pewność siebie; odbiwszy się od dna, gotowa była znów przejąć całą władzę. Stawiało to Gajusza Mariusza w niewdzięcznym położeniu: nie po to ćwiczył armię, by teraz oddać ją komuś innemu. Gdyby został prokonsulcem, musiałby zdać naczelne dowództwo, i to niezależnie od kwalifikacji wodzowskich nowego konsula. Co wówczas byłoby z Mariuszem? Przypuszczalnie nie zmarnowano by jego kompetencji; senat nie byłby aż tak krótkowzroczny, tyle że w „uczciwym” pewnie losowaniu dostałby jakąś niespokojną prowincję, choćby Sycylię, by uśmierzyć tam bunt niewolników. A tego rodzaju funkcję trudno byłoby uznać za zaszczytną-jak dotąd za zwycięstwa nad niewolnikami nie przyznawano triumfów. A ojczyznę przed Germanami ratowałyby kto inny...

Tym razem Mariusz udał się do Rzymu, by zgłosić swoją kandydaturę. Pomógł mu Lucjusz Saturninus, trybun ludowy, podówczas przewodzący stronnictwu popularów. Owo stronnictwo zwarło szeregi w potrzebie, gdyż jego twarzą było w tym czasie surowe oblicze Gajusza Mariusza. Bez niego popularzy niewiele znaczyli. Wobec tego Saturninus zwołał zgromadzenie ludowe, gdzie namawiał obywateli, by jeszcze raz wybrali na konsula Gajusza Mariusza, akurat „przypadkowo” stojącego obok niego na mównicy. (...) *Mariusz zaś tymczasem udawał, że dziękuje, że mu nic na tym konsulacie nie zależy. A wtedy Saturninus nazwał go zdrajcą ojczyzny, jeżeli w chwili takiego niebezpieczeństwa uchyla się od głównego dowództwa w armii. Lecz było widać, że jest to z jego strony tylko nieudolna gra w masce, w porozumieniu z Mariuszem. Mimo to, ze względu na sytuację wymagającą jego zdolności i szczęścia, większość oddała głosy za czwartym konsulem Mariusza, a jako kolegę dodano mu Lutacjusza Katulusa, człowieka wysoko cenionego wśród optymatów, a miłego również ludowi*¹⁰.

Natychmiast po pomyślnych dla niego wyborach Mariusz podążył do obozu zimowego swojej armii w Galii Przedalpejskiej. Teraz nikt już nie mógł mu ograniczyć czy narzucić teatru działań wojennych. Musiał przy tym się śpieszyć. Jeśli miał czegoś dokonać, to zostawał mu tylko rok

⁹ *Ibidem*.

¹⁰ *Ibidem*, s. 491-492.

nadchodzący, czyli 102, gdyż wątpliwe było, by lud jeszcze raz wybrał go na konsula. Już cztery konsulaty to był wynik wyjątkowy w dziejach Rzymu, więc choć kiedyś wróżyono ich Mariuszowi siedem, czyli absolutny rekord, jako człowiek do bólu praktyczny (choć niesłychanie przesądny), nie liczył chyba wtedy na następny wybór, jeśli barbarzyńcy nie przyjdą.

Okazało się jednak, że barbarzyńcy i tym razem wyszli naprzeciw oczekiwaniom Mariusza, czyli ruszyli wreszcie z miejsca. Najpierw pogłoski, a potem sprawdzone wieści potwierdziły fakt marszu Cymbrów i Teutonów na Italię. Konsul nie czekał dłużej i gdy tylko zima ustąpiła, zaczął działać według przyjętego wcześniej planu, tzn. (...) *na wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciela (...) szybkim marszem przeszedł Alpy i rozbił obóz nad rzeką Rodanem*¹¹.

Pozycja obronna Rzymian nad Rodanem

Przemarsz armii nie utrudził jej zanadto. Prawdziwy trud rozpoczął się dopiero na miejscu, bowiem Mariusz postanowił przekształcić założony na brzegu Rodanu obóz w twierdzę nie do zdobycia. Zwyczajne obozy marszowe obwarowywano w ten sposób, że kopano rów szeroki na pół kroku rzymskiego (czyli krok jedną nogą) lub na cały krok rzymski (czyli krok jedną i drugą nogą), trójkątny w przekroju poprzecznym. Z ziemi sypano wał z przedpiersiem umocnionym płätami darni. W nasyp wbijano noszone wszędzie przez żołnierzy gotowe kołki do palisady (*pila muralia*) i po wystawieniu wart można już było spać spokojnie. Obozy stacjonarne mocniej i staranniej obwarowywano, kopiąc głębsze rowy i sypiąc wyższe wały, przy czym rowów kopano dwa lub trzy. Wewnętrzny rów był najszerszy i najgłębszy, miał najczęściej szerokość około trzech kroków rzymskich, a głębokość taką jaką wyznaczał kąt obsypywania się miejscowego gruntu, by nie zsunął się do niego wał obozu. Kolejne rowy były płytsze, ale skutecznie utrudniały dostęp do zasadniczych umocnień. Wał obozu wznoszono wtedy już nie w oparciu o samą ziemię, ale tworzone drewnianą konstrukcję, coś w rodzaju rusztu, dzięki któremu ziemia się nie osuwała. Zbocza oczywiście obkładano darnią co skutecznie zabezpieczało drewnianą konstrukcję wału przed ogniem. Na dalszym przedpolu tworzone zasieki ze ściętych drzew z zaostrzonymi konarami i urządzano zamaskowane wilcze doły z palami. O wymiarach wałów mamy

świadczenie, wprawdzie dużo późniejsze, ale wygrzebane przez autora z dawnych archiwów, być może nawet starszych od armii Mariusza. Otóż zalecano tam, w przypadku zagrożenia atakiem nieprzyjaciela, czy też w jego obliczu, sporządzenie umocnień o następujących wymiarach: (...) *fosy ochronnej, ciągnącej się wokół całego obrębu obozu, szerokiej na 12 stóp i głębokiej - pod pion - na 9 stóp. Dalej, na spiętrzone wzdłuż fosy zasieki, narzuca się ziemię, wykopaną poprzednio z tejże fosy, na wysokość 4 stóp. W ten sposób cały wał ochronny ma - z fosą łącznie - 13 stóp wysokości i 12 szerokości*¹².

Można przypuszczać, że dysponujący czasem Mariusz nie zaniedbał żadnego z tych elementów, wznosząc wysokie wały, kopiąc głębokie rowy i budując zasieki. Przewidując długie oblężenie, konsul ściągnął do obozu (...) *olbrzymią ilość zapasem, aby go żadna konieczność, jeśli nie będzie dyktowana korzystnymi dla niego względami, nie zmusiła do wyprowadzania armii do boju z powodu braku środków utrzymania*)¹³.

Obóz został sprawnie przygotowany przez Rzymian, a że Teutoni jakoś nie nadchodzili, konsul zadbał o jego zaopatrzenie. (...) *Trudny też dotychczas i długo trwający dowóz od morza potrzebnych materiałów Mariusz wtedy usprawnił i skrócił czas trwania transportu. Wody Rodanu mianowicie przy jego ujściach (...) zaniezione są ławicą mułu i mieliną głębokiej warstwy piasku (...). To utrudniało przy wjeździe na rzekę transport zboża, idący przez to powoli i uciążliwie. Otóż Mariusz użył tutaj do robót beczynnego wojska, przekopał duży kanał i skierował do niego znaczną część wód rzecznych, ku dostępnej części wybrzeża. Kanał więc miał otwartą drogę na morze, głęboką i spławną dla wielkich nawet okrętów przewozowych, spokojną i nie narażoną na burzliwe fale*¹⁴.

Nadal działający w żółtym tempie barbarzyńcy, nie dość, że dali Rzymianom czas na wykonanie wszystkich prac, jakie ci tylko przedsięwzięli, to jeszcze żołnierzom wystarczyło go na przeanalizowanie sytuacji po swojemu. Tak staranne przygotowanie obozu do obrony, a potem długa beczynność, nie przypadły im do gustu. Woleliby skrócić czas oczekiwania i wyjść wrogom na spotkanie. Ale Mariusz miał swój plan i czekał. Wiedział, że większość żywności, jaka znajdowała się w promieniu kilkudziesięciu mil, jest w jego obozie. Dlatego samo wejście na teren prowincji Galii Zaalpejskiej - kalkulował - powinno osłabić po-

¹² Flawiusz Wegecjusz Rcnatus, *Zarys wojskowości, ksiąg cztery*, 1.24, prze). A. M. Komornicka, „Meander” 28 (1973), s. 415.

¹³ Plutarch, *op. c/7.*, s. 492.

¹⁴ *Ibidem*. Skrót autora.

zycję Teutonów, gdyż musieli korzystać głównie z wożonych ze sobą zapasów żywności. A więc gdy wreszcie nadejdą, to im będzie się spieszyło do bitwy, nie Rzymianom.

Obleżenie obozu Rzymian

(...) Teutonowie i Ambronowie (...), przebywszy przestrzeń, jaka ich dzieliła od Rzymian, stanęli przed nimi niezmierną masą. Strach było na nich patrzeć, strach słyszeć ich krzyk i wrzawę, jakiej skądinąd nie znano. Zalegli wielką część równiny, rozbili na niej obóz i wyzwali Mariusza do wojny¹⁵.

Początkowo Germanie wzywali Rzymian do bitwy powodowani wyłączenie wielką pewnością siebie. Kilka razy bili ich przecież, a o katastrofie rzymskiej pod Arausio przesądziło nie co innego, tylko natarcie będących i teraz na miejscu Ambronów. Wkrótce jednak barbarzyńcy pojęli, że zmuszenie Rzymian do walki na otwartym polu powoli przekształca się z przyjemności w konieczność, gdyż sytuacja żywnościowa, nie mówiąc już o higienicznej, pogarsza się z każdym dniem. A widać było, że zdobycie tak solidnie obwarowanego obozu nie będzie łatwe. Prowokowano więc Rzymian do wyjścia na różne sposoby. Nieomal udało się to Germanom, ale Mariusz twardo obstawał przy swoim planie postępowania i czuwał nad jego realizacją. *(...) Trzymał wojska w skupieniu, w obrębie wału obronnego, bardziej zapalczywych surowo karcił, a tych, którzy by się nie pohamowali i wyszli z obozu do walki, ogłosił zdrajcami ojczyzny. „, To nie jest rozgrywka o triumf tylko, o sławę i trofea! Tu chodzi o ocalenie Italii i odsunięcie od niej najstraszniejszej nawałnicy wojennej” - tak mówił w rozmowach z poszczególnymi dowódcami i innymi żołnierzami¹⁶.* Widać, jak bardzo kontrastował z wodzami spod Arausio, z uporem dążącymi ku zgubie!

Mariusz nie podejmował żadnych rozmów z nieprzyjacielem, nic wchodził się w pertraktacje i nie odpowiadał na zaczepki. Odwlekał nieuniknione starcie, a jednocześnie przygotowywał do niego wojsko: *(...) żołnierzy wyprowadzał grupami po kolei na wal i kazał im przyglądać się wrogowi. (...) Poznawali oni przy tym uzbrojenie wroga i jego ruchy, a równocześnie z tym wszystkim, co z wyglądu było tak straszne; oswajali*

¹⁵ *Ibidem*, s. 493. Skrót autora.

¹⁶ *Ibidem*.

się powoli przez naoczne oglądanie jako z czymś uchwytnym. Bo Mariusz wiedział, że niebezpieczeństwo nieznanne wyolbrzymia się w fantazji ludzkiej do fikcyjnych jakichś rozmiarów, natomiast rzeczy, z natury swej nawet straszne, przez bliższe zetknięcie się z nimi, przestają robić na człowieku to przerażające wrażenie[^]. W każdym razie przyniosło to spodziewany efekt: wojsko rzymskie zaczęło rwać się do walki. Powszechnie i głośno narzekano, że wódz nie traktuje swoich ludzi jak żołnierzy, tylko jak najemnych robotników do kopania rowów. Konsul wcale nie martwił się docinkami, wręcz przeciwnie - cieszył się z tego, ale... zwlekał nadal. Widząc zaś, że do gorących głów racjonalne argumenty nic trafiają użył nieracjonalnych. Powiedział, że (...) *to nie brak zaufania do wojska, lecz pewne wróżby każą mu wypatrywać odpowiedniego momentu i miejsca zwycięstwa*[^].

Sam zapewne miał nerwy napięte do ostateczności, ale cierpliwie czekał. Wreszcie skończyła się cierpliwość Teutonów. Po spustoszeniu okolicy (jakby było jeszcze co pustoszyć!) i zużyciu dotychczasowych zapasów, stanęli przed nieuchronną koniecznością mszenia dalej, by pasożytować na innych ludziach i zebrać to, czego nie posieli. Wszelako przed opuszczeniem tej niegościnniej ziemi postanowili jeszcze spróbować, czy przypadkiem nie uda się im zwyciężyć Rzymian, nie przejawiających przecież ochoty do walki. I tylko w tym, czyli w domniemanym tchórzostwie Rzymian, upatrywali swojej szansy.

Przystąpili do szturmów, jednak mimo mas zaangażowanych do boju wojowników nie osiągnęli żadnego sukcesu, mało tego - nie przysporzyli wrogom żadnych strat. Rzymianie nie ugięli się przed samą groźbą ataku, zaś szturm odparli za pomocą dziesiątek tysięcy oszczepów, nie dopuszczając nawet Germanów do walki wręcz. Teutoni, (...) *porażeni gęstwą pocisków z wałów rzymskich, ponieśli pewne straty w ludziach*⁹. Najeźdźcy najwyraźniej nie mieli zapału i wytrwałości w zdobywaniu umocnień, a i umiejętności w tym kierunku im nie stawało. Nie zdobywali przecież *oppidów* w Galii, więc i teraz nie potrafili zdobyć solidnie obwarowanego obozu rzymskiego, którego umiejętnie i spokojnie broniono. Kilka razy kronikarze pisali o taktyce walki ludów germańskich i celtyckich, że zaciętości wystarczy im zaledwie na jeden atak i jeśli się go przetrzyma, drugiego może już nie być. I tym razem chyba było podobnie, gdyż Teutoni zrezygnowali z dalszych szturmów.

⁹*Ibidem*, s. 493-494. Skróty autora.

¹⁰*Ibidem*, s. 495.

¹¹*Ibidem*, Mariusz 1 8, s. 497.

Barbarzyńcy stanęli więc przed problemem regularnego oblężenia, do którego nie byli gotowi pod żadnym względem. Brakło im narzędzi, nie znali się na budowie machin, a krążąca po Rodanie flota rzymska musiała ich niepokoić. Przede wszystkim jednak nie mieli co jeść. Zdali sobie sprawę, że oblężenie szybciej wyniszczyłoby ich niż Rzymian, i uznali, że jest ono pozbawione sensu. (...) *Skutkiem tego postanowili iść stamtąd dalej naprzód, jakby mieli zamiar przepłynąć się przez A Ipy bez przeszkody. Spakowali więc, co mieli, i ruszyli w drogę, przechodząc obok obozu rzymskiego*²⁰. Być może liczyli na to, że w takiej sytuacji Rzymianie ruszą z miejsca, a na otwartym polu łatwiej będzie ich pobić. Ale czy sami byli do tego gotowi?

Marsz ku Alpom

Mariusz był chyba trochę zawiedziony manewrem Germanów. Co prawda odparł szturm Ambronów i Teutonów, zadając im przy tym pewne straty, ale żadną miarą nie można było tego nazwać poważnym sukcesem. Teutoni zwinęli oblężenie, nim naprawdę się ono zaczęło. Mieli tu sobie połamać zęby, ale poznawszy twardość kaska, na jaki mieli apetyt, po prostu odstepili od gryzienia. Tym samym ogrom prac, włożonych w ufortyfikowanie obozu i wykopanie kanału, poszedł na marne i to wydawało się w tej chwili obrońcom najzupełniej oczywiste (to zaś, że z kanału Mariusza korzystano później przez dziesiątki lat, nie mogło być w tamtej chwili dla niego żadnym pocieszeniem). Co prawda spełniła się druga część życzenia konsula i Germanie zniechęcili się do oblężenia, ale nastąpiło to nazbyt szybko. W dodatku ich odwrót zrobił na Rzymianach piorunujące wrażenie, tak ogromne było to całe plemię. A oni przecież w tym celu urządzili tę demonstrację. (...) *Podobno przez sześć dni ciągnęli w zwartym pochodzie wzdłuż wałów Mariusza. Szli blisko. Pytali nawet Rzymian z szyderstwem, czy mają jakie zlecenia do swoich żon, mówiąc, że wkrótce będą tam u nich*²¹.

W powyższym zdaniu Plutarcha znać powątpiewanie w wielkość pochodu Teutonów. My z czystym sumieniem również możemy w to wątpić. Możliwe, że Germanie kilka razy obrócili wokół rzymskiego obozu, by wydawało się, że jest ich więcej. W istocie nawet jednodniowy korowód musiał zrobić duże wrażenie na rzymskich widzach. Natomiast sześć dni to akurat czas, w którym można spokojnie i powoli dojść od

²⁰ *I biciem.*

²¹ *Ibidem.*

Rodanu do przełęczы alpejskich. Gdyby więc tyle czasu trwało przejście Teutonów obok rzymskiego obozu, to nim Mariusz ruszyłby swoje wojsko z miejsca, głowa teutońskiego węża byłaby już za górami. Po dojściu do Alp konsul mógłby tylko schwytać jego ogon.

Niemniej istniało niebezpieczeństwo dotarcia Germanów do przełęczы alpejskich i ich obsadzenia, nim armia Mariusza zdołałaby im w tym przeszkodzić. Wówczas naprawdę niewielkimi siłami odciąłoby główne wojsko rzymskie od Italii. A w samej Italii stanęliby do rozprawy z armią konsula Lutacjusza Katulusa, nie dość, że dwukrotnie mniejszą od Mariuszowej, to o znacznie węższych walorach bojowych. I kto byłby temu winien...?

Możemy przypuszczać, że konsul, obserwujący z wałów obozu wymarsz Teutonów, zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. Groźby, rzucane na odchodnym, mogły się łatwo ziścić. Wobec tego (...) *gdy nieprzyjaciel już przeciągnął i poszedł naprzód, zerwał się za nim i Mariusz. Kroczył naprzód ostrożnie, ale stacjonował stale w pobliżu wroga, okopując się silnie i rozbijając obóz w punktach obronnych, żeby się nie narażać na niebezpieczeństwo w nocy*²².

Można sobie wyobrazić, jak duże napięcie towarzyszyło w tym marszu Rzymianom. Siły Teutonów, nawet jeśli liczyć Rzymian ze służbą obozową, były ponad dwukrotnie większe (nominalnie trzykrotnie), a coraz bardziej pofałdowany teren sprzyjał urządzaniu zasadzek. Ale jednocześnie ten sam teren coraz mniej sprzyjał swobodzie marszu najeźdźców. Wężkie drogi, wąwozy, strumienie płynące w głębokich parowach o stromych brzegach, coraz wyższe grzbiety wzgórz, powodowały wydłużenie i tak już rozciągniętego pochodu. Konieczne było zaopatrywanie ludzi w żywność, a zwierząt w paszę, więc mimo bliskiej obecności armii rzymskiej, rozesłano po okolicy nie tyle zagony, co grupy rabunkowe. Ale Rzymian nie lekceważono. Nie było chyba dziełem przypadku, że w straży tylnej Teutonów szło plemię Ambronów, które ponoć najlepiej ze wszystkich spisało się pod Arausio.

To, co stało się później, nie świadczy dobrze o królach Teutonów, gdyż zleciwszy Ambronom obserwowanie ruchów Rzymian, uznali sprawę za ostatecznie załatwioną i skoncentrowali się na innych celach. Przeprowadzenie do Italii było jednym z nich, ale chyba nie mniej ważne wydawały im się łupy, żywność i nie wiadomo co jeszcze. O Mariuszu jakby zapomnieli, choć doszli naprawdę blisko granic Italii. Nie przygotowali na niego żadnej zasadzki po drodze, nie zaplanowali żadnej bitwy, a nawet nie skoncentrowali przeciw niemu odpowiednich sił. Wprawdzie

²² *Ibidem.*

Ambronowie byli silni, lecz mniej liczni od Mariuszowej armii, a z całą pewnością gorzej uzbrojeni. Poleganie jedynie na sławie wojennej i sile fizycznej Ambronów okazało się lekkomyślnością w obliczu niesamowicie zdyscyplinowanej i świetnie uzbrojonej armii rzymskiej. Wkrótce absolutny brak umiejętności przewidywania królów teutońskich miał się na nich srogo zemścić.

Tymczasem pochód Germanów coraz bardziej wydłużał się i rozszerzał, zaś tuż obok szła zwarta armia Mariusza. (...) *Tak posuwając się dalej, doszli do miejscowości, zwanej Wodami Sekstyjskimi, Aquae Sextiae, skąd po przebyciu niewielkiej drogi trzeba było już znaleźć się w Alpach. I z tego to przede wszystkim powodu w tym miejscu Mariusz rozpoczął przygotowania do walnej bitwy*^{1*}.

Pierwsza bitwa pod Aquae Sextiae. Walka o wodę

Trzeba przyznać, że konsul Gajusz Mariusz miał nerwy ze stali. Z wydaniem bitwy, nieuchronnej przecież z rzymskiego punktu widzenia, zwlekał do samego końca. Teraz stanął przed koniecznością sprowokowania starcia, ale mógł to zrobić według własnych reguł. Starożytni napisali o tym, że bitwa wynikła (...) *raczej przez przypadek, niż z decyzji dowództwa*²⁴. Jest to krzywdząca ocena działania Mariusza, do której on sam się przyczynił, nie zwierając się ze swoich planów i posunięć nawet najbliższemu współpracownikom. A przecież nietrudno zauważyć, że największą sztuką w tym przypadku nie było ustawienie wojska do bitwy, czego obie strony już praktycznie pragnęły, ale zmuszenie Ambronów do jakiegoś lekkomyślnego posunięcia. Pozorna „przypadkowość” bitwy, jak się okaże, miała na celu sprowokowanie Ambronów do opuszczenia ich silnej pozycji i manewru w swojej istocie samobójczego. Oto, jak do tego doszło.

Ambronowie zajęli pod swój obóz teren w miarę równinny, w dolinie niedużej rzeki L'Arc, na jej stromym, północnym brzegu, zajęтым obecnie w dużej części przez miasto Aix en Provence. Mniemali, że w całości należy on do nich. Nad ich pozycją górowało kilka wzgórz; nie obozowali na nich, gdyż trudno byłoby tam wciągnąć wozy i zagnać bydło, w związku z czym pozostały one nieobsadzone. Nadciągający z zachodu Mariusz nie miał zbyt dużego wyboru, jeśli chodzi o rozłożenie obozu.

²³ *Ibidem.*

²⁴ Plutarch, *Mariusz* 19, *op.cit.*, s. 500.

Poruszał się południowym brzegiem rzeki, oddzielającej go od wrogów. (...) *Pod obóz zajął teren warowny, ale nie mający pod dostatkiem wody. Chciał, jak piszą i przez to dodać żołnierzom bodźca do walki.* Był to szczyt jednego ze wzgórz, którego pochyły stok schodził aż do rzeki, gdzie nieco się wyrównywał. Boki stoku stanowiły urwiste parowy, przechodzące w zbocza sąsiednich, lesistych wzgórz.

Po całodziennym marszu wszystkim chciało się pić. Zwyczaj nakazywał zakładanie obozów w pobliżu strumieni i rzek, by uzyskać dostęp do wody, a przy okazji mieć zabezpieczoną jedną stronę umocnień. Tymczasem Mariusz wybrał na obóz wierzchołek wzgórza, a jedyną wodą w zasięgu wzroku była ta, z której właśnie korzystali Ambronowie, rozkosznie pływając się w niej całymi gromadami. Spragnieni żołnierze rzymscy zauważyli od razu, że gdyby tylko Germanie zechcieli, obiegliby obóz Mariusza i łatwo zmusili Rzymian do poddania się, gdyż oblężeni łącno uschliby z pragnienia. Tym samym do hańby poprzednich klęsk doszłaby nowa, porównywalna z hańbą Wąwozu Kaudyńskiego. Na to jaskrawe uchybienie taktyczne wodza żołnierze natychmiast zareagowali i głośno dali wyraz swojemu oburzeniu. Wtedy konsul wskazał rzekę, płynącą w dole, wzdłuż obozu Ambronów, i (...) *oświadczył im, że stamtąd będzie można za krew kupić wody.* „*To czemu nie prowadzisz nas natychmiast na wroga, dopóki ta krew w nas płynie?*” - pytali. *A na to on głosem całkiem spokojnym: - „Najpierw musimy obwarować obóz”*²⁵.

Używając wojskowej terminologii, pozycję Mariusza należało nazwać bardzo silną. Wzgórze miało długi stok, sięgający do samej rzeki, płynącej w parowie. Urwisty brzeg właściwie lepiej chroniłby obóz Rzymian, gdyby założyli go tuż przy rzece, niż wzniesiony sztucznie wał. Ale konsul nie potrzebował twierdzy, która po raz kolejny zniechęciłaby przeciwnika do samobójczej bitwy; potrzebował pola walki. Żołnierze byli wściekli na wodza, ale zaczęli budować obóz w oddaleniu od rzeki, tak jak nakazał. Tymczasem Mariusz widział w stoku wzgórza jeszcze jedną zaletę: miejsca wystarczało tu zaledwie do bardzo ciasnego ustawienia jego czterech legionów, ale dla jazdy już go nie stało. Było to korzystne z tego względu, że urwiste parowy nie pozwalały na oskrzydlenie szyku, dzięki czemu Germanie nie mogli wykorzystać swojej przewagi liczebnej.

Zażywający wieczornego odpoczynku Ambronowie musieli widzieć, co się dzieje po stronie rzymskiej, ale nie traktowali tego jako przygotowań do bitwy. Przecież było zwyczajną rzeczą, że co wieczór dwie linie Rzymian ustawiały się jak do boju, a trzecia sypała w tym czasie wały

²⁵ Plutarch, *Mariusz* 18, *op. cit.*, s. 498.

obożu. Wydawało się, że i tym razem nie będzie inaczej. Rozjuczone z tobołków rzymskie wojsko stało nieruchomo, a za jego plecami wrzała praca. *Ale służba obozowa, nie mając wody dla siebie i zwierząt, całą gromadą poszła w dół, do rzeki i zabrała ze sobą, prócz naczyń na wodę, siekiery, obosieczne topory albo i miecze czy też włócznie. Chciała bowiem zdobyć wodę chociażby przemocą²⁶*. Było to konieczne z tego względu, że obóz Germanów wręcz dotykał rzeki, a oni sami moczyli się w niej całkiem beztrasko: (...) *przeważna część wroga była wtedy przy posiłku po kąpieli, a niektórzy też jeszcze się kąpali²⁷*.

Wątpliwe, by stało się to bez przyzwolenia Mariusza. To, że ciury obozowe czegoś tam chciały, a zwłaszcza wejścia w kontakt bojowy z przeciwnikiem, nie mogło się dziać bez woli wodza naczelnego. Za drobniejsze wykroczenia karano w rzymskiej armii śmiercią. Tu mamy zapewne do czynienia z osobliwym fortem Mariusza. Jeśli bowiem uzbrojona służba obozowa sprowokowała bitwę na jego rozkaz, to weszła tym samym w rolę piechoty lekkozbrojnej. Józef Flawiusz 180 lat później o służących Rzymian pisał tak:

*(...) W czasie pokoju zawsze brali udział w manewrach ze swoimi panami, a w czasie wojny dzielili z nimi niebezpieczeństwa, także doświadczeniem i męstwem, poza panami swoimi, nikomu nie ustępowali²⁸**.

W zawodowej armii Mariusza było zapewne podobnie. Musimy przy tym uzmysłwić sobie, że przy jego ok. 40-tysięcznej armii mogło być do 20 000 służby obozowej. Nawet jeśli nie wszyscy naraz poszli po wodę, to i tak gromada ta musiała być całkiem liczna.

Pojawienie się nad rzeką armii sług wywołało tam spory zamęt.

(...) Otóż tam pewną grupę przeciwnika, oddającą się przyjemności i gromadzącą się razem wśród radości i zachwyty nad pięknem krajobrazu, w takim właśnie momencie zaskoczyli owi rzymscy ludzie. Zrobił się krzyk, tłumy zaczęły lecieć im na pomoc, Mariusz nawet nie mógł już powstrzymać swoich żołnierzy, obawiających się o losy służby²⁹.

²⁶ Plutarch, *Mariusz* 19, *op cit.*, s. 498.

²⁷ *Ibidem*,

²⁸ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, 3.4.2.69, przeł. Jan Radożycki, Warszawa 2001, s. 222.

²⁹ Plutarch, *Mariusz* 19, *op cit.*, S. 498.

Prawdopodobnie mamy tu do czynienia albo z celową lekką przesadą, albo z również zamierzonymi przeinaczeniami, wprowadzonymi do historii przez ludzi niechętnych Mariuszowi. W rzeczywistości bowiem konsul w pełni panował nad swoimi żołnierzami i rozwojem bitwy. On po prostu cierpliwie czekał na działania regularnych sił przeciwnika, a wynik awantury nad rzeką, niezależnie od tego, czy sprowokowałyby ona Ambronów do działania, czy też nie, miał dla niego znaczenie drugorzędne. Ponieważ jednak ze strony Germanów nadbiegało tam coraz więcej ludzi, a ich armia jeszcze się nie ustawiła do boju, Mariusz na pomoc swoim ciurom wysłał kohorty wojsk posiłkowych Ligurów, właściwie tamtejszych tubylców, których choćby z tego powodu nie można było dłużej utrzymać w miejscu. Jak się okazało, wystarczyło to w zupełności, by skutecznie wesprzeć służbę obozową w tej bezładnej walce, a tym samym utrzymać brzeg rzeki w swoich rękach. Tymczasem jednak na drugim brzegu sformowało zwarty szyk ponad 30 000 Ambronów. Nie ulegało wątpliwości, że włączenie się ich do boju przekształciłoby tę nieregularną walkę parutysięcznej gromady służby rzymskiej i germańskich „wczasowiczów”, toczoną przeważnie bez uzbrojenia i zabezpieczeń, w regularną bitwę.

Widząc nadbiegające kohorty Ligurów, wojownicy Ambronów ruszyli do natarcia. Wcześniej (...) *najedli się do syta i byli ociężali. Ale mieli przy tym dobry humor, bo sobie popili mocnego wina. Robili więc butne miny, biegli jednak nie bez porządku ani jak ludzie pijani, i wydawali okrzyk nie pomieszany w jakąś wrzawę, lecz uderzając rytmicznie w zbroję i maszerując równym krokiem, wszyscy razem krzyčili równo, wymieniając raz po raz swoją nazwę: „Am-bro-no-wie, Am-bro-no-wie!”*.³⁰ Przypadek sprawił, że taki sam okrzyk bojowy mieli Ligurowie. Oczywiście, ani jedni, ani drudzy nie krzyčili po polsku, a że obydwie narzecza były jednak obce przekazującym wiadomość o okrzyku Rzymianom i Grekom, to zawołanie mogło być naprawdę dowolne. Niezależnie od brzmienia, ten sam okrzyk bojowy mocno rozognił obydwie wojska. Jedni i drudzy, (...) *zanim przyszło do starcia wręcz, wymienili naprzód wzajemnie szeregi raz ten okrzyk. Żołnierze zaś, gdy ta strona z tamtą zaczęła krzyczeć razem coraz mocniej i jedni drugich chcieli przekrzyczeć siłą głosu, samą tą wrzawą podniecali w sobie coraz więcej gniew i zawziętość*³¹.

Ambronowie uformowali szyk najprostszy z możliwych, czyli falangę. Różniła się ona znacznie od falangi greckiej czy macedońskiej. Hoplici

Ibidem, s. 498-499.

Ibidem.

greccy zachowywali ściśle odmierzone odstępy, a ich duże, okrągłe tarcze lekko zachodziły na siebie brzegami, tak że wojownicy byli częściowo osłaniany tarczami towarzyszy stojących po ich prawej ręce. Szyk miał przez to tendencję do przesuwania się w prawo - bo dobrze było stać za tarczą kolegi - i sytuował się względem ugrupowania przeciwnika lekko na skos, z wysuniętym prawym skrzydłem (nie miało to nic wspólnego z szykami ukośnymi Tebańczyków Epamidondasa czy Macedończyków Filipa II i Aleksandra Wielkiego). Szyk falangi macedońskiej był jeszcze bardziej zwarty od greckiej, a ponieważ tarcze były mniejsze, żołnierze osłaniali nimi tylko samych siebie. Obydwa ugaipowania cechowała bardzo wysoka dyscyplina: każdy pilnował swojego miejsca, co nadawało szeregom swoistą linearność, widoczną wzdłuż i w poprzek szyku. Żmudna musztra sprawiała, że manewry były wykonywane perfekcyjnie, zwłaszcza przez wczesną falangę macedońską. Żołnierze na sygnał potrafili robić zwroty, zmieniać front, zacieśniać czy rozluźniać szeregi, przy czym przez cały czas rzędy pozostawały równoległe i prostopadłe wobec siebie.

Falanga germańska była inna. Przedrzymscy Germanie nie dorównywali Grekom i Macedończykom w musztrze, a ich uzbrojenie nie było zunifikowane - tarcze miały różną wielkość i kształt, włócznie różną długość, nie wydzielono oddziałów oszczepników - ale umieli zachować w miarę równy front i pilnowali miejsca w szeregach. Gorzej było z zachowaniem miejsca w rzędzie. Pierwsze szeregi potrafiły (zapewne pod wpływem Celtów) utworzyć zwartą ścianę z tarcz, a tylne w razie potrzeby unosiły tarcze do góry. Nie był to może rzymski żółw, kolumna nie miała tej manewrowości, ale wojsko słuchało poleceń, więc przy dużej sile fizycznej i dzielności wojowników takie ugrupowanie sprawdzało się w boju. Było jednak kilka problemów.

Po pierwsze, szeregi ustawiano bardzo ciasno, więc często dochodziło do nadmiernego ścisku. Tłok w bitwie mógł szybko przerodzić się w panikę, bo w takiej sytuacji człowiek, który nie jest w stanie ruszyć ręką ani nogą i może tylko biernie czekać na cios przeciwnika, traci głowę. Po daigie, falangi germańskie miały duże trudności z cofaniem się. Ustawieni do boju Germanie, o ile nie ustalono tego wcześniej (a na ogół nic ustalano) i jeśli nie stanowili luźnej formacji, uznawali tylko jeden kierunek marszu - naprzód. Po trzecie, zachowywanie w miarę równego szyku pochłaniało wiele uwagi słabo pod tym względem wyćwiczonych wojowników, toteż cały szyk bardzo wolno posuwał się do przodu. Nic zatem dziwnego, że pierwsze szeregi, kiedy wreszcie zbliżyły się do przeciwnika, starały się jak najszybciej przejść do natarcia. A teraz

(...) zwarte szeregi Ambronów popsuły się na rzece. I dlatego po prawie przez wodę nie zdążyli stanąć znowu w szykach, gdy Ligurowie popędzili tymczasem biegiem naprzód i zaraz pierwszych zaatakowali w walce na krótką broń³².

Rzeka nie tylko popsuła szyki Ambronów, ale przy okazji zasłoniła im widok na przedpole. Za wysokim brzegiem, z którego zbiegali Ligurowie, miotający wcześniej oszczepy na zmieszany szyk germański, kryły się nadciągające po pochyłości legiony. Ich jednak Germanie na razie nie widzieli. Z pojedynczym szeregiem Ligurów poradzili sobie bez trudu; wszak walczyli swoją pełną siłą. Wypchnęli ich na brzeg, potem wyżej, na pochyłość zbocza. I nagle, w tym jakże krytycznym momencie, gdy pierwsze szeregi Ambronów stawały już na zboczu, środkowe gramoliły się pod górę, a tylne jeszcze brodziły w wodzie, nastąpiła katastrofa - nadeszło uderzenie pozostałych linii potrójnego szyku rzymskiego, skrytych dotąd za zboczem:

(...) Ligurom na pomoc pobiegli natychmiast Rzymianie, spadając z góry na barbarzyńców, którzy pod ich naporem rozpoczęli odwrót w popłochu. Po największej części sami wtedy spychali się wzajemnie do rzeki i w niej ginęli, napełniając wodę trupem i krwią³³.

Rzymianie, nie dość, że atakowali z góry i w pełnym uzbrojeniu, to mieli jeszcze przewagę liczebną. Germanie, zaskoczeni i bezradni, zostali wystawieni na rzeź. Nie sposób było bronić się na pochyłości brzegu, nie można też było zatrzymać się w nurtach rzeki. Trzeba było cofnąć się, ale chyba żadnej armii na świecie nie udałooby się w takich warunkach zachować porządku. Nie było słychać rozkazów; zresztą wielu dowódców zginęło, gdyż walczyli w pierwszych szeregach, stratowanych i zalegających teraz warstwami bądź ciągle jeszcze kotłujących się pod naporem Rzymian. Ci zaś nie ustawiali w nacisku, więc odwrót tylnych szeregów Ambronów szybko przemienił się w paniczną ucieczkę. Całe oddziały Germanów uciekały z niosącej zagładę rzeki do obozu. Ale nie znaleźli tam nawet krztyny zrozumienia. Przed linią wałów i wozów czekała ich przykra niespodzianka w postaci rozhisteryzowanych niewiast i ostatnia, beznadziejna walka w obronie najbliższych, którzy nie tylko nie pozwolili im otrząsnąć się z szoku, ale i nie dali czasu na uporządkowanie szyków:

³² *Ibidem.*

³³ *Ibidem.*

(...) Tam (...) kobiety zastąpiły im drogę z nożami i siekierami w ręku, podniosły okropny i przejmujący jęk, zaczęły odpierać zarówno uciekających, jak i ścigających, jednych jako zdrajców, drugich jako wrogów. Rzuciły się same w wir walki, gołymi rękami wydzierają Rzymianom tarcze, sięgały po ich miecze, nie bacząc na swoje rany i rozdarte ciała, walcząc z nieustępliwą zaciętością aż do śmierci³⁴.

Postawa kobiet germańskich wywarła na Rzymianach duże wrażenie, ale nie mogła zmienić losów bitwy. Część Ambronów znalazła ratunek w ucieczce, ale ich klęska była dojmująca. Rzymianie zwyciężyli, lecz zdawali sobie sprawę, że pobili zaledwie część wrogich sił. Pozostawała otwarta kwestia: co dalej?

Druga bitwa pod Aquae Sextiae.

Walka o zwycięstwo

Mariusz nie dał wojsku zapędzić się w pościgu dalej, niż sięgał obóz Ambronów; zresztą zapadał już zmierzch. Wódz dobrze pamiętał klęskę konsula Papiriusza Karbona, który przed 11 laty zaatakował nazbyt rozległy obóz przeciwnika. Nie popełnił tego samego błędu. Kazał odtrąbić odwrót i wycofał zwycięskie wojsko do własnego obozu. Po drodze przyszło im przekraczać rzekę i to chyba wtedy, jak pisał później Florus, *(...) zwycięski Rzymianin pił z zakrwawionej rzeki tyleż wody, co krwi barbarzyńców³⁵*. I nic dziwnego; w końcu całe zamieszanie zaczęło się od upragnionej przez Rzymian wody, a w ciemnościach, po znojnym dniu i trudzie bitwy, żołnierze nie zwracali uwagi na to, co pija.

Biorąc pod uwagę sposób przeprowadzenia bitwy i miejsce głównego starcia, straty Rzymian musiały być niewielkie. Ale w rzymskich szeregach, ściągających do obozu niemal już w ciemnościach nocy, radości ze zwycięstwa nie było widać:

(...) nie przyjęły ich, jak zwykle po tak wielkim sukcesie, peany zwycięskie, nie urządzano w namiotach wesołej pijatyki, nie odwiedzano się w obozie wśród radosnego nastroju ani też nie oddawano się błogiemu snowi, co dla żołnierza po szczęśliwym zwycięstwie jest ze wszystkiego najbardziej upragnioną rzeczą; przeciwnie bowiem, ta właśnie noc była

¹⁴ *Ibidem*, s. 500.

³⁵ Lucjusz Anneusz Florus, *Zarys dziejów rzymskich 38 - Wojna z Cymbrami, Teutonami i Tygurydami*, przet. I. Lewandowski, Wrocław 1973, s. 58.

*dla nich ze wszystkich najokropniejsza, najwięcej budziła w nich niepokoję. Obóz był jeszcze nie obwarowany wałami, zupełnie nie zabezpieczony szałcami. A tymczasem pozostawało jeszcze wiele dziesiątek tysięcy nie pokonanego wroga*³⁶.

Dowództwo rzymskie bardzo poważnie obawiało się nocnego ataku Germanów, bo to, co było słycać z doliny, przypominało łoskoty nadciągającej burzy.

*(...) Całą noc trwała tam w dole wrzawa, niepodobna do ludzkich jęków i płaczów, ale jakiś zwierzęcy ryk i wycie pomieszane z przekleństwami i narzekaniem rozchodziły się wkoło od tych nieprzeliczonych tłumów, a góry i cała dolina rzeczna odpowiadały im nieprzerwanym echem. Na równinie rozlegał się przejmujący chrzęst broni. Rzymian ogarnia! strach. Nawet Mariusz był tym zaniepokojony i bał się, że będzie musiał przyjąć nocną bitwę bez ładu i chyba tak na oslep*³⁷.

Można się domyślać, że słysząc podobne odgłosy, Rzymianie rażno wzięli się do rydli, łopat i siekier, wprzódy ustawiając w osłonie linię bojową. Atak mógł nastąpić w każdej chwili, więc nawet po zakończeniu prac czuwano w napięciu. Ale Teutoni nie zaatakowali ani w nocy, ani nad ranem. Nie podjęli też ataku w ciągu dnia i następnej nocy, gdyż staranne przygotowania do bitwy zajęły im bardzo dużo czasu.

Rozciągnięcie pochodu oznaczało rozproszenie sił. Niełatwo było zebrać wszystkich wojowników; zresztą wieści o rzezi Ambronów musiały wywołać, obok chęci odwetu, spore zamieszanie. Król teutoński, Teutobodus, nie bardzo wiedział, co począć w tej sytuacji. Sił germańskich w pobliżu Rzymian było co prawda dosyć, by stoczyć z nimi bitwę, ale bez gwarancji zwycięstwa. Ambronowie przegrali przez zbytnią zapalczywość. Teutobodus i inni królowie teutońscy nie życzyli sobie powtórek. Postanowili stoczyć bitwę całością sił. Lecz żeby miało to szanse powodzenia, trzeba było czekać. Prócz nabrania przekonania o konieczności oczekiwania na posiłki, Teutoni wyciągnęli jeszcze jedną naukę z klęski Ambronów: przeprawa przez rzekę w boju jest kosztownym i bolesnym doświadczeniem. Dlatego teraz na „rzymskim” brzegu rzeki utworzyli silny przyczółek. Nie posunęli się jednak dalej, co Mariusz wkrótce wykorzystał.

³⁶ Plutarch, *Mariusz* 20, *op. cit.*, s. 500.

³⁷ *Ibidem*.

Rzymianie też przygotowywali się do bitwy. Mariusz lepiej rozpoznał siły i zamiary przeciwnika. Nie chciał atakować dwukrotnie liczniejszej armii Teutonów. Postanowił zwabić ją aż pod swój obóz, gdzie linia bojowa musiała być krótsza niż w dolinie ze względu na ukształtowanie terenu. To pozwoliłoby zmniejszyć przewagę liczebną Germanów, a dodatkowo zmusiłoby wojsko germańskie do atakowania pod górę. Nie dość, że jest to męczące, to miotanie pocisków czy zadawanie ciosów z tej pozycji musi męczyć atakującego i jest mało skuteczne. Ale nie na samym ukształtowaniu terenu opierał się plan Mariusza. Konsul zorientował się, że Germanowie, czy to przez własne gapiostwo, czy w gniewnym zaślepieniu, nie zadbali o należyte rozpoznanie, wysłanie zwiadów czy choćby wystawienie wysuniętej służby wartowniczej. Dlatego późnym wieczorem, w dniu, który barbarzyńcy „podarowali” Rzymianom na odpoczynek,

(...) wykorzystując wiszące nad głowami nieprzyjaciela spadziste ściany doliny i pokryte leśną gęstwiną stoki, wysłał tam Klaudiusza Marcellusa z trzema tysiącami ciężkozbrojnych i dał mu rozkaz, aby te punkty zajął potajemnie, a następnie, kiedy już bitwa się rozpocznie, aby uderzył na nieprzyjaciela od tyłu. Reszta zaraz po wieczerzy położyła się na spoczynek o wczesnej godzinie^{1}.*

Już przed świtem zaczął się w rzymskim obozie wielki ruch. Wojsko wyszło sprawnie przez wszystkie bramy. Piechotę Mariusz ustawił w potrójnym szyku bojowym przed wałami obozu, tak że zajęła całą szerokość wzgórza. Dla jazdy zabrakło miejsca na skrzydłach, więc ustawił ją przed piechotą. Złośliwi a piśmienni patrycjusze nie przekazali potomnym żadnych informacji o roli, jaką odegrała w tej bitwie jazda. W każdym razie z zachowanej relacji wynika, że Teutoni rozpoczęli atak, sprowokowani takim właśnie ustawieniem Rzymian do boju. A Mariuszowi właśnie o to chodziło ze względu na przyjęty plan działań. Jazda miała zwabić wrogów pod jego piechotę.

Teutoński król Teutobodus był świetnym jeźdźcem. Wyraźnie lubił potyczki kawaleryjskie i doceniał jakość koni. W jednej bitwie (...) *skacząc z konia na konia (...) zmieniał je w liczbie od czterech do sześciu (...)*³⁹. Świadczyło to, niestety, o tym, że wódz osobiście angażował się w walkę, co musiało skutkować zaniedbywaniem innych obowiązków. Widząc następującą na jego ludzi jazdę rzymską, zapewne ochoczo

TM *Ibidem*, s. 501.

³⁹ Lucjusz Anneusz Florus, *Zarys...*, *op. cit.*, s. 58.

dosiadł rumaka i pognał w jej stronę. Tym samym bitwa została rozpoczęta i nie sposób było ją zatrzymać.

Piesze oddziały Teutonów ustawiały się w zwartą falangę, a wojownicy nocujący po drugiej stronie rzeki szybko ją teraz przekraczali, by dołączyć do szyku. Klęska Ambronów miała chyba jeszcze ten skutek, że powszechnie obawiano się ataku rzymskiego i ponownego zepchnięcia szyku Germanów do rzeki. Dopóki atakowała niezbyt liczna rzymska jazda, odpierano ją dość skutecznie; zresztą to niezbyt strategiczne zadanie zapewne wziął na siebie król teutoński. Ale za jazdą mogły zejść w dół legiony, szybciej i sprawniej ustawione do bitwy niż wojsko Germanów... To, co się potem wydarzyło, kronikarz zapisał następująco:

*(...) Teutonowie nie czekali, aż Rzymianie zejdą z góry i na równym, polu rozpoczną z nimi walkę, ale z gniewem i pośpiechem chwycili za broń i rzucili się w kierunku wzgórza (...)*⁴⁰.

Być może Teutoni liczyli na zamieszanie, jakie wywoła w rzymskim szyku ustępująca z pola jazda. Ale... zamieszania nie było. Turmy jazdy gładko przeniknęły na tył armii odstępami (klasycy powiedzieliby - interwałami) między kohortami, stojącymi w doskonałym porządku. Dowódcy germańscy dosyć późno zorientowali się, że Rzymianie spokojnie przyjmą ich uderzenie, tym bardziej że pęd ich posuwającej się pod górę falangi musiał osłabnąć. Było zbyt blisko, by cofnąć się, gdyż wtedy to Rzymianie by zaatakowali. Pozostało iść naprzód, równać szeregi i formować ścianę z tarcz...

Tymczasem Mariusz (...) *wszystkim dowódcom poszczególnych kolumn dał znać, by stali w miejscu, i kazał im poczekać, aż nieprzyjaciel zbliży się na pewną odległość. Wtedy kazał im obrzucić najpierw wroga całym zapasem pocisków, potem dopiero przejść z tarczami do walki na miecze i łamać opór*⁴¹.

Ustawienie żołnierzy rzymskich w kohortach było bardzo charakterystyczne. Podczas gdy falangi greckie i macedońskie były bardzo zwarte, a celtyckie i germańskie wręcz ciasne, bo ludzie stali w nich dosłownie ramię przy ramieniu, szyk rzymski był bardzo luźny. Żołnierze ustawiali się obok siebie na długość wyciągniętego ramienia (według Polibiusza - na trzy stopy). Między szeregami odstęp był jeszcze większy i mógł sięgać rzymskiego kroku, czyli ok. 1,4 m. Szyk wydawał się przez to

Plutarch, *Mariusz* 20, *op. cit.*, s. 501.

Ibidem.

bardzo łatwy do przeniknięcia i złamania, bo przecież naprzeciw jednego Rzymianina stawało dwóch-trzech wrogów. Dlaczego więc stosowano tak luźne ugrupowanie?

Wszystko podporządkowano rzucaniu oszczepów. Żołnierz musiał wziąć szeroki i swobodny zamach, by rzucić ciężkim *pilum*; stąd odległości między szeregami. Ponadto *pilum* miało na stopce drzewca żelazne okucie, tzw. *tok*, gdyby więc szeregi stały zbyt blisko siebie, żołnierz mógłby wybić oko stojącemu za nim koledze lub dotkliwie zranić go w twarz.

W momencie przyjmowania uderzenia przeciwnika szyk stawał się bardziej zwarty. A odbywało się to tak: po rzuceniu pocisków żołnierze pierwszego szeregu przyklękali na jedno kolano, dobywając mieczy i chowając się za tarczą. Dzięki temu drugi szereg mógł swobodnie rzucić swoje *pila*. Po ich rzuceniu żołnierze drugiego szeregu wchodzili w przerwy między klęczącymi kolegami i sami przyklękali. Potem rzucał pociski trzeci szereg i następne, aż do wyczerpania oszczepów lub wejścia pierwszego szeregu w kontakt bojowy z przeciwnikiem. To klęknięcie wymyślili Rzymianie kilka wieków wcześniej na okoliczność walki z Galami. Sprawdziło się ono wtedy znakomicie i weszło na stałe do taktyki bojowej legionów. Teraz w wojnie z Germanami musiało być podobnie.

Po zawarciu się w boju obu szyków nadal można było miotać oszczepy, ale już nad głowami walczących. Skutek tego był jednak mniejszy, gdyż pociski trafiały już nic tylko do pierwszych szeregów przeciwnika, lecz rozpraszały się po całej głębokości szyku. Poza tym oszczepy często rykoszetowały po wzniesionych tarczach lub uderzając pod małym kątem, słabo się w nie wbijały.

Po wyrzuceniu pocisków luźny dotychczas szyk rzymski przybierał postać zwartą, zwaną „noga przy nodze”. Nadal jednak dbano o utrzymanie właściwych odstępów, pozwalających na zachowanie swobody do wyprowadzania pchnięć mieczami. Elementem walki było aktywne używanie wielkich tarcz - popychano nimi przeciwników, przez co tracili możliwość zadawania ciosów, a następnie dźgano gladiusami wzdłuż brzegów tarczy.

Wyrzucanie oszczepów przez kohortę trwało krótko i stanowiło coś w rodzaju „salw”, gdyż robiono to szeregami. Ale wszystko w tempie i na rozkaz, wyćwiczonymi ruchami i odmierzonymi krokami. Każdy z żołnierzy rzucał swoje dwa oszczepy; praktyka wskazuje, że najskuteczniejszy był, jak byśmy to dziś nazwali, używając wojskowej terminologii, „ostrzał na wprost”, czyli rzuty jak najbardziej poziome. A takie

były możliwe przy używaniu pocisków ciężkiego i z odległości nieprzekraczającej 20 m, a najlepiej ok. 10-metrowej.

Niezależnie od sposobu miotania, Rzymianie szybko zasypali Teutonów gradem swoich oszczepów. Atak germański utracił przez to całkowicie swój impet; w końcu mało który z kilkudziesięciu tysięcy oszczepów nie trafił w cel, jakim były ciasne i głęboko uszykowane szeregi barbarzyńskie. Wojownicy z pierwszych linii mieli po kilka *pili* w tarczach, wielu było zabitych, jeszcze więcej rannych. Tym, którzy jeszcze walczyli, *pila* w tarczach bardzo je obciążały, utrudniały ruchy ręką, zresztą oszczepy często przebijały po dwie tarcze jednocześnie. Niektórzy ginęli przebici razem z tarczami. Grad pocisków zrobił swoje - kilka czołowych szeregów germańskich było niezdolnych do walki. A tu niemal natychmiast, nim zdążyli uporządkować swoje szyki, spadło na nich uderzenie Rzymian.

Kohorty z dwóch pierwszych rzędów szyku wyrównały linię i uderzyły pełną falangą. Doszło do walki w zwarciu, w której ranni i pozbawieni pancerzy i hełmów Germanie ponosili duże straty. Legioniści nieubłaganie spychali teutoński szyk, deptając po ciałach poległych. Tak jak przewidywał to Mariusz, cofający się Teutoni mieli trudności z oddawaniem ciosów do góry, a żeby utrzymać równowagę na nierównym terenie, musieli obracać się co chwila do tyłu. I tak zamiast atakować, Germanie musieli się bronić, i to w bardzo niekorzystnych warunkach.

Bardzo trudno jest, mimo najlepszych chęci, powstrzymać cofający się po pochyłości szyk. I nie chodzi tu jedynie o prawo powszechnego ciężenia, wpływ przyspieszenia ziemskiego i równię pochyłą. Pod rzymskim atakiem padło kilka pierwszych szeregów teutońskich. Ich niedobitki, czyli wojownicy w większości mocno poranieni, wycofywali się nawet nie tyle ze strachu przed śmiercią, co po to, by wyrównać linię i dać sobie jakąś szansę na podjęcie walki. To oni nadawali ruch wsteczny całemu ugrupowaniu. Jednak falanga barbarzyńska, choć ustępowała pod naciskiem, nie uległa rozerwaniu ani nie wpadła w popłoch. Germanie również mieli broń do miotania i choć pewnie nie tak skutecznie jak Rzymianie, bo pod górę i ponad głowami walczących, ale oni też obrzucili swoich wrogów oszczepami. Wkrótce legioniści na własnej skórze odczuli skuteczność swojego uzbrojenia, bo z braku innych pocisków, Teutoni schylali się po leżące pod ich nogami nieprzyjacielskie *pila* i odrzucili je do Rzymian. Nie wszystkim oszczepom groty pokrzywiły się od uderzenia, wiele wyjęto z tarcz. Okazało się, że *pilum* przechodzi gładko również przez rzymską tarczę. Straty w rannych i zabitych były na tyle duże, że nacisk legionów, początkowo spory teraz zaledwie wystarczał

do spychania przeciwnika po zboczu. A konsul Mariusz zyskał poważny powód do zastanowienia się nad lepszym użyciem *pilum* w przyszłości.

Wreszcie szyk germański dotarł do względnie płaskiego terenu nad rzeką. Teutoni pospiesznie porządkowali swoją falangę z zamiarem odparcia Rzymian i przejścia do kontrnatarcia. W tej chwili wynik bitwy pozostawał jeszcze sprawą otwartą. Wprawdzie barbarzyńcy ponieśli duże straty, ale nadal mieli wyraźną przewagę liczebną nad Rzymianami. Ponadto większość z nich nie miała jeszcze okazji do skrzyżowania z wrogami broni, gdyż całym ich wkładem w bitwę, prócz rzucenia poci-sków i wydawania gromkich okrzyków, był marsz pod górę i z powrotem na dół. Nie tracili więc nadziei, że uda się im jeszcze zademonstrować swoją dzielność i pomścić poległych towarzyszy. Nadzieje te spełniły się szybciej, niż myśleli, choć tylko częściowo, bowiem (...) *Marce/his nie przeoczył właściwej okazji, ale w momencie, gdy głośny krzyk rozlegał się po stokach wzgórz, kazał swoim ludziom powstać i biegiem, z ogromnym wrzaskiem, spadł na tyły nieprzyjaciela, szercząc rzeź wśród ostatnich szeregów. Te zaś ciągnęły za sobą inne, stojące przed nimi i w jednej chwili w całej armii nieprzyjacielskiej powstało wielkie zamieszanie*⁴².

3000 ludzi i 6000 oszczepów zadecydowało o klęsce Teutonów. Klaudiusz Marcellus nie uderzył na całej linii, gdyż nie byłby jej w stanie ogarnąć tak szczupłym wojskiem, a nawet przy płytkim ugrupowaniu nie osiągnęłyby nawet połowy germańskiego szyku. Ale efekt był piorunujący! Germanie, którzy nie znali rozmiarów sił rzymskich, atakujących ich od tyłu, naprawdę ulegli wrażeniu, że zaatakowało ich kilka legionów. Osaczeni ludzie, rażeni z kilku stron, wpadli w panikę, która jak pożar w suchym lesie, błyskawicznie rozprzestrzeniła się na całą armię. Zniknęła gdzieś woła walki. Jediną dostępną drogą ucieczki była rzeka z jej urwistym brzegiem. Tam zaczęły się zsuwać bezładnie masy wojowników, spychane przez Rzymian, którzy nie ustawiali w naci-sku. Powtórzyła się sytuacja z bitwy z Ambronami, tylko na większą skalę. (...) *Rzymianie w czasie tego pościgu wzięli do niewoli żywcem lub powalili trupem ponad sto tysięcy ludzi, zdobyli nieprzyjacielskie namioty, tabory i zapasy*⁴³ - relacjonował Plutarch, podając najbardziej umiarkowaną, a więc chyba najbliższą rzeczywistości liczbę poległych i wziętych do niewoli mężczyzn germańskich. Jeśli dodać do tego ok. 20 000–25 000 Ambronów, wyciętych dwa dni wcześniej (bo nic wszystkich przecież 30 000 Rzymianie zdołali wtedy dopaść), da to nam jakie takie wyobrażenie o wielkości sił nieprzyjacielskich. Musiało to

⁴² *Ibidem*, s. 502.

⁴³ *Ibidem*.

więc być ok. 130 000 wojowników, ale trzeba mieć na uwadze, że wśród nich znajdowali się zarówno chłopcy piętnastoletni, jak i starcy, więc ich efektywna liczba była prawdopodobnie mniejsza.

Inni dziejopisowie mówią o jeszcze większych stratach Teutonów i Ambronów. Ci, którzy skrócili Liwiusza, piszą tak:

(...) Konsul Gajusz Mariusz obronił swój obóz, atakowany z najwyższą siłą przez Teutonów i Ambronów, a następnie w dwóch bitwach koło Wód Sekstiusza zniszczył tych wrogów. Padło w nich, jak powiadają, dwieście tysięcy nieprzyjaciela, a do niewoli miano wziąć dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi⁴⁴.

Z kolei człowiek z czasów cesarza Tyberiusza zanotował inne liczby:

(...) W czasie czwartego konsulatu Mariusz starł się z Teutonami po drugiej stronie Alp, w okolicy Aquae Sextiae. W dwudniowej walce wytępił plemię Teutonów, kładąc trupem ponad sto pięćdziesiąt tysięcy wrogów⁴⁵.

Tak czy inaczej, liczby te mówią nam o skali zjawiska i o liczebności całego plemienia. Nie sposób było wziąć do niewoli wszystkich jednocześnie, zwłaszcza że niektórzy całkiem rączo umykali. Króla Teutobodusa dopadnięto w najbliższym lesie, bo rozwój wypadków tak go zaskoczył, że ani razu nie zdążył zmienić rumaka, a sam był mężczyzną bardzo wysokim i ciężkim. Dlatego (...) w czasie tryumfu przedstawiał wspaniały widok dla oka (...)⁴⁶. Oczywiście, jeździec ten nie wyczerpywał listy wysoko postawionych jeńców. Do pościgu, a raczej polowania na Germanów włączyli się Galowie. O rozmachu działań może świadczyć fakt, że innych królów teutońskich schwyтали Sekwanowie - plemię żyjące dość daleko na północ od miejsca, gdzie stoczono bitwę. Plutarch pisze, że było to w pobliżu Alp⁴⁷, jednak położenie historycznych siedzib Sekwanów wskazuje, że do ocalenia Teutonów nie brakowało wiele - Ren był całkiem niedaleko. I kto wie, czy niektórym się to nie udało...

Stos ofiarny

Zwyczajem starożytnych, nie tylko Rzymian, było składanie ofiar bogom po wygranych bitwach. Wcześniej, pod Arausio, to Germanie złożyli w ofierze praktycznie wszystko, co zdobyli: broń, zwierzęta i ludzi.

Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LXIII, *op. ci!*

⁴⁵ Wellejusz Paterkulus, *Historia rzymska* 11.12, przeł. E. Zwolski, Wrocław 1970, s. 30.

⁴¹ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, *op. ci!.*, s. 58.

⁴⁷ Plutarch, *Mariusz* 24. *op. cii.*

Grecy wznosili pomniki zwycięstwa z porzuconej przez wrogów broni. Celtowie obcinali poległym głowy i zabierali je ze sobą, a broń przeciwnika rozrzucali po polach ofiarnych...

Rzymianie czcili zwycięstwo na swój sposób. Ze zdobyczej broni i sprzętu wojennego wznosili stos ofiarny, po czym go podpalali. Czasami budowali też pomniki zwycięstwa, nieopodal pola bitwy lub części jej - lecz to dopiero później - w samym Rzymie. Opis tego, jak Rzymianie świętowali zwycięstwo, czcząc tych, którym je zawdzięczali, zostawił nam Plutarch:

(...) Po tej bitwie Mariusz miał wydać zarządzenie, aby wybrać z broni nieprzyjacielskiej i z łupów wszystko to, co było w dobrym stanie i wyglądem swym mogło uświetnić pochód triumfalny. Resztę zniesiono na wielki stos i zrobiono z niego wspaniałą ofiarę^w.

Jak wiadomo, Rzymianie bardzo lubili porządek, nieprzyjacielskiej broni nie znoszono więc i nie rzucano byle jak. Włócznie i oszczepy wiązano w pęczki, jakby naręcza, tarcze składano po kilka razem i wiązano, i dopiero z takich „prefabrykatów” układano stos. Dodawano do niego połamane czy pogieęte miecze i hełmy wrogów. Wokół tak uszykowanego stosu ustawiało się całe wojsko w pełnym uzbrojeniu, z wieńcami na głowach. Możliwe, że obok stosu wznoszono symboliczny i doraźny na ludzki sposób pomnik zwycięstwa, *tropajon*, składający się z krzyża, na który zakładano wyróżniającą się urodą zbroję przeciwnika: pancerz, hełm, miecz i tarczę (takież *tropajon* wieziono zawsze na jednym z wozów triumfalnych). Swoistym dopełnieniem tego symbolu było ulokowanie u jego podstawy pary kłęczących jeńców. Ludzie ci byli zwykle częściowo obnażeni, a włosy mieli rozpuszczone i potargane, zresztą to za włosy ich chwymano i wieszono na miejsce. Można przypuszczać, że im żałośniejszy przedstawiali oni sobą widok, tym lepiej wyglądał w oczach Rzymian pomnik zwycięstwa. Ręce mieli związane lub skute łańcuchami za plecami, przy czym mężczyzna miewał jeszcze powróż na szyi, przywiązany do skrępowanych dłoni.

Gdy już wszystkich rytualnych poczynań dopełniono, odpowiednio ubrany wódz naczelny, pełniący funkcję najwyższego kapłana, podpalał stos pochodnią. Mariuszowi ponoć coś w tym przeszkodziło. Przyjrzyjmy się legendzie:

(...) Mariusz sam, przepasawszy głową według zwyczaju opaską, w to-dze bramowanej purpurą, wziął płonąca pochodnię, wznosząc ją obu-

^w *Ibidem*, s. 503.

racz ku niebu i już miał podłożyć ją pod stos, gdy wtem zauważono, jak na koniach pędzą do niego jego przyjaciele. Nastąpiło głębokie milczenie. Wszyscy czekali, co to będzie. Tamci zaś, gdy podjechali bliżej, zeszli z koni, uściskali Mariusza, obwieszczając mu zarazem dobrą nowinę, że został po raz piąty wybrany konsulem, po czym oddali mu w tej sprawie odpowiednie pismo. Nowa więc radość dołączyła się do uroczystości na cześć zwycięstwa. Całe wojsko zahuczało ze szczęścia oklaskami i zagrzmiało szczękami oręża. Trybunowie włożyli Mariuszowi na głowę jeszcze raz wieniec laurowy, Mariusz zaś podpalił teraz stos i dokonał ofiary⁴⁹.

Z treści przekazu wynikałoby, że Mariusza obrano konsulem, mimo że w Rzymie nie był jeszcze znany wynik bitwy. Pamiętajmy jednak, że starożytni mieli swoje sposoby, by zawczasu znać przebieg zmagania i w tym względzie trochę ich nie doceniamy. Przecież już wcześniej, zanim w ogóle doszło do pierwszych starć, znaki na niebie pokazały, kto tym razem będzie górą:

(...) Z italskich zaś miast, Amerii i Tudertum, doniesiono o takich szczegółach, że w nocy było tam widać na niebie ogniste włócznie i tarcze, jak poruszały się z początku w różnych kierunkach, a potem zderzyły się z sobą i przyjmowały figury i ruchy, podobne do walczących z sobą ludzi. Wreszcie jedna strona się poddała, druga zaczęła ją ścigać, po czym wszystko runęło na zachód⁵⁰.

No cóż, powyższy przekaz wygląda pięknie. Nam, niedowiarkom, bliższe prawdy wydaje się oddzielenie w czasie uroczystości ofiarnych na polu bitwy pod Aquae Sextiae i ponownego wyboru Mariusza na konsula...

Cokolwiek by jednak mówić, zwycięstwo nad Teutonami było bezsporne i Mariusza spotkały za to zasługi nadzwyczajne i zaszczyty. Problem Teutonów rozwiązano w sposób ostateczny. Pozostał jeszcze problem Cymbrów.

Ibidem.

Plutarch, *Mariusz* 17, *op. cit.*, s. 496.

STARCIE Z CYMBRAMI. POLA RAUDYJSKIE POD VERCELLAE - początek lipca (sierpnia)² 101 r. p.n.e.

Jak już wspomnieliśmy, Cymbrowie i Teutoni postanowili napaść na Italię osobno. Ta jednoznaczna ze strategicznego punktu widzenia decyzja miałaby głęboki sens, gdyby postarano się o skoordynowanie działań obu plemion. Ale „kierownictwo” nie zadało sobie takiego trudu, mało tego - wygląda na to, że jedyni znani nam z imienia królowie Teutonów i Cymbrów, jeździec Teutobodus i narwaniec Bojoryks, powiedzieli sobie: „Do zobaczenia w Italii!” i na tym zakończyli wymianę informacji w zakresie sposobu i terminu przeprowadzenia najazdu. Co prawda mieli zamiar kontaktować się ze sobą co wynika z późniejszych działań Bojoryksa, ale od jakości tych kontaktów nie uzależniali swoich działań. Prawdopodobnie to chęć rywalizacji za wszelką cenę przesłoniła im wszystkie, nawet te najżywotniejsze potrzeby. Oto przykład.

Po rozdzieleniu się w Galii obie grupy poruszały się z podobną prędkością marszową. W chwili gdy Teutonowie dotarli do obozu Mariusza nad Rodanem, Cymbrowie prawdopodobnie wciąż jeszcze byli w Galii, a przecież kilka dni strawiono na rozważaniach, co począć z Rzymianami zamkniętymi w niedostępnej warowni. Nawet odległość, jaka dzieliła obu sojuszników w pierwszym dniu bitwy pod Aquae Sextiae, nie była na tyle duża, żeby Teutonowie nie mogli dać znać współtowarzyszom swojej wędrówki, co się dzieje i jak rozwija się sytuacja. Krótka informacja: „Mamy kłopoty” ostrzegłaby Cymbrów przed dalszymi krokami w zimowe Alpy, a być może ocalałoby resztki Teutonów, którzy mieliby wtedy do kogo uciekać. Zresztą nawet opóźnione przybycie Cymbrów

¹ Cyt. za: *Sentencje łacińskie*, wybór i oprac. J. Syjud, Chorzów 2005, s. 54.

² Datę miesięczną należałoby przyjąć za Plutarchem jako początek rzymskiego miesiąca Sekstyliisa, czyli sierpnia. Ale żeby być zgodnym z porą roku, należy przyjąć inną jego wskazówkę - przesilenie dnia z nocą. To zjawisko przypada obecnie na koniec czerwca, więc bitwę można lokować, według dzisiejszej rachuby, w końcu czerwca lub na samym początku lipca. Miejmy świadomość, że Gajusz Juliusz Cezar, robiąc później reformę kalendarza, „urwał” aż 30 dni, by święta, wynikające z cyklu słonecznego, pokrywały się z datami dziennymi i miesięcznymi!

na pole bitwy mogłoby postawić Mariusza w bardzo kłopotliwej sytuacji. Jak się bowiem dalej okaże, również straty po stronie rzymskiej wcale nie były małe, choć o tym akurat kroniki milczą; widać ich autorzy uznali, że wobec zniszczenia tej straszliwej nawały, nie ma potrzeby wspominać o stosunkowo niewielkich kosztach własnych.

Można, oczywiście, poszukać uzasadnienia dla poczynań Teutonów. Być może nie dali oni znać Cymbrom o porażce Ambronów, bo nie chcieli przywoływać dodatkowych świadków własnej słabości. Obawiali się, że rangę ich przyszłego zwycięstwa, w które ani przez chwilę nie wątpili, taka prośba o pomoc jakoś by pomniejszała. Z kolei po drugiej bitwie pod Aquae Sextiae na znaki było już za późno i właściwie nie miał kto ich dawać.

Prawda jest taka, że teutońskie dowództwo było waleczne, choć brakowało mu inteligencji. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak zauważyć, że ten brak współdziałania między barbarzyńcami i swoista między nimi rywalizacja, kto pierwszy osiągnie Italię, nie były wcale sprawą odosobnioną i miały swój „odpowiednik” po drugiej stronie Alp. I to na najwyższych szczeblach władzy. Pod Aquae Sextiae zabrakło armii konsula Kwintusa Lutacjusza Katulusa. Na ten mało istotny szczegół patrycjusze w ogóle nie zwrócili uwagi w swoich pamiętnikach, pisząc tylko o tym, jakie to ważne zadanie wykonywał Katulus, gdy w tym samym czasie Mariusz zmagał się z trzykrotnie liczniejszym wrogiem. Jakież to były ważne zadania, niepozwalające Rzymianom na śmiałe i pewne pobicie rozdzielonych na własne życzenie sił najeźdźców? Nieco uprzedzając treść rozdziału, możemy je nazwać bardzo ważnymi zadaniami drugorzędnymi, a zajęcie się nimi właśnie w tym czasie nie miało nic wspólnego z zasadą ekonomii sił.

Zadania konsula Kwintusa Lutacjusza Katulusa

Zadaniem podstawowym konsula Katulusa było rozprawienie się z plemionami alpejskimi. Tę niespecjalnie potrzebną wojnę praktycznie zakończył Mariusz, ale w tzw. kręgach kierowniczych uznano, że konieczne trzeba ją kontynuować. Cóż, starożytni z całą pewnością mieli na ten temat pełniejszą wiedzę niż my, jednak wypada zauważyć, że ani wcześniej, ani później plemiona alpejskie w żaden sposób nie zagraziły Rzymowi. Wprawdzie byli Helweci, którzy w 107 roku w dość nieprzyjemny sposób pokonali Rzymian w Galii Zaalpejskiej, ale oni, z rzymskiego punktu widzenia, byli plemieniem zaalpejskim, a nie alpejskim. Te właściwe plemiona alpejskie po prostu nikomu łątko się nie

poddawały, co bardzo boleśnie odczuł niegdyś Hannibal; teraz również pycha rzymska nie najlepiej tę niezależność znosiła. Nie brano przy tym pod uwagę, że górskie plemiona, rozproszone wśród dolin kraju i tak słabo zaludnionego, nie przedstawiały żadnej siły ofensywnej i miały znaczenie jedynie lokalne. To zrozumiałe, oczywiście, że w obliczu zagrożenia germańskiego Rzym chciał kontrolować przełęcz alpejskie, by nie wpuścić do Italii groźnych wrogów, tylko czy rzeczywiście w tym celu trzeba było walczyć z tymi ludami, zamiast zwyczajnie je pozyskać?

Wygląda na to, że w Rzymie ceniono przede wszystkim rozwiązanie siłowe, tyle tylko, że ta sama armia rzymska, która potrafiła wygnać górali z ich siedzib, tych samych siedzib nijak nie umiała potem obronić ani ich wykorzystać na własne potrzeby. A mieszkańcy gór zrobiliby to znacznie lepiej. Przecież dopiero za Augusta, i to przy okazji działań o znacznie szerszym zakresie, obejmujących ziemie położone na północnych stokach Alp - Recję i Windelcję, podporządkowano sobie alpejskie państewka w oparciu o układy sojusznicze, a potem przekształcono je w kilka małych prowincji, do których pilnowania wystarczało dosłownie po jednej kohorcie wojsk posiłkowych. Między najazdem Cymbrów a podporządkowaniem krain alpejskich upłynęło około 100 lat. W związku z tym trudno oprzeć się wrażeniu, że Rzymianie, którym po prostu zabrakło wyobraźni, niepotrzebnie uwikłali się w działania nierokujące pomyślnie, a zmuszające do rozproszenia sił po rozlicznych przełęczach i wąwozach. Oczywiście, w tej sytuacji wojsk tych nie można było skierować na pomoc Mariuszowi.

Drugim zadaniem Katulusa było czuwanie, by Cymbrowie nie weszli do Italii. A rzeźni Cymbrowie wybrali tak długą i kłopotliwą drogę, że dotarli do celu kilka miesięcy po Teutonach. I tu pierwszorzędnego znaczenia nabiera czas, w jakim dokonali tej sztuki, co niniejszym rozważmy.

Floais donosi nam, że Cymbrowie (...) w czasie zimy, która jeszcze wyżej wznosi Alpy, zeszli z grani trydenckich do Italii, siejąc zagładę*. To wyraźny sygnał, że Cymbrowie sforsowali Alpy zimą. Natomiast Plutarch wprawdzie nie określa ściśle terminu przejścia przez nich Alp, ale daje nam do zrozumienia, że działo się to niedługo po klęsce Teutonów:

(...) jakaś siłą Przypadku czy jakaś boska Sprawiedliwość, czy też wreszcie jakaś panująca w naturze dziejów Konieczność w niewiele dni

³ Lucjusz Anneusz Florus, *Zarys dziejów rzymskich* 1.38 - *Wojna z Cymbrami, Teutonami i Tygurydami*, przeł. I. Lewandowski, Wrocław 2006, s. 104.

później przygnębiła Mariusza wieścią o losach kolegi Katulusa. I znowu chmura przykryła słoneczną pogodę nieba i po raz wtóry stanęła nad Rzymem groźną burzą.*

Jak rozumieć owe „niewiele dni później” w kontekście przekazu Florusa? Czy chodzi tu o dni kilkanaście, czy też o kilkadziesiąt?

Wydarzenia z przyszłości, czyli reakcja Mariusza na wieść o niepowodzeniu Katullusa w starciu z Cymbrami, nasuwają myśl o późniejszym, niż to się zwyczajowo przyjmuje, sforsowaniu Alp przez Cymbrów. Przy prostym czytaniu Plutarcha odnosi się wrażenie, że stos ofiarny Mariusza pod Aquae Sextiae i wieść o przejściu Alp przez Cymbrów dzieli w istocie niewiele dni, co przydaje całej sytuacji literackiego dramatyzmu. Ale dalej mamy informację o zwyczajowym wezwaniu Mariusza do Rzymu, które nie było niczym innym, jak przygotowaniem uroczystości triumfalnych, oraz o jego działaniach podjętych tuż przed powrotem do stolicy, znamionujących wielki pośpiech. Oto bowiem, co się wydarzyło po uzyskaniu przez niego informacji o porażce prokonsula Katulusa.

Po pierwsze, konsul Mariusz, będąc już pod Rzymem, odmówił odbycia triumfu, co było niebywałym poświęceniem z jego strony (i tak to rozumiał każdy Rzymianin), ale ponieważ kalkulowano, że triumf jednak się odbędzie, by podtrzymać na duchu ludność, którą najświeższe wieści przejęły grozą przygotowania do tego aktu musiały być zakończone. Należy przez to rozumieć obecność pod Rzymem łupów zdobytych na Teutonach, jeńców oraz wybranej części zwycięskiej armii, zwyczajowo towarzyszącej swemu wodzowi. Jest wątpliwe, by Mariusz opuścił prowincję przed zimą czyli przed formalnym zakończeniem swojego urzędowania w charakterze jej namiestnika. A zatem zarówno zawezwanie wodza i przygotowania do triumfu, jak i marsz z Galii Zaalpcjskiej do Rzymu z łupami i jeńcami, musiał odbyć się wiosną 101 roku.

Po drugie, po porzuceniu myśli o odbyciu triumfu konsul omówił z władzami państwa konieczne przedsięwzięcia i pospieszył do Katulusa, wzywając jednocześnie do siebie swoją armię. Od tamtego czasu godzina wybuchu wojny z Cymbrami była limitowana tylko jednym warunkiem - czasem, jaki zużyje armia Mariusza na marsz z Galii. Mamy więc do porównania dwa czasy: ten, jaki zajęło Cymbrów przemieszczenie się z głębi Galii prawie do Ilirii, a stamtąd do Italii, oraz ten, jaki zajęła Mariuszowi droga z Galii Zaalpcjskiej do Rzymu,

⁴ Plutarch, *Mariusz* 23 [w:] *Żywoty słownych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957, s. 504.

a następnie marsz jego armii do Italii. Gdyby przyjąć, że Cymbrowie przeszli Alpy jeszcze w 102 roku, to uwzględniając znany, letni termin bitwy na Polach Raudyjskich oraz wyraźny pośpiech w działaniach Mariusza, jego armia, po wezwaniu, szłaby na Pola Raudyjskie ponad pół roku. W dodatku trudno przypuszczać, by konsul, któremu armia zbiegła z pola walki, a tak stało się z Katulusem, zachował nad nią dowodzenie w roku następnym, po zakończeniu urzędowania, już jako prokonsul, nawet przy wszelkich korzystnych układach, jakie miał w senacie. Wydaje się więc bardziej prawdopodobne, że Cymbrowie przeszli Alpy dopiero wiosną. A że wiosna w górach zaczyna się znacznie później niż na nizinach, nawet na tej szerokości geograficznej, na jakiej leżą tereny północnej Italii, stąd wieści o marszu Cymbrów w śnieżycach.

Za przesunięciem terminu forsowania Alp na wiosnę 101 roku przemawia również fakt, że Cymbrowie mieli tego dokonać łącznie z całym taborem, inwentarzem i ludnością cywilną. Trudno przypuszczać, by odważyli się maszerować przez góry podczas lodowatych słońc jesiennych, opóźniających marsz, a w efekcie narażających całe plemię na zasypanie śniegiem. Rozwaga nakazywała przezimowanie w bezpiecznym miejscu i dopiero po ustąpieniu z nizin mrozów forsowanie górskich przełęczy. Rzymskim i greckim autorom, na ogół nie znającym przecież realiów wysokich gór zimą, każde przekraczanie zaśnieżonych przełęczy wydawało się posunięciem dziwacznym i ryzykownym. Gdzie śnieg, tam i zima. I dlatego chyba te „niewiele dni później” należy rozumieć jako kilka miesięcy. Ponadto nie jest możliwe, żeby najeźdźcy, dotychczas kroczący przecież bardzo powoli, przebyli w kilkanaście dni liczącą kilkaset kilometrów trasę z równin Galii do Norykum, poruszając się całym, ogromnym taborem po wysokogórskich drogach. Czyżby przefrunęli?

Jeśli zatem Cymbrowie przekroczyli Alpy około marca-kwietnia 101 roku, daje to czas ponad dwóch miesięcy do letniego przesilenia dnia z nocą, gdy rozegrała się bitwa pod Vercellae. To tłumaczy, dlaczego prokonsul Katullus zachował dowództwo (jego armia była w ciągłym odwrocie i wobec tej niespodziewanej konieczności nie było kim go zastąpić), dlaczego tak pospiesznie wezwano Mariusza i dlaczego jego armia równie pospiesznie pomaszerowała z Galii do północnej Italii. Vercellae leży niemal pośrodku trasy między Wenecją, gdzie rezydowali Cymbrowie tuż po przepłoszeniu prokonsula Katulusa, a okolicami Marsylii, gdzie rozlokowała się zasadnicza część armii Mariusza.

Powróćmy jednak do późnego lata 102 roku p.n.e., gdy Katulus był jeszcze konsulem. O tym, że Cymbrowie postanowią obejść dookoła całe

Alpy, nikt wtedy nie wiedział. Nie wiedział również konsul Katullus, który mógł więc obawiać się, że Cymbrowie skrócą sobie drogę i nie będą obchodzić Alp przez kraj Helwetów i Noryków, lecz wychyną gdzieś niespodziewanie, jak to niegdyś zrobił Punijczyk Hannibal. Przy takim postawieniu sprawy można zrozumieć poczynania czy raczej brak poczyznań Katulusa. Czuł się przecież za wszystko odpowiedzialny, również za działania Mariusza. Ten ostatni, jak do tej pory, poczynął sobie śmiało i rewolucyjnie, jednak samo w sobie nie gwarantowało to jeszcze sukcesu. Wynik zmagania Teutonów i Mariusza pozostawał kwestią otwartą. Z punktu widzenia Lutacjusza Katulusa i senatu, pójście mu z pomocą byłoby nie tylko ryzykownym opuszczeniem posterunku, ale i wystawieniem się na zniszczenie w bitwie, co pozbawiłoby Rzym realnej osłony wojskowej. Kto wie, czy nie brano też pod uwagę, że między obydwoma wodzami może eskalować zabójcza niechęć, która mogła w efekcie doprowadzić, podobnie jak to było pod Arausio, do katastrofy.

Te wielce prawdopodobne rozterki Katulusa, czy powinien niewzruszenie trwać na swoim posterunku, przerwali wreszcie inni, pomagając mu podjąć właściwą decyzję. Senat, doświadczony seriałklesk, zalecał jak najdalej posuniętą ostrożność. Nie brakowało zapewne „ojców”, którzy – może nie oficjalnie, ale w zaufanym gronie przyjaciół – Mariuszowe plany wprost nazywali szalonymi. Generalnie rzecz ujmując, ekwita Gajusz Mariusz nie miał poparcia senatu, tylko zgromadzenia ludowego, a Katulusa nie po to przepchnięto w wyborach konsularnych, by stał się zwolennikiem Mariusza, odbierając tym samym senatowi wpływ na bieg dziejów.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć w tym miejscu o osobowości konsula Katulusa. Należał on do grona najlepszych mówców swojego czasu. Plutarch w *Mariuszu* pisze o nim niemalże w superlatywach, że był to (...) *dzielny i prawdziwie doskonały wódz*⁵; ta laurka zwyczajnie razi, jeśli spojrzeć na nią w kontekście „dokonań” militarnych tego człowieka, choć niektóre z nich niekoniecznie były wyłącznie przez niego zawinione. Z drugiej strony, w innym miejscu ten sam autor nieco się zapomina i w utworze poświęconym żywotowi Korneliusza Sulli odmiennie ujmuje przymioty Katulusa, pisząc o nim tak: *Był to człowiek bardzo zacyjny, ale wobec większych konfliktów mało energiczny. Sulli zaś powierzał teraz najważniejsze i najtrudniejsze funkcje*⁶. To ujęcie charakteru Katulusa jako wodza jest chyba bliższe prawdy, choć zabrzmiało tu tak, jak zabrzmiało, tylko dlatego, że Plutarchowi chodziło o pean na cześć

⁵ *Ibidem*, s. 505.

⁶ Plutarch, *Sulki* [w:] *Cztery żywoty*, przeł. M. Brożek, Warszawa 2003, s. 61.

niezastąpionego i genialnego Sulli, skądinąd jednego z najwybitniejszych wodzów rzymskich, który podówczas piastował stanowisko kwestora konsula Katulusa. Tu niechcący, mimo charakterystycznego dla dziejopisa unikania jakichkolwiek negatywnych sformułowań o przedstawicielach najwyższych rzymskich sfer, bez budowania przy tym długiach uzasadnień (by nie urazić miłości własnej okupantów), wysnęła mu się krótka prawda. Możliwe więc, że prawda na temat sposobu prowadzenia wojny z Germanami wyglądała tak, iż Katulus nieco się zagubił w całej tej sytuacji i zdał się na zdanie zawsze energicznego, pewnego siebie i szczęśliwego w swych poczynaniach Sulli. Z kolei dla Sulli Mariusz był już wtedy osobistym wrogiem, więc gdy miał możliwość wyboru: pomóc mu czy czekać na z góry upatrzonych pozycjach - wybrał z góry upatrzone pozycje.

Niezależnie od powyższych spekulacji, faktem jest, że w pierwszej fazie ataku plemion germańskich, operujących po długich liniach zewnętrznych, Rzymianie nie współpracowali ze sobą, mimo że operowali po krótkich liniach wewnętrznych i w ogóle szybciej działali i maszerowali. I tak wczesna jesień upłynęła konsulowi Mariuszowi na walce, a konsulowi Katulusowi na wyczekiwaniu. Wyborcy dostrzegli różnicę i Mariusz został konsulem na rok 101, czyli już po raz piąty. Ale i senat swoje widział i wiedział, dlatego przedłużono Katulusowi *imperium* (czyli władzę wojskową) na rok 101. Senat nadał mu w zarząd prowincję Galię Przedalpejską, z zadaniem obronienia jej przed nadciągającymi Cymbami. Widocznie Katulus świetnie się spisał w 102 roku, skoro w roku następnym nie musiał przekazywać wojska drugiemu konsulowi, Maniuszowi Akwiliuszowi, choć w poprzednich latach kolejno władzę nad tą samą armią sprawowali wyłącznie konsulowie. A teraz, jako prokonsul, miał zrobić to, co udało się „plebejskiemu” konsulowi Mariuszowi w roku poprzednim. Dysponował kilkoma atutami, takimi jak panowanie nad przełęczami czy obecność energicznego pomocnika, Sulli, ale, jak się okazało, nie miał atutu najważniejszego: odpowiedniej armii.

Bardzo trzeźwo patrząc na rzeczywistość konsul Mariusz zareagował odpowiednio do rozwoju politycznych wydarzeń, wprawdzie nie wprost, lecz jednak godzących w jego osobę. Zresztą, Mariuszowa armia miała zajęcie w Galii, bo mimo ustąpienia niebezpieczeństwa teutońskiego i, zdawałoby się, opanowania sytuacji przez Rzymian, zdarzały się w okolicy poważne niepokoje. Czy jednak cała armia musiała pozostać za Alpami, to już inna sprawa. W obliczu najazdu Cymbrów Mariusz zajął się sprawami tak ważnymi, że dziejopisowie o nich nic nie napisali.

Pewnie urządził na nowo prowincję, zaprowadzał porządek wśród sąsiadów i troszczył się odpowiednio o wojsko. O tym ostatnim co nieco wiemy, bo wrogowie skrzętnie notowali wszystkie czyny Mariusza, jakie dałoby się przeciw niemu wykorzystać. Na przykład popełnił pewne drobne oszustwo względem skarbu państwa: (...) *dla zachęcenia i wynagrodzenia swych żołnierzy sprzedał im cały łup po cenie zaniżonej, nie chciał, aby się wydawało, że kogoś obdarza podarunkami*", co wśród arystokracji, nie takich przecież dopuszczającej się nadużyć, wywołało głosy oburzenia, a wśród ludu znów szmery uznania. Wiemy też, że i dzielnych Italików Mariusz nagrodził, nadając wielu z nich obywatelstwo rzymskie. Tym posunięciem okrutnie naraził się senatorom, ale oni na razie, póki Cymbrowie grasowali w okolicy, siedzieli cicho. Za to po wojnie śmiało dali upust targającym nimi emocjom. Mariusz musiał się bronić, powoływać świadków, wywołał przy tym straszne oburzenie czcigodnych seniorów, bo (...) *kiedy mu ktoś wypomniał, iż nadał prawo obywatelstwa rzymskiego - za wyjątkowe bohaterstwo w walce - tysiącowi mężów z Kamerium równocześnie, co było niezgodne z ustawą, odrzekł, że wśród szczęku broni nie dosłyszał głosu ustawy!**

Ale to było później; na razie Mariusza zaprzętały inne problemy. Równie cierpliwie jak na Teutonów, konsul czekał na rozwój wydarzeń w przestrzeni operacyjnej kolegi Katulusa, udając przy tym, że o niczym nie wie. A tam, na wschodzie, wypadki przybrały dosyć osobliwą postać.

Brawurowy marsz Cymbrów przez Alpy

To nieprawda, że konsul Katulus nic panował nad niczym i na niczym się nie znał. W normalniejszych warunkach i przy mniejszej dysproporcji sił byłby na pewno zdziałał więcej, niż mu się udało. Sytuacja, prawda, że złożona, przerastała go, ale próbował sobie z nią radzić jak potrafił, byle tylko nie musieć prosić Mariusza o pomoc.

Zajęcie przełęczy alpejskich, będące teoretycznie świetnym pomysłem, w praktyce okazało się bardzo kłopotliwe i problematyczne. Oczywiście, zajęto je z łatwością, ale gdy przyszła zima, trudno było na nich wytrwać. Rzymianie byli ciepłolubni, to fakt. Szczycili się potem, że ani jeden z ich żołnierzy nie spociał się nawet w palącym słońcu letniego dnia pod

⁷ Kasjusz Dion Kokcejanus, *Historia rzymska*, XXV! 1.94, przeł. Wł. Madyda, Wrocław 2005, s. 124.

⁸ Plutarch, *Mariusz* 28, *op. cit.*, s. 5 13.

Vercellae, natomiast Cymbrowie topnieli tam w oczach. Ale byłoby ci sami Rzymianie równie odporni na mróz, jak na upał? Szybko się okazało, że w górach nie da się zimować całą armią. Ponadto, po rozdzieleniu jej na części, by obsadzić wszystkie drogi, okazało się, że ze względu na surową aurę nie da się przyjąć im w razie potrzeby z pomocą. Wreszcie, doniesienia wywiadu co do kierunku marszu głównej kolumny Cymbrów były tak sprzeczne, że Katulus nie był w stanie tego z całą pewnością określić. I dopiero ten powód wycofania się z przełęczy zapisano nam czarno na białym:

(...) Katulus mianowicie, który miał za zadanie stawić opór Cymbrom, zrezygnowawszy z obsadzenia przełęczy alpejskich załogami, by nie być zmuszonym do rozdrabniania swej armii na części, co by osłabiło główne jego siły, cofnął się niżej, w kierunku Italii, i osłonił się rzeką Natizo⁹.

Kronikarz zapomniał jedynie dodać, że zdecydowanie lepiej zimowało się w stacjonarnym obozie zimowym, położonym w klimacie mniej srogim, niż panujący na górskich przełęczach. W górach pozostawiono jedynie posterunki, by dały znać o nadchodzącym wrogu. Brzmi to dość niewinnie, ale takie posunięcie oznaczało ni mniej, ni więcej: Katulus oddał Cymbrom przełęcze bez walki. Byłoby wtedy o co się bić z góralami i zrażać ich do siebie, by stali się nie mającymi sobie równych przewodnikami śmiertelnie groźnego najeźdźcy?!

Nie wiemy dokładnie, jak silne były posterunki pozostawione na przełęczach, ale z pewnością były one za słabe, by powstrzymać Cymbrów, podobnie zresztą jak nie mogłaby temu podołać cała armia Katulusa. Owe czaty, oczywiście, nie podjęły walki, tylko pierzchyły czym prędzej do szczupłych sił głównych, gdy zobaczyły, jak efektownie forsują góry ich wrogowie. A było to tak:

(...) Barbarzyńcy zaś mieli tyle zuchwałości i lekceważenia dla swoich przeciwników, że -po prostu raczej dla popisania się swą siłą i odwagą niż z potrzeby celowego działania - nago szli w śnieżycy i tak poprzez lody i głębokie śniegi wychodzili na szczyty, podkładali pod siebie szerokie swe tarcze i spuszczać się na nich, zjeżdżali z góry w dół po przepaścistych ścianach stoków górskich, pełnych nierówności i obszernych, śliskich czeluści/...) "".

⁹ *Ibidem*, 23, s. 504.

¹⁰ *Ibidem*.

Co tu dziwić się Rzymianom - my też pozostajemy pod wrażeniem sposobu forsowania Alp przez Cymbrów!

Niedługo potem Germanie nadciągnęli nad bronioną rzekę i rozłożyli się tam obozem. Do wrażenia górskiego szaleństwa dodali tym samym wrażenie ogromu własnych sił. Przy najskromniejszych oszacowaniach byli co najmniej pięciokrotnie liczniejsi od Rzymian. Ci, nawet bez porad wróżbiarzy, wiedzieli, że rażąca dysproporcja sił nie wróży dobrze przyszłemu starciu.

Obrona rzeki Natizo

Katulus policzył najeźdźców i zrozumiał, że może zapomnieć o swoich ofensywnych planach, za to dużą nadzieję pokładał w działaniach obronnych. Przypuszczał zapewne, że mając tak ogromną przewagę, barbarzyńcy zechcą zaatakować jego starannie przygotowane umocnienia. A on pozycję obronną urządził w ten sposób, że główny obóz założył za rzeką, natomiast na nieprzyjacielskim brzegu wznosił fort warowny. Obydwa umocnienia połączył mostem. Nie obawiał się, że ataki wroga mogą zakończyć się powodzeniem. Po moście mógł dostarczać posiłki, ewakuować rannych, ewentualnie - w razie realnego zagrożenia - po prostu zabrać wysuniętą załogę za rzekę, a most spalić. Była to więc całkiem inna koncepcja bitwy obronnej, niż przyjęta przez Mariusza nad Rodanem. Podobieństwo było jedno - zarówno nad Natizo, jak i nad Rodanem Rzymianie założyli swoje obozy po stronie własnego kraju, zostawiając przeciwny brzeg nieprzyjacielowi.

Prokonsul Katulus z pewnością zadbał o należyte zaopatrzenie armii w żywność, odzież i broń, co nie dziwi, skoro jego kwestorem był Sulla, który w ubiegłym sezonie na tym właśnie polu działał tak zapobiegliwie, że nadwyżki żywności wysyłano do armii Mariusza (oczywiście, nie po to, by mu pomóc, lecz by dokuczyć). Dwa wzmocnione legiony z oddziałami posiłkowymi mogły zatem bardzo długo bronić się przed barbarzyńcami. I pewnie byłoby tak, gdyby na czele żołnierzy stał Gajusz Mariusz, a nie Lutacjusz Katulus. Pamiętamy, jak Mariusz nie pozwalał swoim żołnierzom na wyściubianie nosa poza obwałowanie obozu, jak stopniowo oswajał ich z widokiem nieprzyjaciół i jak długo zwlekał z podjęciem bitwy, wygrywając tę wojnę nerwów nie tylko z nieprzyjacielem, ale i z własnym wojskiem. Tymczasem Katulus nic podobnego nie robił, więc gdy nieprzyjaciel stanął „u bram”, jego wojsko ogarnął niemożliwy do opanowania strach. Przyjrzyjmy się jego podłożu, a okaże się, jak wiele miał on wspólnego z decyzjami dowództwa...

O ile Mariusz sam wyszedł na spotkanie przeciwnika i zajął pozycję, w której nie musiał cofać się pod jego naporem (bo nigdzie nie zapędzał się niepotrzebnie), to armia Katulusa zrobiła dwa poważne kroki wstecz, nie nawiązując kontaktu bojowego z Cymbriami. Pierwszym krokiem było wycofanie armii z Alp, mimo prowadzonych tam wcześniej walk z górskimi szczepami. Krok drugi zaś to był paniczny odwrót posterunków z przełęczy górskich, któremu towarzyszyły opowieści o szalonych jeźdźcach, zsuwających się po zboczach na tarczach. Już pierwszy manewr nie natchnął armii szczególnie bojowo. Teraz, gdy w ślad za roztrzęsionymi strażami przybyli Cymbrowie, wystraszeni plotkami żołnierze rzymscy ze zgrozą obserwowali poczynania przeciwnika. Być może dowództwo, aby podnieść armię na duchu, uspokajało ją, że barbarzyńcy nie potrafią forsować rzek, zwłaszcza wezbranych wiosennymi roztopami, gdyż obca jest im sztuka inżynierska. Jeśli w istocie takimi argumentami, a nie odwołaniem się do tradycyjnego męstwa Rzymian, prokonsul Katulus chciał podnieść ducha w swoich żołnierzach, popełnił poważny błąd. Gwarantem obrony uczynił bowiem nie dzielność żołnierzy, tylko wartki nurt rzeki, przeto wojacy podświadomie czuli, że nawet ich wódz bardziej ufa siłom natury, niż ludzkim.

Przyznać trzeba, że początkowe starania Cymbrów były nieporadne i dość komiczne, bo (...) *najpierw w jakiejś barbarzyńskiej głupocie starali się pokonać prąd rzeki własnymi ciałami*¹¹. Ale gdy zawiodły próby ustawienia samych siebie jako filarów mostu, a tarcz jako jego podłogi (którym Rzymianie pewnie gromadnie kibicowali z drugiego brzegu rzeki), Germanie jęli się innego sposobu i (...) *zbadawszy przejście przez rzekę, zaczęli w tym miejscu sypać ziemię. Rozkopywali okoliczne wzgórza niczym Giganci, znosili do wody drzewa razem z korzeniami, zwalali do niej całe bloki skal wyrwane ze ścian górskich i całe masy ziemi, wypierając w ten sposób przemocą prąd wody. Następnie na dolne belkowanie, na którym opierało się wiązanie mostu, puszczali wraz z prądem wody olbrzymie ilości materiału, które wstrząsały mostem przez silne weń uderzenia*¹².

A z drugiego brzegu Rzymianie patrzyli teraz już ze zgrozą, jak szybko rośnie przyczółek mostowy, a następnie prymitywne, ale dość wytrzymałe filary.

¹¹ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, op. cit.

¹² Plutarch, *Mariusz* 23, op. cit., s. 505.

Nadeszła godzina prawdy dla kondycji psychicznej armii rzymskiej. Oto żołnierze, którzy liczyli na to, że nie będą musieli walczyć - co przecież niemal im obiecano - zobaczyli na własne oczy coś, co potwierdzało wszystkie, nawet najbardziej nieprawdopodobne wieści na temat Cymbrów. Barbarzyńcy naprawdę byli wysocy, silni i wytrzymali na zimno (bez oporów włązili po szyję do bardzo zimnej wody!), w dodatku kłębili się ogromnym mrowiem. Pobudzona wyobraźnia zrobiła swoje. Takiej hordzie ogrów nie czuli się na siłach sprostać w boju skromni przecież posturą żołnierze rzymscy. Przykro to stwierdzić, ale gdy okazało się, że Cymbrowie jednak potrafią zbudować most, Rzymianie nie podjęli nawet próby obrony brzegu Natizo; zachowywali się tak, jakby przeciwnik już przeszedł przez rzekę i bezpośrednio im zagrażał. Mało tego - zwątpili nawet w skuteczność obrony wzniesionego ich własnymi rękami obozu! Na stan, w jakim znalazła się armia prokonsula Kwintusa Lutacjusza Katulusa, nie ma właściwszego określenia jak PANIKA. (...) *To wszystko tak przerażyło wielkość armii rzymskiej, że żołnierze sami zaczęli opuszczać główny obóz i chcieli się cofać*".

Prokonsul był całkowicie bezradny w obliczu tej zbiorowej histerii. W jednej chwili annia, która jeszcze nie doświadczyła, a jedynie zobaczyła zagrożenie, niemal w komplecie postanowiła zrejterować. Tym samym wszystkie plany Katulusa wzięły w łeb. Ale oto w tej bez nadziejnej, zdałoby się, sytuacji wódz wpadł na bardzo oryginalny pomysł, który być może powstrzymał wojsko przed rozproszeniem, a w efekcie ocalił przed pogromem:

(...) Bo gdy nie zdołał nakłonić wojsk do pozostania na miejscu, lecz widział, jak się w popłochu pakują, wydal rozkaz podniesienia chorągwi wojskowych, popędził biegiem na czoło uchodzących i zaczął dowodzić całym tym odwrotem, chcąc hańbę ściągnąć raczej na siebie jednego niż na całą ojczyznę, i pozorując w ten sposób, jakoby to wycofywanie się nastąpiło na skutek jego rozkazu, a nie chęci ucieczki żołnierzy (...)¹⁴.

Zaafierowany całym tym zamieszaniem, zapomniał jednak dać sygnał do odwrotu załodze szańców na drugim, barbarzyńskim brzegu Natizo.

Cymbrowie nie dowierzali własnym oczom, ale skoro zobaczyli, co się dzieje, pozwolili Rzymianom uciec, a potem szybko sforsowali rzekę, zajęli pusty obóz, nie omieszkawszy po drodze przypuścić szturm na

¹⁵ *Ibidem.*

¹⁴ *Ibidem.*

tragicznie osamotniony rzymski przyczółek, którego załoga nie zdażyła się ewakuować resztą armii. O tym, że Katulusowy plan obrony Natizo nie był zły, świadczy fakt, że Germanom wcale nie poszło łatwo w walce z jedną, beznadziejnie opuszczoną kohortą. Oczywiście, zdobyli fort, bo nie mogło być inaczej przy przewadze, jaką mieli, ale że waleczność obrońców wzbudziła ich szacunek (...) *dla wyrażenia podziwu i uznania wobec broniącej się bardzo dzielnie załogi rzymskiej, odpierającej niebezpieczeństwo w sposób godny swej ojczyzny, zawarli z nią zawieszenie broni i przysięgą na srebrnego wołu zapewnili jej wolny odwrót*¹⁵.

Kto wie, czy nie był to gest w pewnym sensie pojednawczy... Może Cymbrowie chcieli przez to pokazać, że czas zakończyć wojnę i pozostać na uzyskanych pozycjach? Nie ścigali przecież Katulusa i nie dążyli do zniszczenia jego armii; wystarczyło im, że otworzył przed nimi Galię Przedalpejską. To, oczywiście, tylko domysł, faktem jest natomiast, że armia rzymska nie ustała w ucieczce, póki nie pokonała krętego Padu, rzeki bez porównania szerszej i głębszej od Natizo; niektórzy uczeni sądzą że Rzymianie oparli się na jakiejś wcześniejszej rzece, ale jakież byłoby to „opór”, skoro gdy tylko nadciągnęli Germanie, wojsko rzymskie cofnęło się za Pad? Dopiero tam poczuło się bezpieczne. (...) *Nieprzyjaciel zalał tymczasem kraj pozbawiony pomocy i doszczętnie go zaczął pustoszyć*¹⁶.

Reakcja Rzymu na porażkę

Nie wiemy, jak zareagował prokonsul Katulus, gdy wreszcie odzyskał kontrolę nad armią. Według wszelkich rzymskich regulaminów, odwrót bez rozkazu w obliczu nieprzyjaciela kwalifikował się do kary głównej. Zwykle w takiej sytuacji, by nie zabijać wszystkich, dziesiątkowano tchórzliwe oddziały. Ale tu wydano rozkaz odwrotu... Poza tym kto byłoby w stanie wyegzekwować wyrok decymacji na 20-tysięcznej armii...? Na razie, żadnej innej armii w pobliżu nic było. Wreszcie, stracenie 2000 żołnierzy byłoby krokiem doprawdy nierozsądnym, żeby nie powiedzieć: samobójczym; i tak brakowało ich do wykonywania bieżących zadań. Można zdziesiątkować manipuły, kohortę czy dwie, ale nie całe dwa duże legiony i ich wojska posiłkowe!

Hańba armii Katulusa podzielała na senat jak zimny prysznic. Senatorowie się ocknęli. Zrozumieli, że nie można liczyć na zwycięstwo patrycjuszowskiego wodza, jeśli da mu się tak małą armię. W obliczu

¹⁵ *Ibidem.*

¹⁶ *Ibidem.*

tego dramatu musieli umilknąć przeciwnicy konsula Mariusza: nie mieli nic innego w rezerwie. Uradowani wieścią o zwycięstwie Mariusza nad Teutonami, sprawę najazdu germańskiego nazbyt pochopnie uznali za załatwioną. Senat założył, że Katulus będzie w stanie samodzielnie pozbyć się Cymbrów albo że oni, porażeni wieścią o klęsce swoich braci Teutonów, nigdy nie nadejdą, toteż współurzędującego w roku 101 konsula Maniusza Akwiliusza wysłano lekkomyślnie na Sycylię, gdzie całkiem pomyślnie walczył z powstaniem niewolniczym. Nie można było go, ot tak, odwołać, gdyż odniósł już pewne sukcesy i uwikłał się w żmudne działania wojenne. W tej sytuacji nawet najtwardszym konserwatystom nie pozostało nic innego, jak uznać, że tylko ekwita Gajusz Mariusz, ten „przypadkowy” zwycięzca Teutonów, może coś poradzić w tak przykrym położeniu ojczyzny. Odwołano więc konsula Mariusza z prowincji do Rzymu.

Jako że już wcześniej przyznano Mariuszowi prawo do triumfu, sądzono, iż skorzysta z tego przywileju i triumfalnie wkroczy do stolicy. Być może - kalkulowali ojcowie miasta - widowisko to podziała uspokajająco na rozwścieczony proletariats widzący oczyma wyobraźni Cymbrów (a z nimi głód) u bram Rzymu. Ale Mariusz odłożył widowisko na później. Jak wynika z poniższego przekazu, starożytni nie potrafili lub nie chcieli zrozumieć tej decyzji:

(...) I kiedy się zjawił pod miastem, wszyscy byli przekonani, że od będzie triumf, co też senat z całą gotowością uchwalił. Ale on wtedy odmówił. Nie chciał bowiem żołnierzy swoich i innych wojsk współwalczących pozbawiać tego zaszczytu, albo też może pragnął w danej chwili podnieść naród na duchu tym, że do szczęścia państwa i do sławy pierwszych zwycięstw doda drugie, jeszcze świetniejsze¹⁷.

Ileż w tych okrągłych, a niewiele mówiących zdaniach dezinformacji! Jakaż dbałość o wymazanie zasadniczych przyczyn postępowania Mariusza! On przecież po prostu pokazał senatowi, jak powinien w trudnej sytuacji zachować się prawdziwy mąż stanu. Kilka lat wcześniej też dokonał demonstracji - odbył triumf nad Jugurtą i w szatach triumfalnych, czyli w purpurowej todze haftowanej liśćmi palmowymi - stroju dawnych królów rzymskich, wszedł do sali posiedzeń senatu! Trzystu ojców zawrzało wtedy nieprawdopodobnym

¹⁷ Plutarch, *Mariusz* 24, *op. cit.*, s. 506.

oburzeniem: jakby Mariusz tym strojem uzurpował sobie prawo do tronu królewskiego! Czy teraz, w kontekście tamtej sytuacji, można było dosadniej przypomnieć, jak poważny jest stan państwa, niż rezygnując z widowiska, które z założenia było wyrazem radości, dumy, chwały, satysfakcji, zadowolenia i uznania? Wszak na razie nie było z czego się cieszyć. Postępek Mariusza jeszcze bardziej uwiarygodnił go w oczach tłumu. Konsul zbierał punkty, a senat je tracił, tym bardziej że wódz natychmiast wziął się za sprawy, dla których go tam wezwano. (...) *Omówił więc na razie tylko to, czego wymagała chwila - podkreśla z uznaniem kronikarz - i zaraz pośpieszył do Katulusa, przez co dodał mu otuchy, tym bardziej że wezwał też do siebie swą armię z Galii*¹⁸.

Zapewne dodanie „otuchy” Katulusowi wyglądało mniej delikatnie, niż to sugeruje Plutarch. Mariusz z miejsca podporządkował sobie niefortunnego wodza i jego armię, nie pozostawiając im żadnych złudzeń, kto, począwszy od teraz, będzie zarządzał wojną. Teraz zgodził się na to zarówno Katulus, jak i cały jego sztab, ale później, już po wszystkim, Katulus miał za złe Mariuszowi, że ten nie traktował go po partnersku i (...) *skarżył się bardzo na niezyczliwość Mariusza względem niego*¹⁹. A w swoich pamiętnikach posunął się nawet do tego, że sobie przypisał większe od Mariuszowych zasługi na polu bitwy! Ale tak było dopiero kilka lat później, gdy obaj wodzowie starli się na polu walki politycznej. Na razie nie było nikogo, kto próbowałby sprzeciwić się nowemu dowódcy. Gdy do Galii dotarła zwycięska armia Mariusza, konsul natychmiast podjął akcję ofensywną wobec Cymbrów.

Poczynania Cymbrów w Italii

Nie napotykając przeszkód ze strony Rzymian, po przekroczeniu Natizo Cymbrowie zajęli znaczną część Galii Przedalpejskiej. Zaczęli od wschodu, gdzie ich łupem padło bogate miasto Wenecja. Urządzili tam sobie niekończące się ucztowanie i pijatykę, co krótko podsumował jeden z kronikarzy:

(...) Lecz w Wenecji, która jest chyba najprzyjemniejszą okolicą Italii, sama żyzność ziemi i łagodność klimatu osłabiła ich męstwo. Ponadto ścieli od jedzenia chleba, gotowanego mięsa i picia rozkosznego wina -

¹⁸ *Ibidem*.

¹⁹ *Ibidem*, 25, s. 508.

²⁰ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, *op. cit.*, s. 106.

Rozkoszne wakacje w Wenecji nie trwały jednak długo. Przekonawszy się o zasobności okolic, całe plemię rozpoczęło wkrótce niespieszną wędrówkę na zachód, pod prąd Padu. Tamtejsi Galowie, na skutek bardzo jednoznacznego manewru armii Katulusa zdani na samych siebie, zapewne stawiali im opór, bo już po klęsce Cymbrów miejscowe ziemie stały się przedmiotem spekulacji Rzymian jako łup wojenny, co oznaczało, że dotychczasowi właściciele ulegli eksterminacji. Oczywiście, nie wszystkich zdołali dopaść Germanie; również Rzymian można podejrzewać o brak skrupułów wobec uchodźców wojennych, jednak skala zniszczeń miejscowej ludności musiała być duża. Niestety, nie znamy przebiegu walk i nie wiemy, jak duże straty spowodowali Germanie i jakie sami ponieśli. Jedno jest pewne: wdając się w walkę z Galami, dali Rzymianom czas na zebranie wojsk i przejęcie inicjatywy.

Prawdę mówiąc, Cymbrowie nie przejawiali inicjatywy ani w ogóle aktywności innej niż łupieżcza. Już samo wypuszczenie z rąk tak tchórzliwej armii, jak Katulusowa, nie wystawia dobrego świadectwa germańskiemu dowództwu. Zresztą niewiele było działań w sensie militarnym i politycznym, za które dowództwu Cymbrów czy Teutonów można by wystawić dobre świadectwo. Teraz doszła dodatkowa trudność, bo zaciskająca pasa przez zimę ludność germańska, która przezimowała w kraju Helwetów, gdzie nie było ani bogato, ani tłusto, chciała wreszcie sobie pojeść i ani myślała o ponoszeniu trudów.

Cokolwiek by mówić, Cymbrów ogarnęła euforia. Ich niezbyt skomplikowany plan powiódł się przecież całkowicie - przeszli Alpy bez strat (w każdym razie strat spowodowanych przez Rzymian, bo wygłupy na tarczach trudno tu brać pod uwagę), następnie łatwo zajęli wymarzony kraj z mocnym postanowieniem osiedlenia się, czyli objedzenia go z zapasów. Ale to, co pospólstwo napełniało radością i skłaniało do niekończącego się obżarstwa, kręgi kierownicze zaczęło napawać lekkim zrazu niepokojem, a potem rosnącą troską. Mieli poczucie, że zbyt łatwo im to wszystko poszło. Rzymianie coś knuli, tylko co...? Poza tym nurtowała ich coraz mocniej zagadkowa sprawa Teutonów. Od dłuższego czasu nie mieli z nimi żadnego kontaktu. Wprawdzie dowiedzieli się o klęsce bratniego plemienia, gdyż dotarli do nich jacyś jej świadkowie, ale (...) *dotkliwie potraktowali tych, co tą wiadomość o klęsce do nich przynieśli* (czyżby znów Bojoryks użył miecza, by dać ujście swoim gwałtownym emocjom?). Była to swoista próba zaczarowania rzeczywistości, być może podyktowana chęcią zatajenia przed ludem wieści o klęsce. Bo gdyby zabrakło Teutonów, to nagle, w jednej chwili, Cymbrowie staliby się ludem całkowicie samotnym. Zresztą nikt z nich chyba nie dowierzał,

że klęska Teutonów mogła być tak totalna! W końcu, rozsądnie myśląc, ludne i waleczne plemię, dotychczas niezmożone w swoich działaniach, nie mogło ni stąd, ni zowąd ulec całkowitej katastrofie! I kto by miał to uczynić? Rzymianie, którzy pierzchali jak zające przed walecznymi Cymbriami? Musiała uratować się od śmierci lub niewoli znaczna część Teutonów... I tej części Cymbrowie, gdy tylko ochłonęli po wielodniowym opilstwie i obżarstwie, zaczęli szukać, nie przyznając się nawet przed sobą, że tylko jakiejś części szukają. Oni szukali po prostu Teutonów.

Według przyjętych w 102 roku planów, Teutoni mieli wejść do Italii od zachodu i w tę stronę mszyli Cymbrowie. Chyba nie maszerowali zbyt ochoczo, bo wędrowcy zdążyli się już rozsmakować w zdobyczej ziemi i jej płodach. Mieli tu wszystkiego pod dostatkiem: wina, zboża, owoców, bydła, niewolnic... Z pewnością rozleniwili się, ale chyba nie aż tak, by stracić wszelkie walory bojowe. Oddajmy jednak głos jednemu z kronikarzy, który wyraził dość powszechną w owym czasie opinię o barbarzyńcach, którzy początkowo zwyciężali Rzymian, zawsze jednak kończyli podobnie:

(...) Cymbrowie, skoro raz się zatrzymali, stracili wiele animuszu i z tego powodu stępieli i zgnuśniali na duchu i ciele. Przyczyną było to, że zamiast żyć jak poprzednio pod gołym niebem, mieszkali w domach, zamiast zanurzania się w zimnej wodzie, korzystali z ciepłej kąpeli; poprzednio jedli surowe mięso, teraz opychali się łakociami i tamtejszymi przysmakami. Wbrew swemu zwyczajowi pławili się w winie i mocnych napojach. Ten tryb życia zniszczył doszczętnie ich dumnego ducha, nadwąttił ciało, tak iż nie znosili trudów, znojów, upału, zimna i bezsenności¹.

Dla porządku dodać należy, że to samo miało dotknąć wojsko Hannibala po Kannach, zimujące w Kapui, a wcześniej i później kilka razy Gallów. Teraz padło na germańskich barbarzyńców.

Cymbrowie, ciągnący powoli ze wschodu na zachód wśród nieustannych pożóg, zniszczeń i gwałtów, nic znaleźli Teutonów. Trafili za to na wysunięte straże przednie armii rzymskiej. I tak sprawy dojrzały do ostatecznych rozstrzygnięć.

Gdy obydwie armie rzymskie wreszcie się połączyły, Cymbrowie zdążyli już przejść niemal całą Galie Przedalpejską, docierając w pobliże przełęczy alpejskich w dzisiejszym Piemoncie. Ponieważ szli wzdłuż

Padu, Rzymianom mogło się wydawać, że jeśli nie upilnują rzeki, barbarzyńcy przekroczą ją i pójdą na Rzym (ileż ludów tego wówczas pragnęło, ale bogowie ich nie wysłuchali!). Dodać tu należy, że po drodze najeźdźcy sfinansowali kilkanaście lewobrzeżnych dopływów Padu, w tym kilka naprawdę dużych rzek, takich jak - patrząc od wschodu, bo stamtąd przyszli: Adiga, Mincio, Oglio, Adda oraz Ticinus, rzekę znaną z pierwszej porażki Rzymian w wojnie z Hannibalem. Nikt im w tym nie przeszkadzał.

Teraz jednak Mariusz miał nareszcie obydwie armie pod swoim dowództwem i mógł coś poradzić na najeźdźców. Czas ku temu był najwyższy, bowiem barbarzyńcy zbliżali się do złotonośnych terenów w okolicy Vercellae. Tereny te były przedmiotem szczególnej troski Rzymu; dbano, by nie wyeksploatować ich zbyt szybko. Półtora wieku później Pliniusz mówił tak: (...) *Istnieje ustawa cenzorska co do kopalni złota w Wiktumulach, na terytorium Wercellów, zakazująca dzierżawcom zatrudniania większej liczby robotników nad pięć tysięcy*²².

Wprawdzie Germanie nie potrafili prowadzić prac górniczych ani wypłukiwać kruszcu, ale chętnie i całkiem sprawnie rabowali, a niszczenie było ich żywiołem. Można sobie wyobrazić, jak do chóru właścicieli ziemskich, naciskających Katulusa i Mariusza w sprawie powstrzymania pochodu Cymbrów, dołączyli swój głos przedsiębiorcy ze złotego interesu. Kopalnia to przecież nie tylko dziura w ziemi, ale również rozbudowana infrastruktura - systemy płukania i odwadniania, działy obróbki drewna, transportu materiałów i wreszcie, na koniec, żywe narzędzia produkcyjne, czyli pięć tysięcy niewolników i pracowników najemnych. Przejście przez ten rejon Cymbrów oznaczało dla dzierżawców kopalń totalne zniszczenie i start od samego początku, z koniecznością zainwestowania bardzo poważnych sum pieniędzy. Jako ludzie „robiący” w złocie, doskonale potrafili liczyć i wyszło im, że taniej będzie przekonać konsula i prokonsula, by zatrzymali barbarzyńców. Nie wiadomo, czy to zdecydował dar przekonywania, a mieli go niewątpliwie, czy też inne względy; dość powiedzieć, że wodzowie, a ściślej rzecz biorąc, Mariusz, zgodził się zadośćuczynić ich prośbom. I tak rajd cymbryjski po Italii niemalże osiągnął metę.

²² Pliniusz, *Historia naturalna* IX 3, przeł. I. i K. Zawadzcy, Wrocław 2004, tom II, s. 274.

Odprawa posłów cymbryjskich

Kierownictwo Cymbrów niebyło zachwycone całą tą sytuacją, głównie ze względu na fakt, iż dotychczas nie natrafiono nawet na ślad Teutonów. To mogło świadczyć o tym, że... naprawdę ich nie ma. Poza tym coraz silniej dochodziła do głosu niechęć ludu do dalszego maszerowania i walki. Do ostatniego etapu, do którego wystartowali w okolicach Wenecji, ludzie dali się namówić raz jeszcze przekonani o konieczności szukania Teutonów. Teraz jednak, gdy nadciągnęli Rzymianie, Cymbrowie kategorycznie zażądali od swoich królów zawarcia pokoju. Przymuszony okolicznościami król Bojoryks wysłał do Rzymian poselstwo. Treść posłania sformułowano w ten sposób, by chytrze dowiedzieć się jednocześnie - ale tak, aby Rzymianie nie zorientowali się, w czym rzecz - co się dzieje z Teutonami. Wyszło to jednak nie najlepiej, a nawet śmiesznie:

(...) do Mariusza wyprawili poselstwo, żądając dla siebie i dla bratniego narodu ziemi i miast w dostatecznej ilości, by się w nich mogli osiedlić. Mariusz zaś zapytał wtedy tych posłów, kto to ma być tym bratnim narodem. A gdy oni wymienili Teutonów, obecni parsknęli śmiechem. Mariusz zaś rzekł z szyderstwem: „Zostawcie braci waszych w spokoju! Oni już mają swą ziemię i będą w niej mieszkać na wieki! Otrzymali ją właśnie od nas”²³.

Na takie *dictum* posłów cymbryjskich zalała krew. Okazało się, że nie mają żadnych atutów, którymi mogliby zaszachować Rzymian. Przyjechali, by wspianałomyślnie zaoferować gospodarzom pokój, a tu spotykały ich same afronty! Rzymianie zwyczajnie nie mieli zamiaru z nimi pertraktować. Urażeni drwiną pobrzmiwającą w tym butnym oświadczeniu, posłowie posunęli się do gróźb i (...) *przemówili do Mariusza obelżywym tonem, grożąc mu zemstą, która od Cymbrów spadnie na niego zaraz, a od Teutonów, gdy tylko nadejdą. A Mariusz na to: „Oni są przecież już tutaj. I byłoby nieładnie z waszej strony, gdybyście chcieli odchodzić, nie przywitawszy się wpiery z waszymi braćmi”. To rzekłszy, kazał przyprowadzić królów teutońskich w kajdanach²⁴.*

By się nie wdawać w dalsze szczegóły, wystarczy powiedzieć, że poselstwo cymbryjskiej delegacji zakończyło się fiaskiem. Zyskali jedno: pewność, że nie ma już wolnych Teutonów, a i tych zniewolonych nie za wielu się ostało. I nie ma po co ich szukać. Teraz trzeba walczyć o życie.

²³ Plutarch, *Mariusz*, 24, *op. cit.*, s. 506.

²⁴ *Ibidem*, s. 506-507.

Choć można było się spodziewać, że Mariusz ruszy naprzód, by w pełni wykorzystać konsternację przeciwnika, nic takiego nie nastąpiło. Mariusz został na miejscu, nad Padem, i cierpliwie czekał, aż Cymbrowie nadciągną bliżej. Jeśli go wtedy błagano o bardziej zdecydowane czyny, to on na te błaganie pozostawał głuchy. Miał własny plan. Nie zamierzał porzucać mocnej pozycji ani zapędzać się na gotowego do walki przeciwnika i dopiero w obliczu niepewnej co do wyniku bitwy sypać szańce obozowe. Być może czekał na jakieś spóźnione oddziały, bez których nie chciał wszczynać walki...

Jednak niedługo potem Mariusz zmienił postanowienie. Otóż wkrótce nieopodal stanowisk rzymskich rozłożyli się obozem Germanie. I rozegrała się scena niczym z tragedii antycznej, po której Mariusz nabrał pewności, że przeciwnik nie będzie straszny jego wojsku:

(...) pod obóz rzymski podjechał na koniu, w otoczeniu kilku ludzi, król Cymbrów, Bojoryks, i wezwał Mariusza do wyznaczenia dnia i miejsca, gdzie ma wystąpić do rozprawy o panowanie nad tym krajem. Mariusz na to odpowiedział, że Rzymianie nigdy nie korzystali z rad nieprzyjaciela, dotyczących walki, ale tym razem zrobią tę przyjemność Cymbrom. Ustanowiono więc jako termin tej rozprawy dzień trzeci, licząc od dnia bieżącego, a miejsce - na równinie koło miejscowości Yercellae. Dla Rzymian było ono dogodnie ze względu na konieczność ruchów konnicy, druga strona natomiast mogła rozwinąć swobodnie wielkie masy swych wojsk²⁵.

To ostatnie zdanie, w kontekście danych, jakimi dysponujemy, brzmiące wprost paradoksalnie, wymaga szerszego komentarza, w którym musimy poruszyć kwestię rodzaju, liczby i jakości wojsk obu stron.

Siły Rzymian i Germanów pod Vercellae

Pola Raudyjskie miały pasować obu stronom: Rzymianom ze względu na ruchy konnicy, natomiast Germanom ze względu na ich „masy wojsk”. Tymczasem dalszy opis bitwy u Plutarcha wskazuje, że Rzymianie walczyli głównie piechotą legionową, nie zaś jazdą, za to Cymbrowie, prócz „morza” wojsk pieszych, mieli kilkanaście tysięcy jeźdźców. Komu więc naprawdę pasowała równina pod Vercellae?

Wspomniano tu już o czterolegionowej armii Mariusza. Z kolei Plutarch przedstawia dane liczbowe, które ze względu na ich szczegółowość

²⁵ *Ibidem*, 25, s. 507-508.

wydają się wiarygodne: (...) *Katulus miał dwadzieścia tysięcy trzystu żołnierzy; Mariusza zaś armia liczyła trzydzieści dwa tysiące ludzi*²¹. Z tego wniosek, że armia Mariusza miała trzy, nie cztery legiony, a Katulusa tylko dwa. Mimo to można uznać, że było to sześć, a nie pięć rzymskich jednostek legionowych. Cztery legiony Mariusza powinny mieć, wraz z posiłkowymi skrzydłami wojsk italskich, około czterdziestu tysięcy ludzi. Zatem brakuje kilka tysięcy. Skąd ta różnica?

Prawdopodobnie Mariusz nie uzupełniał stanów osobowych swojej armii po walkach z Teutonami, a straty - w rannych i zabitych - musiały być znaczące. Pośrednio wskazuje na to pomysł Mariusza dotyczący modyfikacji oszczepów. Okazało się, że po niej nieprzyjaciele mieli spory problem z użyciem zdobycznych rzymskich pocisków. Mariusz, po bolesnych doświadczeniach ze swojej poprzedniej wielkiej bitwy, teraz chciał uniknąć takiej sytuacji i wymyślił niezawodne rozwiązanie zapobiegawcze. Czy jednak rzeczywiście się ono sprawdziło? Czy nie osłabiło siły penetracji podstawowej broni ofensywnej legionistów? Popatrzmy, jak widział to wielokrotnie już tu przywoływany Plutarch:

*(...) Dotychczas bowiem drzewce oszczepów, wsadzane do żelaznego grotu, było przymocowywane do niego dwoma żelaznymi gwoździami. Wtedy zaś Mariusz jeden z tych gwoździ zostawił tak, jak był, natomiast drugi góźdź kazał z oszczepów powyjmować i w miejsce jego wbić drewniany łamliwy kołek. A zrobił to w tym celu, by oszczep, wbiwszy się w tarczę nieprzyjaciela, nie tkwił w niej prosto i sztywnie, lecz żeby góźdź drewniany się złamał i spowodował w nasadzie żelaza zgięcie. Skutek był taki, że oszczep nie dał się z tarczy wytrząść z powodu tego skrzywienia w grocie i trzeba go było ze sobą wlec*²¹.

Oczywiście, pomysł ten mógł przyjść Mariuszowi do głowy niezależnie od wcześniej poniesionych strat, ale dlaczego akurat przed bitwą z Cymbrami? Ano dlatego, że znowu zamierzano stoczyć ją głównie za pomocą oszczepów.

Prócz strat bitewnych i spowodowanych obłożnymi chorobami, jeszcze jeden czynnik osłabił armię Mariusza. Kogoś musiał zostawić na straży Galii, gdzie mimo rzymskiego zwycięstwa - a może właśnie z jego powodu, trwało duże zamieszanie związane z utrwalaniem struktur władzy i powściągnięciem rozbójnictwa. Słaba władza to silni bandyci, więc jeśli Rzymianie chcieli nadal panować na Galią Zaalpejską, musieli tam

²⁰ *Ibidem*, s. 508.

²¹ *Ibidem*, s. 507.

pozostawić jakieś, choćby symboliczne, rzymskie oddziały. Ten symbol przy tak rozległym kraju oznaczał co najmniej kilka kohort. Łącznie ubytki w armii Mariusza, spowodowane stratami w bitwach, chorobami i koniecznością zostawienia garnizonu w prowincji, śmiało mogły sięgnąć 8000 ludzi. W ten sposób każdy z czterech jego legionów, łącznie z wojskiem posiłkowym liczyłoby 8000, zamiast 10 000 ludzi.

Ponadto wskazówkę, wprawdzie bardzo pośrednią, o czterolegionowej armii Mariusza zawiera dalszy przekaz Plutarcha o siłach obu wodzów, z którego wynika, że armia Mariusza wzięła (...) *wojsko Katulusa w środek, rozdzielwszy się na oba skrzydła*²⁸. Czy przed decydującą bitwą Mariusz dzieliłby na pół jeden z legionów? Czy chcąc prowadzić bitwę skrzydłami, co odnotowali starożytni, skupiłby na jednej flance dwa legiony, a na drugiej jeden? Czy niesymetrycznie rozdzieliby skrzydła wojsk posiłkowych, integralnie związane z legionami? Pytania możemy mnożyć i choć odpowiedzi na nie mogłyby być twierdzące, ale chyba każdy przyzna, że łatwiej jest dzielić na pół liczby parzyste, nie mówiąc już o tym, że w obliczu trudnych do przewidzenia poczynań przeciwników poręczniej było mieć szyk zrównoważony.

Oprócz liczby legionów Mariusza mamy do rozwiązania jeszcze jedną zagadkę. Chodzi o ów płaski teren, dogodny dla Rzymian, bo pozwalający na swobodny ruch ich konnicy. Zastanawiające, że zarówno opis przygotowań do bitwy, jak i relacje z właściwych działań wojennych sugerują, jakoby Rzymianie rozegrali ją przy pomocy samej tylko piechoty. Jeśli tak, to owa płaska dogodność byłaby dla nich wielce problematyczna, gdyż taki teren, i owszem, sprzyjałby jeździe, ale nie własnej, tylko przeciwnika, której stanęło tam ponoć aż 15 000! Czyżby dowództwo rzymskie było zadowolone, że jego legionom przyjdzie walczyć z masami cymbryjskiej piechoty, w pierścieniu wrogiej jazdy, bez możliwości odwrotu?! Piechota legionowa była świetna, to prawda, ale i kilka razy wcześniej, i parę razy potem zdarzało się jej przegrywać bitwy z powodu przewagi przeciwnika w jeździe... Jeśli więc ten płaski teren bitwy miał być dogodny dla Rzymian, to musieli mieć ku temu istotny powód. A powodem tym byłoby na przykład posiadanie licznej jazdy. Czemu więc nic o tym nie wiemy?

Prawdopodobne przyczyny braku przekazów w tej sprawie omówiono już powyżej, przy opisywaniu sojuszników i sprzymierzeńców Rzymian, o których wiemy bardzo niewiele. Ci, którzy zapisali relacje z wojny i z tej bitwy, chcieli przy tej sposobności załatwić swoje osobiste inte-

²⁸ *Ibidem*, s. 508.

resy. I tak prokonsul Katulus chciał usprawiedliwić kompromitację armii pod Natizo, Sulla natomiast pisał z zamiarem poniżenia Mariusza. Inni, których nie znamy, pewnie sławili własną dzielność. Sulla, z którego Plutarch zaczerpnął informację o liczebności i ustawieniu rzymskich wojsk, dał zapis tylko o piechocie rzymskiej i latiońskiej, tworzącej szereg legionowy, zupełnie pomijając inne oddziały. Mając na względzie to, co uczynił dwadzieścia lat później z plemieniem Samnitów i z klasą ekwitów, możemy być pewni, że jednych i drugich najchętniej w ogóle wyeliminowałby z życia, a co dopiero z kart historii. W kontekście rywalizacji między legionami Mariusza i Katulusa o to, kto bardziej przyczynił się do zwycięstwa, brak informacji o wojskach niemających, w ich mniemaniu, dla rozstrzygnięcia tej rywalizacji znaczenia (choć wpływających na przebieg bitwy), jest w pełni zrozumiałe.

Ile i jakiej jazdy mogło być wówczas przy legionach? Jeśli wziąć pod uwagę same tylko regulaminy, to sześć legionów daje nam co najmniej 720 jeźdźców rzymskich oraz około 3000 latiońskich. Łącznie 3720 jeźdźców. Nie można jednak zapominać, że ojczyzna była zagrożona. Mariusz mógł zaapelować do ekwitów, by ścigali do jego obozu. Kto jak kto, ale ten wódz miał posłuch u swoich. Oprócz tego nie zaniedbał chyba ściągnięcia celtyckiej jazdy zza Alp. Przecież to brak licznej jazdy zdecydował o tym, że ścigano Teutonów siłami wielu ludów galijskich aż po Ren, zamiast dopaść ich wszystkich w granicach prowincji. Być może Mariusz pozyskał posiłki Sekwanów (łowców królów teutońskich, pokazanych potem posłom cymbryjskim) i Eduów; możliwe, że wspomogli go nawet Arwemowie, pamiętający przecież, czym żywili się w *oppidach*, gdy „gościli” Cymbrów na swojej ziemi. Wobec Allobrogów, jako mieszkańców prowincji rzymskiej, konsul mógł użyć zwykłego rozkazu, by mimo spustoszeń wojennych wystawili solidny oddział jazdy. To już daje kilka tysięcy dodatkowych jeźdźców, a i tak nie wyczerpuje listy wszystkich możliwości. Przecież inne prowincje rzymskie i klienci Imperium, po pierwszym szoku po klęsce pod Arausio, mogli wysłać żądane przez Rzymian posiłki, choćby z obawy przed rewanżem ze strony nadzwyczaj mściwych, jak uczyła historia, okupantów. Nie byłoby dziwne, gdyby na Polach Raudyjskich walczyli w szeregach rzymskiej jazdy Celtyberowie, Numidowie i Syryjczycy oraz scytyjscy najemnicy. Warto też wspomnieć o siłach miejscowych Galów, tych z Galii Przedalpejskiej, którym właśnie najeźdźcy zajęli ziemię. Trudno określić, ilu ich było, ale można zaryzykować stwierdzenie, że w odbiciu ziem z rąk cymbryjskich chyba wszyscy chcieli wziąć udział.

Biorąc pod uwagę przekaz Plutarcha i możliwości Imperium, można założyć, że zgromadzenie pod Vercellae kilkunastu tysięcy jeźdźców nie stanowiło dla Rzymian większego problemu. Dlatego przyjmijmy, że teren był dla nich dogodny. A to zapowiadało bitwę manewrową.

Okolice Vercellae były - i są nadal - jak okiem sięgnąć całkowicie płaskie. Sprawia to aż dziwne wrażenie w kraju, w którym co krok wyrastają góry. Monotonie równin wokół dzisiejszego Vercelli przerywają nieliczne zabudowania wielkoobszarowych gospodarstw, kępy drzew i element niewystępujący w czasach Cymbrów - rowy systemów irygacyjnych. Cały obszar równiny jest pocięty rowami i kanałami, służącymi nie tylko do odwadniania, jak to się dzieje u nas, ale i do nawadniania pól. Ziemia jest tu bardzo żyzna. Ze znanych w starożytności roślin uprawia się na niej głównie pszenicę i jęczmień, a z nieznanych wtedy - kukurydzę. Z rowów melioracyjnych co rusz podrywa się czapla siwa; nie brakuje też ptaków drapieżnych charakterystycznych dla otwartych przestrzeni stepowych - myszołowów i błotniaków.

W starożytności tereny te łatwo wypalało słońce, ale gdy przyszły opady, woda musiała długo utrzymywać się na tych rozległych, równych jak stół płaszczyznach.

Przez Vercelli przepływa rzeka Sessia. Z zachowanych opisów nie wynika, by odegrała ona jakąś rolę w bitwie. Jej nurt jest powolny, lekko meandrujący, a mimo szerokości ok. 50-100 m, łatwo ją przejść w prawie każdym miejscu ze względu na niedużą głębokość i bardzo łagodne brzegi. Ale nie zawsze Sessia jest taka łatwa do sforsowania. Na wczesne lato przypada jej najwyższy stan wywołany topnieniem śniegu w Alpach. Prawdopodobnie to nad nią Cymbrowie rozłożyli swój ogromny obóz.

Ustawienie wojsk na Polach Raudyjskich

Obie armie ustawiły swoje wojska zgodnie z przyjętym kierunkiem marszu. Ponieważ Rzymianie szli z południowego zachodu, po ustawieniu się patrzyli na północny wschód. Odwrotnie Cymbrowie; ich armia patrzyła na południowy zachód. Kierunki ustawienia szyków miały dość istotne znaczenie dla przebiegu bitwy. Bo dzień był (...) *wietrzny, na skutek czego piasek sypał wrogom w twarz i oczy (...)*, ponadto słońce odbijało się w rzymskiej broni, tak że (...) *o czym wkrótce donieśli jeńcy, niebo zdawało się płonąć*²⁹. Prażące słońce potęgowało jeszcze uczucie

²⁹ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, op. cif., s. 106-107, skróty autora.

gorąca. Spiekota musiała trwać już od dłuższego czasu, bo wszystkie źródła zgodnie donoszą o wielkich tumanach kurzu, wzniesionych setkami tysięcy stóp i dziesiątkami tysięcy kopyt. Germanie bardzo źle znosili te warunki:

(...) Sprzymierzeńcami Rzymian w tej bitwie miały być między innymi także wielki upał i słońce, świecące Cymbrom w oczy: Jak bowiem byli bardzo wytrzymali na wielkie zimna - wyrosli przecież, jak pisaliśmy, w krajach zupełnie bezsłonecznych i mroźnych - tak musieli tu ustąpić przed żarem słonecznym; pocili się na całym ciele, nie mogli tchu nabrać, zasłaniali sobie tarczami twarze od słońca, bo bitwa ta przypadła na czas letniego przesilenia dnia z nocą³⁰.

Rzymianie, którzy z natury lepiej znosili upały, byli ponadto (...) *tak zahartowani fizycznie i wyćwiczeni w wytrzymałości, że nie było widać, by się który (...) zapocił albo zadyszał, chociaż natarcie nastąpiło w tak dusznej atmosferze dnia (...)*³¹.

Obydwie armie bardzo starannie przygotowały sobie podstawy do bitwy. Cymbrowie, którzy jako pierwsi przybyli na pole walki, zatoczyli wielki obóz i starannie go oszańcowali wozami i wałami. Natomiast Rzymianie, swoim zwyczajem, urządzili obóz znacznie solidniejszy od marszowego, w którym mogli schronić się w razie porażki. Tak więc obie armie nie zapomniały o zabezpieczeniu sobie tyłów i odwrotu, choć wiadomo, że wiele zależało w tej materii od dyscypliny armii oraz jej fizycznej wytrzymałości i psychicznej odporności. Nie od rzeczy będzie też wspomnieć o istotnej roli dowództwa, reagującego odpowiednio do przebiegu walk, co u Rzymian było praktycznie gwarantowane, a u Cymbrów już nie.

Ustawiając rzymskie wojska do boju, Mariusz nie zastosował żadnego rewolucyjnego szyku. Jediną innowacją było wzięcie armii Katulusa w środek, między bitniejsze i bardziej doświadczone legiony. Tu zerwał Mariusz ze zwyczajem, który nakazywał, by armie wodzów stawały w linii jedna koło drugiej, wówczas wojsko znacniejszego wodza zajmowało prawe skrzydło, a pośledniejszego lewe. Mariusz jednak nie dowierzał walorom bojowym armii Katulusa i wiedział, że gdyby pod naciskiem przeciwnika zechciała podać tył, on miałby odsłonięte swoje lewe skrzydło i popłoch w sąsiedztwie, a to zapowiadało klęskę. Domyślał się, że przeciwnik też ustawił swoje wojsko od prawej strony, gdzie

³⁰ Plutarch, *Mariusz* 26, *op. cit.*, s. 510.

³¹ *[biciem.*

prawdopodobnie ulokował najlepsze oddziały. Nie chciał, by wyborowe wojsko germańskie natrafiło na najmniej wyborowe wojsko rzymskie, więc rozdzielił swoją armię na dwie części. Sulla zinterpretował to oczywiście po swojemu i napisał, a Plutarch za nim powtórzył, że (...) *Mariusz spodziewał się głównej walki na rogach, tj. na skrzydłach frontu, i że chciał, aby w ten sposób i to zwycięstwo przypadło wyłącznie jego armii. Dlatego to (...) tak rozłokował siły, żeby Katidus w ogóle nie miał udziału w walce i nie doszedł do starcia z nieprzyjacielem, jeżeli środek jednego i drugiego frontu dozna wgłębienia, jak to się zwykle dzieje, gdy linia frontu jest bardzo długa*^{7,2}.

W jednym Sulla miał zupełną rację - wzięcie armii Katulusa w środek było próbą oszczędzenia jej pierwszego starcia, które miało wziąć na siebie wypróbowane w boju wojsko Mariusza. No i w drugim też trochę racji Sulla miał, bo rzeczywiście chodziło Mariuszowi o glorię zwycięstwa. Ale nie miał racji w tym, że tegoż samego zwycięstwa (lub udziału w nim!) Mariusz chciał pozbawić Katulusa. Nie było w tym złośliwości, tylko trzeźwa kalkulacja. Mariuszowi po prostu zależało na zwycięstwie, a dotychczasowe poczynania armii dowodzonej przez Katulusa i Sullę nijak go nie gwarantowały! A że dowodzenie armią powierzono Mariuszowi, nie musiał - i nie zamierzał - się nim z nikim dzielić.

Jest w przekazie Sulli jeszcze jedna istotna informacja - że szyk rzymski był bardzo długi. Zawieszenie skrzydeł pieszego szyku w powietrzu na wielkiej równinie było bardzo niebezpieczne. Dlatego osłoniła je jazda, co również odpowiadało klasycznemu ustawieniu wojsk rzymskich. Część jazdy, uwzględniając doświadczenia spod Aquae Sextiae, gdzie w pierwszej fazie bitwy ulokowano ją przed szykiem pieszym, a w drugiej za nim, teraz mógł Mariusz ustawić w centrum ugrupowania w charakterze manewrowego odwodu. Przyjmując około 400 m na 10 kohort ustawionych w potrójnym szyku bojowym³³, uzyskujemy tylko dla piechoty (rzymskiej i sprzymierzonej) prawie 2,5 km! Jazda mogła jeszcze wydłużyć ten szyk o niemal drugie tyle, ale to zależało od sposobu jej ustawienia. Poza tym 5-kilometrowego szyku praktycznie nie dałoby się ogarnąć wzrokiem. Możliwe też, jeśli odczytać dosłownie przekaz Florusa, że Mariusz naśladował tu Hannibala spod Kann i ze swoich legionów zrobił jednostki uderzeniowe, ustawiając kohorty w głąb i ciaśniej, co skróciłoby szyk. Łączną długość linii bojowej Rzymian można więc szacować na najwyżej 3,5 km.

³² *Ibidem*, 25, s. 508, skrót autora.

³³ Za: M. Junkelmann, *Die Legionen des Augustus*, Mainz am Rhein, s. 245.

Germanie ustawili się inaczej niż Rzymianie, co wskazywało, że opracowali swój własny plan stoczenia bitwy. I to całkiem sensowny. Mianowicie postanowili obu rodzajów swych wojsk użyć jak młota i kowadła. Kowadłem miała być piechota, a młotem jazda. Gdy już Rzymianie rozstawili swój potrójny szyk (...) *po stronie Cymbrów ruszyła wówczas naprzód, spokojnie, zza szaińców, piechota; kolumną o głębokości równej rozpiętości frontu. Każdy jej bok miał 30 stadiów długości. Jazdy zaś nieprzyjacielskiej piętnaście tysięcy wyruszyło na plac boju*¹⁴.

Opisujących bitwę Rzymian trochę poniosła fantazja, a upał i kurz też zrobiły swoje. Odległość 30 stadiów to ponad 5 km! Gdyby szyk germański rzeczywiście był tak szeroki i głęboki, to kwadrat o boku 5 km dałby nam, nawet licząc tylko jednego człowieka na 1 m² (co u Germanów nie wchodziło w rachubę, bo ich falangi były ciaśniejsze), 25 000 000 ludzi! A to było po prostu niemożliwe!

Mimo to jest w tym przekazie kilka cennych wskazówek i informacji. Nie ulega wątpliwości, że falanga cymbryjska była bardzo głęboka, lecz nie aż tak, jak to widział Plutarch; w dodatku, biorąc pod uwagę dalszy opis bitwy, musiała być znacznie krótsza od szyku rzymskiego - co najmniej o dwa skrzydłowe legiony Mariusza. Nie ustawiono jej w jeden wielki kwadrat, ale był to mniej więcej prostokąt, być może „zbudowany” z kilku oddalonych od siebie linii, co sprawiało wrażenie niespotykanej głębokości ugrupowania. Do tego wrażenia przyczyniały się też tumany kurzu. Raz wzniesiony, właściwie już nie opadał, na skutek czego Rzymianie widzieli tylko pierwsze linie i słabe rozbłyski broni pozostałych. Możliwe też, że przed obóz cymbryjski wyległy wielotysięczne rzesze ich kobiet, dzieci i starców niedołączonych i nienadających się do walki. Te tłumy - w kurzu i pyle - mogły obserwatorom wydać się kolejnymi szeregami szyku.

Mocne wrażenie wywarła na Rzymianach jazda Cymbrów. Stała się ławą, w pełnej liczbie 15 000 jeźdźców, na prawym skrzydle piechoty. Obie formacje zajęły praktycznie podobną szerokość frontu, jak wojska rzymskie.

Jeśli założyć, że łączne siły Cymbrów to ok. 100 000 ludzi, 85 000 stanowiła piechota. Przyjmując połowę frontu na piechotę, czyli do 2 km, mamy w pierwszej linii ok. 3500 wojowników. Daje to głębokość falangi ok. 25-30 szeregów. Ta ilość ludzi stanowić musiała ogromną siłę naporu. Tylko gdzie się w takim razie znajdował odwód lub osłona lewego skrzydła piechoty? Wygląda na to, że dowództwo cymbryjskie nie

wdawało się w specjalne kalkulacje i postanowiło wszystko rozstrzygnąć od jednego uderzenia. Co z tego wyszło, przekonamy się dalej.

Bitwa

Wojska były już rozstawione, a karty rozdane. Jedni i drudzy widzieli szyki przeciwnika jak na dłoni. Być może Mariusz, zobaczywszy ugrupowanie jazdy cymbryjskiej, przerzucił część jazdy ze swojego prawego skrzydła na lewe, by zrównoważyć siły manewrowe. Poza tym, swoim zwyczajem, nie ruszał armii z miejsca, by to Germanie pierwsi ruszyli do natarcia i oderwali się od swojego obozu. Nie zawiódł się w swych rachubach, gdyż zmęczeni upałem i zniecierpliwieni czekaniem Cymbrowie powoli ruszyli do natarcia.

Nim bitwa się rozpoczęła, rzymscy dowódcy wojskowi, jako najwyżsi kapłani, odwołali się do pomocy swoich „bogów nieśmiertelnych” (jakby w ogóle bogowie mogli być śmiertelni!): (...) *Mariusz, obmywszy ręce, wzniosł je ku niebu i pomodlił się do bogów, ślubując im w ofierze hekatombę. Modlił się i Katulus ze wzniesionymi w górę rękami, i ślubował zbudowanie świątyni na cześć Fortuny owego dnia. Mariusz poza tym miał po zabiciu zwierzęcia ofiarnego, gdy mu pokazano jego wnętrze, zawołać głośno: „ Moje jest zwycięstwo ”*³⁵.

Tymczasem nadciągnęła powoli piechota Cymbrów z racji rozległości i głębokości szyku przywodząca na myśl morskie fale. Żołnierze rzymscy wciąż czekali w napięciu, ale cierpliwie. Na okoliczność walki oszczędnej Katulus, nie chcąc w tej materii pozostawać w tyle za Mariuszem, też coś wymyślił w zakresie *pilum*, co już wtedy całkiem oryginalne nie było, a i potem często stosowano to rozwiązanie w różnych rodzajach broni, a mianowicie (...) *kazał wyręć na ich drzewcach wszędzie swoje imię*³⁶. W odniesieniu zwycięstwa raczej to nie pomogło, ale w późniejszym ustaleniu, która armia ilu ludzi przebiła, i owszem.

Idącym Cymbrom bardzo zależało na zwartości ich szyku, do tego stopnia, że (...) *walczący w pierwszym szeregu byli powiązani ze sobą łańcuchami, przywiązany do ich pasów, żeby się linia frontu nie załamowała*³⁷. Nijak jednak nie przyczyniło się to do zwycięstwa, bo w takim skrępowaniu można było tylko powoli iść naprzód lub jeszcze wolniej się cofać. No i wyobraźmy sobie, co się działo, gdy kilku spośród kilkunastu

³⁵ *Ibidem*, 26, s. 509.

³⁶ *Ibidem*, 28, s. 511.

³⁷ *Ibidem*, *Mariusz 27, op. cit.*, s. 5 10.

ludzi padło. Wtedy reszta nie była w stanie zrobić ani kroku w tył i ani kroku do przodu.

Mimo powolnego następowania germańskich szyków pieszych, Rzymianie trwali nieruchomo, aż do niespodziewanego manewru jazdy cymbryjskiej. Wiadomo było, że jazda ta musi uderzyć, bo tylko w tym tkwiła jej siła, ale król Bojoryks postanowił urozmaicić natarcie i wymyślił wspomniany wyżej manewr młota i kowadła, w związku z czym (...) *uderzyli oni na Rzymian nie wprost z frontu, ale przesunęli się na prawo i starali się przeciągnąć przeciwnika trochę na tę stronę, żeby go wprowadzić w środek pomiędzy siebie a stojącą po lewej stronie kolumnę piechoty. Rzymscy dowódcy zamiarkowali ten manewr, ale już nie zdołali swoich żołnierzy powstrzymać. Jeden krzyknął, że nieprzyjaciel ucieka, a wszyscy za nim puścili się w pościg*TM.

Opis tego cymbryjskiego manewru jest tu dosyć krótki, w praktyce trwało to znacznie dłużej: należało ruszyć z miejsca ogromne masy kawalerii, zatoczyć nimi półkole i uderzyć na kraniec skrzydła rzymskiego z boku, zwijając je tym samym do środka. Pomysł byłby niezły, gdyby nie siła bezwładu tak ogromnego ugrupowania. Widzimy przecież nie-raz, jak opóźniona jest reakcja kolumny samochodów stojących w korku i przed światłami na skrzyżowaniu. Wszyscy kierowcy jednocześnie widzą zmieniające się światło, ale msza tylko kilka pierwszych samochodów, i to kolejno, a nie wszystkie razem. Nim ruszy piąty czy szósty pojazd, upływa już sporo czasu.

W przypadku jazdy cymbryjskiej było chyba bardzo podobnie. Stała w jednym, szerokim i głębokim szyku, bez podziału na mniejsze hufce i bez miejsca na manewry. Gdyby przyszło jej atakować zwyczajnie, na wprost, mielibyśmy do czynienia z jedną z większych szarż kawalerii w historii wojen, bo niewielkie opóźnienie w ruszeniu do boju dotyczyłoby tylko kilku ostatnich szeregów. Tymczasem Bojoryks ruszył kraniec szyku w prawo. Samo zrobienie zwrotu, przy ograniczonym miejscu, zajęło wszystkim dużo czasu. Być może dowódcy znali zamysł królewski, ale prości żołnierze raczej nie. I chyba do samego końca bitwy nie pojęli, o co chodziło z tym manewrem. Część oddziałów zrozumiała rozkaz jako konieczność wycofania się, więc praktycznie robili „w tył zwrot”, podczas gdy inne stały jeszcze w miejscu. Co gorsza, Bojoryks chyba nie widział, co się dzieje w głębi ugrupowania. On i kilka tysięcy jeźdźców z prawego skrzydła jechali już w prawo, tworząc czoło ataku, podczas gdy reszta usiłowała nadążyć. Wszystko to działo się nieopodal szyku

rzymskiego, i rzeczywiście z odległości kilkuset kroków mogło wyglądać jak odwrót nieprzyjaciela. Nic dziwnego zatem, że ktoś krzyknął coś o jego ucieczce.

Być może zza pierwszej linii falangi cymbryjskiej wychodziła druga linia, by zamknąć tworzącą się lukę między piechotą a jazdą. Ale manewry te były spóźnione. Ten moment bałaganu w szyku germańskiej jazdy okazał się decydujący dla dalszego przebiegu bitwy. Wcześniej trudno było nawet o czymś takim marzyć. Gdy więc żołnierze rzymscy ruszyli naprzód, wodzowie nie powstrzymywali ich; mało tego - aby uniknąć nieudomówień, kazali grać surmom i rogom do ataku.

Tymczasem manewr cymbryjskiej jazdy trwał. Bojoryks zatoczył półokrąg i stał się z jazdą lewej flanki rzymskiej. Nie miał tu jednak przewagi, bo przecież nie uderzył całością sił. W tym czasie cała reszta jego jazdy powtarzała ten manewr, który w zmienionej sytuacji okazał się całkiem niefortunny, gdyż jeźdźcy wystawili swoją lewą flankę na uderzenie Rzymian, ł raczej nie było to uderzenie piechoty, lecz jazdy.

Gdyby Cymbrowie atakowali frontalnie, nie doszłoby ani do niepotrzebnego zamieszania, ani też do nierównej walki. Na skutek spóźnionego działania musieli przyjąć natarcie Rzymian tak jak stali: ze zmieszonymi szycami i bez wyraźnych rozkazów. Możliwe, że na domiar złego celtycka część oddziałów, nieczująca żadnej więzi z Germanami prócz przymusu, skorzystała z okazji i oddaliła się z miejsca bitwy, by już więcej tam nie wrócić. To mogło być sygnałem dla sporej liczby ich zdeorientowanych towarzyszy cymbryjskich, by pójść w ich ślady. Tuman kurzu tylko pogłębiały chaos i nim się spostrzeżono, masy germańskich jeźdźców, zamiast atakować, przeszkadzały sobie nawzajem, spychały się i przegrywały z naporem Rzymian. Bojoryks znajdujący się na samym skraju tego zamieszania, zupełnie stracił na nie wpływ. Rzucił się na najbliższych Rzymian i walczył do upadłego, nie wiedząc, że ponosi klęskę, bo źle wykonał bardzo dobry pomysł. Odnotowano tyle: (...) *Król Bojoryks, walcząc dzielnie w pierwszym szeregu, zginął nie bez pomsty*³⁹.

Zanim rzymska piechota lewego skrzydła dotarła do szyku Germanów, utworzyła się tam szeroka luka, bo ogon kolumny jeźdźców już zdążył przesunąć się w lewo, patrząc od strony Rzymian. Wyszło tak, że lewe skrzydło rzymskie, przy którym, jako najbardziej zagrożonym, znalazł się Mariusz, trafiło swoim prawie kilometrowym frontem w wielki, pusty tuman kurzu. Skwapliwie odnotowali to zawistni przeciwnicy konsula: (...) *Gdy jednak doszło do starcia, Mariusza - jak podają historycy ze strony Sulli - spotkała za to kara. Bo wzniosła się tam w górę olbrzymia*

³⁹ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, op. ci./., s. 59.

*kurzawa, tak że nawet nie było wcale widać wojska, a on sam pierwszy rozpoczął był ten pościg za nieprzyjacielem i pociągnął za sobą swą armię, przy czym podobno pomylił kierunek, przeszedł obok wroga i dłuższy czas błądził po polu bitwy*⁴⁰.

Można tu wskazać jeszcze jeden powód „błądzenia” Mariusza - być może zwrócił szyk części swoich legionów w lewo, w stronę nieprzyjacielskiej jazdy. Możliwe, że jej części udało się dotrzeć do Mariuszowej piechoty, ale na tym skończył się jej bój, bo obrzucona *pilami*, przestała istnieć jako siła bojowa. Pozostała część szyku rzymskiego, czyli armia Katulusa i druga część armii Mariusza (o której Sullańscy złośliwcy milczą - czyżby, przez analogię, też „zabłądziła w kurzawie”, więc nie było o czym wspominać?!) starła się wreszcie z powoli kroczącą piechotą Cymbrów. Głębookość ugrupowania germańskiego ułatwiła Rzymianom działanie. Cymbrowie nie byli w stanie przeskrydlić szyku rzymskiego ani gwałtownie uderzyć, by go rozerwać. (...) *Natomiast całkiem przypadkowo zderzyli się barbarzyńcy właśnie z Katulusem i tam powstała, wkoło niego i jego armii, największa walka. Tam też wśród żołnierzy Katulusa miał się znajdować wtedy Sulla, jak sam o tym pisze*⁴¹.

Starcie mas piechoty było bardzo krwawe. Żołnierze rzymscy miotali *pila* w cel niebędący w stanie robić żadnych uników czy manewrów. Po bitwie, żeby udowodnić własną waleczność, posłów z miasta Parmy, załatwiających coś z prokonsulem, żołnierze Katulusa prowadzili (...) *poprzez szeregi nieprzyjacielskich trupów i pokazywali im, że polegli zostali trafieni ich właśnie oszczepami. Były one bowiem znaczone napisami* (...) ⁴². Czyli Rzymianie wybili całe szeregi Cymbrów oszczepami, bez użycia broni krótkiej!

W tym czołowym starciu z germańską piechotą zaszczyt miotania pierwszych pocisków na nieprzyjaciela przypadł rzymskiej piechocie lekkobroejnej, zapewne po raz ostatni, bo potem już jej nie zaciągano. Nie nosiła ona dwóch ciężkich/?//, lecz nawet pięć lżejszych pocisków i proce. Jeśli ktoś pod pojęciem „lżejszy oszczep” rozumie broń „mniej skuteczną od *pilum* ciężkiego”, to oczywiście ma rację, bo ich zdolności penetracyjnych nie da cię porównać, ale i *pilum* lekkie nieźle sobie radziło z cienkimi tarczami Cymbrów. Nie byli oni przecież lepiej uzbrojeni od Galów, a pod wieloma względami ich broń mogła być identyczna.

Zobaczmy, jak działała broń piechoty lekkobroejnej, gdy przeciwnik nie miał czym odpowiedzieć:

⁴⁰ Plutarch, *Mariusz* 26, *op. cit.*, s. 509.

⁴¹ *Ibidem*, s. 510.

⁴² *Ibidem*, s. 511.

(...) Bitwę na pociski stoczono z odległości. Z początku równą, bo Gallom pomagała korzystna pozycja, a Rzymianom rozmaitość i obfitość pocisków. Ale w miarę postępu walki nie pozostawało już nic z tej równości. Długie, ale dla osłony rosnących Galów za mało szerokie, a przy tym płaskie tarcze żle ich osłaniały. Nie mieli też już innej broni zaczepnej, prócz mieczów, z których nie było żadnego pożytku, jeśli nieprzyjacieli nie przystąpił do walki wręcz. (...) Tymczasem ze wszystkich stron sypały się na nich strzały, pociski z proc, oszczepy. Gniewem i strachem oszołomieni, nie wiedzieli, co robić. (...) Padają wtedy powaleni na ziemię, jak właśnie i teraz leżeli. Inni rzucali się na wroga, ale kłuto ich ze wszystkich stron, a gdy dochodziło do walki wręcz, ginęli od mieczów lekkobrojnych⁴³.

Wtedy mogło to wyglądać bardzo podobnie. Około 4800 lekkobrojnycy (po 1200 na każdy legion i wojsko posiłkowe) mogło jeszcze przed starciem obrzucić Germanów około 20 000 oszczepów. Na to Germanie, podobnie jak Galowie, nie byli w stanie prawie nic poradzić, bo ich broń miotana nie miała ani zasięgu, ani mocy penetrującej nawet lekkich oszczepów rzymskich.

Po wyrzuceniu oszczepów, linia lekkobrojnycy schowała się za piechotę ciężkobrojną. Ta, po dojściu na odległość skutecznego rzutu, użyła oszczepów o jeszcze większej sile rażenia, więc nic dziwnego, że po bitwie oglądano leżące pokotem całe szeregi Cymbrów, obalone samą bronią drzewcową.

Rzymianie nie ustawali w natarciu. Przeszli po leżących przeciwnikach i starli się z następnymi szeregami, dla których niewątpliwie wielkim wstrząsem było to, co spotkało towarzyszy stojących przed nimi. Tu śmiało można powiedzieć, że zemściła się na Cymbrach chęć zachowania równego szyku za wszelką cenę. Nie natarli na Rzymian szybko w ostatniej fazie ataku, by pozbawić ich możliwości „ostrzału” i zmusić do odrzucenia oszczepów przeszkadzających przy walce w zwarciu. Skutecznie uniemożliwiły im to łańcuchy czy też powrozy (jeśli wierzyć przekazom) pierwszej linii i bezwład ogromnej masy ludzi. Zemściła się też z pewnością utrwalona po przejściu przez Alpy i rzekę Natizo pewność, że Rzymianie nic dostają im w walce. Okazało się, że nie tylko dostawali, ale nawet nacierali z dużym powodzeniem. Sulla i Katulus

⁴³ Opis walki lekkobrojnycy rzymskich z Galatami pod górą Olimp w Azji Mniejszej, stoczonej pod dowództwem konsula Gnejusza Manliusza Vulsona [za:] Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*. XXXVIII.21, *op. ci./*

zgodnie piszą, a Plutarch nam o tym donosi, że Rzymianie dopadli do Germanów biegiem. Nie znaczy to oczywiście, że nadziali się na las germańskich włości - odpowiednio wcześniej przystanęli, by wyrzucić oszczepy i wyrównać linie przed natarciem.

Po zawarciu się w walce wręcz sytuacja szyku germańskiego wcale się nie poprawiła. Rzymianie lepiej utrzymywali linię bojową; bardzo trudno było ich dosięgnąć za wielkimi tarczami, zza których sami wyprowadzali od dołu groźne pchnięcia. Walka była tak zażarta, że jej uczestnicy mieli wrażenie, jakby za chwilę miało nastąpić ostateczne rozstrzygnięcie całej bitwy.

Tymczasem lewe skrzydło piechoty rzymskiej, dowodzone przez Mariusza, odparłszy nieudany atak germańskiej jazdy, nie znalazło naprzeciw siebie żadnych przeciwników. W pościg za uchodzącą konnicą Cymbrów ruszyła konnica rzymska, a ciężkozbrojna piechota została z tyłu. Mariusz zorientował się, że wojsko maszeruje bezproduktywnie i gdy tylko upewnił się, że nic mu nie grozi, wydał sygnalistom rozkazy do zmiany frontu w prawo. Tak nadeszli, w kurzu bitwy, na prawe skrzydło piechoty cymbryjskiej. Z drugiej strony pola bitwy pozostałe oddziały jazdy rzymskiej, osłaniające prawe skrzydło armii, wyszły na lewą flankę Germanów. Przy takim osaczeniu praktycznie żadna armia nie jest w stanie długo walczyć. Napór Rzymian spowodował straszny ścisk w szeregach cymbryjskich, a tym samym pozbawił wojowników możliwości poruszania się. Powoli bitna cymbryjska piechota zmieniała się w bezradny i bezwładny tłum. Dowódcy oddziałów, widząc, co się dzieje, dawali rozkazy do odwrotu i kontrataku. Mieli przecież chorągwie i trąbki bojowe, więc nawet jeśli w zgiełku bitewnym wojownicy nie słyszeli rozkazów ani nie widzieli znaków dawanych sztandarami, to musieli słyszeć głosy trąbek. Część oddziałów, zwłaszcza skrzydłowych, ruszyła do odwrotu, który stopniowo nabierał coraz większego pędu, aż wreszcie przemienił się w paniczną ucieczkę. Były jednak oddziały walczące do ostatka, póki nie wycięto ich w pień.

Być może odwrót do obozu czy też oparcie szyków o wały przyniosłoby jakieś pozytywne efekty, ale, tak jak to się już przytrafiło Ambronom i Teutonom, uchodzący Cymbrowie spotkali tam zamiast pomocy oszalałe ze strachu niewiasty. (...) *Kobiety bowiem stały tam na wozach w czarnych sukniach i mordowały uciekających mężów, braci i synów*. Znów były swoich, by wracali do beznadziejnej walki z Rzymianami,

jakby wynik tej bitwy zależał tylko i wyłącznie od dzielności wojowników. Tym samym zadziały na własną zgubę, bo nawet jeśli wojownicy wrócili do rozpaczliwej walki, szybko ulegali bezdusznie zdyscyplinowanym oddziałom rzymskim.

Jednak wielu mężczyznom udało się schronić w obozie i nabrać tchu, a może nawet napić się wody. Ich obecność tam na krótką chwilę powstrzymała rzymski atak na obóz. Z marszu nic udało się go zdobyć, gdyż kobiety cymbryjskie wykazały się walecznością i dużą dzielnością. Jak to mówił Florus: (...) *Nie mniej gwałtownie zmagano się też z ich żonami, które za obwarowaniem z wozów i rydwanów bojowych, wysokiej postawy, walczyły jak z wież obronnych toporami i dzidami*⁴⁵.

Przed przystąpieniem do szturm na obóz, Mariusz postanowił uporządkować swoje szyki. Za jego plecami wciąż trwała bitwa legionów Katulusa z osaczonym wojskiem germańskim. Tę chwilę spokoju przy obozie wykorzystali trzeźwo myślący ludzie, znajdujący się w jego wnętrzu. Zdawali sobie sprawę, że ich przegrana jest przesadzona, postanowili więc ocalić przynajmniej to, co jeszcze zostało. Stawką w tej grze była nie tylko wolność osobista pozostałych przy życiu niewiast, ale także ich cześć oraz cześć ich dzieci. Obmyślono całkiem udatne rozwiązanie pozwalające nie tylko na zachowanie godności rodzin cymbryjskich, ale też wskazujące furtkę Mariuszowi, tak by zachował twarz przed swoimi żołnierzami, niewątpliwie niezmiernie spragnionymi gwałtów. Otóż wysłano do konsula poselstwo, które zaproponowało, by kobietom cymbryjskim zagwarantował wolność i godność kapłańską, czyli nietykalność. Mariusz, stwierdziwszy, że nie jest to zgodne z rzymskimi prawami religijnymi, odmówił.

Nawet otrząskani w bitwach i nawykli do widoku krwi żołnierze Mariusza byli wstrząśnięci, widząc to, co później nastąpiło. Bo co innego, gdy to oni sami zdobywali coś szturmem i dokonywali na pokonanych najstraszniejszych rzezi i wyuzdanych gwałtów pod hasłem: *direptio*, a co innego, gdy patrzyli na to z boku, sprowadzeni do roli bezwolnych i bezradnych świadków. Po ogłoszeniu fiaska poselstwa kobiety Cymbrów przestały walczyć, ale też nic miały zamiaru zdać się na litość i łaskę bądź niełaskę zwycięzców. Rozpoczął się szal samobójstw i zabójstw: (...) *Dusiły swe dzieci nieletnie własnymi rękami i rzucały je pod kola wozów i kopyta zwierząt, ciągnących wozy, po czym same sobie zadawały śmierć. Jedna z nich, jak opowiadają, powiesiła się na końcu dyszla, a dzieci swe powiesiła w ten sposób, że przywiązała je do swoich kostek.*

⁴⁵ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, op. cit., s. 107.

Meężczyźni zaś z braku drzew wiązali się za szyję do rogów albo do nóg wołów, a potem zadawali im bity, by pędem biegły, i tak ginęli, wleczeni po ziemi i zadeptywani na śmierć⁴⁶. Florus podaje opis w podobnym tonie, z nieco innymi szczegółami: (...) podusiły i poroztrzaskiwały wszystkie swoje dzieci, a same poniosły śmierć z ran nawzajem sobie zadanych albo zawisnąwszy na drzewach i dyszlach od wozów, do czego użyły sznurka splecionego z własnych włosów⁴⁷.

Gdy Rzymianie zorientowali się, że łup w ten perfidny sposób wymyka się im z rąk, przystąpili do gwałtownego szturm i, wbrew swojej naturze, zaczęli ratować ludzi usiłujących sobie zadać śmierć. Ich akcję uwieńczyło częściowe powodzenie, bo - jak donosi Plutarch - (...) chociaż tak pozbawiali się życia, wzięto tam jednak do niewoli ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi. A liczbę poległych podają dwukrotnie większą⁴⁸.

Taki był ostatni akord tej bitwy.

Krajobraz po bitwie

W zapadającym zmroku dobijano ostatnich opierających się Germanów i kończono plądrowanie pola bitwy i obozu. Doszło do kłótni i sporów na tym tle, bo żołnierze Mariusza zajęli obóz i tamtejsze bogactwa, pozostawiając w rękach legionów Katulusa pole bitwy, na którym nie brakowało wprawdzie zaszczytnych łupów, ale nie stanowiły one wielkiej wartości materialnej: (...) broń, chorągwie wojenne i trąbki bojowe znalazły się podobno wszystkie w obozie Katulusa⁴⁹". Precyzyjne dane w tym zakresie mówiły, że „(...) zdobyto 33 cymbryjskie sztandary, spośród których 2 niosło wojsko Mariusza, a 31 Katulusa⁵⁰". Oprócz tego Katulus dostał w prezencie od Mariusza, jako łup wojenny, srebrnego wołu cymbryjskiego, na którego Germanie złożyli przysięgę jego porzuconej nad Natizo kohorcie. Byłbyż to mały prztyczek ze strony konsula czy też powód do chwały? Dowództwo próbowało wprawdzie zapanować nad rabunkiem, by i skarb państwa coś zyskał, a i oni sami to i owo dostali, bo znaczna część łupów zawsze przypadała wodzowi. Mariusz - a może to był

⁴⁶ Plutarch, *Mariusz* 25, *op. cit.* s. 511.

⁴⁷ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, *op. cit.*

⁴⁸ Plutarch, *op. cit.*

⁴⁹ *Ibidem.*

* Paweł Diakon, *Historia rzymska* V. 2, przek. I. Lewandowski, Warszawa 1995, s. 46.

Katulus - (...) *ciał Cymbrów zakazał tykać, dopóki dzień nie nastanie, w przekonaniu, że znajdzie się przy nich wiele złota*⁵⁰.

Czy znalazło się owo złoto, czy nie, okazało się sprawą drugorzędną. Najważniejsze było to, że bardzo groźny wróg został unicestwiony. A koszt tego zwycięstwa wcale nie był duży. I tak:

- według Florusa: (...) *Po ich stronie poległo sześćdziesiąt pięć tysięcy, po naszej mniej niż trzystu żołnierzy*⁵¹;
- zdaniem Plutarcha, ponad 120 000 Cymbrów poległo, a ponad 60 000 dostało się do niewoli;
- wedle opinii Wellejusza Paterkulusa: (...) *wrogowie stracili ponad sto tysięcy ludzi w zabitych i wziętych do niewoli*⁵²;
- według Liwiusza, w bitwie: (...) *padło podobno sto czterdzieści tysięcy nieprzyjaciela, a sześćdziesiąt tysięcy wzięto do niewoli*⁵³.

Inni dziejopisowie podają podobne lub zbliżone liczby poległych i wziętych do niewoli. Rozbieżności te można dosyć łatwo wyjaśnić. Liczba poległych w bitwie wojowników cymbryjskich wynosiła, tak jak mówi Floais, 65 000, ale wraz z kobietami, niedoroślą młodzieżą i starcami liczba poległych rosła do blisko 140 000 ludzi. Do niewoli wzięto ponad 60 000 Cymbrów. Części wojowników, zwłaszcza konnych, udało się zbiec.

Tak oto nastąpiło ostateczne rozwiązanie kwestii cymbryjskiej.

Wieść o zwycięstwie błyskawicznie, bo jeszcze tego samego dnia, dotarła do Rzymu. Zadziałał tu oczywiście „telegraf bez drutu” starożytnych, czyli przekaz za pośrednictwem sił wyższych. Oczekiwano wyniku bitwy w pewnym napięciu, bo w świątyni Marsa Gradywa święte tarce (...) *miały się poruszyć ze szczykiem przed decydującym momentem wojny cymbryjskiej*⁵⁴, czyli wiadomo było, że „coś orężnego” się już dzieje. Wkrótce doczekano się ogłoszenia wyniku: (...) *nie jak zwykle, od ludzi, ale, jeśli można wierzyć, od samych bogów. W tym dniu mianowicie, w którym sprawa się rozegrała, ujrzano przed świątynią Polluksa i Kastom dwóch młodzieńców, wręczających pretorowi list z gałązką*

⁵⁰ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, tom I, ks. IV r. 14, przeł. L. Piotrowicz, Wrocław 2004, s. 61.

⁵¹ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, *op. cit.*, s. 107.

⁵² Wellejusz Paterkulus, *Historia rzymska* 11.12, *op. cit.*, s. 30.

⁵³ Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LXIII, *op. cit.*

⁵⁴ *Ibidem*.

wawrzynu. *W teatrze zaś słyszano wielokroć głos: „ Za pomyślność zwycięstwa nad Cymbriami!”*. *Cóż może być bardziej godne podziwu i bardziej wspaniałe?*⁵⁵.

No właśnie, powtórzmy za starożytnymi: *cóż może być bardziej godne podziwu?*

I nie odpowiadajmy.

Niech tak zostanie.

⁵⁵ Florus, *Zarys dziejów rzymskich*, op. cit., s. 107-108.

PO WIELKIEJ WOJNIE

Po uporaniu się z najgroźniejszymi przeciwnikami, Rzymianie szybko przestawili cały wysiłek militarny na odbudowę swojej pozycji mocarstwowej w prowincjach. Zresztą jeszcze zanim Cymbrowie zeszli z gór, już rozpoczęła się likwidacja powstania sycylijskiego. A było to tak.

Podczas gdy konsul Gajusz Mariusz bił pod Aquae Sextiae Ambronów i Teutonów, następny propretor Sycylii, Gajusz Serwiliusz, był tak nieudolny (lub tak skorumpowany), że po zakończeniu rocznej kadencji również został, śladem swoich poprzedników, skazany na wygnanie. Za to Atenion omal nie opanował samej Messany, czyli miasta najbliższego Italii. Na fali powszechnego entuzjazmu Mariusz po raz kolejny został wybrany na konsula roku 101. Razem z nim wybrano Maniusza Akwiliusza, powierzając mu zadanie likwidacji powstania sycylijskiego.

Konsul Akwiliusz dodał do dotychczasowych sił sycylijskich swoją armię, liczącą 20 000 ludzi. Niemający oparcia w silnych twierdzach niewolnicy postanowili walczyć w polu. Doszło do bitwy, a podczas niej do rzadkiego przypadku, jakby żywcem przeniesionego z czasów archaicznych: osobistego starcia obu wodzów. Atenion poległ, zraniwszy wcześniej w głowę konsula. Ale bez wodza niewolnicy poczuli się przegrani. I ta przegrana bitwa była początkiem klęski powstania. Ranny konsul szybko przyszedł do siebie i zabrał się za likwidację oddziałów powstańczych. Po śmierci Ateniona nie było już kompetentnych albo choćby tylko uznawanych dowódców. W ciągu roku powstanie całkowicie zdławiono, a schwytych niewolników, po torturach, wieszano na krzyżach lub przeznaczano do walk na arenie.

Wzięto się również za Hiszpanię i Trację, gdzie wysłano większe wojska. Rzymianie poczynali tam sobie równie okrutnie, jak tuż przed oblężeniem Numancji, czyli wyrzynali całe plemiona tuż po zawarciu z nimi układów rozbrojeniowych.

Cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, przekład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002, str. 275.

W samym Rzymie przede wszystkim świętowano, przy czym szczególnie hołubiono jednego obywatela:

(...) Mariusz powitany został przez cały naród jednomyślnie i choć przyznano mu prawo do dwóch triumfów, poprzestał na jednym. Najznakomitsi obywatele, którzy przez jakiś czas zazdrościli mu, jako człowiekowi nowemu, wyniesienia do tak wysokich godności, mówili otwarcie, że on uratował istnienie Rzeczypospolitej².

(...) Wyrażano też zdanie, że oba triumfy powinien on sam tylko odbyć. Ale nie zrobił tego. Odbył je razem z Katulusem³.

Mariusza nazywano przy tym „Trzecim Założycielem Rzymu”. Pierwszym miał być Romulus, z wiadomych względów, drugim dyktator Kamillus, który pobił najpierw Etrusków, a potem Galów (i to w sytuacjach prawdziwie beznadziejnych!), a trzecim nasz pogromca Teutonów i Cymbrów. Ale chwała, obok blasków, miała również swoje cienie. Wszystkie te splendory i chwytły retoryczne nie mogły ani wyeliminować, ani oddalić w czasie konieczności włączenia się w twardą walkę polityczną. Mariusz nie miał zamiaru pozwolić, by za parawanem gładkich słów i pochlebstw odsunięto go od realnej władzy. Na razie konsulem został po raz piąty, ale miał swój własny plan, zgodnie z którym - i z przepowiednią wyroczni - zamierzał siedmiokrotnie piastować ten urząd. A, jak wiemy, planów umiał się trzymać z niezwykłym uporem.

Dalsza kariera i upadek Gajusza Mariusza

Podobno w osiągnięciu szóstego konsulatu, na rok 100, pomogło Mariuszowi przekupstwo. Jeszcze za piątego konsulatu ścierał się bezowocnie z patrycjuszami w kwestii reform agrarnych, którą był zainteresowany osobiście, gdyż chodziło o nadanie ziemi jego weteranom. A zapewnienie ziemi swoim żołnierzom było sprawą honoru i... autorytetu wodza. Nie opracowano jeszcze wówczas zasad stałej służby, więc po demobilizacji stawali się oni ludźmi bez środków do utrzymania - przecież pochodzili głównie z proletariatu, czyli należeli do ludzi bez

² Liwiusz, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, periocha ks. LXIII, przeł. A. Kociołek, M. Brożek.

³ Plutarch, *Mariusz 23 [w:] Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1957, s. 512.

ziemi. Natomiast nobilem łakomie spojerali na słynące z żyzności ziemie odbite z rąk barbarzyńców na terenie Galii Przedalpejskiej.

Rozwiązanie kwestii nadania ziemi weteranom, niezależnie od tego, jak ważne było dla Mariusza ze względów prestiżowych, miało także wymiar polityczny; wszak mógł to być precedens pozwalający na ponowne podjęcie sprawy reformy rolnej. Nic dziwnego, że przy tej okazji starli się gwałtownie optymaci i popularzy. Stronnictwo tych ostatnich niemal siłą przepchnęło ustawę agrarną, a przy okazji na wygnanie udał się Metellus Numidyjski; ten sam, który swego czasu zaproponował Mariuszowi na kolebę w konsulacie swojego synka, a teraz do końca sprzeciwiał się przydziałom ziemi dla weteranów Mariusza.

Tak więc Mariuszowi udało się załatwić najpilniejszą sprawę, jednak współpraca z popularami układała się sześciokrotnemu konsulowi źle. Gdy trybun ludu, Lucjusz Apulejusz Satuminus, ten sam, który kiedyś pomagał mu w zdobyciu konsulatu, zajął się przygotowywaniem zbrojnych przewrotów, ekwici, dotychczas wspierający lud, przeszli do obozu optymatów. A wraz z nimi, wiedziony solidarnością kastową i swoim dożywotnim interesem, także nasz Mariusz zmienił front. Czy to zawiedziona postawa popularów, czy też przekupiony obietnicami patrycjuszy, dość powiedzieć, że gdy zaczęły się zamieszki, wprowadził na Forum wojsko i urządził tam istną rzeź popularów. Saturninus i inny przywódca proletariatu - pretor Glaucja, zginęli...

Lud doznał szoku. Mariusz, którego traktowali jak bożyszcze, okazał się zdrajcą ich sprawy! I tak hołubiony do tej pory konsul w jednej chwili stracił sympatię ludu, ale... bynajmniej nie zyskał sympatii optymatów. Wykonał brudną robotę i sam siebie na pewien czas wyeliminował z życia społecznego.

Powrócił do niego za czas jakiś, ale ten czas płynął nieubłaganie. Niespełnione obietnice i nieudane próby rozszerzenia obywatelstwa rzymskiego na Italików - o co zresztą swego czasu zabiegał też Mariusz - sprawiły, że zrozpaczeni nieustannymi poniżeniami, podnieśli w roku 91 bunt. Wojna była bardzo krwawa i trudna. Kilku konsulów zginęło ze swoimi armiami na polu walki, a cała wojna pochłonęła po 100 000 ludzi po każdej ze stron (według umiarkowanych źródeł). Mariusz dostał dowództwo wojskowe, ale tym razem nie wyróżnił się błyskotliwością.

(...) Może to starość odebrała mu dawną energią i zapał (przekroczył przecież już sześćdziesiąty piąty rok życia), a może -jak sam mówił - miał chore nerwy i był fizycznie osłabiony, trudy zaś wojenne, choć przechodziły jego siły, znosił jeszcze tylko dlatego, że się wstydził przyznawać

do słabości. Mimo to nawet wtedy odniósł jedno wielkie zwycięstwo w bitwie, w której zniszczył sześć tysięcy nieprzyjaciela⁴.

A zniszczył nie byle kogo, tylko lud Marsów, o którym mówiono potem, że tylko raz nad nimi triumfowano w historii - właśnie wtedy. Chwilami obydwie strony miały dosyć walki. Raz całe wojsko nie wykonało rozkazu Mariusza. Wódz był bezradny: (...) *Nie wiem, czy przeciwników powinienem uważać za większych tchórzy, czy was. Bo ani oni nie umieli spojrzeć wam za plecy, ani wy im za karki*⁵ - powiedział wtedy do swoich żołnierzy.

Tym razem to nie Mariusz robił karierę, lecz jego były podwładny, od dość dawna manifestujący jawną wrogość nieprzyjaciel - Lucjusz Korneliusz Sulla, który odniósł więcej i to świetniejszych zwycięstw. Sam Mariusz (...) *zrezygnował wtedy ze stanowiska dowódcy, podając za powód niedostatek sił fizycznych i zły stan zdrowia!**. I gdyby był na tym poprzestał, dożyłby zapewne swoich dni w czci i poważaniu. Niestety, jego niezaspokojona ambicja kazała mu jeszcze starać się o konsulat, a przynajmniej o jakieś dające perspektywę sławy dowództwo wojskowe. A takich „okazji” nie brakowało zwłaszcza na wschodzie Imperium, gdzie pojawiły się z chwilą zakończenia wojny z Italikami. W roku 89 król Pontu, Mitrydates VI Eupator, wydał swój sławetny rozkaz wymordowania wszystkich Rzymian znajdujących się w zasięgu jego władzy. W samej Azji padło ich wtedy - wraz z Italikami - 80 000! Tego nie można było puścić płazem! Trzeba zaznaczyć, że do wojny sprowokowali Mitrydatesa... sami Rzymianie. I nie kto inny tym zaczepkom przewodził, jak likwidator powstania sycylijskiego, Maniusz Akwiliusz. Gdy go wreszcie pojmano, Mitrydates kazał najpierw obwozić jeńca na osle po różnych miastach jako symbol rzymskiego oszukaństwa i nieuczciwości, a potem stracić w tyleż okrutny, co widowiskowy sposób, a mianowicie (...) *kazał mu nalać do ust roztopionego złota* (...)."

W Rzymie rozpoczęła się rywalizacja o naczelne dowództwo w przyszłej wojnie azjatyckiej. W szranki stanęli: urzędujący w roku 88 konsul Sulla i stary już Gajusz Mariusz, co wywoływało śmiech i dobre rady, by (...) *udał się lepiej do Bajów i wykurował z niedyspozycji fizycznej, wynikającej - według jego własnych słów - ze starości i przypadłości*

⁴ Plutarch, Mariusz 33, *op. cit.* s. 521.

⁵ *Ibidem.*

⁶ *Ibidem*, s. 522.

⁷ Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, X11.21, przeł. L. Piotrowicz, Wroc 2004, s. 486.

*reumatycznych**. Tym razem jednak „Trzeci Założyciel Rzymu” łatwo się nie poddał; zdecydował się nawet uczestniczyć w ćwiczeniach gimnastycznych i pokazach sprawności bojowej odbywających się na Polu Marsowym. Ponieważ uchwała senatu oddała władzę nad armią, udającą się do Azji, konsulowi Sulli, Mariusz ponownie oparł się na partii populiarów. Jej aktualny przywódca, trybun ludowy Publiusz Sulpicjusz Rufus, posunął się do zamachu stanu. Usiłował zgładzić obu konsulów, ale tym udało się zbiec, przy czym Sulla uciekał przed ścigającymi go mordercami przez dom Mariusza; gospodarz wpuścił go jednymi drzwiami, a wypuścił drugimi. Sulpicjusz sterroryzował senat, który wydał uchwałę o oddaniu władzy nad wojskiem Mariuszowi. Taki był początek wojny domowej.

Przejęcie dowództwa nie udało się Mariuszowi. Sulla pierwszy dotarł do armii i wytłumaczył żołnierzom, że właśnie senat kazał rozwiązać ich oddziały, a Mariusz powoła pod broń inne i poprowadzi je do azjatyckich bogactw. Oburzeni żołnierze uwierzyli mu; ktoś rzucił hasło, że skoro tak, to oni z Sullą mogą iść choćby na Rzym! I poszli. W ten sposób armia, powołana pod broń i uzbrojona według reguł wprowadzonych przez Mariusza, okazała się narzędziem nie utrzymującego ją państwa, lecz wodza, co zresztą od tych wydarzeń miało stać się regułą.

Sulla bez kłopotów zajął Rzym i na powrót zaprowadził tam patrycjuszowskie porządki. Mariusz ledwo zdołał zbiec i nie ustawał w ucieczce, póki nie dotarł do Afryki. Jeszcze na terenie Italii omal nie zginął, gdyż go schwytano w okolicach miasta Miturnae. Ponieważ ani żaden Rzymianin, ani nikt z Italiców nie chciał osobiście zbrukać rąk krwią tak wybitnego człowieka (...) *dla wykonania na nim wyroku śmierci wysłano z mieczem niewolnika państwowego, z pochodzenia Germanina. Przypadek zrzędził, że był nim jeniec z wojny cymbryjskiej, w której dowodził Mariusz*⁸. Tam ów niewolnik zobaczył gorejące w mroku oczy starca, co samo w sobie było niesamowitym zjawiskiem. A wtedy Mariusz, (...) *podniósłszy się z łoża, potężnym głosem krzyknął na niego: „Ty śmiesz zabić Gajusza Mariusza? Gał [Germanin - przyp. autora PR] uciekł pospiesznie za drzwi jak szalony z okrzykiem: „Nie mogę zabić Gajusza Mariusza*¹⁰. Władze Miturnae, poaiszone do żywego całą tą sytuacją, uwolniły Mariusza, który po wielu perypetiach i narażaniu życia dotarł do Afryki, gdzie spotkał swojego syna i wielu stronników.

⁸ Plutarch, *Mariusz* 34, *op. cit.*, s. 522.

⁹ Wellejusz Paterkulusz, *Historia rzymska* 11.19, przeł. E. Zwolski, Wrocław 1970, s. 35.

¹⁰ Appian z Aleksandrii: XIII.61, *op. cit.*, s. 666.

Niedługo potem sytuacja w Rzymie uległa zmianie. Sulli bardzo spieszyło się do Grecji, na którą zdążył już rozciągnąć swoje wpływy zapobiegliwy Mitrydates, tym bardziej że w drugiej armii konsularnej doszło do groźnych zamieszek - wojsko zabiło świeżo przysłanego doń konsula (stronnika Sulli), bo... nie życzyło sobie zmiany dowódcy. Był to groźny znak, że armia nowego typu sama wybiera, komu chce służyć i pozwała sobie na kaprysy w tej sprawie. Nie ustały też jeszcze zamieszki na tle wojny sprzymierzeńczej; uśmierzono je - chwilowo, jak się okazało - przynajmniej obywatelstwo wszystkim, którzy złożyli broń, lecz czuli się oszukani. Teraz znów gotowi byli za nią chwycić, by otrzymać pełnię praw. Okazało się bowiem, że przypisano ich nie do wszystkich, ale tylko do kilku okręgów wyborczych, co w ówczesnym systemie głosowania całkowicie niweczyło ich siłę polityczną.

Sulla wolał ten gorący czas „przeczekać” na innej wojnie, gdzie mógł zebrać liczące się laury; żmudne targowanie się z Halikami i likwidowanie zamieszek pozostawił stronnikom, w tym nowo obranym konsulom. Jeden z nich, Lucjusz Korneliusz Cynna, w nadziei na uzyskanie trwalszej władzy, tuż po opuszczeniu przez Sullę Italii przeszedł na stronę popularów, niebywale wzmocnionych poparciem rozżalonych sprawą obywatelstwa Italiców. Sytuację czasowo opanował drugi konsul, Oktawiusz, wypierając Cynnę i jego stronników z miasta. Ale Cynna był tak zeterminowany, że wzywał pod broń nawet niewolników. Nowi obywatele wspierali go wojskiem i pieniędzmi, poza tym pozyskał sobie jedną z armii rzymskich, ciągle nierozwiązanych po wojnie sprzymierzeńczej, tłącej się jeszcze tu i ówdzie (jak zwykle ostatni poddali się Samnici).

Wkrótce Cynna wrócił ze znaczną armią pod Rzym. W tym czasie powrócił również Gajusz Mariusz z łatwością pozyskujący sobie stronników i wojsko wśród Italiców-Etrusków na północ od Rzymu i Samnitów na południu. Cynna i Mariusz połączyli siły. Wtedy Mariusz dokonał swojego ostatniego wielkiego - choć nieprzynoszącego mu zaszczytu - czynu bojowego: zmusił Rzym do kapitulacji.

Wodzowie optymatów poczynali sobie mało energicznie. Pozwolili marianom na zajęcie miast wokół Rzymu, odcięcia mostami dowozu żywności do stolicy, wreszcie, na jej osaczenie i głodzenie. Wojsko Pompejusza, które przybyło na ratunek Rzymowi i optymatom, uległo rozprężeniu przez dziwny przypadek - rozszalała się wielka burza z piorunami i od jednego z nich zginął wódz. Dla przesądnych Rzymian był to aż nadto oczywisty znak.

Wojnę toczono według pomysłów Mariusza, podczas gdy druga strona pozostawała bierna. Mimo że w Rzymie zaczynał się już głód i choć

uważali, że (...) *górują jeszcze i męstwem, i liczbą żołnierzy, to jednak wahali się narazić na niebezpieczeństwo los całej ojczyzny, uzależniając go od wyniku jednej bitwy*¹¹. My możemy nazwać rzeczy po imieniu: po prostu nie wiedzieli, co robić i na wszelki wypadek nie robili nic (jeśli nie liczyć umocnienia murów i wciągnięcia na nie machin). Konsul Oktawiusz (...) *tymczasem zaprzepaszczał sprawę (...) zbyt ścisłym trzymaniem się litery prawa (...); wielu radziło mu, by w zamian za wolność powołać niewolników pod broń, lecz on odpowiadał na to, że nie może oddać w ręce niewolników ojczyzny, od której, w imię obrony prawa, musi odpierać Mariusza*¹².

Bierność optymatów srodze się na nich zemściła. Cynna nie miał skrupułów prawnych. Obiecał wolność wszystkim niewolnikom, którzy się do niego przyłączą. Garnęły się do niego prawdziwe tłumy, przekonane, że to i tak lepsze niż głodowanie w Rzymie, bo tam, gdy zaczynało brakować żywności, najpierw pozbawiano jedzenia niewolników. Armia obłąńczona zyskała wielką przewagę, a podporządkowany Sulli senat, czy to pod wpływem tych wydarzeń, czy z obawy głodu, zmiękł.

Do oblegających wysłano zatem poselstwo, na którego wynik wszyscy oczekiwali w wielkim napięciu. Poselstwo wróciło z niczym, ponieważ posłowie nie potrafili odpowiedzieć na pytanie Cynny, czy traktowany jest jako konsul, czy jako człowiek prywatny. Wieść ta spowodowała kolejne masowe ucieczki z Rzymu; tym razem opuszczali go ludzie wolni, a powodował nimi nie lęk przed spodziewanym głodem ani sprzyjanie marianom, ale obawa przed szykowanym szturmem na miasto. A wszyscy wiedzieli, jak poczynają sobie rzymscy żołnierze w miastach zdobytych siłą.

Senatorowie (...) *nic dobrego nie oczekując, tego się tylko domagali, by Cynna przysiągł, że nie urządzi rzezi. Ten uważał, że przysięga jest poniżeniem jego godności, złożył więc tylko przyrzeczenie, że sam z własnej woli nie będzie winny niczyjej śmierci (...). Taką odpowiedź dał posłom, przemawiając jako konsul z góry, z wysokiego wzniesienia; Mariusz zaś, stojący przy krześle, nie odzywał się wcale, widoczne było jednak z surowego wyrazu twarzy, jaką rzeź sprawi. Senat przyjął tę odpowiedź i wezwał Cynnę oraz Mariusza, by weszli do miasta (...)*¹³.

Wojsko stronnictwa popularów weszło do Rzymu i zaczęły się osobiste porachunki polityków. Ścięto głowę konsulowi Oktawiuszowi, który wolał śmierć od haniebnej ucieczki. Podobnie postąpiono z wieloma najsłynniejszymi optymatami, a że byli to jednocześnie doskonali mówcy, młody wówczas Marek Cynceron bardzo ubolewał nad ich śmiercią, bo

¹¹ *Ibidem*, Xm.69, s. 674.

¹² Plutarch, Mariusz 42, *op. cit.*, s. 537 skrót autora.

¹³ *Ibidem*, XIII.70, s. 675, skrót autora.

potem nie miał od kogo uczyć się wymowy. Głowy mówców (i konsula Oktawiusza) wystawiono na widok publiczny na Forum, a zgromadzonych tam ludzi ogarnęła zgroza. Zabijano głównie przyjaciół i krewnych Sulli, którego najbliższa rodzina ledwo zdołała zbiec. Nikt nie miał wątpliwości, kto jest główną siłą sprawczą rzezi. W relacji zdeklarowanych wrogów Mariusza, jego wkroczenie do Rzymu i dalsze postęпки wyglądały tak:

(...) W końcu, gdy już zabił większość swoich wrogów i z powodu ogromnego zamieszania nie mógł sobie przypomnieć, kogo [jeszcze] pragnie stracić, wydał rozkaz żołnierzom: „zabijać po kolei każdego z przechodniów, do którego nie wyciągnie ręki”. (...) Oczywiście, w tak wielkiej ciżbie i wśród takiego zgietku Mariusz nie dbał o ruch ręki, a chociażby nawet tego pragnął, nie mógł jej dowolnie użyć¹⁴.

Nawet jeśli była w tym opisie przesada, i tak oddaje on siłę zawziętości tego człowieka, wspartej dodatkowo złośliwą, starczą satysfakcją.

Dopełnił się też los Kwintusa Lutacjusza Katulusa - wszechwładny a mściwy Mariusz o coś go tam oskarżył, a to równało się wyrokowi śmierci. Były konsul i -jak by nie było - bohater wojny cymbryjskiej postanowił uniknąć upokarzającego procesu, gdzie oskarżyciele wyciągali by na wierzch wszystkie jego życiowe potknięcia, wiele przy tym dodając od siebie. I tak drugi wódz spod Vercellae (...) *w izbie świeżo malowanej i jeszcze wilgotnej kazał rozpalić węgle i w ten sposób sam się zadusił*[^].

Spełniła się wróżba z dzieciństwa Mariusza. Przy takim układzie sił jego i Cynnę wybrano na konsulów na rok następny, czyli 86 p.n.e. Ale niedługo cieszył się swoim siódmym konsulatem, gdyż poprzez nieustanne napięcie nerwowe (sumienie doskwierało okrutnikowi!) nie mógł w ogóle spać: ani w nocy, ani w dzień. Pomocy szukał w alkoholu i (...) *w pierwszym miesiącu swego urzędu zmarł Mariusz w toku przygotowania wielu planów potężnej akcji przeciw Sulli*¹⁶.

O dyktatorskich rządach Lucjusza Korneliusza Sulli

I może w tym było szczęście Mariusza, że nie widział okrutnej śmierci swoich bliskich. Bo trzeci ze znanych wodzów z Pól Raudyjskich, Sulla,

¹⁴ Kasjusz Dion Kokcejanus, *Historia rzymska*, XXX-XXXV.102(10), prze!. Wł. Madyda, Wrocław 2005, s. 132.

¹⁵ Appian z Aleksandrii, XIII.74, *op. cit.*, s. 679.

¹⁶ *Ibidem*, 75, s. 680.

po powrocie z wojny z Mitrydatesem mścił się jeszcze okrutniej. Wygrał kolejną odsłone wojny domowej, co znów kosztowało Rzymian i Italików blisko 100 000 zabitych.

Po przybyciu do Rzymu Sulla mianował się dyktatorem. Uzasadnił to krótko - dla ustalenia praw. Jak to się miało odbywać, przekonano się już wkrótce.

Zabijano to tego, to owego z dostojników - o wyborze nieszczęśnika decydował kaprys władcy. Wreszcie jeden z młodszych senatorów, Gajusz Metellus, zebrał się na śmiałość i poprosił Sullę, by ten wreszcie przestał trzymać ich w niepewności i powiedział, co zamierza z nimi zrobić. A gdy dyktator wciąż się wahał, Metellus zażądał bez ogródek: (...) *W takim razie powiedz wyraźnie, kogo masz zamiar ukarać śmiercią*¹⁷. Pomysł takiego ujawnienia planów spodobał się dyktatorowi. Wkrótce w całym Rzymie zawisły tzw. listy proskrypcyjne, zawierające spisy nazwisk obywateli, skazanych przez dyktatora na śmierć. Pierwsza lista objęła 40 senatorów i 1600 ekwitów. Donosicielom i zabójcom zapewniało bezkarność i udział w konfiskowanych majątkach ofiar, niewolnikom darowano wolność. Terror Mariusza, w porównaniu z bezwzględnością i okrucieństwem Sulli, wspominano jako błahostkę.

Wkrótce listy proskrypcyjne rozszerzono i to kilkakrotnie, co - abstrahując już od samej idei takiego „przedsięwzięcia” - prowadziło do jawnych nadużyć. Majątki zamordowanych stawały się własnością skarbu państwa. Wystawiano je na licytacje, ale licytować odważali się tylko najbliżsi współpracownicy dyktatora. Ceny wywoławcze były odpowiednio niskie, więc wkrótce klika Sulli i on sam zebrali w swych rękach ogromne posiadłości.

Podobne, jeśli nie większe, represje dotknęły bogatych Italików. Karano także miasta, zwłaszcza te, które posądzano o niewierność i niełjalność wobec Sulli - im odbierano ziemię i konfiskowano majątek ruchomy. Zasoby i fundusze dyktatora rosły. A pieniądze i ziemia były Sulli niezbędne - czekali na nie żołnierze aż 23 legionów, to jest około 100 000 ludzi! Ich wszystkich nagrodzono za wierną służbę dobrze zagospodarowanymi gruntami przegranych, czyli była to swoista odmiana reform agrarnych.

Po ugruntowaniu rządów optymatów Sulla zrzekł się władzy i udał w zacisze domowe. A kiedy, już jako człowiek prywatny, odchodził między zgromadzonymi na Forum tłumami (...) *znalazł się zaledwie jeden chłopiec, który lżyć go począł, a że nikt mu nie przeszkadzał, rozzuchwa-*

¹⁷Plutarch, *Sulla* 31 [w:] *Cztery żywoty*, przeł. Mieczysław Brożek, Warszawa 2003, s. 96.

lił się tak dalece, że szedł za nim aż do domu, obrzucając go obelgami. (...) „ Ten chłopiec sprawi, że nikt w przyszłości, znalazłszy się w posiadaniu tak wielkiej władzy, już jej nie złoży”¹⁸ - podsumował to spokojnie prywatny człowiek Sulla. Być może ten melancholijny nastrój eksdyktatora i jego niechęć do dalszego sprawowania rządów były wynikiem toczącej go choroby. Albowiem mimo bogactw, sławy i władzy, niedawny dyktator Sulla niedługo potem umarł. Podobno zjadły go wszy.

W takich okolicznościach, tocząc bratobójcze walki, jeden po drugim kończyli życie dzielni wodzowie z wojny cymbryjskiej.

Rzymskie korzyści z Germanów

Obserwując samobójczy amok w zdobywanych obozach germańskich, Rzymianie nie mogli przeboleć swojej straty. I nie chodziło tu nawet o to, że żołnierze tracili obiekty do gwałcenia, bo choć z naszego punktu widzenia większość z nich była albo biseksualistami, albo pedofilami, albo jednym i drugim naraz, to jednak nie byli oni nekrofilami. Boleli, bowiem wymykał im się z rąk towar łątko zbywalny i przeliczalny na pieniądze - niewolnicy. Chyba każdy, kto potrafi liczyć, byłby niezadowolony z tego, że 2/3 jego łupu zwyczajnie się zmarnuje i tylko ptaki drapieżne będą miały z niego pożytek. Okazało się jednak, że u starożytnych marnowało się naprawdę niewiele, a i z tego, co im zostało, potrafili oni wyciągnąć maksymalne korzyści. W końcu to oni wymyślili zweryfikowaną i potwierdzoną przez następne tysiąclecia prawdę, że pieniądze... nie śmierdzą.

Aquae Sextiae, owa kolonia rzymska z leczniczymi gorącymi źródłami, gdzie rozegrała się podwójna bitwa z Ambronami i Teutonami, to dzisiejsze miasto Aix en Provence. Położone jest niedaleko Marsylii, czyli starożytnej Massalii. Ambronowie i Teutoni zasłali tam dziesiątkami, a jeśli liczyć ofiary cywilne w obozach, to setkami tysięcy trupów obszar między tymi dwoma miastami. Kilka dni po bitwie smród z rozkładających się ciał przegonił z okolicy mieszkańców, o ile nie zrobili tego wcześniej żywi wtedy jeszcze, a teraz leżący pokotem najeźdźcy. Ci, którzy powrócili potem w owe okolice, nie żałowali. (...) *Mieszkańcy okolic Marsylii podobno kośćmi poległych ogradzali winnice. Ziemia zaś, gdy trupy się w niej zaczęły rozkładać i przyszyły deszcze zimowe, takiej nabrała żyźności przez nasiąknięcie zgnilizną, przenikającą ją do głębi, że w odpowiednich*

porach wydawała nadzwyczajne ilości płodów¹⁹. Ciekawe skądinąd, jakie zastosowanie znaleźli miejscowi dla czaszek poległych, skoro tak użytecznie potrafili wykorzystać ich niebywale długie kości?

Nie wszyscy Ambronowie, Teutoni i Cymbrowie zginęli. W wyniku obu pogromów do niewoli trafiło łącznie ponad 120 000 ludzi. Kilkuset z nich, „najdorodniejszych”, wybrano do pochodu triumfalnego, co jednak nie było ich ostatnim „zastosowaniem”. Można przypuszczać, że wielu z nich zasiliło potem szkoły gladiatorów, by w przyszłości ginąć na rozlicznych rzymskich arenach, w swoim własnym lub przydzielonym uzbrojeniu. Być może tu i tam odtwarzano w cyrkach i na arenach rekonstrukcje bitew rzymsko-germańskich. Areny pochłonęły więc setki, jeśli nie tysiące ludzi...

Ale to nie wszystko. Moźni tego świata potrzebowali mnóstwo siły roboczej. Już w Vercellae mogło pozostać sporo Cymbrów, wykorzystywanych do prac w tamtejszych kopalniach złota. Kamieniołomy też pochłonęły swoją część germańskich ofiar. Najwięcej jednak, jak się zdaje, „zużyły” ich wielkie majątki ziemskie. Tam Teutonów i Cymbrów używano do ciągłego i znojnego motyczenia ziemi. Można powiedzieć przewrotnie, że wreszcie mogli zająć się rolnictwem...

Ponieważ pojawili się na rynku wszyscy naraz, w dużych ilościach, nie dało się uniknąć niejako „hurtowych” zakupów, co powodowało, że tu i ówdzie zyskiwali przewagę nad innymi nacjami. Być może gdzieś tam założyli nawet rodziny, boć przecie nie wszystkie kobiety Germanów uległy zagładzie. Poza tym, choć w chaosie wędrówki nie praktykowali przyjaźni z innymi ludami, w niewoli łątko bratali się z Galami (i Galijkami).

Najlepiej trafili ci z Teutonów i Cymbrów, którym przyszło pełnić funkcje pasterzy w najdzikszych okolicach Italii. Życie takich niewolników nie odbiegało wiele od tego, do jakiego nawykli, pomijając, oczywiście, ograniczenie wolności. Niewykluczone zresztą, że żyli tam we względnej swobodzie, skupieni w swoich grupach etnicznych, dzięki czemu mogli zachować swój język przez jeszcze jedno pokolenie. Ujawniło się to z dużą mocą trzydzieści lat po klęskach Teutonów i Cymbrów, w czasie powstania Spartakusa, gdy Germanie i Galowie utworzyli taką właśnie swoją armię niewolniczą i oddzielili się od siły zasadniczej. Gdy doszło do bitwy, zginęło ich łącznie około 35 000.

Po tym wykrwawieniu się Germanie nie odgrywali już poważniejszej roli na terenie Italii, aż do czasu wojen domowych po śmierci cesarza

¹⁹ Plutarch, *Mariusz* 23, *op. cit.*, s. 503.

Nerona, gdy złożone z nich kohorty posiłkowe, wyćwiczone już na sposób rzymski, wykazywały się większą walecznością niż oddziały typowo italskie.

Pamięć o Cymbrach i Teutonach trwała jeszcze bardzo długo i właściwie trwa nadal. Dla Rzymian byli oni symbolem śmiertelnego, niejako pierwotnego zagrożenia, drzemiącego stale w ludach północy. Z upływem czasu zaczęto o nich mówić nie w kontekście ludzkiej siły sprawczej, ale siły żywiołu niszczycielskiego.

Pojawili się na granicy Alp w momencie, gdy Rzym na arenie międzynarodowej był silny jak nigdy wcześniej, choć jego instytucje wewnętrzne coraz bardziej murszały. Zadając wiele klęsk najlepszej w owych czasach machinie wojennej, objawili się jako narzędzie bogów. W wymiarze doczesnym zmusili Imperium do przeprowadzenia koniecznych reform strukturalnych ustroju politycznego i armii, a przynajmniej znacząco je przyspieszyli. Ich niepojęta i nieopanowana chęć niszczenia weszła do kanonu lapidarnych powiedzeń jako wymieniony w jednym z poprzednich rozdziałów *Furor Teutonicus*, czyli „germańska zawziętość” lub „germańska wściekłość”, co mogło się kojarzyć ze ślepą furją, niedbającą o nic, tylko siejącą strach i zniszczenie.

Dla nas, znających późniejsze dzieje świata rzymskiego, Cymbrowie i Teutoni są symbolem tego, co czekało Imperium Romanum w czasie wielkich wędrówek ludów.

A działo się wtedy, oj, działo...!

Ponieważ w zakresie dziejów Teutonów i Cymbrów nie mam już nic więcej do powiedzenia, kończę standardowym, rzymskim powiedzeniem:

*Feci, quodpotui, faciant meliora potentes*²⁰

²⁰ Cyt. za: *Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, przekład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002, s. 187.

BIBLIOGRAFIA

Źródła:

- AMMIANUS MARCELLINUS, *Dzieje rzymskie*, przeł. I. Lewandowski, Warszawa 2002.
- Antologia anegdoty antycznej*, przeł. i oprac. J. Łanowski, Wrocław 1963.
- APPIAN Z ALEKSANDRII, *Historia rzymska*, przeł. L. Piotrowicz, Wrocław 2004.
- CEZAR GAJUSZ JULIUSZ, *Wojna gallicka* [w:] *Corpus Cezarianum*, przeł. i oprac. E. Konik i W. Nowosielska, Wrocław 2003.
- Czyny boskiego Augusta*, przeł. S. Drej.
- DIODOR SYCYLIJSKI, *Biblioteka XXXIV* [w:] FOCJUSZ, *Biblioteka, kodeks 244*, przeł. O. Jurewicz, Wrocław 2006.
- FLAWIUSZ WEGECJUSZ RENATUS, *Zarys wojskowości, ksiąg cztery*, przeł. Anna M. Komornicka, „Meander” 28 (1973) i 29 (1974).
- FLORUS LUCJUSZ ANNEUSZ, *Zarys dziejów rzymskich*, przeł. I. Lewandowski, Wrocław 2006.
- HYGINUS, *Planowanie obozu rzymskiego*, przeł. i oprac. M. Brożek [w:] *filomata*” 425-426, Kraków 1995.
- JÓZEF FLAWIUSZ, *Wojna żydowska*, przeł. J. Radożycki, Warszawa 2001.
- JUNIANUS JUSTYNUS MAREK, *Zarys dziejów rzymskich na podstawie Pompejusza Trogusa*, przeł. I. Lewandowski, Wrocław 1988.
- KASJUSZ DION KOKCEJANUS, *Historia rzymska*, przeł. W. Badyda, t. 1, Wrocław 2005.
- LIWIUSZ, *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, przeł. A. Kociołek, M. Brożek, Wrocław 1968-1982.
- LIWIUSZ, *Dzieje od założenia miasta Rzymu*, przeł. W. Strzelecki, Wrocław 1955.
- OROSIUS, *Historiam adversus paganam*.
- PAWEŁ DIAKON, *Historia rzymska Longobardów*, przekł. I. Lewandowski, Warszawa 1995.
- PETRONIUSZ, *Satyryki*, przeł. i oprac. M. Brożek, Wrocław 2005.
- PLINIUSZ, *Historia naturalna*, przeł. I, i K. Zawadzy, Wrocław 2004.
- PLUTARCH z CHERONEI, *Grakchowie, Mariusz, Sulla* [w:] *Żywoty sławnych mężów*, przeł. M. Brożek, Wrocław 1956.
- Plutarch, *Sulla* [w:] *Cztery żywoty*, przeł. M. Brożek, Warszawa 2003.
- POLIAJNOS, *Podstępy wojenne*, przeł. M. Borowska, Warszawa 2003.
- POLIBIUSZ, *Dzieje*, przeł. i oprac. S. Hammer, Wrocław 2004.

- SALUSTIUSZ GAJUSZ KRJSPUS, *Sprzysiężenie Katyliny i Wojna z Jugurtą*, przeł. K. Kumaniecki, Wrocław 1971.
- Sentencje łacińskie*, wybór i oprac. J. Syjud, Chorzów 2005.
- Słownik cytatów łacińskich. Wyrażenia, sentencje, przysłowia*, wybór, przekład i oprac. Z. Landowski, K. Woś, Kraków 2002.
- Tacyt, *Dzieła*, przeł. S. Hammer, Warszawa 2004.
- WELLEJUSZ PATERKULUS, *Historia rzymska*, przeł. E. Zwolski, Wrocław 1970.

Opracowania

- ANDRZEJOWSKI J., *Wczesnorzymska miniaturka tarczy z Nadkola nad Liwcem* [w:] „*Superiores Barbari*”. *Księga pamiątkowa ku czci Prof. Kazimierza Godłowskiego*, Kraków 2000.
- CONNOLLY P., *Historia armii rzymskiej*, Wrocław 1992.
- COWAN R., McBRIDE A., *Roman Legionaiy 58 BC-AD 69*, Oxford 2003.
- DĄBROWA E., *Rozwój i organizacja armii rzymskiej (do początku wieku III n.e.)* [w:] „*Filomata*” 399, Kraków 1990.
- DÓBLER EL, *Die Germanen*, Berlin-Wien 1975.
- ELIADE M., *Od Zalmoksisia do Czyngis-chana*, przeł. K. Kocjan, Warszawa 2002.
- FLEMMING K., *The Gundestrup Cauldron reconsidered* [w:] *Acta Archeologica vol. 66-1995*, Kopenhaga 1995.
- FLEMMING K., MARTENS L., *Southeast European Influences in the Early Iron Age of Southern Scandinavia. Gunderstrup and the Cimbri* [w:] *Acta Archeologica vol. 66-1995*, Kopenhaga 1995.
- GILLIWER K., *Caesar's Gallic Wars 58-50 BC*, Oxford 2002.
- GRACZYKOWSKI A., *Rzymskie obozy wojskowe w epoce późnorepublikańskiej* [w:] „*Nowy Filomata*” nr 4/2003, Kraków 2003.
- GRACZYKOWSKI A., *Centurionowie w armii rzymskiej u schyłku republiki* [w:] „*Nowy Filomata*” nr 1/2004, Kraków 2004.
- GRACZYKOWSKI A., *Ewolucja i znaczenie pilum w uzbrojeniu armii rzymskiej po reformie Mariusza* [w:] „*Nowy Filomata*” nr 2/2005, Kraków 2005.
- HERWIG W., *Die Germanen*, MUnchen 1995.
- HUNDTV\J., *Dargebracht vom Kollegium des Romisch-Germanischen Zentralmuseums, Teil I: Vorgeschichte*, Mainz 1977.
- JUNKELMANN M., *Die Legionen des Augustus*, Mainz am Rhein 2003.
- JURGA R. M., *Machiny wojenne*, Kraków-Warszawa 1995.
- KOKOWSKI A., *Starożytna Polska*, Warszawa 2005.
- KONTNY B., *Diversification of Burials With Weapons In the Przeworsk Culture In the late Pre-Roman Period* [w:] *Bewaffung Der Germanen und ihren Nachbarn in den letzten Jahrhunderten vor Christi Geburt*, Lublin 2002.
- KOKOWSKI A., *Kultura przeworska — zarys dziejów* [w:] *Wandalowie - strażnicy Bursztynowego Szlaku*, Warszawa 2004.

- MARTENS J., *W poszukiwaniu ojczyzny Cymbrów* [w:] *Z otchłani wieków t. 54/3*, przeł. J. Andrzejewski.
- MARTENS J., *The introduction of the Weapon Burial Rite In Southern Scandinavia during the Late Pre-Roman Iron Age. New perspectives in the light of recent chronological research* [w:] *Bewaffung der Germanen und ihren Nachbarn*, Lublin 2002.
- MLECZEK A., *Postać Jugurty, króla Numidii*, w „*Bellum Jugurthicum*” *Salustiusza* [w:] „*Nowy Filomata*” nr 1/2004, Kraków 2004.
- NICLASSON P., *Pre-Roman Weaponfinds in Mainland Sweden - Typology, Chronology and Regional Groups* [w:] *Bewaffung der Germanen und ihren Nachbarn*, Lublin 2002.
- PIOTROWICZ L., *Atlas do historii starożytnej*, Warszawa-Wrocław 1987.
- POUSSEL L., *Pourrières. Tombeau des Teutons*, Cheminements en Provence 1998.
- RASCH M., *Yorromische Waffentypen und Waffenkombinationen auf den Inseln Óland und Gotland in der südöstlichen Ostsee und ihre chronologische Stellung im Licht der kontinentalen Waffenfunde* [w:] *Bewaffung der Germanen und ihren Nachbarn*, Lublin 2002.
- ROBINSON H. R., *The Armour of Imperial Rome*, London 1975.
- SCHLETTE F., *Celtowie*, przeł. S. Lisicka i B. Wierzbicka, Łódź 1987.
- SZUBELAK B., *Legionista Cezara*, Częstochowa 1999.
- ZIÓŁKOWSKI A., *Urbs direpta. Los miasta zdobytego przez Rzymian w okresie wielkich podbojów* [w:] *Świat antyczny. Stosunki społeczne, ideologia i polityka, religia*, Warszawa 1988.
- ŻYGULSKI Zd. Jr, *Broń starożytna*, Warszawa 1998.

Opracowania zbiorowe

- Die Germanen. Geschichte und kultur der germanischen Stämme in Mitteleuropa*, red. B. Kruger, Berlin 1976.
- Mała encyklopedia kultury antycznej*, Warszawa 1990.
- Yadamecum historia starożytnej Grecji i Rzymu*, Warszawa 1985.

Strony internetowe

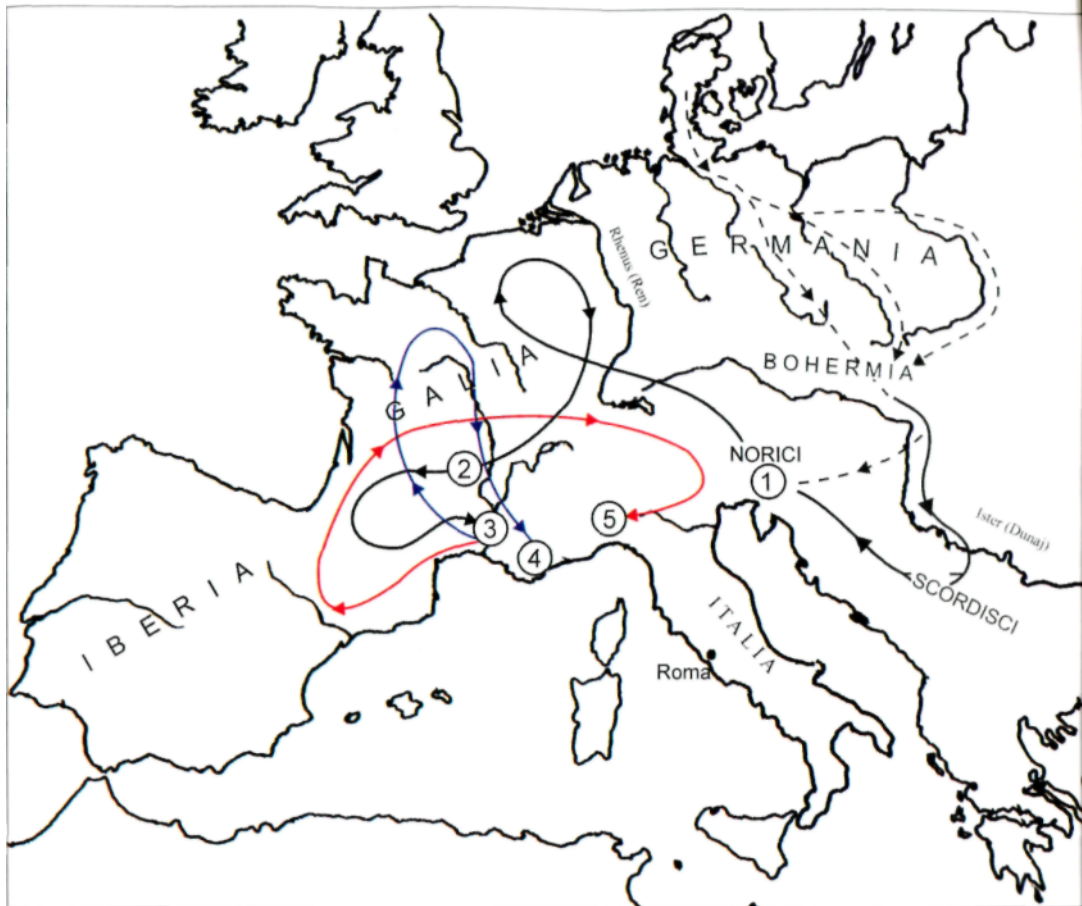
www.proantica.org

www.kakai.prv.pl

www.freha.pl

Wykaz map

1. Wędrowki Cymbrów i Teutonów po Europie.
2. Druga bitwa pod Aquae Sextiae. Prowokacje rzymskie i atak Teutonów.
3. Druga bitwa pod Aquae Sextiae. Kontratak rzymski. Natarcie oddziału zasadzko wego.
4. Bitwa pod Vercellae. Moment ataku rzymskiego na manewrującą jazdę cymbryjską i nadciągająca powoli w głębokim szyku piechota.
5. Bitwa pod Vercellae. Rozbicie szyku cymbryjskiego na części. Pościg za Germanami i atak na ich obóz.

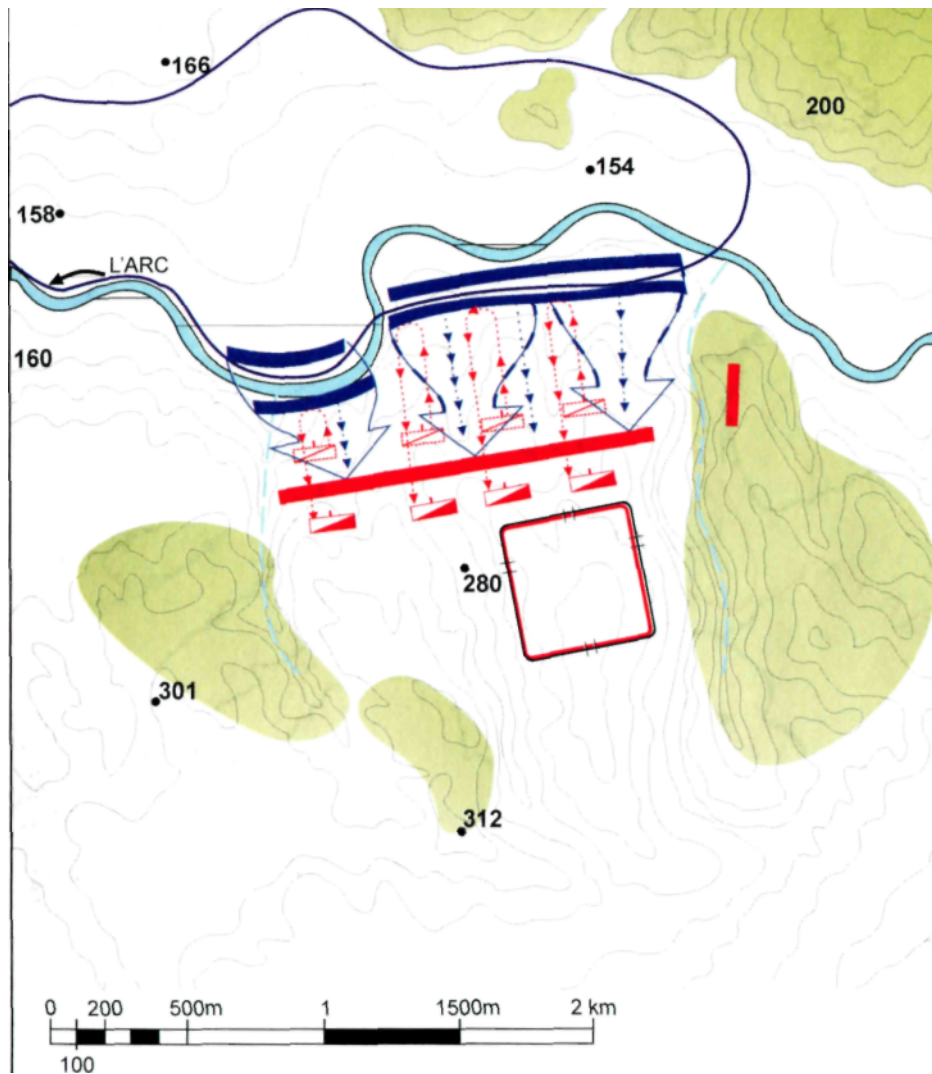


- – Cymbrowie
- – Teutoni
- – marsz wspólny Cymbrów i Teutonów
- - - →

Miejsca bitew z Rzymianami

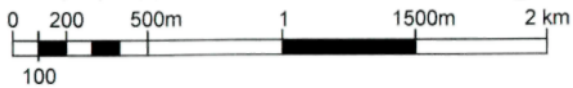
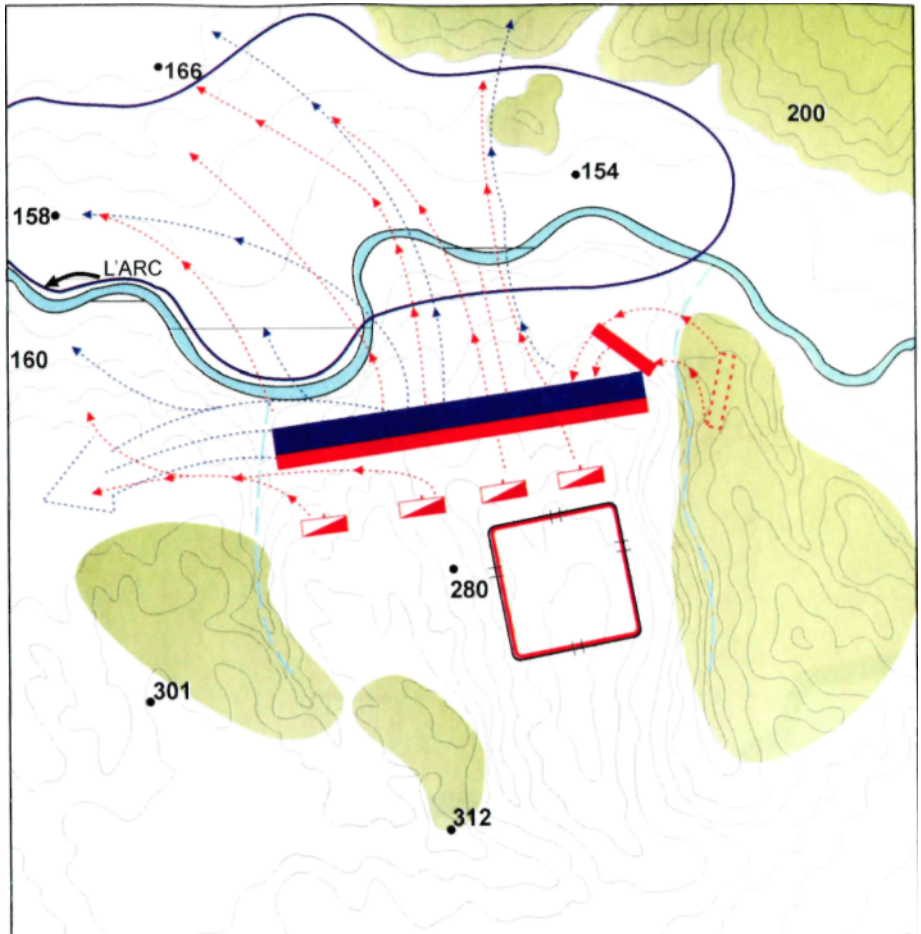
- 1 – Noreja 113 r. p.n.e., Konsul Gnejusz Papierusz Karbon
- 2 – Galia Zaalpejska 109 r. p.n.e., konsul Marek Juliusz Syllanus
- 3 – *Arausio* 105 r. p.n.e., w Galli Zaalpejskiej, konsul Gnejusz Malliusz Maksimus i prokonsul Kwintus Serwiliusz Cepio
- 4 – *Aquae Sextiae* 102 r. p.n.e. w Galli Przedalpejskiej, konsul Gajusz Mariusz
- 5 – *Vercellae* 101 r. p.n.e. w Galli Przedalpejskiej, konsul Gajusz Mariusz i prokonsul Kwintus Lutacjusz Katulus



Wędrowki Cymbrów i Teutonów po Europie.



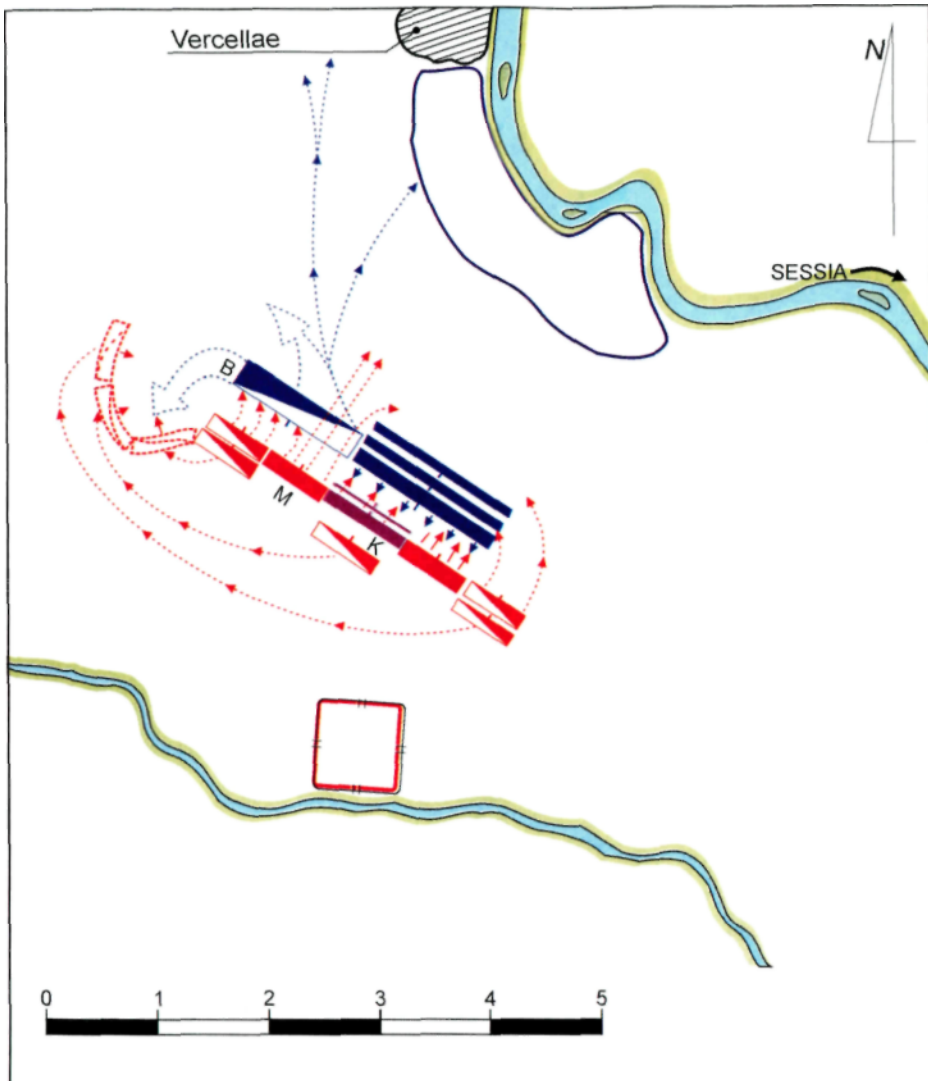
-  – rzeki stałe i okresowe
-  – tereny zadrzewione
-  – jazda rzymska
-  – piechota rzymska
-  – ruchy wojsk rzymskich
-  – piechota teutońska
-  – ruchy wojsk teutońskich
-  – obóz Rzymian
-  – obóz Teutonów



Druga bitwa pod Aquae Sextiae. Prowokacje rzymskie i atak Teutonów.



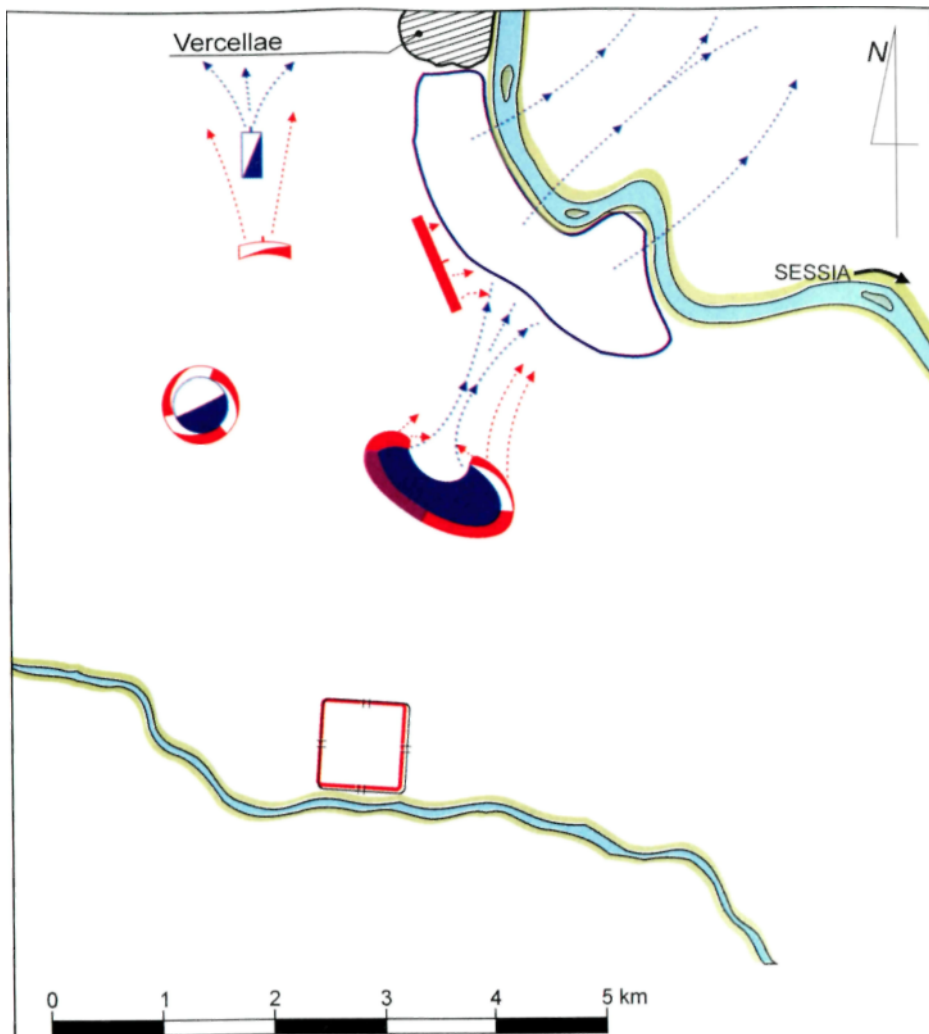
- rzeki stałe i okresowe
- tereny zadrzewione
- jazda rzymska
- tm* - piechota rzymska
- - ruchy wojsk rzymskich
- tai - piechota teutońska
- - ruchy wojsk teutońskich
-  - obóz Rzymian
-  - obóz Teutonów



Druga bitwa pod Aquae Sextiae. Kontratak rzymski.
Natarcie oddziału zasadzkowego.



- rzeki
 - tereny zadrzewione
 - jazda rzymska
 - piechota rzymska konsula Mariusza
 - piechota rzymska prokonsula Katulusa
 - ruchy wojsk rzymskich
 - jazda Cymbrów
 - piechota Cymbrów
 - ruchy wojsk cymbryjskich
-  obóz Rzymian
 -  obóz Cymbrów
 - M - konsul Gajusz Mariusz
 - K - prokonsul Kwintus Lutacjusz Katulus
 - B - król Cymbrów Bojoryks

Bitwa pod Vercellae. Moment ataku rzymskiego na manewrującą jazdę cymbryjską i nadciągająca powoli w głębokim szyku piechota.



- rzeki
 - tereny zadrzewione
 - jazda rzymska
 - piechota rzymska konsula Mariusza
 - piechota rzymska prokonsula Katulusa
 - ruchy wojsk rzymskich
 - jazda Cymbrów
 - piechota Cymbrów
 - ruchy wojsk cymbryjskich
-  - obóz Rzymian
 -  - obóz Cymbrów
 - M - konsul Gajusz Mariusz
 - K - prokonsul Kwintus Lutacjusz Katulus
 - B - król Cymbrów Bojoryks

Bitwa pod Vercellae. Rozbicie szyku cymbryjskiego na części.
Pościg za Germanami i atak na ich obóz.